ROK XIX.
Ogólnego zbioru Tom LXXIII.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

TOM I. — ZESZYT I.

Styczeń.

WARSZAWA.

1894.

Druk Jana Cotty,
29. Senatorska 29.

SPIS RZECZY.

Zeszyt zawiera arkuszy 13 i pół.

Druk ukończono d. 17 Stycznia 1894 r.



PESYMIZM.

We wszystkich dziedzinach pracy, przy najróżniejszych warunkach życia, zdarzają się chwile, w których człowiek doznaje rozczarowania, wyobraża sobie, że usiłowania jego nigdy żadnego skutku nie osiągną i że cele, do których dąży, pozbawione są wszelkiego uroku. Gdy takie zniechęcenie staje się przyzwyczajeniem, trwałym stanem chorej duszy, wtedy nazywamy cierpiącego na takie odrętwienie woli pesymistą, jego usposobienie pesymizmem.

W nowszych czasach dopiéro liczny zastęp popularnych pisarzy usiłował nadać pesymizmowi znaczenie większe, niż ma przejściowe usposobienie. Ci pesymiści widzą w pesymizmie nowy pogląd na świat, nową filozofię i metafizykę — nie jednostronne urojenie jednostki, lecz obiektywne i naukowe wyobrażenie rzeczywistości. Dla takiego pesymisty nietylko jego osobiste warunki, zamiary, usiłowania są pozbawione wszelkiéj wartości, — ale świat cały, ludzkość cała ma być pod wpływem dziwnego złudzenia, widzieć szczęście tam, gdzie go nie ma, dążyć do celów, których nie osiągnie nigdy, i jest niby skazana na cierpienie, dopóki nie pojmie, że nie warto urodzić się, ani żyć i dopóki nie skieruje wszystkich swoich usiłowań ku temu, żeby raz na zawsze położyć koniec tym mękom, przerwać nić życia wszystkich ludzi żyjących i zapobiedz urodzeniu się wszystkich tych, co jeszcze na świat przyjśćby mogli. Taki pesymizm nosi szumną nazwę filozofii pesymistycznéj — i z filozoficznego punktu widzenia nawet na krytykę-by nie zasługiwał, gdyby jedynymi jego przedstawicielami byli ci lekkomyślni pisarze, którzy dla pozyskania taniéj popularności wymownie opisują rozkosze Niebytu i cierpienia bytu. Ale, niestety, prócz tych

pesymistów, co tylko w dziełach i na papiérze są pesymistami, istnieją jeszcze miliony prawdziwych pesymistów, nie piszących wierszy, ani rozpraw, lecz w cichości cierpiących zwątpienie, zniechęconych do życia, nie wiedzących, dokąd zwrócić swoje pragnienia, aby zyskać zadowolenie. Częstokroć nawet ci prawdziwi pesymiści stają się samobójcami, kiedy pesymistyczni autorowie wesoło żyją i na pesymizmie innych robią majątki. Ze względu więc na to przestraszające rozpowszechnienie rzeczywistego pesymizmu, warto się zastanowić nad tém, skąd ta choroba powstała, co ją wzmaga, a co mogłoby ją usunąć. Chorobą jest pesymizm, jeśli rozumowania, któremi się posługuje, nie mają obiektywnego znaczenia, jeśli można wykazać, że są oparte na błędach logicznych i że wynikają z anormalnego psychicznego usposobienia. Szczegółowa krytyka różnych pisarzy pesymistycznych, istniejących obecnie we wszystkich literaturach europejskich, doprowadziłaby do tego celu. Ale byłaby to droga bardzo uciążliwa i długa, bo pesymizm stał się teraz tak modnym, że chcąc dać wyczerpujący przegląd i krytykę wszystkich pesymistów, trzebaby napisać o nich całe tomy. Daleko prędzéj dojdziemy do celu, jeśli nie cytując autorów, zastanowimy się nad zasadniczemi twierdzeniami wszelkiego pesymizmu, aby rozstrzygnąć, czy zasługują one na zaufanie.

Świat cały, całe istnienie, ma być niedorzecznêm i złêm. Jeśli tak jest, to naturalnie i jednostka rozumująca nie stanowi wyjątku, — więc pesymista, sam będąc pozbawionym wszelkiéj doskonałości, nie może téż wyrazić doskonałego sądu o całości świata. A jeśli sąd podobny wyraża, to w takim razie porównywa dostępną mu część rzeczywistości z pewném wyobrażeniem rzeczywistości doskonalszéj, przez niego w myśli stworzonéj. Jeśli ta rzeczywistość doskonalsza istnieje w myśli pesymisty, to niepodobna dowieść, że nie istnieje nigdzie po za tą myślą. Nawet jeśliby wolno było przypuszczać, że wszystko, co nas otacza i co naszéj wiedzy jest dostępne, zasługuje na naszą pogardę, to zawsze jeszcze ideał nasz mógłby być urzeczywistnionym gdzieindziéj, bo dokładnie znana jest nam zaledwie bardzo mała część całości świata. Wiadomo, jak w całym systemie światów niebieskich ziemia jest drobnym pyłkiem. Więc ktoby ze stosunków istniejących na ziemi chciał sądzić o całości świata, ten postępowałby równie nieroztropnie, jak dziecko, które, znając tylko jedną krowę czarną, sądziło, że wszystkie krowy są czarne. A dokładniéj znane nam być mogą tylko stosunki na ziemi, i to nie na całéj ziemi, bo rzadko kto ma możność dokładnego poznania wszystkich narodów ziemi, a ten co poznał bardzo wiele ludzi, najrzadziéj bywa pesymistą. Więc nawet jeślibyśmy przyznali pesymistom, że wszyscy ludzie są nikczemni, ż

nikt na ziemi nie jest szczęśliwym; to jeszcze nie wynikałby ztąd pesymizm obiektywny jako pogląd na całość świata i jego przeznaczenia, tylko pesymizm subiektywny tyczący się jedynie naszych ziemskich losów.

Nawet taki pesymizm jest niemożliwy dla bezstronnego myśliciela — bo nie potrzeba wybiegać myślą po za obręb doświadczalnéj rzeczywistości, aby dowieść, że i na ziemi istnieją ludzie prawdziwie szlachetni, istnieje też prawdziwe szczęście.

Aby je zaprzeczyć, pesymiści zarzucają ziemskim uciechom nietrwałość i skarżą się na to, że szczęśliwe chwile zbyt szybko mijają. Zarzut ten szczególniéj tyczy się w pewien sposób pojmowanéj miłości. Miłość kochanków ma być złudzeniem, dlatego, że nie trwa dłużéj niż młodość. Ale i ten zarzut jest bezpodstawnym. Nawet jeśliby prawdą było, że największa miłość trwa krótko, to zawsze uczucie to w chwili, kiedy istnieje, jest całkiem rzeczywiste i daje najzupełniejsze zadowolenie. Lecz nie zawsze miłość jest tak szybko przemijającą — i owszem najlepsze formy tego uczucia, uwiecznione w literaturze i poezyi wszystkich narodów, trwają nie krócéj niż samo życie ludzkie, i na całe życie dają szczęście i zadowolenie. Taka miłość nietylko w poezyi istnieje, ale też i w rzeczywistości, i nawet wśród ludzi, którzy poezyi nie czytali; a jednak największa miłość między mężczyzną i kobiétą jest dopiéro jednym szczeblem uczucia, które ogarniać może cały naród, całą ludzkość i jéj ideały. Kto ukochał nie jedną kobiétę ani jednego przyjaciela, tylko cały naród, prawdę, dobro lub piękno, ten nie potrzebuje się obawiać, aby przedmioty jego miłości uległy zepsuciu i rozkładowi jak ciało ludzkie, przedmiot lubieżności zmysłowéj — wskutek tego i uczucie, mające za przedmiot nieśmiertelne idee, jest trwałém i niezniszczalném. Wśród społeczeństwa, w którém deklamują pesymiści, żyje wielu ludzi zupełnie szczęśliwych, których całkowicie zadawalniają ulubione przez nich badania naukowe, dzieła artystyczne, lub też praktyczne przedsięwzięcia i nie ma tak suchego ani tak pozornie obojętnego przedmiotu, coby nie wzbudzał zapału i zamiłowania w tych, co się nim przejęli. Powszechnie znane są typy szperaczy filologów rozkoszujących się każdym nowym rękopisem, archeologów wpadających w zachwyt na widok jakiegoś dawnego sprzętu, matematyków zapominających o wszystkiém, gdy szukają rozwiązania jakiegoś zagadnienia, filozofów snujących metafizyczne rozumowania, nawet gdy doznają dotkliwych cierpień fizycznych. Wszyscy ci ludzie są najrzeczywiściéj szczęśliwi, zajęcie ich daje im zupełne zadowolenie, o bezinteresowności niektórych przynajmniéj nikt wątpić się nie ośmiela — więc istnienie takich ludzi zadaje kłam pesymi-

stom, zaprzeczającym możliwości szczęścia na ziemi. Nie każdy może wzbudzić w sobie uczucia podobne, ale nie ma też prawa zaprzeczać ich istnienia u innych, ani też nazywać te uczucia złudzeniem, dlatego tylko, że sam ich nie doznaje. Więc dopóki istnieją szczęśliwi i zupełnie zadowoleni choćby chwilowo kochankowie, artyści, uczeni, praktycy, pesymista powinien swoje zwątpienie uważać jedynie za subiektywne cierpienie, nie zaprzeczając istnienia szczęścia i zadowolenia na ziemi. Obok zaprzeczenia możliwości szczęścia, najważniejszą cechą pesymistów jest zaprzeczenie istnienia bezinteresownych i szlachetnych uczuć u ludzi. Według pesymistów, jedynym celem, do którego wszyscy ludzie dążą, jest zadowolenie zmysłów i osiągnięcie środków do podobnych zadowoleń: więc rozkosze i pieniądze, oto sprężyny poruszające całą ludzkością, a wszelkie rozkosze mają być do kupienia za pieniądze, tak, że nareszcie pieniądz ma być powszechnym celem i środkiem dla wszystkich do wszystkiego.

Twierdzenie to mniéj jaskrawo występuje u pisarzy teoretyków pesymizmu, niż u pesymistów praktyków, zaręczających, że opiérają się na doświadczeniu całego życia. Bez pieniędzy niemożliwą jest ani praca naukowa, ani produkcya artystyczna (rozumieją oni), więc nawet uczony, nawet artysta poza idealnemi celami, o których rozprawia, właściwie pragnie pieniędzy, tylko pieniędzy, sama zaś nauka i sztuka dla takich praktyków mają tylko wartość o tyle, o ile mogą posłużyć do zrobienia majątku. Rzadko ten brutalny pesymizm znajduje wyraz w literaturze, ale za to aż nadto często można go spotkać w rozmowach z praktycznymi ludźmi, którzy dla uczonego lub artysty zaczynają miéć poważanie dopiéro wtedy, gdy dowiedzą się, że otrzymuje on znaczne honorarya za swoją zabawę, naukę lub sztukę. Ci praktyczni ludzie nie wchodzą w to, jakiemi pobudkami się kierują owi, co płacą honorarya — jest-to rzecz mody, fantazyi — lub też wynikiem „złudzeń" wywołanych przez dzieła sztuki i nauki.

Otóż takie lekceważenie dążeń idealnych jest najcharakterystyczniejszą cechą pesymistów, szczególniéj w naszym kraju, gdzie przy powszechném ubóstwie, w wyobraźni ludzi wzrasta znaczenie pieniędzy i bogactwa. Zachodzi tutaj pewne nieporozumienie, elementarny, logiczny błąd, mianowicie uważanie jednego z warunków jakiegoś faktu za główną jego przyczynę lub cel. Gdy dziki człowiek pierwszy raz się spotka z bronią palną, wyobraża sobie, że siła, która wyrzuca ołowianą kulę na znaczną odległość, jest własną siłą białego człowieka, i nie domyśla się, że ruch ręki strzelającego przy pociągnięciu cyngla jest tylko jednym z warunków następującéj eksplozyi, sama zaś eksplozya-by nie nastąpiła, gdyby broń nie zawiérała prochu złożonego z ciał,

których chemiczne połączenie jest źródłem widzialnéj mechanicznéj siły. Sama siła od człowieka nie zależy, tylko od własności ciał, których użył do nabicia broni i od budowy nabojów i broni. W tym przykładzie przypisuje się człowiekowi pewna siła, któréj on rzeczywiście nie posiada, — ale takiż sam błąd rozumowania zachodzi, gdy zewnętrznym warunkom przypisujemy to, co jest dziełem własném człowieka.

Pieniądz jest tylko zewnętrznym warunkiem pracy naukowéj lub artystycznéj, nie jéj celem, ani téż przyczyną. Człowiek dlatego, aby mógł pracować umysłowo, potrzebuje wielu warunków i niektóre z tych warunków mogą przy obecnym ustroju społeczeństwa być pozyskane za pieniądze. Jakkolwiek warunki te są niezbędne, nie grają one żadnéj decydującéj roli, i nie są siłą wywołującą dzieła sztuki lub nauki. Z tém samém prawem, z którém krzyczą wielbiciele złota, że bez pieniędzy nie ma nauki ani sztuki, możnaby wypowiedziéć cały szereg podobnych twierdzeń, któreby niczego nie dowodziły. Bez powietrza także nie ma sztuki ani nauki, bo człowiek potrzebuje oddychać powietrzem, aby mógł żyć. Bez ziemi także nie ma nauki i sztuki, bo, aby człowiek mógł istniéć, potrzebuje zajmować jakieś miejsce na powierzchni ziemi. W ten sam sposób pieniądze są dziś niezbędne dla istnienia cywilizowanego człowieka, bo bez nich nie ma pożywienia, mieszkania, ubrania, opalu, światła, książek, podróży i tym podobnych warunków pracy umysłowéj. Ale z tego, że pieniądze są niezbędnym warunkiem takiéj pracy, nie wynika, żeby miały być jéj przyczyną lub celem, ani nawet nie wynika, żeby wogóle były dla człowieka celem ważniejszym, niż ideały sztuki i nauki. Więc nie wszystkie czynności człowieka są interesowne i nie wszystkie mają na celu materyalne zadowolenia. Pieniądz dać może tylko materyalne zadowolenia i materyalne warunki, dla dążeń idealnych, wytworzyć ideałów nie może. Samo znaczenie pieniędzy upada w miarę, jak wzrastają zapasy materyalne każdego narodu — widać to jasno, gdy porównamy stopę procentu płaconego od kapitału w krajach bogatych, jak np. Anglia, ze stopą procentu dawanego u nas. Ilość materyalnych zasobów i zapasów ciągle wzrasta, z szybkością daleko większą, niż przyrost ludności, a nawet gdyby wszyscy ludzie na ziemi mieli zupełnie zadowolone wszystkie potrzeby fizyczne, to jeszczeby nie wynikało, że taka powszechna zamożność, umożliwiająca dla wszystkich bezinteresowne idealne dążenia, doprowadziłaby do rozkwitu nauki i sztuki, bo zadowolenie materyalnych potrzeb jest tylko warunkiem idealnych dążeń, nie zaś siłą je wzbudzającą.

Z drugiéj strony zadowolenie wszystkich fizycznych potrzeb i zmysłowych pożądań człowieka nie zapewniłoby mu szczęścia i zadowolenia, nawet jeśliby w dodatku medycyna zdołała go uchronić od chorób wynikających z nadużyć zmysłowych. Największe zmysłowe rozkosze, gdy długo trwają, nużą swą jednostajnością, jakkolwiek niezrównanemi wydają się w pierwszéj chwili. Trwałe i niezmienne szczęście dają człowiekowi tylko trwałe i niezmienne cele, które przytém nieskończone są w swéj rozmaitości. Więc tylko ci, co do takich celów dążą, spełniają właściwie powołanie człowieka i sami się tém uszczęśliwiają. Podporządkować ich dążenia poprzedzającym je dążeniom do celów materyalnych, wątpić o bezinteresowności dążeń idealnych, znaczy nie odróżniać warunku od działającéj przyczyny lub celu, jak ów dziki, który przypisywał siłę prochu białemu swemu wrogowi.

Tam, gdzie jest nabój i strzelba, pociągnięcie cyngla śmiertelny wywołać może pocisk; ale gdy naboju nie ma, to i biały ze strzelbą jest bezbronnym. Tak samo, tam gdzie jest geniusz, materyalne środki mogą mu ułatwić twórcze działanie, ale bez ducha największy bogacz najmniejszego duchowego dzieła nie stworzy. Wstyd jest prawie z takim naciskiem tak elementarnéj prawdy dowodzić, prawdy, która we wszystkich sumieniach powinnaby być świadoma, — ale wobec strasznie rozpowszechniającego się pesymizmu, zaprzeczającego nietylko istnienia szczęścia na ziemi, ale téż i istnienia bezinteresownéj szlachetności i bezinteresownych dążeń idealnych, które jedynie odpowiadają najistotniejszym potrzebom człowieka, niezbędném jest wykryć złudzenia i błędy takiego sceptycznego pesymizmu, i szukać przyczyn choroby, jako téż i środków jéj wyleczenia.

Gdyby pesymiści mieli racyę, gdyby od samego początku świat był złym i nikczemnym, a wszystkie ideały nasze złudzeniem — to niepodobna pojąć, jak te złudzenia mogłyby dotychczas dotrwać, i nawet ciągle się rozwijać, bo pesymizm wszak nie jest rzeczą nową, jest on dawniejszy od większości współczesnych religii, dawniejszy od całéj współczesnéj nauki i sztuki. To téż pesymistyczna krytyka rezultatów nauki odnosi się nie do tego, co już zrobiono, tylko do tego, co jeszcze nie jest osiągniętém, jakby uczeni mieli pretensye do doskonałéj wszechwiedzy. Gdyby pesymista przezwyciężył swoją apatyę i poznał dokładnie wspaniałe odkrycia w ciągu kilku ostatnich wieków dokonane, nie śmiałby już lekceważyć sobie nauki, ani wątpić, że z czasem wiele pytań, którym dotychczas brak rozwiązania, znajdą wyczerpującą odpowiedź.

Ale pesymista się nauką nie zajmuje, bo z góry już wie, że to do niczego nie prowadzi. Pesymista także nie jest zdolnym do silnego przywiązania, bo uczucia w jego oczach, to tylko złudzenia. Także nie zdolnym jest do energicznych czynów, bo nie wierzy w wolność woli i w skuteczność jakichkolwiek usiłowań. W ten sposób pesymiście stają się obce dążenia, pragnienia i uczucia środowiska w którém żyje, gdyż dotychczas, pomimo wzastającéj liczby pesymistów, nigdzie oni większości nie stanowią.

W. Lutosławski.



Nauczyciel.

OPOWIADANIE.

Przyjaciel mój Johan Derner był to sobie zacny szwab; żona utrzymuje nawet, iż jest-to jedyny, uczciwy Niemiec na świecie. Przywykłem do tego wielkiego, brutalnego trochę chłopca, jak się nie do wielu ludzi przywyka. Co w nim było tak pociągającego, objaśnić sobie nie umiem. Być może: ta szczera brutalność robiła go tak sympatycznym, lub może i to, że przy nim potrafiłem zrzucić ze siebie śliską, ślimaczą skórę form towarzyskich i szczerze rozmawiać.

Bądź cobądź, przykro nam się rozstać, témbardziéj, że wyjazd ma nastąpić natychmiast.

Przyszedł mi powiedziéć, iż jutro opuszcza Lwów.

— Poco? Dokąd? Co go ciągnie z powrotem?

Na te pytania odpowiada wymijająco, mruczy coś o tęsknocie, o lepszém miejscu, o rodzinie i t. d.

W tém wszystkiém ani za grosz prawdy.

Nietrudno mi się o tém przekonać.

Derner ma jedną własność, wspólną wszystkim ciężkim naturom: kaszle, jąka się i krztusi, gdy skłamać mu przyjdzie.

I teraz oto stoi przedemną jak przed sędzią śledczym i plącze się we własnych słowach.

Z wielkim trudem zdołałem nakłonić go do szczerości.

— Ja ci wszystko opowiem, od początku, chcę żebyś mnie dobrze zrozumiał.

I z temi słowy rozparł się wygodnie w fotelu; pociągając od czasu do czasu cygaro, oto co mi opowiedział:

* * *

Wy tu nie wielkie macie pojęcie o tém, co znaczy prawdziwa, patryarchalna rodzina. Aczkolwiek ten mamut i u was się zachował, to jednak najwspanialsze jego okazy w Niemczech żyją.

Z takiego to mamuciego gniazda, z takiéj społecznéj konserwy i ja wziąłem początek.

Rodzina była dla mnie światem całym, była *alfą* i *omegą* rozsądku, cnoty, wiedzy; w rodzinie nauczyłem się chodzić, czytać, pisać, myśléć i żyć.

Matka uosobiała w sobie realną stronę życia. Myła, szorowała, łatała, a poza tém skąpiła mnie i sobie wszystkiego, zapędzała do wszelakiego rodzaju posług: jednėm słowem, była dla mnie przykrą codziennością. Ojciec był za to wyrazem ideału. W jego osobie krystalizowały się wszystkie cnoty ziemskie.

— „Patrz na ojca," — oto codzienna nauka mojéj matki.

Nic dziwnego, że starałem się go naśladować, o ile mogłem.

Nasamprzód ojciec był pracowitym, gdyż bywał w domu jedynie w nocy, — logiczny wniosek z tego, że i ja powinienem być pilnym; ojciec był walecznym, miał krzyż żelazny z wojny francuskiéj; — i ja będę walecznym i będę bił Francuzów; ojciec pijał piwo, — i ja będę pijał piwo; ojciec grywa w kręgle, — ja będę grał w kręgle. Niech jeno dorosnę.

Ojciec był wreszcie nauczycielem gimnazyalnym, — i ja nim będę. — Oto jedyna przyczyna, jedyna racya, która mnie na tę nieszczęsną drogę wepchnęła.

Powołanie? Ja nie miałem żadnego. Jedyném mojém powołaniem, było małpie naśladownictwo ojca.

Charakter? Usposobienie? Ja osobiście byłem niczém, chyba tylko „wykapanym ojcem."

Stało się, że po jego śmierci zacząłem pijać z jego kufla, grywać w kręgle w jego *stamkneipie* i dężurować jako guwerner (coś w rodzaju starszego stróża), w téjże co on szkole.

Chcąc u nas dojść do czegośkolwiek trzeba mieć dwie cnoty zapożyczone od psa: należy być cierpliwym i posłusznym.

Takim był ojciec, a więc takimże i ja być powinienem.

Wypadek zrządził, żem się zapoznał przy kuflu z jakimś bywalcem, który doradził mi porzucić miejsce i wyjechać do Lwowa.

Po krótkim namyśle zdecydowałem się na ten krok ostateczny. Był to zarazem pierwszy krok, który zrobiłem ja a nie mój ojciec.

Przybyliśmy tutaj razem z matką i zajęliśmy skromne mieszkanie na Maryensztadzie, skuszeni zapewne niemiecką nazwą téj nory.

Pamiętam wybornie pierwsze moje wrażenie we Lwowie.

Oglądając miasto, weszliśmy raz z matką do ogrodu i zaciekawieni gromadą dzieci jak i niezrozumiałą ich gwarą, siedzieliśmy na pobliskiéj ławce.

— *Deine Schüler* — uśmiechnęła się matka.

Odpowiedziałem jéj również uśmiechem. Byłem pełen jaknajróżowszych nadziei. Trudności językowe pokonywałem dosyć szybko, zrobiono mi nawet nadzieję, iż wkrótce otrzymam miejsce.

Przed ławką przesunął się młodziutki uczniak z miną tęgiego zucha.

Przywołałem go giestem i posadziwszy na kolanach, zacząłem wypytywać łamaną polszczyzną:

— W któréj klasie?

— We wstępniaku.

— *Wie* — zapytałem i rozmowa się urwała.

Malec zeskoczył z kolan i już chciał uciekać, gdy wtém wpadł mu w oczy brelok u mego łańcuszka.

— Niech mi pan to da — prosił.

Byłem bardzo oszczędny, zastanowiłem się więc nad zrobieniem tego podarunku.

— Nie, to nie — mruknął.

Odczepiłem brelok i dałem go chłopakowi.

W radosnych podskokach odbiegł od nas na jakie dwadzieścia kroków, odwrócił się, zagrał nam na nosie i wołał w gromadzie dzieci:

— *A, du Schelm, du!*

Miałem szczerą sympatyę do polskich dzieci. Wielkie ich oczy i zawadyacka mina pokonały mą obojętność.

Obok tego mają tutejsze dzieci coś, czego brak naszym; nie potrafię tego jednak bliżéj określić.

Nie zauważyłem również w ich twarzy owego cienia szyderstwa, czy téż bezczelności, téj pospolitéj cechy młodych Prusaków.

Opanowała mną nawet pewna rzewność i spotkawszy na drodze podobnego malca podniosłem go do góry i pocałowałem w oba czerwone policzki.

— Wykapany ojciec — mruczała matka.

Po dwóch miesiącach otrzymałem posadę.

Pierwsza lekcya pozostawiła po sobie dosyć dziwne wrażenie.

Na dwóch rzędach ławek siedziało z 60-ciu malców o takichże wielkich oczach i zawadyackich minach.

— Proszę pana!

Był to pierwszy okrzyk, jaki usłyszałem.

Obróciwszy się, ujrzałem na środku klasy jednego z mych uczni z ręką wyciągniętą w kierunku sufitu.

— On mi olówek zabrał — wołał płaczliwym głosem.

Pierwszym mym obowiązkiem było przeczytanie listy, roztworzywszy tedy dziennik, czytałem wolno całą kolumnę nazwisk.

Po każdém przeczytaném imieniu, wyskakiwał z tego dziecięcego tłumu, jakby sprężyną podniecony, coraz to inny uczeń.

— „Tutaj" — wołano, podnosząc rękę do góry.

Skończyłem wreszcie listę i wziąłem krédę do ręki z zamiarem wypisania na tablicy początkowych liter gotyckiego alfabetu.

— „Proszę pana," — rozległo się po klasie.

Oglądam się szukając oczyma owéj ręki, wyciągniętéj ku niebu, a mającéj oznaczać, iż jéj właściciel woła o pomoc.

Z drugiego rogu sali słychać podobny okrzyk, poczém z trzeciego — i tak bez końca.

Te dwa słowa wypowiadane były z najrozmaitszą intonacyą, raz cicho, ledwie że dosłyszalnym głosem, to znów chrapliwym szeptem lub przeraźliwém *fortissimo*, raz zdało się prosić, to znów groziło, innym razem wołało rzewnie i płaczliwie, by niezadługo we wrzask się przemienić.

Cała gama dziecięcego uczucia grała w tych dwóch prostych słowach.

Spojrzałem na to gniazdo mrówcze i nie mogłem zdać sobie sprawy z tego, co właściwie staje się powodem ciągłych tych krzyków.

Oto jeden uderza sąsiada łokciem w plecy i wrzeszczy przytém „proszę pana," uderzony powtarza tenże okrzyk w innném cokolwiek brzmieniu, w pierwszéj oto ławce dwaj wyrywają sobie olówek i piszą swoje „proszę pana," tamten jedną ręką ociéra twarz zawalaną atramentem, drugą zaś podnosi do góry i płaczliwym głosem powtarza swoje wezwanie.

Zrozumiałem wreszcie, iż tu potrzebna moja interwencya.

—Cii... széj! — zawołałem.

Pierwszy ten mój występ był bardzo niezręczny. Cii przeciągnąłem w niemożliwy sposób, co wywołało ogólny śmiéch.

Kazałem rozłożyć kajety i pisać za mną.

Na tablicy wypisałem olbrzymie gotyckie *a*.

— Aa — powtórzyło za mną sześćdziesiąt głosów.

Wyrysowałem drugą literę.

— Bee...—zabeczano w klasie jak stado baranów.

— Ciii—széj!

I znów śmiech.

Ledwo że dzwonek oznajmił koniec godziny, a wszyscy porwali się nagle z miejsc i okrążywszy mnie półkolem, starali się przekrzyczéć wzajemnie.

Jeden chciał mi coś oznajmić, drugi o radę zapytać, trzeci na kolegę się poskarżyć, niejeden wołał tak sobie — dla uciechy.

Podniesione ich ręce tworzyły jakby szaniec bagnetowy, przez który musiałem się przemocą przebijać.

Wyszedłem z klasy oszołomiony, prawie że pijany.

— Jakoś to tam będzie — myślałem.

Na drugi dzień powtórzyło się to samo z małemi odmianami. Po tygodniu zauważyłem, iż głuchy szmer w klasie rósł z lekcyi na lekcyę. Po tygodniu był to brzęk olbrzymiego roju os.

Szmer ten napędzał mi pewną obawę: spodziewałem się lada dzień wymówki dyrektora.

Podczas wypisywania na tablicy abecadła, lub też tłómacząc zdania w rodzaju: matka śpi, ojciec czyta, wpadałem w pewnego rodzaju odrętwienie, jakie sprowadza zwykle nudne i monotonne zajęcie.

Ocknąwszy się z takiego pół-snu, powtarzałem prawie machinalnie.

— Cii—széj!

Poczém powracałem do miarowego powtarzania śmiertelnie nudnych zdań.

Jakoż na wymówkę niedługo przyszło mi czekać. Dano mi do zrozumienia, iż powinienem z uczniami postępować energiczniéj.

Przez cały dzień myślałem nad zastosowaniem jakiegoś środka energicznego.

— Ha, trudna rada — myślałem — nie będę narażał się na stratę miejsca dla kilku smarkaczy.

Nazajutrz weszłem do sali z marsem na czole i spojrzałem surowo na uczni, zapowiadając tém moją dyktaturę.

Ujrzawszy jednak przed sobą niesforną mą trzódkę, uczuwszy spojrzenie wielkich i ciekawych oczu, złagodniałem natychmiast.

Uprzytomniłem sobie ich komiczną niezaradność i niedołęstwo, wszystkie zabawne cechy poczciwych tych niedźwiadków i roześmiałem się nad własném postanowieniem.

— A czy ja potrafię tym dzieciakom jakąś krzywdę zrobić.

Czy oni rozumieli mą słabość — nie wiem. Dość, że na lekcyi zachowywano się coraz to swobodniéj, dokazywano coraz to więcéj. — Jedni grali na stalówki, drudzy układali z papiéru najroznaitsze figury, inni znowu wlazłszy pod ławkę zabawiali swych kolegów szczekaniem.

Schodziłem wtedy z katedry i brałem winowajcę za ucho.

— *Pass mal auf du!*

Był to jedyny środek pedagogiczny, jakim rozporządzałem.

Wyrafinowanym nigdy nie byłem, więc też nie potrafiłem naśladować mych kolegów.

Co oni za różne kary mieli w swym arsenale!

Jeden, naprzykład, miał osobny dział w swym dzienniczku, gdzie wynotowywał najniewinniejszy wybryk ucznia.

Pojedyncze notatki składały się na rubrykę, rubryki te tworzyły serye, serye budowały porcye, a porcye wreszcie kolumnę. Po seryi następowało ostrzeżenie, za porcyę siedziało się w kozie, kolumna groziła rózgami.

W potrójną swą buchalteryę i mistyczną nomenklaturę wtajemniczał swoich wychowańców, wołając przeciągłym głosem:

— Antoniewicz, pałka za sprawowanie. Dwie porcye skończone.

Drugi mój kolega umiał znakomicie straszyć uczni i trzymać dziecięcy umysł w ciągłém naprężeniu.

Każdy skupiał uwagę jedynie na to, by nie zrobić niestosownego poruszenia.

To był wachmistrz pedagogiczny.

Inny znów podglądał i podsłuchiwał mistrzowsko i tego bali się uczniowie, mnie zaś w głowie nie chciało się pomieścić, jak tego rodzaju praktyka policyjna służyć może do wychowywania dzieci.

U kolegów moich nie mogłem przeto znaleźć wzoru, a o radzie mowy być nie mogło: każdy podałby bezwątpienia swoją receptę.

Wybrałem tedy szczerą, może nawet trochę naiwną drogę, spodziéwałem się jednak, iż w ten sposób najprędzéj dojdę do celu.

Ot co im powiem:

— Słuchajcie mnie, moje dzieci. Wczoraj zrobił mi dyrektor wymówkę za to, że dokazujecie na lekcyi. Niechaj się to raz jeszcze powtórzy, a mnie pozbawią miejsca. Moje chłopaki, nie narażajcie mnie na to.

Dorosły człowiek możeby się i roześmiał nad tém, ale dziecko — nigdy.

Dzieci mają bardzo dobre serce.

Przemowę tę ułożyłem po niemiecku; wszedłszy do klasy, zrozuzumiałem dopiéro, iż należy mi ją przetłómaczyć.

Już to mnie zmieszało, zacząłem się jąkać, krztusić i czerwieniąc się wypowiedziałem niesłychane głupstwo.

— „Dyrektor krzyczał... wymyślał... wyrzuci mnie. — Niedobre chłopcy."

Czując, że plotę głupstwo, chciałem ratować przynajmniéj pozory.

W sali pękano już od śmiechu.

— Bo do kozy zapiszę—zakończyłem niespodziewanie.

Byłem wściekły na siebie, a śmiéch w klasie drażnił mnie niesłychanie.

— W skórę dać każę! — zawołałem pod wpływem rozdrażnienia.

I tak brnąłem w głupstwo coraz to głębiéj.

W sali zrobiło się nagle cicho i wszyscy zlękli się nie tyle moich słów, ile wyrazu méj twarzy.

Byłem czerwony jak rak i gryzłem wargi z niecierpliwości.

Nieszczęście chciało, że z końca klasy rozległ się śmiech.

O, w takich chwilach śmiech dziecka może do wściekłości doprowadzić.

— Milczéć!—huknąłem, uderzywszy pięścią w katedrę.

Takem to ja się do dzieci zbliżał.

Nie dość na tém. Podrażniona ambicya popchnęła mnie daléj: postawiłem kilka pałek bez widocznéj przyczyny, dwóch malców zapędziłem do kąta, jednemu klęczéć nawet kazałem.

I pocom ja to wszystko robił?

Dzień cały chodziłem jak struty, zazdroszcząc kolegom, którzy za progiem szkoły strząsali ze siebie wszystkie przykrości, namaszczony wyraz pedagoga zamieniali kokieteryjnym uśmiechem, by resztę dnia przepędzić wesoło.

Ja tego nie potrafię.

Nazajutrz chciałem załagodzić niefortunne wystąpienie. Tu jednak natrafiłem na rzecz nową dla siebie, na zapamiętałość dziecka.

Przywitany zostałem wcale nie dwuznacznym sykiem. Udałem, że nic nie słyszę i zacząłem zwykłe swe zajęcia wśród niezwykłéj ciszy w klasie.

W tym spokoju było coś niemiłego, coś, czego się bezwiednie obawiałem.

Chcąc napisać kilka słów na tablicy znalazłem zamiast krédy kawałek cukru.

Zrazu chciałem dać pokój pisaniu, lecz w téjże chwili usłyszałem za sobą przytłumiony śmiéch.

Odwróciłem się szybko i zapytałem chrapliwym głosem:

— Kto to położył?

Cisza.

— Tyś to zrobił—rzuciłem się na pierwszego z brzegu.

— Proszę pana... ja... ja nic... nie wiem — tłómaczył się malec.

— Kłamiesz!

Chłopak rozpłakał się.

Było tak cicho, że zdało się, iż słyszę uderzenia tych drobnych serduszek, co drżały przed moim gniewem.

Uczniowie moi pokurczyli się na swych miejscach, siedzieli jak trusie, każdy z ochotą schowałby się pod ławkę.

— Powiédz, kto to zrobił?

Było to podłe, bardzo podłe pytanie, lecz wtedy myślał i działał na mnie jedynie gniéw mój.

— To on, proszę pana — wykrztusił malec przez łzy, wskazując przytém na swego sąsiada.

— Nieprawda, proszę pana, to... to on... to nie ja...

— Łżesz!

— Jak Boga...

— A więc kto zrobił?

Wstrętna to była scena.

Tym razem skończyło się na niczém. Płacz dziecka przywołał mnie do równowagi i rozbroił zupełnie.

— *Pass mal auf*, *du*—pogroziłem, wychodząc z klasy.

Podobne sceny z małemi odmianami powtórzyły się kilka razy. Poczém następowała z méj strony skrucha. Pozwalałem wtedy wyprawiać, co im się żywnie spodobało, chcąc w ten sposób zatrzéć wybuchy mego gniewu.

Matka moja starzała się niezmiernie szybko. Stała się nudną, gdérliwą, o byle drobnostkę potrafiła zrzędzić przez kilka godzin z rzędu. Była to zapowiedź długiéj, męczącéj choroby.

Jakoż nie długo przyszło na nią czekać.

Zaczęło się od narzekań na „dziwny ból w boku", poczém na „niewytłómaczone kłucia w dołku", „ciężar w głowie" i Bóg wié nie na co.

Po kilku tygodniach położyła się do łóżka, by mi zatruwać wolne chwile zwadliwém gdéraniem.

Dom obrzydł mi do reszty, témbardziéj że niezadługo pojawił się

cały arsenał butelek, buteleczek, mikstur, lekarstw i ziółek. W pokoju śmierdziało jak w aptece.

Na dobitkę zajrzała do nas biéda.

Lekarstwa matki pochłaniały połowę méj pensyi miesięcznéj, resztą nie mogłem pokryć miesięcznych wydatków.

I miasto, i dom, i szkoła—wszystko mi już obrzydło, byłbym może z powrotem wyjechał, gdyby nie — Zosia.

Tak ją zwali wszyscy lokatorzy, ja nie mówiłem jéj inaczéj, jak: panno Zofio.

Spotykałem ją codziennie na ciemnych schodach oficyny. Usuwałem się wtedy na bok i zdejmując kapelusz mówiłem:

— *Hab' die Ehre, mein Fräulein.*

Z początku odpowiadała mi lekkiém skinieniem głowy i dosyć wyraźném zdziwieniem.

Niemiecką mą czołobitność brała widocznie za chęć zaczépki. Przekonawszy się jednak, iż codziennie wygłaszam to samo i z takimże akcentem, zaczęła uśmiechać się na powitanie.

Chciałem, bywało, do niéj zagadać, cóż kiedy po nad moje „*hab' die Ehre*" i sztywny dosyć uśmiéch, nic innego wymyśléć nie potrafiłem.

Wypadek przyszedł mi z pomocą.

Zosia, to jest panna Zofia, przewróciła się raz na schodach.

Takem się zląkł i zmieszał tém zdarzeniem, żem na razie nie wiedział co robić ze sobą. Ledwo zdołałem wydobyć z siebie przeciągłe — „O o!"

— Pomóż mi pan wstać—zaczęła panna Zofia przez łzy.

Musiałem ją zanieść na górę i położyć na kanapie. Okazało się, iż zwichnęła nogę.

Ja jestem bardzo niezręczny, więc i teraz nie wiem, co ze sobą zrobić.

Zamiast biedz po doktora, stoję oto przed nią i myślę, coby też można było teraz powiedziéć.

— Boli? — odważyłem się wreszcie zapytać.

— Aha.

Urwało się. Milczenie trwa nieskończenie długo, więc, aby coś powiedziéć, powtórzyłem swoje:

— Bardzo boli?

— Aha.

I znów pauza.

— To możebym ja poszedł po doktora?

— Dobrze.

Schwyciłem za kapelusz i za chwilę byłem już na dole.

W ten sposób zapoznaliśmy się ze sobą. Od tego czasu mogłem odprowadzać pannę Zofię do magazynu, w niedzielę zaś chodzić z nią na spacer do ogrodu.

Zacząłem myśléć o oświadczynach, ułożyłem sobie nawet w pamięci moje wystąpienie i czekałem tylko sposobności, by wyjawić swoje uczucia.

Ja ją bardzo, bardzo kochałem.

U was kochanie takie może na śmieszność narazić, — ja się jednak nie wstydzę tego.

Nigdym przed nią nie odgrywał komedyi, nigdym się za lepszego nie podawał. Mówiłem do niéj szczerze i prosto.

Skarżyłem się, że mi w szkole źle płacą; że matka mnie nuży, że dzieci mnie męczą i opowiadania tego nie ubarwiałem ani własną cnotą, ani téż przesadném uczuciem. Któregoś dnia zwierzyłem się jéj wprost: — wolałbym, żeby matka umarła.

I téj nawet myśli nie starałem się złagodzić własném cierpieniem, nie wystawiałem jéj jako rozpaczliwe wyjście ze strasznego położenia, nie świadczyłem się żadnym Bogiem.

Mówiłem tak jak czułem.

— Sama się biédaczka męczy i mnie życie zatruwa, czyż nie lepiéj, żeby umarła?

Zosia przyjmowała me zwierzenia z przesadną afektacyą. Mówiła, że jestem „biédny", „nieszczęśliwy", „szlachetny".

Zrazu drażniły mnie te słowa. Nie chciałem, by mnie uważała za niezdarny płód natury, za coś mizernie żałosnego. Późniéj jednak zrozumiałem ją.

Te słowa nie były myślą, nie były słowem nawet, jeno dźwiękiem, przez który prawdziwa szczera miłość mówiła.

Jeden gdy kocha, gada więcéj niż zwykle, inny wzdycha, tamten znowu płacze, są wreszcie tacy co milczą. Niech będzie co chce, byle po zatém kryło się prawdziwe, szczere uczucie. Tu słowa nic nie znaczą.

I jakby przez wdzięczność za to szczere uczucie przysięgałem sobie, iż jak wół pracować będę, żadną przykrością, żadném niepowodzeniem zrazić się nie dam, by kiedyś módz Zosię moją żoną nazwać.

— I tak mi Panie Boże dopomóż — powtarzałem sobie codziennie.

Wszedłem w okres wyjątkowéj czułości, matce znosiłem wszelakie zioła, w szkole nie stawiałem gorszego stopnia nad czwórkę.

Lecz oto w szkole uderzył grom, po nim powiał złowieszczy wiatr: czułem burzę.

Gromem tym były dla mnie odwiedziny inspektora. Uznano mnie za marnego nauczyciela, uczni zaś moich za wyjątkowych osłów.

Dyrektor raczył mieć wzgląd na mnie i kazał mi „zmienić systemat”.

— Łatwo to powiedzieć. Co zmieniać, po co, jak? Stawiać pałki — to systemat, wpisywać do kozy — to także będzie systemat, bić rózgami, męczyć...

Nie! ja tych systematów nie znam. Męczyć poczciwe moje niedźwiadki?... Niech mnie nawet wyrzucą, a ja tego robić nie będę.

A matka, a Zosia?...

Takie myśli zatruwały mi dni całe.

W domu postanowiałem zastosować się do okoliczności, w szkole zaś na widok mych dzieciaków, jak gdyby żałując mego postanowienia stawałem się pobłażliwszym niż zwykle.

Kiedyś (a było to przed końcem kwartału) miałem przesłuchać kilku największych leniuchów w klasie.

Odkładam to umyślnie na koniec, to jest do czasu, gdy przyjdzie stawiać stopnie kwartalne.

Postanowiłem być nadzwyczaj mało wymagającym i zadawać najłatwiejsze pytania. Przydybałem się wtedy na niеładnéj myśli:

— Gdyby im tak który z lepszych uczni podpowiedział.

Wywoławszy pierwszego kazałem mu tłómaczyć najłatwiejszy rozdział.

— Matka myje — czytał. — *Die Mutter...*

I zaczął się jąkać, póki mu nie podpowiedziano. Przebrnął wreszcie przez pierwsze zdanie.

— Ojciec czyta.. — *Der Vater...*

I znów to samo.

Der Vater spr... — podpowiadam mu.

— Szpr... — powtarza mój uczeń.

Kazałem odmieniać mu słowo: *Hammer*. Milczy. — Pytam drugiego, — i drugi milczy; wskazuję na trzeciego, — i trzeci milczy, pytam lepszego ucznia — cisza.

Niepokój zaczął mnie ogarniać i wskazując na tego, na kogo oczy padły, wołam w rozdrażnieniu:

— Powiédz ty... ty... ty...

Nikt nie wié, a mnie doprowadza to do rozpaczy.

— Boże wielki! — pomyślałem — nie znają drugiego przypadku rzeczowników rodzaju męzkiego kończących się na *er*, *el*, *en*.

I ta reguła gramatyczna stała się upiorem dla mnie.

Chcąc jakby więcéj się podrażnić, lub téż pozbyć się zupełnie złudzenia, zadaję drugie pytanie.

Lernen — czas teraźniejszy? Prędzéj... prędzéj... ty... ty... ty...

Nikt nie wié, a mną już furya opanowała. Biegam jak waryat po klasie i wskazując palcem co raz na kogo innego i powtarzam swoje pytanie.

— Boże miłosierny! Nawet czasu teraźniejszego słów prawidłowych pierwszéj koniugacyi...

Chwytam za dziennik i zadaję pytanie.

— Odmieniaj „*mein*".

Milczenie.

— Ośle jeden! *Mein*, *meines*, *meinem*, *meinen* — wymówiłem prawie jednym tchem. — Siadaj.

W dzienniku napisałem jedynkę.

— Odmieniaj ty... dosyć... Masz pałkę.

W kilka minut postawiłem ze dwadzieścia pałek. Nad klasą zawisła trwoga.

— Ja was nauczę, smarkacze! — rozlegał się głos mój wśród ciszy.

Na korytarzu zadzwoniono i tém zakończono tę scenę.

Ledwom jednak próg przestąpił, a za mną rozległ się nieludzki wrzask. Świsty, sykania, oddzielne słowa, których pochwycić nie mogłem, szczekanie psów, miauczenie kotów — wszystko to zlało się w olbrzymi okrzyk protestu.

Niewytłómaczony strach ogarnął mnie na razie. Chciałem uciekać, wnet jednak obróciłem się, wszedłem z powrotem do klasy i zamknąłem drzwi za sobą.

— Czego... wy...

Nie mogłem mówić. Gdyby mi który pod rękę wpadł, czaszkę bym mu zgniótł.

Usiadłem na katedrze, a podparłszy głowę ręką starałem się opanować. Przesiedziałem tak z pięć minut pośród grobowéj ciszy. Wreszcie wstałem i milcząc opuściłem klasę.

Byłem bliski rozpaczy i byłbym nawet podał się do dymisyi, gdyby nie jedna myśl.

Zosia?...

To mię zatrzymało.

Na drugi dzień znalazłem się w klasie, nie wiedząc co mam począć.

Toć oni nic, a nic nie umieją, toć ja jestem najmarniejszym na świecie nauczycielem.

Na tablicy wielkiemi koślawemi literami było wypisane: „szwab”. Uderzywszy się w piersi zawołałem z dumą:

— Tak, ja jestem szwabem.

Cisza, — a potém jakby jeden strzał śmiechu.

I oni śmiać się jeszcze potrafią.

Potwory, a nie dzieci.

Od tego czasu malał dla mnie urok tych wielkich oczu i nadętych twarzy, niezaradność ich nie śmieszyła mnie już wcale.

— Dzieci?... — Ot!

A gdyby... gdyby zmienić systemat? Czyżby dzieci można było wtedy tylko kochać, gdy się je bije.

Wolę ich nie bić i nie kochać.

Przechodząc przez korytarz usłyszałem za sobą nawoływania. Odwróciłem głowę.

— „Szwab” — zawołał za mną piskliwy, dziecięcy głos; „szwab”, powtórzono z drugiego końca korytarza; „szwab”, wołano na wszystkie strony: szczuto mię jak dzikie zwierzę.

I to robiły dzieci.

Gdyby one rozumiały, jaką mi tém okropną przykrość sprawiają, możeby zaprzestały.

A jednak przecież to tylko dzieci.

To głupie, niewinne słowo doprowadza mię do wściekłości: gdy usłyszę za sobą słowo „szwab”, zaczynam drżéć na całém ciele.

Nie uspokoiłem się, póki nie schwyciłem jednego na gorącym uczynku. Przeczekałem do końca lekcyi i następnie sam zamknąłem go w kozie. Malec płakał, prosił, zaklinał się—nic nie pomogło.

— Proszę pana, ja już nigdy... nigdy nie będę... Mój panie... mój drogi...

Czepiał mi się rękawów, chwytał za połę od tużurka.

— Mój kochany panie... mój dobry... mój złoty...

Nie mogę znieść dziecięcego płaczu i byłbym go już puścił, gdyby nie to, iż w uszach zadźwięczało w téj chwili, jakgdyby echo dalekiego nawoływania: „szwab”.

Brutalnie wepchnąłem go do środka, a zatrzasnąwszy drzwi zamknąłem je na klucz.

— Mój dobry... mój złoty — prosił się malec za drzwiami, kołacząc zawzięcie klamką.

Wyszedłem na ulicę zły i rozdrażniony, w połowie drogi przy-

pomniałem sobie dopiéro, iż mam się spotkać z panną Zofią w ogrodzie.

— A ja już posądzałam pana o brak pamięci — zawołała, ujrzawszy mię zdala.

Innym razem nie przyszłoby mi nawet do głowy tłómaczyć się z tego opóźnienia, dziś, nie wiem po co, wymyśliłem jakąś historyę. Opowiadając, zaplątałem się w matnię własnych słów, zacząłem się jąkać, aż wreszcie urwałem niedokończywszy.

Zosia pogroziła mi palcem.

— Ja coś podejrzéwam.

Przeszliśmy kilka alei, starając się podtrzymać rozmowę, która się dziś nie kleiła.

Nie mogłem zapomnieć o mym więźniu, odbiérało mi to spokój i zatruwało całą przyjemność.

Wreszcie odważyłem się zaproponować w kierunku szkoły.

— Mam coś jeszcze do załatwienia—dodałem.

Zosia znów mi pogroziła.

— Co pana jednak tam ciągnie?

— Nic — tego... drobnostka... książkę —tego... — bąkałem.

— Ja muszę wiedzieć!

Stanęła naprzeciw mnie, patrząc badawczo w oczy.

— Chcę ucznia wypuścić z kozy — wyjąkałem, rumieniąc się jak żak.

Zosia spojrzała na mnie z zachwytem, a ująwszy mnie pod rękę, sama skręciła w kierunku szkoły.

— Jaki pan dobry—mówiła, tuląc się do mego ramienia.

W wyobraźni widziałem już radość malca, widziałem, jak brudnym kułakiem ociera zapłakane, zaczerwienione oczy i dziękuje mi głosem, w którym śmiéch walczy o lepsze z płaczem.

Przeczucia omyliły mnie jednak zupełnie. Gdym drzwi otworzył, chłopak podniósł się z ławki, wziął tornister na plecy i wyszedł milcząc z pokoju. W oczach jego wyczytałem coś w rodzaju uporu, czy też dumy.

— Załatwiłem rachunki, a więcéj nie chcę mieć z tobą nic do czynienia. Łaski twéj już nie potrzebuję. — Ot, co mówiło to spojrzenie.

Lżéj mi się zrobiło, gdym go z kozy wypuścił, odzyskałem zwykły spokój, stałem się nawet rozmowniejszy niż zwykle.

— Co też za zbrodnię popełnił pański więzień? — zapytała Zosia.

— Ot, łobuz!

— Niechże mi pan powié, ja jestem bardzo ciekawa.

Opowiedziałem jéj kilka scen ostatnich. Zosia westchnęła kilka razy, przytuliła się silniéj do mego ramienia i na pocieszenie powiedziała mi, że jestem „biédny, bardzo biédny.”

— Pan nie powinien zwracać na to uwagi — dodała. — Wreszcie przyznam się i ja do mego grzechu: i mnie się to z początku nie podobało.

— Co takiego?

— A, no... że pan jest Niemcem. Tylko, niech mnie pan do kozy nie posadzi—zakończyła śpiesznie, patrząc mi figlarnie w oczy.

Musiałem się roześmiać.

— Więc pani wolałaby mieć... to jest, chciałem powiedzieć... wolałaby, żebym ja był Polakiem.

— Nie dobry pan jest, szkaradany. Już ani słowa więcéj nie powiem.

Rozmawiając tak doszliśmy do ogrodu. Siedliśmy na ławce w jednéj z bocznych alei i zadumaliśmy się oboje.

Naokół była cisza, lecz nie ta nużąca cisza martwoty. Tu był spokój zaułka oddalonego od zgiełku miasta. Nie było tu świstu maszyn, krzyków i nawoływań ludzkich, nie było turkotu i gwaru, nie było wreszcie wszystkich tych drobnych odgłosów, składających się na przygłuszony, przeciągły huk téj wielkiéj maszyny, co się miastem nazywa.

Przed nami leży oto gładka powierzchnia stawu i lśni się wszystkiemi kolorami tęczy. Odbija się w niéj roślinność przybrzeżna i zielonym odcieniem zabarwia jego wody, daléj zachodzące słońce rzuca na nią snopy czerwonego światła, wodę zaś na przeciwnym brzegu cień rozłożystych kasztanów ubarwił na niebiesko.

Ileż tu barw, ile blasków i odcieni. I po téj wodnéj mozajce suną łabędzie wolno, cicho i poważnie, zda się, że ten lekki powiew wiatru naprzód je popycha.

Otoczyły go półkolem olbrzymie posągi bachantek i satyrów, i zamarły w swym ruchu, jak gdyby obawiając się zakłócić tu ciszę.

Nad nami wiatr porusza gałęzie, cichy, tajemniczy szelest przebiega nad naszemi głowami i milknie gdzieś w głębi. Oto znów zaszeleściały liście, gałęzie znów się pochyliły — chwila, a zda się, że drzewa ludzkim zagadają głosem. Lecz oto szmer słabnie, cichnie i milknie w oddaleniu: naokół znów cisza.

— Budzę pana—zawołała Zosia, spostrzegłszy mą zadumę.

— Ja nie śpię—pośpieszyłem ją upewnić.

— Ee... kiedy pan nic nie umié. Mówi się: „w kolorze".

— W kolorze?

— Różowym.

— *Was soll das?*

— Masz tobie! Czy pan kocha, czy nie?

— Kogo?—zapytałem, lecz spostrzegłszy różowy stanik Zosi, zrozumiałem, o co idzie.

— Kocham bardzo!... bardzo! — A pani?

— Różowy kolor?

— To jest nie, naprzykład biały.

Zosia spojrzała badawczo, szukając na mnie czegoś białego.

Powiedziałem pierwszy lepszy kolor, jaki mi wpadł na myśl, nie stanawiając się nad tém, że „biały" mógł się odnosić jedynie do méj bielizny. Zosia poradziła sobie jednak, gdyż utkwiwszy oczy w mój kołnierzyk, powiedziała cichym, prawie-że dosłyszalnym szeptem:

— Kocham.

Mnie wydało się jednak, że tu coś nie zostało dopowiedzianém.

Na razie chciałem ucałować obie jéj rączki, lecz w téjże chwili opanowała mnie niepewność.

— A nuż źle zrozumiałem?

— Panno Zofio—zacząłem uroczystym głosem.

— Słucham pana.

— Panno Zofio—powtórzyłem.

Ciężko szła mi ta oracya.

— Gdyby do pani przyszedł człowiek krwawą pracą zarabiający na chléb powszedni, nie mający ani majątku, ani...

Nieszczęście chciało, że na końcu alei pojawiło się duże towarzystwo.

Zbliżając się do nas rozmawiali hałaśliwie, śmiali się i dowcipkowali. Gwarem miejskim od tych ludzi powiało.

Urwałem zdanie i przybrałem natychmiast obojętny wyraz, a chcąc zatrzéć ślady mego wzburzenia, rozparłem się wygodnie na ławce i mruknąłem jakby od niechcenia:

— *So... soo...*

— Hm, hm! — zawtórowała Zosia, domyślając się méj polityki.

Czekaliśmy milcząc, póki nas nie miną.

— Otóż — ciągnąłem daléj — gdyby ten człowiek zbliżył się do pani ze szczerą propozycyą... Co pani jest, panno Zofio?!

— Nic, nic—niech pan dalej mówi.

— Otóż... otóż, czy mogę liczyć na przychylną odpowiedź?

Milczenie. Zosia pora się z płaczem.

— Panno Zofio, na litość Boską? — zawołałem, przestraszony tém milczeniem.

— Tak —odpowiedziała wreszcie.

Schwyciłem jéj rękę i przycisnąłem do ust. Całe niebo wstąpiło we mnie wraz z tym pocałunkiem. Był to dzień, w którym poznałem, co znaczy szczęście.

Nie miałem żadnych słów, któremi możnaby było określić, co w téj chwili czułem. Jak zwykle, wypowiedziałem najbliższą myśl moją.

— *Sie machen mich glücklich, Fräulein.*

Tegoż dnia zamieniliśmy pierścionki, z postanowieniem wzięcia ślubu „po Wielkiejnocy."

Matka przywitała mnie w domu zwykłém zrzędzeniem:

— Gdzie ty się włóczysz, gdzie ty latasz, pytam się ja ciebie.

— Na mieście byłem.

— Tak, na mieście, na mieście. Zawsze ma coś w mieście do roboty.

Nudziła tak z dobre pół godziny.

Za czyje winy przyszło mi pokutować w téj szkole — nie wiem, za jakie przestępstwa karały mnie te dzieci, ci straszni sędziowie—tego nie rozumiem. Chyba za to, że byłem nauczycielem.

Kilka pierwszych dni po owéj kozie minęło nadzwyczaj spokojnie. Nie wołano za mną „szwab", zaprzestano rysowania niezdarnych karykatur na tablicy. Byłem jaknajlepszych myśli, sądziłem, że wszystko wróci niebawem do jakiegoś porządku.

Lecz na mnie ciężył już grzéch, którego nie można było naprawić. Pałki postawione wówczas zostały wciągnięte do ksiąg, a stamtąd przepisane do cenzur.

I za ten grzéch czekała mnie pokuta.

Któregoś dnia powstając z krzesła, by napisać kilka słów na tablicy, uczułem, że stołek podnosi się ze mną.

Okazało się, że przylepiono mnie do krzesła klajstrem.

Może był to głupi figiel, bezmyślna psota, może wybryk dziecięcéj pustoty — wszystko to być może, tylko ja wtedy o niczém wiedzieć nie chciałem.

Wybiegłem z klasy, poszedłem wprost do dyrektora.

Zadyszanym głosem opowiedziałem mu co zaszło i zostałem zdziwiony jego spokojem.

— Kto to zrobił? — zapytał.

— Nie wiem.

Dyrektor dokończył rozpoczęty list, włożył go w kopertę, zaadrewał, poczém powstał i wolnym krokiem wszedł do klasy.

— Ja was nauczę szacunku—huknął piorunującym głosem.

Nie rozumiem, skąd się u tego człowieka wziął naraz ten gniéw i to wtedy dopiéro, gdy próg klasy przestąpił.

— Rózgami wszystkich osiekę!

Krzyczał tak kilka minut, aż wreszcie zakończył obiecującym rozkazem:

— Zostaniecie się tu po lekcyi.

Poczém wyszedł z klasy, podał mi rękę i rzekł ze zwykłą flegmą:

— Załatwimy to potém.

Dowiedziałem się nazajutrz, iż dyrektor załatwił sprawę, zasadziwszy całą klasę do kozy i kazawszy obić dwóch malców rózgami.

Zaczęto mnie się obawiać. Na lekcyi zachowywano się spokojnie, zadania przygotowywano z większą niż dotąd akuratnością. Po za tą obawą kryła się jednak głucha nienawiść, tém silniejsza, iż nie znajdowała broni, którąby bezkarnie walczyć mogła.

To zdarzenie było bodajże zerwaniem ostatnich nici łączących mnie z dziećmi. Katedra moja zda się wgłąb się usunęła, pomiędzy nią a ławkami leżała teraz olbrzymia przestrzeń.

Nie widziałem już oddzielnych twarzy, nie rozróżniałem głosów. Przedemną stał tylko rząd ławek, a na nich nie było już dawnych Józków, Stasiów — byli tylko: Borawski zapisany w liście pod numerem czwartym, Kleinert pod numerem czterdziestym trzecim i t. d.

Coraz częściéj musiałem brać do pomocy dziennik, by przypomniéć sobie nazwisko ucznia.

Z Zosią krzątaliśmy się tymczasem koło wyprawy.

Wynotowaliśmy sobie na kartce całą litanię sprzętów: łóżko, komoda, szafa, cztery talérze, dwa półmiski, cztery noże, widelce i t. d.

I z taką to kartką chodziliśmy po żydowskich zaułkach, gdyż Zosia utrzymywała, iż „u żydów wszystkiego taniéj dostanie.”

W jednéj z takich wędrówek wypadło nam przejść koło szkoły i to w chwili, gdy uczniowie rozchodzili się do domów.

Wychodzono małemi grupami, rozprawiając żywo o kozach, pałkach, zadanych lekcyach, komentując to wszystko wcale nie wyszukanemi słowami.

— Małpa ten geograf. Osioł z Francuza. Szewc szelma.

Tego rodzaju sądy powtarzały się prawie co trzecie słowo.

Mija nas pierwsza grupka i uchyla czapki od niechcenia. Czuć w tym ukłonie przymus.

— Widzisz go, frajer! — wołają potém, wskazując przytém na Zosię.

Przechodzi kilku największych łobuzów. Ci kłócą się zapamiętale o reguły palanta.

— Uchodzi, nie uchodzi—krzyczą jeden przez drugiego.

Kłaniając się, patrzą arogancko na Zosię. Pod wpływem tych spojrzeń czerwienieję. Wolałbym być tu sam bez Zosi.

— Szwaja! — słyszę za sobą.

O, ja znam to słowo!

Znaczy to szwaczka, lecz taka co to się „puszcza", jak mówią starsi uczniowie.

Najbardziéj wyuzdana bestya nie odważyłaby się może cisnąć komu tak straszne słowo, największy zgnilec nie potrafiłby może oceniać kobiéty w ten sposób, jak to dzieci czyniły.

Dziecięcéj uwadze nie uszły te kilka białych nitek, co się uczepiły spódnicy, nie uszło i nasze zmieszanie. Wyrok był gotowy w formie słowa, zapożyczonego u starszych zepsutych chłopców.

Jak w tym małym mózgu tyle cynizmu pomieścić się może?

Idę jak przez ogień pod spojrzeniem setek bezczelnych dziecięcych oczu, bezwiednie odpowiadam na ukłony, by potém usłyszéć za sobą syczące: „szwaja".

— Bodaj ich za to...

Szczęściem nawinęła się dorożka. Wepchnąłem w nią Zosię i rzuciwszy woźnicy adres opadłem wyczerpany na siedzenie.

— Potwory!

— Co się stało?—pyta mnie Zosia lękliwie.

— Daj mi teraz spokój, nie mów nic do mnie.

Zosia pobladła z rozdrażnienia, choć nie zdaje sobie sprawy z tego, co zaszło, we mnie zaś drga każdy nerw, serce bije jak młotem, a w głowie mam szum taki, iż zdaje mi się, że tracę przytomność. Wtedy uczułem wstręt do dzieci.

Przeklęte te słowo stało się dla mnie łożem inkwizycyjném, na którém rozciągały mnie te małe bezduszne potworki.

Wchodzę do klasy, na tablicy znajduję koszlawy napis: „szwaja", mijam korytarz, a za mną na wszystkie strony rozlegają się piskliwe głosy:

— Szwaja! szwaja!

Z za każdego węgła, z za każdych drzwi, z za każdego rogu woła na mnie przeciągły ten głos:

— Szwaja! szwaja!

A to można zwaryować przy tém, zaczynam z całego serca nienawidzieć nieuchwytnego mego wroga, téj nikłéj mary, którą widzę, słyszę, czuję—lecz pochwycić nie mogę.

Oto słyszę to wołanie tu za mną. Odwracam się: wszyscy rozmawiają niewinnie.

Ściany zda się same krzyczą.

Staję się podejrzliwym: ja, com do dziecka nie przemawiał inaczéj jak z uśmiechem, badam szczegółowo każdą twarz.

W uśmiechu szukam ironii, w wesołości chęci dokuczenia mi, w milczeniu zapowiedź psoty, w dobrze wydanéj lekcyi oszustwo.

Pochwyciłem wreszcie dwóch malców na gorącym uczynku i kazałem dać im w skórę.

A co za wzrok mają te dzieciaki, co za badawczość śledczą!

Miałem oto głupie przyzwyczajenie opierania się na łokciach, dłońmi podpierając oba policzki.

Gdy w klasie kto zagadał, uderzałem obiema rękami w katedrę.

— Cii...széj—wołałem i powracałem do dawnéj pozycyi.

Któregoś dnia na zwykły mój okrzyk odpowiedziano wrzaskliwym śmiechem.

Było w tym śmiechu coś żywiołowego, widziałem, jak niektórzy bledną i czerwienieją naprzemian, próbując daremnie opanować ową wesołość.

W téjże chwili spostrzegłem, iż obie dłonie mam powalane atramentem. Instynktownie wyciągnąłem lusterko. Twarz moja była upstrzona czarnemi plamami, każdy palec przedstawiał na niéj czarną pieczęć.

Byłbym ryknął ze złości, gdybym choć dźwięk jaki mógł wydobyć z siebie. Krew uderzyła mi do głowy, a w gardle ścisnęło jak klaszczami, łzy występują mi do oczu i nie mogę ich opanować.

Uczułem się tak nieszczęśliwym, tak zbezczeszczonym i poniewieranym przez te drobne istoty, że gniéw mnie nawet opuścił, ustępując miejsca żalowi.

— Dzieci, co ja wam złego uczyniłem.

Muszę opuścić klasę, gdyż w téj chwili się rozbeczę. Zbiéram resztki sil i idę w kierunku drzwi.

Jeszcze trzy kroki, a będę już na korytarzu. Lecz oto nogi uchylają się podemną, muszę schwycić się za tablicę.

Rozpaczliwym wysiłkiem chcę się opanować: wyprostowałem się jak struna i zagryzłem wargi aż do krwi.

Siły mnie jednak opuszczają, odwracam się i chcę coś powiedzieć, co, tego sam nie wiem. Z początku zdało mi się, że chcę ich prosić o szklankę wody, potém oznajmić, że lekcyi dziś nie będzie.

Otwiéram usta.

— Cii...széj!...

Rozpłakałem się jak dziecko.

— Coście wy ze mną zrobili!...

Przez trzy dni nie zaglądałem do szkoły. Przygotowałem list do dyrektora, w którym donosiłem mu, iż „nieprzewidziane okoliczności zmuszają mnie do porzucenia zawodu nauczycielskiego".

List ten wsadziłem do kieszeni, nie mogąc się zdecydować na wysłanie go.

— Zosia? — myślałem. — Mam-że ja niszczyć i tę odrobinę szczęścia, mam-że odpychać od siebie ten jedyny dar życia. Bo życie to tylko mi dało.

Ilem wtedy przecierpiał, com przemyślał, opowiedzieć tego nie potrafię.

Ja jestem uparty w mych myślach i tém upartszy, że na żaden swój postępek nie potrafię znaleść argumentu. Dzieci mnie zamęczą: oto jedyna racya, jaką powtarzałem z bezmyślnym prawie uporem.

Na przeciwnéj szali zaważyła smutna przyszłość.

— Z głodu zdechniemy.

I te dwa zdania w dziki taniec puściły się po głowie.

Tu nie było żadnego rozumowania, nie było *pro* i *contra*, nie było logiki nawet, tylko uporczywe, nieskończone powtarzanie dwóch tych możliwości.

Stało się, żem list zniszczył i czwartego dnia poszedłem do szkoły.

I ja żyć chciałem.

Ślub odbył się w trzecie święto. Miałem wtedy dziwne złudzenie. Zdało mi się, że oto wschodzi i dla mnie jutrzenka szczęścia, że od tego czasu życie pobiegnie spokojnym, szczęśliwym torem.

Bo dlaczegożbym ja miał być tak upośledzonym, dlaczegoż miałbym być gorszym od tych setek ludzi. A wszak każdy z nich ma choć cokolwiek, choć odrobinę szczęścia, bodaj źdźbło złudzenia. Miałżebym ja nic nie miéć?

I mnie życie dało swą jałmużnę, darząc mnie kilkoma szczęśliwemi miesiącami.

Wtedy umiałem zapominać o szkolnych przykrościach, o życiowych niepowodzeniach. I to zapominanie szczęściem mojém było.

Wkrótce po naszym ślubie stan matki pogorszył się znaczniéj. Im gorzéj jéj było, tém bardziéj nas zamęczała.

Kazała sobie sprowadzać po kilku doktorów. Jeden był głupi, drugi nie poznał się na chorobie, trzeci zapisał złe lekarstwo i t. d. Przytém radziła się wszystkich bab, które ją odwiedzały. Każda baba zalecała co innego, matka wszystkie zioła próbowała po kolei.

Stróżka poradziła jéj raz natrzéć piersi komarowém sadłem.

Ani ja, ani matka nie zrozumieliśmy tego słowa, Zosi na nieszczęście nie było w domu.

— *Hörst du Hans!* — zawołała matka, spoglądając na mnie znacząco.

Zrozumiałem to spojrzenie: wziąłem kapelusz w rękę, zapytałem stróżki:

— Jak pani mówisz?

— A no jak. Natrzéć piersi komarowém sadłem, wetrzéć dobrze flanelą, a potém wziąć na poty. Zaraz zelży.

Gdy byłem już na schodach wołała za mną:

— A niech pan nie zapomni: komarowe sadło!

Łatwo sobie wystawić, jak się ubawiono w aptece na mój koszt. Na domiar złego, spotkałem tam mego ucznia.

To mi oka zmrużyć nie dało: wiedziałem, co mnie nazajutrz czekało.

I nie omyliła mnie obawa. Ledwom do szkoły wszedł, a już rozlegają się krzyki:

— Komarowe sadło! komarowe sadło!

Zaczęła się podobna naganka, jak wtedy ze „szwabem”.

Szczuto mnie na każdym kroku, prześladowano na każdém miejscu. Stałem się powoli przedmiotem zabawy nietylko dla uczni, lecz i dla mych kolegów, nauczycieli.

W kancelaryi witano mnie z uśmiechem na ustach i wcale nie dwuznacznemi dowcipami.

Jednėm słowem, byłem „komiczną figurą”.

Przyszedłem raz do szkoły w środku lekcyi i skierowałem wprost do kancelaryi, gdy uchem usłyszałem za sobą przeciągły pisk:

— Komarowe sadło!

Na korytarzu nie było nikogo.

Teraz mi ptaszku nie ujdziesz, pomyślałem i przycisnąwszy się do ściany, tak, aby o ile można mniéj być widzialnym, posuwam się na palcach w stronę, skąd głos dochodzi.

Zaczajam się tak cicho, iż kroków swoich nie słyszę.

Doszedłszy do zakrętu, wstrzymałem się, powstrzymując oddech.

Niedługo przyszło mi czekać. Oto z za rogu wychyla się kędzierzawa głowa o wielkich oczach i wzdętych policzkach.

— Mam cię! — ryknąłem i rzuciłem się jak tygrys na niego.

— Proszę pana — to... to nie ja.

— Milcz!

— Kiedy to...

Uderzyłem go w głowę.

— Oj, panie!...

— Milcz!

Uderzyłem po raz drugi, trzeci, czwarty: tłukę bez pamięci.

A skowyczy to szczenię, aż echo roznosi po szkole.

— Jezusie! — O Jezu!

— Milcz!

Uderzyłem raz jeszcze. Chłopak powalił się na ziemię. Zacząłem go kopać nogami.

— Ja cię zatratuję, szczeniaku jeden!

Wszystko co żyło, zbiegło się na miejsce wypadku. Oderwano mnie przemocą od méj ofiary.

— Ja jemu kości połamię, — krzyczałem zadyszanym głosem.

Spostrzegłszy jednak dzieło rąk swoich, oprzytomniałem. Chciałem nawet pomódz chłopcu wstać, odepchnięto mnie jednak rubasznie. Powlokłem się tedy do kancelaryi, wśród nieustającego wrzasku uczni.

Potém przyszedł dyrektor i giestykulując żywo, mówił mi coś o sądzie, o policyi, o kryminale.

Chcąc go widocznie lepiéj zrozumiéć, nachyliłem się do niego i runąłem jak długi na ziemię.

Gdym padał, zdawało mi się, że olbrzymie stado wilków zawyło tryumfująco i rzuca się na mnie.

Ocuciłem się w dorożce, stróż szkolny odwoził mnie do domu.

Zosia spostrzegła odrazu, że stało się coś niezwykłego.

— Jasiu! — zawołała trwożliwie.

— Wymówiono mi miejsce.

Zbladła jak trup usłyszawszy te słowa.

— I to na zawsze... we wszystkich szkołach... na nic liczyć nie mogę, — mówiłem zadyszanym głosem.

— Jasiu? — powtórzyła swoje.

— Zginiemy.

Milczenie. Zosia nie znajduje odpowiedzi.

Wstydziłem się podać jéj właściwą przyczynę, zwaliwszy wszystko na inspektora.

Na drugi dzień Zosia poszła do magazynu, ja zaś zostałem w domu: role nasze się zmieniły.

Dwa tygodnie trwała ta męczarnia.

Im więcéj serca okazywała mi Zosia, témbardziéj czułem się upokorzonym.

— Boć czémże ja jestem? Leniem, pasorzytem tylko, nie mężem. Żona na męża pracuje.

Wydało mi się to czémś tak przeciwném naturze, tak upadlającém, żem chwili spokoju nie znalazł. Jaknajcyniczniejsze myśli przychodziły mi do głowy.

— Za uśmiech daje mi śniadanie, za całus obiad.

Ja nie potrafię panować nad memi myślami.

Może dlatego częściéj mnie teraz pieści i całuje, wszak ma do tego większe prawo, wszak ona mnie karmi.

Po tygodniu, spędzonym na daremném poszukiwaniu pracy, napisałem do Kuryera taką ofertę:

„Młody człowiek, Niemiec, z wykształceniem gimnazyalném, pedagog, obeznany również z ogrodnictwem, poszukuje pracy w jakiejkolwiekbądź branży. Podjąłbym nawet kolporterstwa lub podobnego zajęcia."

Byłem we wszystkich kantorach pośredniczących w wyszukiwaniu pracy, nie omijałem nawet kantoru „służących i oficyalistów," wszystko napróżno.

— Panie — zwrócił się raz do mnie chudy, wysuszony mężczyzna w wytartym tużurku, sznurowanych kamaszkach i w maciejówce na głowie — panie, u nas łatwiéj o jałmużnę niż o zarobek.

I on szukał zajęcia „w jakiejkolwiekbądź branży."

Po dwóch tygodniach otrzymałem list od dyrektora.

„Łaskawy pan zechce się pofatygować do mnie i to jaknajprędzéj."

W pół godziny byłem już u niego.

Dyrektor postanowił zrobić poświęcenie dla instytucyi, na czele któréj postawiły go losy i pragnął sprawę zatuszować.

— Na tém straciłaby jedynie opinia szkoły — powtarzał po kilka razy.

Rodzice pobitego malca gotowi sprawę zapomnieć, oczekują jednakże moich przeprosin.

Cała sprawa wydała mi się w téj chwili tak naturalną, przeprosiny tak nieodwołalną koniecznością, żem nie próbował nawet oporu.

Wyszedłszy jednak na ulicę, zawahałem się.

Czyż nie lepiéj wrócić do domu. Lecz cóż ja w domu będę robił?

Położę się na kanapie i będę czekał póki Zosia nie przyjdzie i mnie nie nakarmi.

Nie, to niemożliwe!

Powlokłem się w kierunku Krakowskiego-Przedmieścia, układając w myśli moje przeprosiny.

Powiem tak: „Przyszedłem prosić szanowną panią o przebaczenie za nietaktowne wystąpienie.”

Tak źle będzie.

„Szanowna pani. Gwałtowny mój postępek.” I tak niedobrze.

W bramie zatrzymałem się czas jakiś, by zebrać myśli.

Z trudem ukułem nareszcie jakieś zdanie: odważyłem się wejść na górę.

Wprowadzono mnie do salonu, gdzie z biciem serca oczekiwałem wejścia „pani.”

Po chwili ukazała się we drzwiach otyła kobiéta o tłustéj, czerwonéj twarzy.

— A, to pan jest ten?

— Tak, proszę pani.

— Kto panu pozwolił tak moje dziecko okaleczyć?

Nie wiem co odpowiedzieć, więc milczę.

— Pan przyszłeś mnie przeprosić?

— Tak jest.

Pani nic nie mówi, oczekując widocznie tych przeprosin.

Drzwi się uchyliły i do pokoju zajrzał mój uczeń.

Spostrzegłem, iż ma on obandażowaną głowę.

— Chodź Józiu, nie bój się — zachęcała mama. — Widzisz pan jak on wygląda. Chodź tu, bliżéj, mój Józieczku, nie bój się kotku.

Objęła go za szyję i spojrzała wyczekująco na mnie.

— Chciałem panią przeprosić — zacząłem i urwałem natychmiast.

— To było źle z méj strony — podjąłem znowu, by znów urwać.

I zdanie z takim mozołem ukute rozwiało się w méj pamięci. Plotę bez sensu, bez związku.

Ten malec, którego mama tak czule obejmowała, kradł mi moje myśli, naprowadzał na mnie to zmieszanie. On mi rozum nawet odbiérał, gdyż oto widząc: że pani zaczyna się niecierpliwić, rzuciłem niespodziewanie:

— Ja mam żonę.

I z temi słowy pochwyciłem tłustą, czerwoną rękę mamy Józia i przycisnąłem ją do ust.

Mówiła coś do mnie, ale ja już tego nie słyszałem. Zdaje się, że było tam coś o dyrektorze, o obietnicy mu danéj, o opinii szkoły...

Jak pijany potoczyłem się ku drzwiom.

Tu obróciłem się raz jeszcze, by złożyć ukłon i wtedy uczułem na sobie chytre, bezczelne spojrzenie malca.

Wtedy też po raz pierwszy doznałem tego uczucia.

Ileż to ludzi rozpływa się nad niewinném spojrzeniem dziecka, nad wielkiemi ich oczyma, nad tém zwierciadłem duszy, jak mówią niektórzy.

Żmija tak nie patrzy, jak dziecko spoglądać potrafi.

Zwierciadło duszy!

Tak, dziecko się śmieje, gdy mu ciastko damy, gdyż wtedy jego żołądek się cieszy, lecz sprobójcie mu zrobić krzywdę, a wtedy całe piekło uczucia, cała zapamiętałość bezbronnego zwierzęcia przeziéra przez te oczy. A niech jeno za płot się schowa, niech zalezie pod skrzydło matki i wtedy na was spojrzy.

Ten tryumf robaka do obłędu doprowadzić może.

Wtedy poraz pierwszy doświadczyłem tego uczucia.

Zkąd ono się wzięło? — z tego spojrzenia. Czém było? — Obłędem lub czémś jeszcze gorszém.

Jam wtedy nic nie myślał, niczegom nie rozumiał, jeno palce kurczyły mi się nerwowo, jakgdyby obejmując coś drobnego, co ugina się pod naciskiem, rwie się i szamocze, trzeszczy w tém objęciu i zamiéra.

Stoję tak w bramie, oparty o ścianę; ręce naprzód wyciągnięte, jakgdyby kogoś chwytały, a palce wykonywują bez końca kurczowe te ruchy.

Kilka minut przeszło, zanim oprzytomniałem. Przetarłem ręką po czole, chcąc jakby odpędzić myśli i wskoczyłem do przejeżdżającéj dorożki.

Nazajutrz poszedłem do szkoły. Zosi zaś zakazałem pójścia do magazynu. Wstępowałem w dawną rolę, co Zosia nie bez zadowolenia przyjęła.

Teraz stała się jednak mniéj uprzedzającą i w pieszczotach swoich nie tak czułą.

Czyżbym ja miał racyę, rozumując w tak cyniczny sposób?

Dziwną jest moja Zosia.

W szkole przechodzę tymczasem katusze niedowytrzymania. Wszystkie dawniejsze przydomki odżyły. Nawoływania, „szwab,” „szwaja,” „komarowe sadło,” rozlegają się po całym gmachu.

Ja nareszcie zmieniłem systemat. Zapisuję do kozy, stawiam pałki, jednèm słowem jestem najenergiczniejszym z nauczycieli.

Nie powstało to jednak z jakiegokolwiekbądź z góry powziętego postanowienia, przyszło to samo przez się, prawie bez mèj wiedzy i woli.

Nawet częstokrotne zastosowanie tych metod pedagogicznych nie jest żadną ciągłością.

Powstaje to zawsze pod wpływem jakiegoś drobnego faktu, męczącego podejrzenia, lub złośliwéj psoty.

Najgorszém jest to, że nie mogę patrzéć na dzieci. Ile razy podejdzie do mnie malec z prośbą jaką, odpowiadam z zamkniętemi oczyma, wysłuchując lekcyi, odwracam się tyłem do ucznia.

Działają mi oni na nerwy, drażnią drobnèm, cherlakowatém swém ciałem, wydętemi policzkami, drażnią drobnemi swemi kształtami, małą ręką, nosem, ustami — wszystkiém wreszcie, drażnią nawet swém ubraniem.

Do rozpaczy doprowadza mnie to, że nie mogę się domyśléć, na co tu się zanosi.

Bo, że tu coś w powietrzu wisi, to więcéj niż pewna.

Malcy zbiérają się gromadkami i rozprawiają szeptem, wskazują na mnie. Gdzieniegdzie pośród nich widzę uczni i z innéj klasy.

Raz udało mi się pochwycić następujące zdanie:

— Zróbcie tylko składkę, ja już znajdę takiego.

— Co to być może — myślałem.

Jakby dla dopełnienia mych rozkoszy życiowych matka konać zaczęła.

Może to wreszcie nie było konaniem, może moje nerwy nie potrafiły już panować nad wrażeniami.

I to być może.

Zauważyłem, że zaczynam coraz częściéj narzekać przed Zosią, ciągle się na życie użalać. Dawniéj, nie lubiłem, gdy mnie nazywała nieszczęśliwym, teraz sprawia mi to pewnego rodzaju zadowolenie, jak niektórym chorym, gdy się ich utwierdza w przekonaniu o niebezpieczeństwie choroby.

Dziwne rzeczy zaczynają dziać się ze mną. Oto wieczorami wpadam w pewnego rodzaju nudę. Chciałbym, — sam nie wiem czego bym chciał.

— Wyjść na miasto — zrobić coś ze sobą, rozerwać się jako — lub nie, zostać, tylko że... Bo ja wiem wreszcie czego wtedy chciałem.

Lekarstwa pochłonęły całą moją pensyę i biéda pokazała nam

znów swe pazury. Szczęśliwym trafem ofiarowano mi korepetycyą. Przyjąłem bez namysłu, choć wiedziałem co znaczą takie lekcye.

Do egzaminów brakowało zaledwie kilka tygodni, a mój uczeń zbiérał tymczasem same palki z niemieckiego. Przez ten krótki czas nie mogę go, rozumié się, niczego nauczyć, będę jednak zobowiązany do pobłażliwości. Wiążą mnie bodajby te guldeny, jakie otrzymuję za lekcye. Jeżeli dzieci uczą się szlachetności od swych rodziców, to nic dziwnego, że są tak podłemi.

Ja jednak brać te łapówki muszę, gdyż jeszcze żyć chcę.

Wracając z pierwszéj lekcyi, zauważyłem na rogu Maryensztadu jednego ze starszych uczni wraz z dwoma drabami. Gdym ich mijał, wpatrywali się we mnie w arogancki sposób.

— To on, usłyszałem za sobą.

Co to wszystko może znaczyć.

Rozwiązanie téj zagadki nastąpiło nazajutrz.

Tego wieczora było wyjątkowo ciemno na Maryensztadzie. Latarnie paliły się mdłém, przyćmionėm światłem, na ulicy, jak okiem sięgnąć, ani jednego człowieka.

Cisza ta i ciemność wywołały jakieś głuche, niewyraźne przeczucie. Obawiałem się czegoś, a przypomniawszy sobie wczorajszy wieczór, żałowałem, że nie wziąłem rewolweru ze sobą.

Biegnę spiesznie do domu, nie oglądając się po za siebie.

Zaledwie kilka kroków oddziela mnie od bramy, gdy wtém z za rogu kamienicy wysuwa się dwóch drabów.

Serce zabiło mi gwałtownie i instynktownym ruchem sięgnąłem do kieszeni, chwytając za klucz, jako za jedyną broń moją.

Chcę ich wyminąć, zastępują mi jednak drogę.

— Czego chce odemnie — pytam drżącym głosem.

— To un — mówi jeden do drugiego.

— Ady nie.

— Ady un, kiedy mówię.

— Puśćcie mnie — wołam.

— Tak ci śpieszno... A dzieci, draniu, rozbijać możesz?

— Puśćcie, bo zawołam policyę.

— Widzisz go, jaka chytra bestya. Policyę zara woła. Ja ci dam draniu policyę.

Uderzył mnie w twarz, tak silnie, żem aż upadł na chodnik.

Instynkt samoobrony przemówił we mnie, porwałem się z ziemi z niesłychaną szybkością i uderzyłem go kluczem w dołek.

Drab wydał dziki ryk, schwycił się za piersi i runął na ziemię.

W tejże chwili zostałem pochwycony z tyłu i powalony na ziemię.

— Ratunku! — zacząłem krzyczć w niebogłosy.

Drugi drab ukląkł mi na piersiach i tłukł po głowie jakiémś żelaztwem.

Ból był tak szalony, żem odchodził prawie od przytomności.

Wołałem tylko coraz to rozpaczliwiśj:

— Ludzie ratujcie! Ludzie! *O Gott... Hilfe!*

Nagle drab zeskoczył ze mnie.

Usłyszałem zdala głośny tętent, jakgdyby olbrzymie stado zbliżało się do mnie.

Jakby wicher przeleciały nademną trzy postaci na koniach.

— Stó... ój! — wołano przeciągłym głosem.

Leżący obok mnie drab przyszedł tymczasem do przytomności, porwał się z miejsca, a krzyknąwszy mi „ja cię jeszcze potyram,” uciekł w przeciwnym kierunku.

— Stó... ój — usłyszałem znowu.

I znów jak huragan przenieśli się nademną jeźdzcy.

Jak długo trwała ta gonitwa — niewiem. Obudziłem się na łóżku.

Nademną stał felczer, trzech żołnierzy i stójkowy. Zosia trzymała mnie za głowę.

Poduszka i kołdra były krwią zalane i to jeszcze pamiętam.

Tak się dzieci mściły.

Zaledwie na trzeci dzień przyszedłem do przytomności i wtedy miłych się rzeczy dowiedziałem.

Zosi, która oddawna była w ciąży, zaszkodził ten wypadek tak dalece, iż musiała się położyć do łóżka.

Lada dzień mogło nastąpić rozwiązanie.

Matce zaś mojéj policzone są już godziny.

Leżę z nią w jednym pokoju, głową do niéj odwrócony. Usiąść na poduszkach i spojrzéć na nią nie mogę, słyszę tylko jéj oddech, a raczéj złowieszczy świst, mówiący o śmierci.

I to wszystko na jeden dzień się zbiegło.

Nad chorą czuwa stróżka. Do nas zagląda czasem jakiś obcy człowiek. Mówi, że jest naszym sąsiadem „tuż przez ścianę.”

Leżę tak całe dwa dni, wsłuchując się uważnie, czy usłyszę jeszcze oddech matki i czy z drugiego pokoju głos jaki nie nadchodzi.

Nieraz dochodził do mnie przytłumiony płacz Zosi. Biédactwo płakało tak cicho, żem ledwie mógł dosłyszéć. Bała się nam zaszkodzić.

— *Hans* — szeptała czasem matka.

— *Mutter?*

— Lepiéj ci?

— Lepiéj — mamie?

— Oj, źle!

— Jasiu, czyś ty co mówił? — wołała Zosia z drugiego pokoju.

— Tak.

— Boli cię, Jasiu?

— Nie — ciebie?

— Troszeczkę.

Takeśmy ze sobą rozmawiali.

Na drugi dzień pod wieczór podnosiło mnie coś na łóżku. Spojrzałem na matkę.

Śmierć była w pokoju i ona powstać mi kazała.

Matka porusza wargami.

— Czy mama co mówi?

Niewyraźny dźwięk był odpowiedzią na moje pytanie.

Nadludzkim wysiłkiem zesunąłem się na ziemię i tak w koszuli, na czworakach doczołgałem się do jéj łóżka.

— *Mutter?*

Porusza wargami nie mogąc wydobyć ani jednego słowa.

Nachyliłem się nad jéj głową.

— *Hans* — wyszeptała z trudem — *ich hab' dich immer geliebt. Lebe wohl.*

W głowie mi się zakręciło, straciłem przytomność.

Obudziwszy się, spostrzegłem, iż leżę na trupie.

I los z nas zadrwił. Gasząc jedno życie, zapalił dnia tego drugi płomyk. Zosia porodziła.

Jak tamto z bólem konało, tak to z bólem na świat przychodziło. Tamto było końcem, to początkiem: ja jestem środkiem.

Pogrzebem matki zajęła się jakaś uczciwa dusza, nasz sąsiad, co czuwał nademną. Za karawanem postępowała stróżka i odprowadziła ją na cmentarz.

Za kilka dni podniosłem się z łóżka i zajrzałem do Zosi. Jéj stan nie przedstawiał żadnego niebezpieczeństwa.

A syn? Spojrzałem na niego i natychmiast zamknąłem oczy. Pod siną, fioletową powłoką noworodka, było to także dziecko. Miało też same drobne ręce, malutką twarz, wielkie oczy, stożkowatą głowę.

— Nie — nie mogę patrzéć!

Ledwiem z łóżka się podniósł, a już mnie do szkoły wzywają. Dyrektor przysłał nawet po mnie stróża.

Dwóch nauczycieli zachorowało, pisał, i nie ma ich kto zastąpić.

Tych panów może żołądki zabolały, ale z nimi trzeba się liczyć, gdy tymczasem ja? Wszak ja z łaski tam siedzę, wszak mnie wyrzucić miano.

Idę, témbardziéj, że chcę prosić o zaliczkę.

Pogrzéb matki, choroba Zosi i moja, wszystko to wepchnęło nas w dług żydowski.

Wychodząc, przejrzałem się w lustrze. Jakże ja zabawnie wyglądam.

Na obandażowaną głowę włożono mi płócienny kołpaczek, coś w rodzaju czapki frygijskiéj.

Czarne plastry, porozlepiane na twarzy w komiczną mozaikę, pościągały twarz, nadając mi sztywny wyraz maski. W kątach ust osiadł jakiś gorzki grymas, a z oczu łzy ciągle się sączą.

Co to za uciecha będzie w szkole.

Wchodząc do klasy, zauważyłem na tablicy następujący napis:

„Świętéj pamięci matka szwaba, uświerkla dnia 15-go kwietnia."

Przez całą godzinę płakałem, a właściwie łzy toczyły się strugą po twarzy. O zapanowaniu, o wysiłku mowy być nie mogło. Byłem tak osłabiony, żem ledwo wysiedział na lekcyi, przytém miałem silną gorączkę.

Przywoływałem przed katedrę jednego ucznia za drugim i kazałem tłómaczyć. Poprawiać ich nie usiłowałem, nie rozumiałem nawet co mówią.

Siedziałem z chustką przy oczach, pomrukując od czasu do czasu:

— *Ja, ja... so.*

Bodaj że każdy przychodził z kluczem do tłómaczenia i ztamtąd odczytywał zadaną lekcyę.

Wszystko mi tam jedno, niechaj robią co chcą.

Godzina zbliżała się do końca i wtedy dopiéro pomyślałem o zbliżającéj się pauzie.

Wszak to cała szkoła zbiegnie się na korytarzu, by własnemi oczyma upewnić się, jak się spisali wynajęci przez nich ludzie. W kancelaryi koledzy będą pękali ze śmiechu za mojemi plecami.

Do dzwonka pozostawało zaledwie pół minuty. Opuściłem klasę i pędem pobiegłem do ustępu. Tu dopiéro czułem się bezpieczny.

Poczciwy dyrektor dał mi jednak zaliczkę.

W nocy miałem gorączkowy sen.

Zdaje mi się oto, że leżę ranny na pobojowisku. Tuż koło mnie koń zdycha, sapie i rży przytém przeciągle; daléj trupy ludzkie w jak-

najdziwaczniejszych pozach. Ten oto leży na brzuchu, tamten nogi rozkraczywszy w tył się powalił, jeden siedzi na ziemi i łeb zwiesił w zadumie, ów ręce w tył położył i leżąc na wznak, niby w gwiazdy się zapatrzył, tuż przedemną przykląkł któryś na jedném kolanie i blaszankę z wódką do ust podnosi, lecz łba znaleść nie może — tułów jego szyją się kończy, a na niéj kawał skrzepłéj krwi: głowa do nóg mu się stoczyła.

Zdala dochodzą odgłosy bitwy. Trąbka zagra przeciągłą pobudkę, bębny zahuczą, rozlegnie się strzał jeden i drugi, salwa lotem poniesie, tyralierka zagrzmi, strzał armatni zagruchocze — lecz wszystko to słabnie i cichnie w oddaleniu. Od czasu do czasu wpada w ucho urywany odgłos trąbki, krzyk ludzki, forpoczta wichrem się po polu przeniesie — i znów cisza.

Bitwa daléj się przeniosła.

Na polu zostały trupy ludzkie, padliny końskie i szczątki połamanéj broni.

Ciemna, straszna noc zawisła nad polem, gwiazdy wielkie i wyraźne ubrały niebo.

Wśród tych padlin, wśród kałuż krwi i szczątków broni dwie dusze jeszcze się kołaczą. Koń rży i ja jęczę: reszta trupy.

Lecz oto koń rżéć przestaje, węszy i nadstawia uszy.

Zdala dochodzi świst i syk przeraźliwy.

Oto z nor robactwo olbrzymie wyłazi.

Ze wszystkich stron, kędy oko sięgnąć może, wypełzają z nor olbrzymie szeregi i rozłażą się po polu.

Cała chmara pełza wprost ku mnie. Syk zmienia się w piskliwy wrzask, świst w śmiechy.

Czyż to robaki? Patrzę uważnie i kształty zaczynam odróżniać.

To ludzkie kształty — to nie robaki, to — dzieci!

Chcę porwać się i uciekać — sztywna, senna ociężałość przykuwa mnie do miejsca.

Z wrzaskliwą radością rzucają się na mnie. Ja bronię się zapamiętale, wymachuję rękoma, kąsam — wszystko napróżno.

Oto jedno skacze mi na piersi. — Chwytam je i duszę; drugie du nóg się uczepiło — nogą czaszkę zgniotłem, aż mózg wytrysnął; trzecie w rękę mnie kąsa — łapię je za gardło i znów duszę. — Siły mnie jednak opuszczają i ulegam przemocy.

Troje wgryzło mi się w piersi, dwoje policzków się uczepiło, inni w nogi, w ręce kąsają, a przylgnąwszy tak do mnie, krew mi wysysają.

Setki całe wpiły się w me ciało i wysysają ze mnie ostatnią kroplę życia. — Konam.

Lecz to nie sen jednak. Ja nie śpię, nie umarłem, ja czuwam i słyszę wyraźnie płacz dziecka.

Wyskoczyłem z łóżka i stanąłem na środku pokoju.

To syn mój płacze.

Oto Zosia podchodzi do mnie z dzieckiem.

— Pocałuj — mówi.

— Precz odemnie z dzieckiem! — krzyknąłem jak opętany i upadłem na łóżko.

Ostatni pobyt w szkole musiał mi stanowczo zaszkodzić, tak przynajmniéj doktór mówił.

Wyszedłem zawcześnie z domu i nabawiłem się zapalenia mózgu.

Sześć tygodni przeleżałem w łóżku. Powrócił mi zdrowie, jak zwykle, list dyrektora.

Nadeszły egzamina i trzeba było iść do szkoły.

Wychodzę już na spacer, dlaczegóżbym nie miał iść na lekcyę, zwłaszcza, że znów chcę prosić o zaliczkę.

Biédaczka Zosia zapracowywała się przez ten czas i nie podołała biédzie. Siedzimy po uszy w długach.

W przeddzień egzaminu zapisywałem coś pilnie do notesu. Żonę nawet zaintrygowało to, gdyż pilnie przypatrywała się mym notatkom.

Gdyby Zosia rozumiała się na szkolnych sprawach znalazłaby tam dwie listy.

Jedna składała się z największych łobuzów w klasie, z tych, co mi najbardziéj dokuczali. Tych z e t n ę na egzaminie. W drugiéj byli tak zwani „lizusi.” Ci dostaną promocyę.

Listy te układałem z prawdziwą przyjemnością, rozkoszowałem się każdém nazwiskiem zosobna, przypominałem najdrobniejsze psoty każdego ucznia, ich wyraz twarzy, oczy, kolor włosów.

Przy wejściu do szkoły, zaczepił mnie jakiś jegomość, przedstawił się jako ojciec jednego z mych uczni i prosił za syna o wzgląd na egzaminie. Na zakończenie podał mi rękę, wciskając w dłoń moją szeleszczący papiérek.

— Jesteś pan tak podły, jak twoje dziecko — krzyknąłem. — Ja z temi bachorami załatwię dziś rachunki.

Zachowaniem swojém na egzaminie wywołałem ogólną trwogę uczni i niezadowolenie nauczycieli. Zadawałem najtrudniejsze pytania, krzyżowałem je tak, żem najlepszych uczni zapędzał w zamieszanie. Połowa klasy otrzymała dwójki.

Po skończeniu dyrektor zawołał mnie do siebie i ot co powiedział:

— Pańskiém zachowaniem chciałeś pan widocznie wykazać swe niedołęstwo. Nie nauczyłeś pan ich niczego, a wymagasz za dużo. Wywołałeś pan ogólne niezadowolenie nauczycieli, no — i naraziłeś się pan uczniom.

O zaliczce mowy być nie mogło.

Naraziłem się uczniom. O tém niedługo się przekonałem.

Wieczorem Zosia była nadzwyczaj ożywiona, opowiadała coś wesołego i śmiała się przytém z całego serca.

Wśród téj rozmowy pęka nagle szyba z trzaskiem.

— W imię Ojca i Syna... Wszelki duch Pana Boga...

Nie dokończyła zdania, gdy do pokoju wpadł z brzękiem kamień, odbił się o przeciwległą ścianę i potoczył się pod kanapę. Za nim wpadł drugi i trzeci.

Skoczyłem do okna i próbuję rozejrzéć się w ciemności. Pod parkanem stoi pięciu uczni z procami w ręku.

Było ich pięciu, lecz w oczach mi się dwoi i widzę ich więcéj. Liczba ta rośnie szybko w méj imaginacyi, chwila, a cały nasz dom otoczony dziećmi.

Odskoczyłem od okna jak szalony.

— Zosiu, ratuj mnie, ratuj, nie daj mnie zabić! — krzyczę, biegagając po pokoju.

Padam przed nią na kolana, a ukrywszy twarz w jéj suknię wołam rozpaczliwie:

— Nie daj mię zabić!

Zosia, nie rozumiejąc o co idzie, narobiła strasznego hałasu. Zbiegli się wszyscy lokatorzy, przyszedł nawet rewirowy.

Ja siedzę w kącie i drżę jak liść, a koło mnie stoją lokatorzy i komentują wypadek.

Stójkowy prowadzący widocznie szczegółową rubrykę wypadków odnotował sobie, iż w domu pod numerem czternastym niewiadomym sposobem zostały zbite cztery szyby.

Nazajutrz przyniósł nam posłaniec list.

Leżałem jeszcze w łóżku i prosiłem, żeby zobaczyła, kto to pisze.

Zosia czyta, otwiéra szeroko oczy, blednie, opuszcza list na podłogę i z płaczem wybiega z pokoju.

List zawierał te słowa:

„Kochany szwabie! Jeśli pierwsza nauczka nie poskutkowała,

to możesz mieć nadzieję, iż dostaniesz drugie lanie. To samo może spotkać i twoją . . . . ."

Ja nie powtórzę tego słowa. A jednak napisało to dwunastoletnie dziecko: to na moją żonę.

Ubrałem się czémprędzéj i pobiegłem do dyrektora, by mu opowiedzieć zajście z szybami. O liście, rozumie się, zamilczałem. Śledztwo przeprowadzone mistrzowsko przez jednego z pedagogów wykryło głównego winowajcę. Dyrektor zamyślił się głęboko, wreszcie zdecydował chłodno:

— Ha, trzeba go ukarać surowo.

Wyrażeń „dać w skórę" i „ukarać cieleśnie" unikano jako zbyt dosadnych, zastępując je zwykle słowem „surowo".

Stałem w zakłopotaniu, gdzieś głęboko nurtowała myśl, któréj przepędzić nie mogłem. Stróże mają go obić? Ja nie tego pragnąłem.

— A zatém? — zauważył dyrektor.

— Chciałem prosić pana dyrektora... to jest sądziłbym, nie wiem jednak czy to możliwe... Wolałbym sam to załatwić.

— Pan chcesz być pobłażliwym? Bo my, panie, nie żartujemy. O, nie!

— Tak jest właśnie — pośpieszyłem dodać, by ukryć właściwe me zamiary.

Dyrektor zgodził się, ja zaś pośpieszyłem na korytarz i stanąwszy pode drzwiami zawołałem z prawdziwą rozkoszą:

— Godelski, do kancelaryi.

Po klasie przeleciał cichy szmer. Po chwili ukazał się we drzwiach blady, trzęsący się chłopak. Kazałem mu iść naprzód.

Szedł czas jakiś milcząc, twarz ściągała mu się kurczowo.

— Proszę pana, po co ja tam idę?

— Dowiész się potém.

— Proszę p... p...

Słowo ugrzęzło mu w gardle. Dolna szczęka zatrzęsła mu się tak gwałtownie, że aż zębami dzwonić zaczął, łzy potoczyły mu się po twarzy.

Ja patrzę na to wszystko i odczuwam szalone zadowolenie. „A widzisz szelmo", mam ochotę powiedzieć.

Zatrzymał się przy drzwiach, oglądając się na wszystkie strony, jak gdyby szukając ucieczki.

— Proszę—zawołałem przeciągle i schwyciwszy go za ramię wepchnąłem do kancelaryi.

— Antoni—zawołałem, uchylając drzwi.

— Słucham pana.

— Przynieś-no rózgi i zawołaj Michała i Jana.

Malec w płacz. Sił mu już nie stało na prośby, szlocha tylko z całego serca.

Przyszli wreszcie stróże i przynieśli kubeł, w którym moczyły się dwie olbrzymie rózgi. Ustawiliśmy krzesło na środku pokoju, odsunąwszy stół do ściany. Przezorny Michał podjął nawet nożyczki z okna i zamknął je do szafy.

Malec patrzy na te przygotowania i drży tak, że zdaje się, iż w téj chwili runie na ziemię.

— Rozbiéraj się—rozkazałem cynicznym głosem.

— Nie, nie, panie!... Niech mnie pan nie bije... niech się pan zlituje!

Przypadł do moich kolan, a objąwszy je całuje mnie po nogach.

— Ja już nigdy nie będę...

Kopnąłem go nogą.

— Poszedł precz!

Stróże, nie czekając mego rozkazu, chcą go pochwycić.

Jednym skokiem porwał się na nogi i stanął na drugim końcu pokoju. Zaczęła się gonitwa. Malec przeskakuje ze zręcznością kota między stróżami, sapiąc przytém przeraźliwie, stróże przewracają stołki, potykają się co chwila. Nie tracą jednak spokoju i rozstawiwszy ręce i nogi zagradzają mu drogę.

Chłopak precz im się uwija, aż wreszcie staje na miejscu i błędnym, przestraszonym wzrokiem patrzy naokoło siebie, skacze raz jeszcze, lecz tu widocznie skołowaciał, gdyż odwróciwszy się do ściany zakrył oczy rękoma.

Ogłuszono go jak byka na arenie. Stróże pochwycili go na ręce i w jednéj chwili został wyprężony jak struna.

Coś w rodzaju wstrętu, czy téż oburzenia, musiało się odbić na méj twarzy na widok téj gonitwy, gdyż Michał pośpieszył uspokoić mnie chłodną uwagą:

— To zawsze tak bywa, proszę pana. Tam są rózgi — dodał, wskazując brodą kubeł.

Wyjąłem jedną z nich i czekałem, póki woda z tego pedagogicznego kropidła nie ocieknie.

Chłopca rozciągnięto tymczasem na stołku. Wije się jak węgorz, po chwili siły go opuszczają i owisł bezwładnie.

Wstrętny grymas wykrzywia mi twarz. Podnoszę rózgę do góry i zataczam nią koło, jak gdyby dla nabrania większego rozpędu. Świst przeciągły rozchodzi się po pokoju.

Już miałem uderzyć, gdy w téjże chwili usłyszałem cichy szept, jak gdyby słowa jakiéjś modlitwy.

— Boże wielki, Boże miłosierny, zlituj się nademną!

Tak się modliło słabe bezbronne zwierzę, ulegające przemocy silniejszego bydlęcia.

I tym razem oprzytomniałem.

Cisnąłem rózgę w kąt, odepchnąłem stróży z całéj siły, porwawszy dziecko przytuliłem je do siebie.

— Powiédz mi ty, co wam złego zrobiłem, dziecko?!

Jakże on się okropnie rozpłakał. Ściska mię za szyję swemi drobnemi rączkami i płacze tak rzewnie, tak rozumnie.

Wyleciałem ze szkoły jak szalony.

— Boże wielki, Boże sprawiedliwy! zlituj się nademną! — powtarzałem słowa dziecka.!

Zaczęły się wreszcie wakacye. Zosia nie może zapomniéć ostatniego listu. Nieraz bywało wśród rozmowy wpadnie jéj myśl jaka do głowy, zachmurzy się i woła z płaczem:

— Co oni tam napisali, co oni napisali!

I szlocha potém tak spazmatycznie, że uspokić jéj nie można.

Ja zaś staję się coraz to nudniejszym i opryskliwszym. Czuję jakiś brak, głuchą, niewyraźną potrzebę, coś w rodzaju tęsknoty. Wychodzę z domu i włóczę się bez celu po ulicy. Wpadam w głęboką zadumę, a ocknąwszy się z niéj znajduję się na ławce w ogrodzie koło kiosku z gazetami, to jest tam, gdzie wre zabawa dziecięca.

To było zbyt jasne: jam dzieci szukał. Spędzam tu po kilka godzin dziennie, pilnie przypatrując się téj zabawie. Drażni mnie to, lecz sprawia przytém niewyraźne uczucie rozkoszy. Patrzę na te drobne ciałka, na te kędzierzawe głowy, wielkie oczy, wsłuchuję się w piskliwe ich krzyki, a usta rozchylają mi się przytém w niedobrym uśmiechu.

— Gdyby tak którego uszczypać?

Ta myśl opanowała mnie do tego stopnia, że chwili spokoju znaleść nie mogłem, póki nie wykonałem mego zamiaru.

Tuż przed moją ławką zatrzymał się raz zadyszany malec.

— Zmęczyłeś się? — pytam.

— Aha.

— Chodź-no bliżéj, kotku.

— Po co?

— Pokażę ci coś ciekawego.

Pochwyciłem go za ramię i uszczypałem z całéj siły.

Malec w krzyk. Ja podnoszę się z ławki i śpieszę w boczną

aleję. Na skręcie ujrzałem drugiego chłopca i cisnąłem w niego laską.

Na ulicy dopiéro oprzytomniałem.

W ogrodzie dowiedziano się niedługo mego przezwiska. Odtąd całe gromady dzieci otaczają mą ławkę i skacząc jak wróble śpiewają na różne tony:

— Komarowe sadło! komarowe sadło!

Zrywam się z ławki i oganiam się przed niemi, jak druciarz przed wiejskiemi psami.

— A pódzies! — a pó!... a pó!...

Dzieciaki się rozsypują się na wszystkie strony, piszcząc przytém przeraźliwie.

Mają mnie za waryata i śmiałość ich rośnie z dniem każdym. Raz naprzykład jeden z odważniejszych chłopaków stał z dobre półgodziny nademną skrzecząc niezmordowanie:

— Komarowe sadło...

Dałem mu znak ręką, by podszedł bliżéj.

— Aha, nie ma głupich.

— Ja ci nic złego nie zrobię.

Chłopak zawahał się, wreszcie zrobił krok naprzód. W téjże chwili porwałem się z miejsca i zacząłem go gonić. Zapominam gdzie się znajduję i biegnę po alejach w szalonym pędzie. Po drodze gubię laskę i kapelusz, potykam się co chwila. Za mną biegnie gromada dzieci i krzyczą w niebogłosy.

Zziajany, spocony, zatrzymuję się wreszcie, ocieram czoło chustką i wolnym krokiem wracam do domu.

A jednak codzień przychodzę do ogrodu.

Dzieci zwą mnie już wujaszkiem. Biorę nawet gorliwy udział w ich zabawie. Siedząc na ławce, patrzę oto jak grają w klasy.

— Wylazł—wołam, gdy kamień padnie na kréskę.

— Nie prawda—woła malec.

— Wujaszek ma racyę—powtarza jego partner.

— Nie prawda.

— Oszukujesz! Nie graj z nim mały, on szelma naciąga.

Nie omijam żadnéj okazyi, by którego skubnąć, uszczypnąć, za ucho pociągnąć lub w jakikolwiekbądź sposób zrobić im przykrość.

Wieczorami zastanawiam się nad mém postępowaniem i czarne myśli mnie wtedy nachodzą.

To obłęd zbliżający się z niesłychaną szybkością, obłęd, przed którym nie ma ucieczki, nie ma ratunku.

Zosia biédaczka nic a nic nie podejrzywa, zajęta wyłącznie swym synem.

Trzeba ją jednak przygotować, niechże wié co ją czeka. Gdyby ona domyślała się choć czegokolwiek i oszczędziła mi tego rozpaczliwego zeznania.

Widzi ona coprawda, że ze mną dzieją się niezwykle rzeczy, uważa to jednak za pozostałość méj choroby. Siada mi nieraz na kolanach i głaszcząc twarz moją szepce pieszczotliwie:

— Jasiu, nie martw się, to przejdzie niedługo. Mój kotku, zapomnij o tém.

Rozrzewniam się, ściskam i całuję ją bez końca.

— *Du, mein süsser Engel.*

Kończy się zwykle tém, że się rozbeczę.

Wreszcie zdobyłem się na silne postanowienie i już otworzyłem usta, by jéj to powiedziéć, gdy w tém spostrzegłem, że Zosia ma małe, malusieńkie uszko, zupełnie jak u dziecka.

Ucho to widziałem zapewne nieraz, nigdy mnie ono jednak tak nie zastanowiło. Pocałowałem ją w to ucho, by pod tym pretekstem przyjrzéć mu sie dokładnie.

— Zupełnie jak u dziecka.

Nachylam się, by je dokładnie obejrzéć. Zosia kładzie mi dłoń na usta.

— Nie dobry jest — mówi.

A jaką rączkę ma ona. Ot, ten duży palec, albo wskazujący. Toć to dziecięca ręka.

Bawię się każdym jéj palcem zosobna, obrzucam rękę na wszystkie strony. Jakież to mizerne i drobne! Dość silniéj ścisnąć, a zmiażdżyćby można taką rękę.

— Janek, co ty wyprawiasz?

— No, nie gniéwaj się Zośka, ja tylko pocałuję.

Podniosłem rękę do ust i ugryzłem tak silnie, aż krew wystąpiła.

— Janek! — krzyknęła Zosia porwawszy się z miejsca. I patrzy przytém na mnie takiém spojrzeniem, jakiego u niéj nigdy jeszcze nie widziałem.

— Janek, na litość Boską!

Ona tak mnie zrozumiała.

Wstałem by napić się wody i w ten sposób utwierdzić ją w tém przekonaniu. Wolę niech tak myśli. Ja tamtego jeszcze bardziéj się wstydzę.

Wycieczki do ogrodu nie zadawalniały mnie jeszcze. Zacząłem

wypytywać sąsiadów o ich dzieci, kazałem sobie opisywać ich wzrost, kolor włosów i oczu, przyzwyczajenia i psoty.

Na ulicy zaczepiam nawet bony i niańki z dziećmi, dopytując czyje to dziecko, ile ma lat i t. d.

Raz zapytałem stróżkę o dzieci.

— A toć mam jedną dziewczynę.

— Że téż ja jéj nie widziałem.

— Józka, choć ino tutaj, pokaż-no się panu.

Józka podeszła do mnie i rozkraczywszy nogi patrzy gapiowato.

— Ileż ona ma lat — zapytałem.

— Bedzie ze siedem.

— Siedm — mówię bezmyślnie, głaszcząc dziewczynkę pod brodę. — Siedem — powtarzam, szczypiąc ją za tłusty policzek. — Pani mówisz, że sie... dem.

Uszczypnąłem tak silnie, że aż dzieciak się rozbeczał.

— Bo to z dzieciakami nigdy nie można wiedziéć jak — uspakaja mnie stróżka.

A obciérając córce fartuchem oczy dodała:

— Ady nie bądź głupia, toć pan żartował.

Nazajutrz zwróciła mi jednak uwagę, żem za silnie szczypnął, bo dzieciakowi gęba spuchła.

W kilka minut potém, zdawałem sobie dokładnie sprawę z mego postępowania.

Rozumiałem całą moją nędzę, a jednak bronić się nie potrafiłem.

Czekam z rezygnacyą, póki nie zgaśnie ostatnia iskra rozsądku.

Tylko Zosia, Zosia! — Gdyby się ona domyślała. Ja powiedziéć jéj tego nie potrafię.

Takem rozpaczał i byłbym się może doprowadził do samobójstwa, gdyby wypadek nie przyszedł mi z pomocą.

— Że też ty nigdy dziecka swego nie pocałujesz — użalała się raz.

Nie mogłem znaleźć na to odpowiedzi.

Zosia objęła mnie za szyję, a wspiąwszy się na palcach patrzy mi badawczo w oczy.

— Powiédz, czyś niezadowolony z tego?

— Ależ co znowu.

Patrzy mi przenikliwie w oczy i kiwa przecząco głową.

— A jednak ja myślę, że tak.

Zamknąłem jéj usta pocałunkiem.

Zosi łatwo wszystko wyperswadować. Więc téż i teraz uwierzyła mi i zaczęła trzpiotać wesoło.

— Widocznie ojcowie trudniéj przywykają. Poczekaj-no, ja ciebie będę uczyła. Zobaczysz, jak ty go pokochasz.

Położyła dziecko na poprzek łóżka i mówiła do niego pieszczotliwie, całując bez końca.

— Mój kotku, moje złotko! Widzisz, tata ciebie nie lubi. Niedobry jest tata. Moje ty...

Potém zwróciła się znów do mnie.

— Teraz muszę iść do kuchni, zostawiam syna na twojéj opiece. To będzie pierwsza lekcya.

Spojrzałem na nią błagalnie, prawie że rozpaczliwie.

Zosia nie zrozumiała tego spojrzenia, gdyż śmiejąc się opuściła pokój.

Dzieciak leżał na poprzek łóżka i wymachiwał nożynami bez przestanku, wydając przytém jakieś nieartykułowane dźwięki.

Więc to drobne, delikatne ciałko to mój syn?

Przystąpiłem bliżéj.

Malec spojrzał na mnie niebieskiemi swemi oczyma i podniósł przytém rękę, jakby na mnie wskazywał.

Ująłem tą rączkę.

Boże, jakież to mizerne, toć w dwóch palcach zgnieśćby to można, a stópki jego toć w dłoni ukryć mogę.

Powoli przeprowadziłem rękę po nogach, po brzuszku, pogłaskałem po piersiach.

W głowie zaczyna mi się mroczyć i jestem jak w pół-śnie.

Przez bardzo krótką chwilkę przesunęły się przed memi oczyma wszystkie te znienawidzone dziecięce postaci i wszystkie one były do syna podobne. Nawet te robactwo, com je ongi we śnie gorączkowym widział i te ujrzałem w téj chwili.

Wszak to one, wszak to dzieci pastwiły się nademną jak nad zwierzęciem, szczuły rozmaitemi przezwiskami, po twarzy wołały by sobie uciechę sprawić, kazały mnie obić w tak okropny, w tak straszny sposób. Wszak to one zatruwały mi każdą chwilę, wszak zrujnowały me życie, sponiewiérały jak ściérkę, wszak pluły na jedyny skarb mego życia, wszak cały kubeł pomyj na głowę méj Zosi wylały.

Toć psy pokojowe u waszych jasnych rodziców lepiéj traktujecie. Toć pies wyć będzie i zdechnie niedługo po takiéj męczarni.

A, pluskwy, których zgnieść nie można tylko dlatego, że się ma zadużą rękę.

Dzieci?

Tak, to wszystko zrobiły drobne te rączki, takie ot jak u mego syna.

Śmiech tych malutkich oczu do obłędu mnie doprowadzał, słowa z tych drobnych ust gnały mnie jak szaleńca.

I oto teraz i ta pluskwa urągać mi zaczyna. Ot śmieją się niebieskie jego oczy.

— Czego krzyczysz „szwab,” dzieciaku!... Zosia nie jest ściérką, Zosia ściérką nigdy nie była!...

W téjże chwili rozległ się za mną nieludzki wrzask, czyjaś ręka odepchnęła mnie gwałtownie od łóżka.

Była to Zosia.

Dziecko zdołaliśmy przyprowadzić do przytomności bez pomocy doktora.

Po krótkiém naciskaniu piersi zaczęło oddychać. Rączynami dotykało ciągle szyi, gdzie palce moje pozostawiły sine odciski.

Zosia chce coś mówić i wybucha spazmatycznem łkaniem.

— Zosiu, zlituj się!

— Potwór! — krzyknęła.

— Zosiu...

— Precz odemnie.

Wtedy przyznałem się do wszystkiego, nie zamilczałem ani jednego faktu, ani jednéj myśli. Starałem się oczyścić siebie i przygotować ją do nieuniknionéj konieczności.

Zosia z początku słuchać nie chciała, potém wpadła w bezgraniczną rozpacz.

— To niepodobna — wołała. — To być nie może. Przecież ratunek być jeszcze musi.

Cośmy wtedy przecierpieli, tego nikt pojąć nie potrafi. Tak byłem przekonany o téj konieczności, takem w moje *fatum* uwierzył, żem nie probował nawet stawiać oporu.

Zosia zaś poruszyła niebo i ziemię. Sprowadzała najlepszych lekarzy, radziła się kogo mogła, biegała po kilka razy dziennie do kościoła. Znajomi, których się Zosia radziła, mówili, iż „ten o kogo ona się pyta, został przez dyabła opętany.”

Doktorzy kiwali niedowierzająco głowami, pytali o szczegóły mego pobicia, oglądali czaszkę na wszystkie strony, kazali sobie opowiadać przebieg ostatniéj choroby, aż wreszcie radzili porzucić zawód nauczycielski.

Szkoda, że nie dodali „i z głodu zdechnąć przed czasem.”

A Pan Bóg, ta ostatnia instancya Zosi, ten nic nie mówił.

W ołtarzu, przed którym modliła się żona, jest wielki obraz,

przedstawiający Chrystusa, otoczonego dziećmi. „Albowiem ich jest królestwo niebieskie," taki napis wyryto pod obrazem.

Jeden z doktorów poradził wreszcie zmianę miejsca i tego to środka uchwyciliśmy się z Zosią.

A zatém wyjeżdżamy, łudząc się nadzieją, że tam w méj ojczyźnie inne będą dzieci, że tam zapomnę o prześladującéj mnie marze.

A jeśli to tylko złudzenie, jeśli tam znajdę takie jak i tu parszywe robactwo — wtedy chyba w łeb sobie strzelę.

Wł. Rawicz.



EMIL FAGUET

i krytyka psychologiczna.

Les critiques devraient être des analyses et des études psychologiques sur un écrivain.

Emile Faguet.

I.

Emil Faguet, *docteur ès lettres*, profesor retoryki i literatury francuskiéj, były wychowaniec wyższéj szkoły normalnéj w Paryżu, urodził się w La Roche-sur-Yon w r. 1847-ym. W roku 1885-ym wydał zbiór studyów o literaturze francuskiéj XVII stulecia p. t. „*Les Grands Maîtres du XVII siècle*". Było to już wskazówką, gdzie młody profesor szukał sobie mistrzów, książka jednak nie zwróciła jeszcze na siebie zbytniéj uwagi. Niebawem, w r. 1887, wyszedł znowu tom studyów podobnych o wieku XIX-ym i tym razem jednak książka nie była „wydarzeniem dnia". Dopiéro wydany w r. 1890-ym tom studyów o literaturze wieku XVIII-go we Francyi, zwrócił na nowego krytyka powszechną uwagę, témbardziéj, że poprzedził go autor obszernym wstępem, który był niejako aktem oskarżenia przeciwko XVIII-mu wiekowi i pojawiał się w chwili, gdy zarzuty podobne z różnych stron zaczęły się podnosić i charakteryzowały, zarysowujący się dopiéro, odmienny od dotychczasowego nastrój umysłów. Uzupełnieniem rzeczonych studyów o wieku XVIII-ym jest, wyszła w r. 1891, pierwsza serya studyów p. t. „*Politiques et Moralistes du Dix-neuvième siècle.*" Tom ten zawiera chara-

kterystyki: de Maistre'a, de Bonald'a, pani de Staël, Beniamina Constant, Royer-Collard'a i Guizot'a. W roku zeszłym w „*Revue des deux Mondes*" pojawiły się studya Faguet'a o Stendhal'u (1 lutego) i Edgarze Quinet (1 listopada 1892 r.), które wejdą następnie do drugiéj seryi studyów. Obecny dorobek krytyczny Faguet'a składa się, nie licząc rzeczy pomniejszych, z czterech tomów, z których trzy pierwsze, obok ogólnéj charakterystyki „*études litteraires*", noszą nazwy: *Dix-Septième Siècle*, *Dix-Huitième Siècle* i *Dix-Neuvième Siècle*.

Charakterystyczném jest, że, w miarę jak autor posuwał się w swych studyach, zmieniał się stopniowo sam przedmiot tych rozpatrywań, a z nim i sposób ich opracowania. W wieku XVII-ym zwraca autor główną uwagę na zagadnienia z zakresu estetyki, krytyki literackiéj i sztuki dramatycznéj; w wieku XVIII-ym już rozpatruje pisarzy tego okresu „raczéj w ich ideach, niż w formach sztuki." Tę stopniową zmianę przedmiotu i metody, która, zacząwszy od zagadnień przeważnie literackich, przechodzi następnie do zadań etycznych i socyologicznych, przytém zarysowuje coraz wyraźniéj psychologiczny punkt widzenia autora — wyjaśnia sam autor w jednym ze wstępów, mówiąc, że „wykład staje się całkiem odmiennym i opiéra się jakby na innych prawach, według tego, czy krytyka zajmuje się dwoma wielkiemi literackiemi wiekami we Francyi, któremi są: XVII-te i XIX-te stulecie, czy téż czasami, kiedy poruszano głównie kwestye i roztrząsano wątpliwości." Dodajmy, że studya Faguet'a pojawiały się, w powyżéj zaznaczonym porządku, w chwili, kiedy i duch czasu odwracał się powoli od zagadnień literackich i estetycznych wyłącznie i zwracał się z niepokojem ku zadaniom etycznym, społecznym i politycznym, co nie pozostało bez wpływu i na naszego krytyka.

Przejście nie jest jednak raptowném i właściwości wykładu dwu tomów, które chronologicznie pojawiły się późniéj („Wiek XVIII-ty", oraz „Politycy i moraliści wieku XIX-go"), dają się już zauważyć w studyach literackich o wieku XVII-ym i XIX-ym. W pierwszém z tych stuleci defilują przed nami: Corneille, Pascal, La Rochefoucauld, La Fontaine, Molière, Racine, Boileau, Pani de Sévigné, Bossuet, Fénelon, Pani de Maintenon, La Bruyère i Saint-Simon; w drugiém: Chateaubriand, Lamartine, Alfred de Vigny, Wiktor Hugo, Alfred de Musset, Teofil Gautier, Prosper Mérimée, Michelet, George Sand i Balzac. Z szczególném zamiłowaniem opracował autor wiek XVII-ty. Jestto szereg portretów, sylwetek i studyów, pisanych zwięźle, niezwykle przejrzyście i lekko, z niepospolitą przytém erudycyą i ścisłością charakterystyk, w których krytyk daje w osobnych rozdziałach: życiory, pogląd ogólny, przypatruje się stylowi, sposobowi pisania

i kompozycyi, roztrząsając przytém główniejsze utwory i ważniejsze z poruszanych zagadnień. Podobnie się rzecz ma ze studyami literackiemi o wieku XIX-ym, chociaż tu mniéj już autor przestrzega perspektywy i zaokrąglenia w swych portretach, więcéj miejsca udziela roztrząsaniu nasuwających się zagadnień i pisze już mniéj przejrzyście. W wieku XVIII-ym, kiedy występują przed nami: Bayle, Fontenelle, Le Sage, Marivaux, Montesquieu, Voltaire, Diderot, Jean Jacques Rousseau, Buffon, Mirabeau, André Chénier — pytania z dziedziny literatury i estetyki, równie jak i charakterystyka pisarzy, literacka i biograficzna, nie ustępują bynajmniéj całkiem z widowni, owszem, prowadzone są daléj z niezwykłą wyrazistością i precyzyą, schodzą jednak niejako na plan drugi, pierwsze zaś miejsce zajmują same poruszane zagadnienia... Nie w tym jednak stopniu, żeby zakrywały zupełnie pisarzy. Sprzeciwiałby się temu zasadniczo psychologiczny punkt widzenia Faguet'a. W szeregu spółczesnych krytyków francuskich zajmuje on stanowisko odrębne i wybitne. Jako analityk wyszedł Faguet ze szkoły Taine'a odszedł jednak od mistrza daléj niż inni, daléj niż Lemaitre, Bourget i Hennequin i poszedł raczéj za wskazówkami, zawartemi w „estopsychologii" autora „Krytyki naukowéj", lubo się do tego nie przyznaje, zachowując własny pogląd na rzeczy. Jak daleko odbiegł od Taine'a widzimy z tego, co powiada w przedmowie do wieku XIX. „Zająłem się, mówi tu, raczéj wykazaniem charakteru i zbadaniem wpływu téj literatury, niż poszukiwaniem jéj początków (*les origines*), ponieważ poszukiwania te, z mojéj widocznie winy, zdały mi się nie prowadzić do niczego stanowczego i pewnego." Znaczenie tego oględnego zastrzeżenia zrozumiemy dokładnie, jeżeli uprzytomnimy sobie, że szukanie owych początków (rasy i otoczenia), których prostym wypływem miał być dany autor, jest główną zasadą tainowskiéj metody, reszta zaś rzeczą podrzędną, niezrozumiałą lub obojętną. Dla Hennequin'a dzieło jest jeszcze „znakiem" (*signe*) danego pisarza i kluczem do zrozumienia jego charakteru; dla Faguet'a ma ono przedewszystkiém wartość samo w sobie, jako samodzielny przedmiot badania, jako utwór poruszający przytém w formie estetycznéj ważne zagadnienia psychologiczne, etyczne i socyologiczne... Mając tak rozległy temat przed sobą, Faguet nie łamie sobie bynajmniéj głowy nad wyszukiwaniem *faculté maitresse* każdego pisarza i mówiąc np. o nadzwyczaj zrównoważonéj organizacyi George Sand'a, nadmienia mimochodem, że napróżno szukalibyśmy u niéj owéj zdolności czy właściwości przeważającéj... Sympatyami swemi dla wieku XVII-go zbliża się Faguet do Brunetière'a, którego nawet chętnie uważa za jednego ze swych mistrzów, różni się jednak odeń zupełnie metodą i sposobem wykładu. Brunetière szuka

kryteryum dla swoich ocen na zewnątrz dzieł rozpatrywanych, we wzorach bądź klasycznych, bądź odnajdywanych w drodze ewolucyjnéj; Faguet ześrodkowuje całą swą uwagę na psychologicznych pobudkach i składnikach danego dzieła i z psychologicznego następnie przeważnie stanowiska rozpatruje zarówno sam utwór, jak i jego wpływy etyczne i socyologiczne. Dzieło danego pisarza nie jest dla Faguet'a środkiem do poznania psychologii autora, następnie zaś jego rasy i otoczenia, lecz przeciwnie, posługuje się on życiorysem i charakterystyką autora tylko dla lepszego zrozumienia jego utworów; po za danego autora, w tych nawet celach, Faguet nigdy prawie nie wybiega. Co najwyżéj, nie w rasie lub otoczeniu, lecz jedynie w klasowych właściwościach autora, w należeniu jego do téj lub owéj klasy społecznéj, szuka bliższego określenia jego charakteru.

Charakter autora, jego psychologia, jest dla Faguet'a punktem wyjścia przy rozpatrywaniu dzieł sztuki. „Nasze pojęcia ogólne, mówi, są wyrazem naszego charakteru. Rozpoczynamy nasze życie umysłowe na tle pojęć spółczesnych i albo trzymamy się ich ślepo, lub zmieniamy je odpowiednio do naszego usposobienia.” „Wielki nawet filozof, mówi na inném miejscu, który wykłada swój system, jest tylko człowiekiem, który wypowiada w ten sposób swój charakter, a może nawet tylko swój temperament.” O pani de Staël powié, że jest ona „liberalną z urodzenia i kompleksyi” i że była indywidualistką, nim stała się liberalną; charakteryzując Royer-Collard'a, nadmienia, że „charakter jego wymagał takiego systemu i kazał mu się go trzymać.” Guizota określi w sposób następujący: „Kompleksya radykała w służbie poglądów umiarkowanych.” O „prawach człowieka” odzywa się, że musiał je wynaleść człowiek energiczny. Charakteryzując „Ducha praw” Monteskiusza powié, że dzieło to powinno właściwie nosić tytuł: „Montesquieu”. „Książka ta, powié daléj, to życiorys, egzystencya człowieka, który żył życiem tysięcy. Krytyka w wyższém jéj znaczeniu, doda następnie, nie jest niczém inném. Jestto dar wżycia się w nieskończoną mnogość obcych istnień, wżycia się częstokroć pełniejszego i silniejszego od tych, którzy żyli tém życiem faktycznie, krytyka bowiem oświeca świadomość, którą może mieć ten tylko, kto jest dość silnym, ażeby się odosobnić, oderwać i przypatrywać się własnéj duszy jako człowiek obcy, lub téż dość przenikliwym, ażeby wejść w duszę cudzą i przypatrywać się jéj zbliska”... Przypomina się nam tu Lemaitre.

Psychologiczny punkt widzenia wyłącza czysto artystyczny i obiektywny indyferentyzm. „Troska o rozrzewnienie lub morał, powiada Faguet, szkodliwa w sztukach plastycznych — w literackich, jeżeli nie jest niezbędną, jest zupełnie właściwą i użyteczną. Dlatego miano-

wicie, że poeta maluje dusze nie ciała i że ukochanie tych dusz, podziwianie ich zalet i pragnienie ujrzenia ich jeszcze lepszemi jest rzeczą zupełnie naturalną. Moralność i uczuciowość wchodzą do estetyki literackiéj, ponieważ sztuka pisarska jest sztuką psychologiczną."

Psychologiczne wniknięcie w duszę artysty i w jego utwory chroni również od krytycznéj oschłości i ograniczonego częstokroć pedantyzmu. Według Faguet'a dobrym krytykiem może być tylko ten, kto jeżeli nie posiada w całości twórczych uzdolnień do wydania jakiegoś dzieła, to ma je przynajmniéj w zarodku, jako pociąg twórczy i byłby w stanie, w głównych przynajmniéj zarysach nakreślić plan dzieła, będącego przedmiotem jego krytycznych roztrząsań. Bez tego artystycznego powinowactwa niepodobna krytykowi należycie rozumiéć i oceniać utworów sztuki.

Owa przenikliwość psychologiczna oddaje krytykowi nie małe usługi przy ocenie etycznych zagadnień wyższego rzędu, lub bardziéj skomplikowanych, jak zjawiska społeczne i polityczne. Była ona i dla Faguet'a światłą przewodniczką przy rozpatrywaniu zagadnień socyologicznych. Zagadnienia te rozpatrywane bywają zbyt często z punktu widzenia schematów i teorematów, bądź czysto abstrakcyjnych, bądź historycznych, nawet i ewolucyjnych, w których jednostka czująca i myśląca, jednostka przytém dzisiejsza, spółczesna, jéj potrzeby i pragnienia, lub wcale nie są brane w rachubę, lub też traktowane są jako *quantité négligeable*. Wprowadzenie zaś tego upośledzonego, a przecież nader ważnego pierwiastka do społecznych konstrukcyi może nie być bez znaczenia i wpłynąć nawet nieraz na zmodyfikowanie niektórych socyologicznych programów. Nadto, psychologia jednostkowa daje nam klucz do zrozumienia psychologii zbiorowéj, owéj duszy społecznéj, któréj znajomość jest już nieodzowną dla socyologa, jeżeli ma on być godnym téj nazwy budowniczym.

Psychologiczno-etyczno-socyologiczne zapatrywania Faguet'a, lubo nie wykłada on ich nigdzie w formie całkowitego i dogmatycznego systemu, poznamy bliżéj, zapoznawszy się w głównych choćby zarysach, z jego charakterystyką pojedyńczych pisarzy i całych epok. Wtedy dopiéro oblicze krytyka przedstawi się nam wyraźniéj... Tylko owéj charakterystyki epok, prądów i kierunków, owego historyczno-cywilizacyjnego tła, na podmalowanie którego niektórzy krytycy i historycy literatury tracą wiele czasu i nie mało marnują inkaustu, zapełniając całe stronice luźném częstokroć gawędziarstwem, mającém mało związku z literaturą i charakterystyką danego pisarza, spotykamy jak najmniéj u Faguet'a. Nie spuszcza on całkiem z oka wspólnych właściwości pisarzy danéj epoki, odnajduje je jednak w nich samych, nie

zaś za nimi, tak daleko bowiem, wskutek nieudolności swéj, jak powiada, nie sięga. Punktem środkowym dla Faguet'a, podobnie jak dla Hennequin'a, jest dana indywidualność twórcza, nieujęta najczęściéj w swéj genezie, dość wyraźnie jednak i potężnie promieniejąca naokół w swych utworach.

Ogólne zapatrywania Faguet'a zarysują się, jak powiedzieliśmy poniżéj, tu już jednak zaznaczyć możemy, że należy on do téj kategoryi umysłów i charakterów Francyi spółczesnéj, które poszukują pilnie nowéj jakiéjś syntezy, dotąd jéj atoli nie znalazły. Niwelacyjny demokratyzm spółczesny, który jednak uznaje jako fakt i punkt wyjścia, nie zadawalnia go, zdaje mu się sprzeciwiać jego pojęciom o psychologii indywidualnéj i zbiorowéj, gdy chodzi nie o moment przejściowy w fazie historycznéj i ewolucyjnéj, lecz o stały mniéj więcéj stan społeczny, którego poszukuje. Materyału dla owéj przyszłéj syntezy szuka zarówno we wskazówkach nauki spółczesnéj, któréj bynajmniéj nie odrzuca, na któréj się opiéra, która jednakowoż nie zadawalnia go także całkowicie, jak i w minionych formach bytu. Podobnie jak wiele spółczesnych i wybitnych umysłów we Francyi, jak Taine, Renan i inni, chętnie zwraca się nawet po te wzory ku przeszłości, lubo zbyt dobrze rozumié spółczesną epokę i jéj wymagania, aby być zwykłym reakcyonistą. Jest zresztą, jak powiedziałem, przedewszystkiém psychologiem, poszukującym i wątpiącym, mało usposobionym do przyjmowania jakich dogmatów. „Jesteśmy — powiada — całkiem znużeni, my, ludzie dzisiejszéj epoki, owemi ogólnikami (*des mots généraux*), nader dźwięcznemi i zwodniczemi, jak sprawiedliwość, prawo, ideał, wolność, postęp, które powtarzają wszyscy bez wyjątku od r. 1750, którym jednak każdy nadaje inne zupełnie znaczenie."

Jeżeli Faguet nader jest skąpym i zwięzłym w charakterystyce epok, jeżeli pomija poszukiwania warunków powstawania utworów piękna w otoczeniu i rasie, to natomiast krytyczne jego prace pełne są szczegółowych i często nader głębokich rozpraw i roztrząsań, dotyczących rozpatrywanych kwestyi, założeń i zagadnień. Wspomnimy tylko jego uwagi o realizmie z powodu Le Sage'a, o twórczości literackiéj i materyalizmie z powodu Diderota, o naturalizmie z powodu Balzaca, o powieści psychologicznéj przy rozbiorze „Adolfa" Constant'a, o teatrze z powodu Woltera i Diderota, o wychowaniu z okazyi „Emila"; uwagi jego wreszcie o prawach z powodu Monteskiusza, o indywidualizmie *à propos* pani de Staël, o organizmie społecznym i pojęciu ojczyzny z powodu de Maistre'a, o liberalizmie i parlamentaryzmie z powodu prac Royer-Collard'a i Guizota, o religii z powodu Bonalda i Constanta i t. d. —

nie mówiąc o licznych spostrzeżeniach z zakresu psychologii, estetyki i krytyki literackiéj.

Wypada mi jeszcze wspomniéć o zaletach stylu i wykładu Faguet'a. Umysł to analityczny, nader subtelny, erudyt i pisarz niepospolity. Określenia jego są zwięzłe i stanowcze, charakterystyki dosadne, a uwagi i spostrzeżenia mają wyrazistość aforyzmów. Nie brak mu również ciętości i humoru. „Są dwa sposoby dobrego pisania — powiada Faguet — po pierwsze należy dobrze myśléć, po drugie znać swoją sztukę pisarską." Krytyk nasz posiada obie te umiejętności. O pesymizmie, powiada, że jestto choroba moralna, która jednak całkiem nie przeszkadza być geniuszem, która jest może nawet jego połową, pod tym warunkiem, że się ma i drugą. Materya widziana z nader wysoka jest, powiada, jak niebo widziane z dołu — staje się błękitem. Diderota porównywa Faguet z potokiem i mówi, że potok jest kiepskim obserwatorem i złém zwierciadłem. Woltera określa jako „chaos idei jasnych", a o Fontenellu mówi, że urodził się starym kawalerem i stuletnim starcem. Marivaux nazywa „dowcipną kobiétą (*femme d'esprit*) XVIII-go wieku", de Maistre'a zaś określa jako katolika, który nie jest chrześcianinem...

II.

Wiek XVII-ty jest epoką zwycięstwa reakcyi katolickiéj nad krytycznym i wolnomyślnym duchem protestantyzmu, która przyniosła krajom katolickim wzmożenie się gorliwości religijnéj, podniesienie skali charakterów i moralnego poziomu, społeczeństwu zaś dała pewną jednolitość i spoistość, właściwą okresom syntetycznym, następującym po rozkładowych burzach okresów krytycznych.

Na tle tém bujnie rozwinęła się we Francyi literatura, przedewszystkiém dramatyczna, w żywotnych do dziś utworach Corneille'a, Racine'a i Molière'a. Literatura ta w formie swéj była klasyczną i rozwijała daléj artystyczną tradycyę Odrodzenia, zapoczątkowaną przez Ronsarda i całą plejadę poetów — w treści swéj jednak była francuską i spółczesną. Obok tego rozbioru dramaturgii, wiek XVII-ty we Francyi jest wiekiem wielkiego myśliciela, Pascala i wielkiego prawodawcy literackiego klasycyzmu, Boileau. Jestto także wiek La Fontaine'a, La Bruyère'a i La Rochefoucauld, którym język francuski i nowe formy literatury zawdzięczają bardzo wiele, podobnie jak listom pani de Sévigné i pamiętnikom Saint-Simona z téjże epoki. Jestto także stulecie dwóch niepospolitych historyozofów i socyologów, równie jak i pisa-

rzy pierwszorzędnych, Bossueta i Fénelona; epoka również jansenizmu i Descartes'a.

Umysłowy i literacki rozkwit wieku XVII-go we Francyi nie został bynajmniéj zakwestyonowany w wieku XVIII-ym, który we względzie literackim prawowiernie hołdował klasycyzmowi i widział swe wzory w utworach połowy poprzedniego okresu, myślicieli zaś tego okresu uważał za swych poprzedników. Dopiéro romantyzm, sięgający daléj wstecz, do wieków średnich i początków klasycyzmu, zapomniał o wieku XVII-ym, którego następnie wyparł się całkowicie realizm i pozytywizm drugiéj połowy naszego stulecia, wzorujący się na wieku XVIII-ym. W latach ostatnich, wobec rodzącéj się znowu reakcyi przeciwko materyalizmowi i naturalizmowi, nawskroś spirytystyczna i zaprzątnięta zagadnieniami etycznemi epoka wieku XVII-go pociągać zaczyna ku sobie umysły i charaktery, poszukujące dróg nowych.

Teatr francuski między rokiem 1600 a 1630 t. j. w czasie poprzedzającym bezpośrednio Corneille'a, mówi w swéj zwięzłéj charakterystyce Faguet, miał, podobnie jak romanse ówczesne, wielkie upodobanie w tematach nadzwyczajnych i nadludzkich, obok zawiłéj, skomplikowanéj i romantycznéj intrygi. Corneille przyjął ten rodzaj literacki, rozszerzył go tylko i uszlachetnił. Poszukiwał również tematów wielkich i pięknych, które poruszają głęboko i wstrząsają; szukał również czynów nadzwyczajnych i sławnych, nie pogardzał téż niezwykłą intrygą. Wogóle typ pociągający i sympatyczny widział w człowieku energicznym i niezłomnym, nadludzkim prawie i „nieprawdopodobnym," jak sam się wyrażał. Bohatér taki wzbudzać miał w widzach „patetyczną admiracyę," podziw. Postępując tą drogą Corneille nic nie wynalazł, wszystko jednak uszlachetnił swym wzniosłym umysłem i wielkiém sercem. Temat nadzwyczajny uczynił tematem bohaterskim, poszukując treści dla swych utworów w „nadzwyczajności prawdziwéj" t. j. w historyi wielkich epok i czynów niezwykłych. Zawiłą intrygę przeobraził również w najwybitniejszych swych utworach w akcyę skupioną i silną, która przeciwstawia gwałtowne namiętności ludzkie prawom obowiązku lub czułości. W „Cydzie" opiewał w ten sposób bohaterstwo synowskiego pietyzmu, w „Horacyuszu" bohatérstwo praktyczne, w „Cynnie" bohatérstwo zwycięstwa nad samym sobą, w tragedyi wreszcie „Polyeucte" heroizm religijny. Wiele innych tragedyi Corneille'a pozostawia również po sobie wrażenie ludzkiéj wielkości; nastrój tych utworów jest wysoce etyczny. Chociaż bohatérowie Corneilla stoją zazwyczaj ponad zwykłym ludzkim poziomem, to jednak są

prostymi, uważają bowiem bohatérstwo swe i pełnienie obowiązku za rzecz naturalną.

Faguet rozbiéra szczegółowo jeden z najwybitniejszych utworów Corneille'a, „tragedyę chrześciańską” „Polyeucte,” w któréj absolutny heroizm doprowadza aż do zupełnego całopalenia ludzkiéj indywidualności na ołtarzu idei, do męczeństwa. Bohatérem dramatu jest świéżo nawrócony armeńczyk, Polieukt, za czasów panowania cesarza rzymskiego Decyusza w połowie trzeciego wieku. Polieukt, będący już przedtém w sercu chrześcianinem, zaraz po ożenieniu się z córką potężnego satrapy rzymskiego Pauliną, otrzymuje potajemnie chrzest i uniesiony gorącém pragnieniem poświęcenia się dla nowéj wiary i męczeństwa, wywraca pogańskie bałwany, stojące na placu publicznym, za co zostaje istotnie umęczon. Wobec tego heroizmu, składającego u stóp krzyża nietylko własne ja, lecz i gorącą miłość dla swéj małżonki, Paulina, która dotąd kochała męża swego tylko z obowiązku, w sercu zaś żywiła dawne, żywsze przywiązanie dla rzymianina Sewera, pociągnięta zostaje magnetyczną siłą poświęcenia i nietylko zaczyna kochać Polieukta prawdziwą miłością, lecz nadto wstępuje w jego ślady...

W wysokim stopniu interesującą jest podana przez Faguet'a historya wrażenia, jakie tragedya ta zrobiła na widzów i jak rozumiana była przez krytyków, w ciągu blisko trzech wieków, z któréj się okazuje, jak wielki geniusz wyprzedza swój czas na całe niekiedy stulecia. Dowiadujemy się mianowicie, iż spółcześni Corneill'a nie się już nie rozumieli na religijném bohatérstwie i w tragedyi zajmowały ich tylko rozmowy Sewera i Pauliny, jak świadczy pisarz spółczesny, Saint-Evremond, a ówczesna M-me la Dauphine, jak donosi p. de Sévigné, zajmowała się tém głównie, że nawet najuczciwsza dama światowa, jaką niewątpliwie była Paulina, nie kocha przecież swego męża. W wieku XVIII interesowała również w tragedyi tylko „sytuacya drażliwa” zamężnéj Pauliny wobec Sewera, czego świadectwo zachował nam Voltaire w wierszowanym epigramacie, napisanym z tego powodu, w którym powiada, że Sewer więcéj zasługiwał na płomień (*flamme*) Pauliny, niż ów dewot, małżonek. Dopiéro w pierwszéj połowie wieku XIX spostrzeżono się, w czasie religijnego odrodzenia z owego czasu, że Polieukt jest istotnym bohatérem tragedyi, że jest dotkniętym „obłędem krzyża”. Potrzeba było jednak całéj głębokiéj i wszechstronnéj nauki naszego wieku, powiada Faguet, w rzeczach religii i historyi wierzeń religijnych, ażeby całkowicie zrozumiéć charakter Polieukta i ocenić należycie jego heroizm, jako ideę chrześciańską, przeciwstawioną interesom światowym, rodzinie i miłości czysto ludz-

kiéj, na gruzach bowiem tego wszystkiego miał zatknąć zwycięski swój sztandar chrystyanizm, jako nowa wiara religijna...

Nadto, zarówno w wieku XVIII i pierwszéj połowie XIX-go w tragedyi widziano dwa tematy, dwie akcye, z jednéj miłość, z drugiéj męczeństwo, dwie akcye nie wiążące się z sobą, gdy przy głębszéj rozwadze akcya tragedyi okazuje się najzupełniéj jednolitą, miłość bowiem Pauliny dla Sewera przeobraża się stopniowo pod wpływem męczeństwa, czego nie dostrzeżono, w miłość dla Polieukta a następnie dla saméj idei chrześciańskiéj. I jedna jeszcze kwestya w tym dramacie była powodem nieporozumień i jest niém nawet dla Faguet'a, kwestya mianowicie łaski, wprowadzona przez Corneille'a do tragedyi dla objaśnienia nawrócenia i męczeństwa zarówno Palieukta jak Pauliny. I Faguet skłania się ku temu, że wprowadzenie do dramatu potęg nadprzyrodzonych jest rzeczą zbyteczną i że charaktery tłómaczyć się winny same przez się, psychologicznie. Dobrze, lecz nie potrzeba zbyt zacieśniać owéj psychologii... Wobec nowych objawów hypnotyzmu, potężnych idei i wielkich wydarzeń, wobec autohypnotyzmu własnéj duszy i woli, wobec potężnych wpływów naśladownictwa (Tarde) łatwiéj zrozumiéć możemy magnetyczny wpływ pewnych idei i momentów w życiu ludzkiém, zdolnych wywoływać w duszy ludzkiéj nagłe przeobrażenia, pozornie niezgodne ze zwykłym pragmatyzmem psychologicznym charakterów, a które chrystyanizm, wnikający, jak zawsze, głęboko w naturę ludzką, objaśniał działaniem łaski, która w ten sposób zupełnie uprawnioną jest tak w życiu jak i w dramacie. Niedość na tém, nawet tak rozszerzony dramat charakterów jest jeszcze zaciasnym dla objęcia wszystkich objawów życia ludzkiego i wpływów, jakim ono ulega. Starzy greccy tragicy wprowadzili, jak wiadomo, do dramatu pojęcie *fatum*, jako zewnętrznego, boskiego fatalizmu, ciążącego nad losami ludzkiemi. I nie byli w tym względzie zbyt dalecy od prawdy. Biorąc w rachubę wszystko, co się da powiedziéć na korzyść psychologicznéj przyczynowości i naturalistycznego pragmatyzmu, pozostaje jeszcze cała sfera wpływów, działających na człowieka i oddziaływujących na jego losy, wpływów, które możemy nazwać kosmicznemi, choćbyśmy nawet nie wierzyli w astrologię. Kosmos jednak, wszechświat, otoczenie w najszerszém pojęciu tego wyrazu, oddziaływa potężnie na człowieka i jego losy i w tym względzie greccy tragicy mieli racyę. Nie darmo też Maeterlinck, spółczesny dramaturg belgijski, wprowadza samą naturę do akcyi swych dramatów.

W oddalonéj perspektywie wieków przedstawiamy sobie Corneilla i Rasina jako ślubnych braci literatury, tak jak przyszłość odległa uważać zapewne będzie Wiktora Hugo i Zolę za przedstawicieli jedne-

go kierunku literackiego. Tymczasem w chwili, kiedy rodził się Racine, Corneille napisał już był „Cyda,” w przerwie zaś między działalnością dwu tych dramaturgów dokonał się przełom literacki, w którym miejsce „romantyzmu” Corneille'a zajął „naturalizm” Racine'a, przygotowany już przez dwu innych pisarzy tego przejściowego okresu: Molière'a i Boileau. Przewrót na korzyść uczuć naturalnych i obyczajów rzeczywistych, który w komedyi dokonał Molière, w tragedyi przypadł w udziale Racine'owi. Dowodził on konieczności zwrócenia się do malowania wydarzeń i charakterów zwyczajnych, ludzkich, omal, że nie codziennych i napisał nawet swojego rodzaju manifest naturalistyczny we wstępie, do „Brytanika.” Stara się on porzucić „wielkie tematy,” podobnie jak wyjątkowe, bohaterskie charaktery i kreślić przedewszystkiém charaktery interesujące. Racine, uczeń Molière'a, pojmował tragedyę jako komedyę, która się źle kończy i działalnością swą pisarską rzucił pomost między dwu rodzajami dramatopisarstwa, tragedyą i komedyą, zléwającemi się w jedném pojęciu dramatu. Pojmując tragedyę w ten sposób, unikał również Racine zawikłanéj intrygi i niezwykłych wydarzeń, akcyę starał się sprowadzić do *minimum*, utwory jego są bowiem przedewszystkiém obrazami charakterów i uczuć ludzkich, między któremi najpierwsze i największe miejsce zajmuje miłość, jak przystoi kierunkowi naturalistycznemu... Mimo to wpływ kornelowskiego romantyzmu daje się jeszcze odczuwać w obrazie uczuć gwałtownych, tragicznych, rozwijających się z pewnego rodzaju druzgoczącym fatalizmem...

Racine pozostawił wiele bardzo utworów, między któremi wybitniejsze miejsce zajmuje: *Andromaque*, *Bérénice*, *Iphigénie*, *Phèdre*, *Bajazet*, *Mithridate*... Pod koniec już swego życia i literackiéj karyery stworzył, pod wpływem pani de Maintenon, arcydzieło teatru francuskiego, bliższe kornelowskiego repertuaru, niż poprzednie jego utwory, tragedyę *Athalie*, któréj rozbiorowi poświęca Faguet wiele miejsca. Treść *Athalie* zaczerpniętą została z historyi biblijnéj. Bohatérem jest kapłan i prorok izraelski z czasów niewoli, Joad, który w murach świątyni przygotowywa i wykonywa z powodzeniem konspiracyę religijno-polityczną, wychowując młodocianego następcę tronu, którego przedstawi królowéj-uzurpatorce, poruszywszy lewitów i lud i narzuciwszy potężną swą wolę ludziom i wypadkom. Królowa Atalia i dwie jeszcze figury drugorzędne wypełniają akcyę, która całkowicie, według zasad mistrza „tragedyi psychologicznéj,” wypływa z samych właśnie charakterów i działań głównych bohatérów tragedyi.

Molière, w połowie wieku XVII był, według określenia Faguet'a „przedstawicielem i promotorem powrotu do rzeczywistości po pięknych

wysiłkach w kierunku wzniosłości, których najwyższym wyrazem jest Corneille." „Prawda, całkowita prawda, natura, całkowita natura, przeniesiona do świata naszego, oto, czego chciał Molière i czego prawie dokonał," konkluduje Faguet. Molière pozostawił 25 sztuk, z których ośm uznawane są dotąd za arcydzieła. Krytyk rozbiéra szczegółowo „Mizantropa." Krytykiem i chorążym „naturalistycznego" kierunku był Boileau, autor poetyckiego kodeksu p. t. *l'Art poetique*, który obowiązywał długo i w którym naturalizm szkoły 1660 r. przybrał formy wybitnie klasyczne.

La Fontaine, słynny bajkopisarz, zalicza się wówczas do téj szkoły. Wniósł on do literatury nietylko nowe wrażenia i nowe uczucia, lecz jednocześnie wydoskonalił znakomicie język i formę poetycką, stworzył nawet nową formę poezyi. Wszystko to Faguet szczegółowo uzasadnia.

La Rochefoucauld, znakomity autor „Maksym," jest przedstawicielem pewnéj grupy umysłów wybranych z drugiéj połowy XVII wieku, grupy trzymającéj się odrębnie i patrzącéj z wyniosłym i pogardliwym pesymizmem i sceptyzmem na świat i ludzi. La Rochefoucauld jest znakomitym analitykiem, psychologiem, który wyższe nawet cnoty i zalety ludzi stara się rozłożyć na składające je czynniki niższego rzędu. *Maximes* są dalszym objawem kierunku krytycznego i idealistycznego. W podobnym duchu pisane są „Charaktery" La Bruyère'a z końca tego stulecia. Stara się on dowieść, że podstawą każdego charakteru jest egoizm. Obaj ci autorzy są mistrzami formy i języka. Sceptycyzm swój i pesymizm wyrazili w nader subtelnych i po mistrzowsku oszlifowanych aforyzmach. Wtóruje im kronikarz téj epoki Saint-Simon w swych pamiętnikach, pisanych genialnie przez zgryźliwego i zawiedzionego w swych ambicyach arystokratę.

Pascal, głęboki myśliciel połowy XVII stulecia, zaczął również od sceptycyzmu, czerpanego ze „Szkiców" Montaigne'a, przepędził młodość burzliwie i awanturniczo, znalazł jednak swą drogę do Damaszku, nawrócił się, poszedł po naukę do pustelników i filozofów monasteru *Port-Royal*, przewyższył w gorliwości religijnéj i umartwieniach swych mistrzów i wziął się do pisania dzieła w obronie religii, napisać go nie zdołał, z pozostałych jednak notat wynikła nieśmiertelna książka, zredagowana przez ojców z *Port-Royal* p. t. *Pensées*. Pascal, to umysł niezwykle wrażliwy, żądny prawdy, pełen trawiącego niepokoju i jednocześnie żarliwéj wiary religijnéj. Myślom tym, pomimo ich niezaprzeczoną głębokość, odejmuje wiele wartości ta okoliczność, że wynik ich jest jakby narzucony zgóry. Pisał je Pascal już nawrócony i pisał dla wykazania, iż wszelka nasza wiedza pozytywna prowadzi do najzupeł-

niejszego sceptycyzmu, pesymizmu i wikła się w sprzecznościach bez wyjścia — a więc, konkluduje znowu Pascal, jedyne zbawienie w Bogu i religii. Konkluzya ta nie dla wszystkich umysłów była równie naturalną jak dla nawróconego Pascala, duchowego potomka jednego z wielkich ojców kościoła św. Augustyna i dlatego w wieku XVIII-ym z dowodzeń myśliciela wieku XVII-go brano tylko część pierwszą, sceptycyzm, nie doprowadzano go zbyt daleko i głęboko i prowadzono do innych wniosków. I w spółczesnéj nam epoce Pascal pociąga również swemi przesłankami przeważnie, jako umysł logiczny, głęboki, żądny prawdy, dociérający do dna prawie próżni w dziedzinie poznania i szukający z męczącym niepokojem drogi wyjścia z téj otchłani. To właśnie czyni go nam spółczesnym i drogim. Pascal, zaznacza Faguet, jest twórcą klasycznéj prozy francuskiéj, jak Corneille klasycznego wiersza francuskiego. Pascal wyobraża sceptyzm, wchodzący po szczeblach pesymizmu i mistycyzmu do przybytku wiary.

Bossuet, to Pascal, któryby nie był trawiony zwątpieniem, lecz całą swą gorliwą wiarę, umysł bogaty i niezłomny oraz niepospolitą energię oddał na usługi kościoła i państwa. Faguet zapewnia, że miał dosyć zdolności, ażeby być nietylko Pascalem, lecz równie La Rochefoucault, Monteskiuszem a nawet Leibnitzem, z którym prowadził uczoną korespondencyę w rzeczach wiary i wszystkiém tém był po trosze, przekładał jednak nadewszystko być szermierzem jedności kościoła, pogromcą protestantyzmu, który uważał za szkodliwe odszczepieństwo, obrońcą wreszcie jedności państwa, które się dlań uosabiało w monarchii i znowu pogromcą różnych teoryi demokratycznych, które pojawiły się już były podówczas na łonie heretyckiego protestantyzmu i były dalszém wyrazem ducha odszczepieństwa, podkopania tradycyi i istniejących form bytu...

Jako wyobraziciel owéj statyki kościelno-społeczno-politycznéj, biskup Bossuet ma niepospolite zasługi w szeregu podobnym usiłowań wieku XVII-go, a nadto postarał się on ująć idee i sprawę, których bronił, w jednolitą doktrynę historyozoficzną i społeczno-polityczną, nad któréj upowszechnieniem pracował. Jako nauczyciel młodego następcy tronu na dworze Ludwika XIV-go, Bossuet opracował szereg dzieł w tym duchu, z których ważniejsze są: *la Politique tirée de l'Ecriture sainte*; *Discours sur l'Histoire Universelle*. W tém ostatniém dziele Bossuet występuje jako historyozof, wyprowadzający jednolitość historycznego rozwoju z jedności opatrznościowéj myśli boskiéj, nakreślającéj drogi dla tego rozwoju. Z licznych dzieł jego polemicznych, skierowanych przeciwko protestantyzmowi, najważniejszą jest praca p. t. *l'Histoire des variations des églises protestantes*, która długo była pomi-

jana, jako utwór rzekomo polemiczny wyłącznie i świéżo dopiéro jeden z historyków zwrócił uwagę, w drobnéj pracy temu przedmiotowi poświęconéj, na niepospolite zalety téj historyi protestantyzmu [1]).

Prócz dzieł wymienionych Bossuet zjednał sobie sławę znakomitego kaznodziei i niepospolitego prozaika. Marzył zapewne także o odegraniu roli politycznéj i nawiązaniu chwilowo przerwanéj tradycyi rządów Richelieu'go i Mazariniego, co możeby i przyszło do skutku, gdyby był żył i przyszedł do władzy jego wychowaniec. Zmarł jednak przedwcześnie zarówno „duży” jak i „mały” *delfin*, wnuk Ludwika XIV-go, którego wychowawcą był, zawiedziony również w swych politycznych widokach, inny biskup i wybitna również zdolność wieku XVII-go, Fénelon.

Charakterystyka Fénelona nakreśloną została po mistrzowsku przez Faguet'a. Psychologiczna jego metoda i intuicya posłużyła mu tu wybornie, współzawodnik bowiem Bossueta jest indywidualnością nader złożoną i nieuchwytną; jest-to talent i charakter nader wielostronny i trudny do określenia. Jako wychowawca „małego *delfina*,” nakreślił on, podobnie jak autor traktatu o historyi powszechnéj, kilka programów i traktatów politycznych, w których jednak nie jest również jednolitym. W rozprawie p. t. *Plan du gouvernemet* występuje Fénelon, jako realny polityk, domagający się powrotu do dawnych urządzeń monarchii francuskiéj, która w swéj zasadzie była monarchią konstytucyjną, arystokratyczną, parlamentarną i decentralistyczną, która miała liczne swe rady prowincyonalne, niższego i wyższego stopnia, swój parlament stanowy, *états généraux*, swe korporacye wreszcie — słowém ustrój nader wielostronny i organiczny, który atoli nie zdołał rozwinąć się w całéj pełni, od czasu zaś Richelieu'go nastąpił we Francyi stanowczy zwrot ku centralizacyi i władzy absolutnéj, nie łatwo więc już było zawracać; dlatego téż zapewne Ludwik XIV-go nazwał poglądy Fénelona chimerycznemi, co było jednym z powodów niełaski u dworu, w jaką popadł był autor owego „Planu” i wyslania go na daleką dyecezyę, na prowincyę, gdy uśmiechała mu się mitra arcybiskupa paryskiego. Charakterystyczném jest, że w poglądach swych na dawną monarchię francuską Fénelon schodził się z niektórymi najnowszymi historykami francuskimi, jak Taine np., wskutek czego Faguet stara się poglądy jego w tym kierunku uwydatnić należycie; Fénelon jest również poprzednikiem liberalistów i parlamentarystów francuskich pierwszéj połowy naszego stulecia. W wieku XVIII-ym Fénelon znany był i ceniony gló-

---

[1]) Patrz artykuł Brunetière'a o Bossuet'cie, jako historyku protestantyzmu w jednym z zeszytów „Revue d. d. M.“ za r. 1892.

wnie jako utopista społeczny, autor *Telemaka* i *Temple de Gnide*, w których to utworach wypowiedział swe marzenia o idealnym ustroju politycznym, w rodzaju „Respubliki" Platona lub „Utopii" Morusa. Fénelon jest tu nawet komunistą i charakterystyczne również, że w tém poszukiwaniu ideału społecznego zarówno w przeszłości, jak i odległéj przyszłości, Fénelon schodzi się również z wielu współczesnymi myślicielami i prądami.

I w poglądach swych na sprawy religijne i kościelne nie był Fénelon jednolitym. W rozprawie *De Auctoritate* jest on jaknajbardziéj stanowczym zwolennikiem jedności kościoła i poddanie go pod absolutną władzę papieża; w misyonarskiéj swéj działalności umiał energicznie nawracać protestantów francuskich na katolicyzm a przytém sam popadł w herezyę tak zwanego kwietyzmu, dzieło jego napisane w tym duchu p. t. *Maximes des Saints* zostało potępione przez kościół, co było również powodem zesłania Fénelona na prowincyę, lubo poddał się bez szemrania wyrokowi papieskiemu. Jako gorliwy antagonista Fénelona w tym kierunku wystąpił przeciw niemu Bossuet, widzący w kwietyzmie autora „Telemaka" i grona, które go otaczało niebezpieczną herezyą, osłabiającą wolę i energiczną walkę ze złém, oraz doktrynę szkodliwą dla chrześciaństwa i kościoła, co téż nie omieszkał wykazać w swych broszurach i raportach polemicznych. Kwietyzm był pewnego rodzaju mistycznym fatalizmem, mającym deistyczne a nawet panteistyczne tendencye, lubo tkwiły one tylko *in potentia* w téj doktrynie. Fénelon znany jest również w literaturze ściśle pedagogicznéj jako autor cenionego dzieła p. t. *l'Education du filles*...

III.

Wiek XVIII, powiada Faguet, w obszernym swym wstępie, po bliższém wejrzeniu, wydaje się dziwnie bladym, między stuleciem, które go poprzedziło, i tém, które po nim nastąpiło. Widzimy w nim znaczne obniżenia zmysłu moralnego, co nie mogło się nie odbić na literaturze i filozofii tego okresu. Pomiędzy wiekiem Descartes'a, Pascala, Malebranche'a, Bossueta i Corneille'a a wiekiem Chateaubrianda, Lamartine'a i Wiktora Hugo zaznaczyć musimy, mówi Faguet, wiele względnego upadku....

Wiek XVIII, ciągnie daléj krytyk, nie był ani chrześciańskim ani francuskim. Z początku wieku XVIII-go zanika nagle idea chrześciańska, maleje stopniowo i około r. 1750 zanika prawie zupełnie idea ojczyzny — oto są dwa znaki charakterystyczne okresu od 1700 do 1790

roku. Zanik pojęcia ojczyzny, obudzonego dopiéro w r. 1792, objaśnia Faguet absolutnym brakiem życia politycznego we Francyi od czasu Ludwika XIV-go aż do rewolucyi. Fénelon przewidywał dobrze, mówi krytyk, skutki, jakie z tego miały wypłynąć, dlatego chciał zawrócić wstecz. Rewolucya francuska była w swych początkach kosmopolityczną i dopiéro wobec wojen z koalicyą europejską stała się patryotyczną. Myśl wieku XVIII-go nie zajmowała się zupełnie ojczyzną i indyferentyzm na tym punkcie myślicieli i pisarzów tego stulecia jest nadzwyczajnym, tak że język ich zaledwie przypomina kraj, do którego należą, fakt, który miał swe następstwa nawet we względzie czysto literackim.

Zanik idei chrześciańskiéj ma wielorakie przyczyny. Najgłówniejszą z nich jest „duch nauki", który zaledwie był dostrzegalnym w wieku XVII-ym. „Filozofia" wieku XVIII-go jest właśnie owym duchem naukowym, którym pomiatał wiek poprzedzający, „matematyczny" i „geometryczny", bynajmniéj jednak nie „naukowy". Wiek XVII lubił naukę czysto intelektualną, nie lubił jednak nauki realistycznéj, która wymaga rzeczy i obserwacyi, słowem, nauki przyrodniczéj. Nie jestto rzeczą ludzką, mówił Malebranche, przyglądać się komarom... Dla surowych umysłów filzoficznych tego rodzaju zajęcie się nie było nawet „dozwoloną zabawką", lecz grzechem, próżną i zgubną ciekawością, którą potępiał Jansenius. Literatura, sztuka, metafizyczna filozofia, teologia i nauka matematyczna, czysto intelektualna—oto wyłączny zakres badań wieku XVII-go we Francyi.

W końcu jednak tego wieku mnożące się opowiadania podróżników, wywijające się z powijaków nauki medyczne, rosnące zajęcie się „Ogrodem królewskim" (botaniczny i zoologiczny), Akademia nauk, założona w roku 1666-ym staraniami kilku badaczy, wszystko to zwraca uwagę ku naukom przyrodniczym, które szybko wchodzą w modę i stają się ulubioném zajęciem umysłów, a nawet rozrywką dyletantów. Korzystają one z upadku literatury i filozofii, widocznego osobliwie w czasie między 1700 a 1720-ym rokiem; nowa nauka staje się niebawem nauką jedyną i wyłączną, umysł ludzki jest bowiem zbyt słabym, ażeby patrzył na rzeczy jednocześnie z kilku punktów widzenia. Nowa nauka obiecuje przytém bardzo wiele, zdaje się ona przynosić z sobą wytłómaczenie zagadki wszechświata, wyłączające poprzednie objaśnienia teologiczne, metafizyczne lub psychologiczne. Wszystko odtąd wyjaśnione zostanie „prawami natury", „nadnaturalność" istniéć przestanie, zniknie nawet specyalnie „ludzki" punkt widzenia; żadnéj metafizyki, religii a nawet moralności, któréj nie ma w naturze, oto hasło poczynającego się wieku XVIII-go. Do przyczyn tych dodaje krytyk cofnięcie

edyktu nantejskiego i wykorzenienie protestantyzmu, który był stopniem przejściowym od religijnego dogmatyzmu do zupełnego ateizmu; zniesienie owego przejścia popchnęło nawet umysły umiarkowane, które zadowoliłyby się pewnym półracyonalizmem, jaki daje protestantyzm, w objęcia negacyi zupełnéj. Dodawszy do tego zamęt moralny, wniesiony w życie czasów regencyi i skandale finansowe 1718-go roku, otrzymamy w rezultacie zupełny zanik ducha chrześciańskiego.

„Ani chrześciański, ani francuski — pisze Faguet — dziwnym był ów wiek, następujący po pięciu wiekach cywilizacyi i właściwéj kultury narodowéj: był on całkiem nowym, całkiem prymitywnym i jakby surowym zupełnie, co nadawało mu pewien urok odrębny. Tradycya jest doświadczeniem narodu; tradycyi się oczywiście wyrzekał ten wiek młodociany i mieć jéj nie chciał. Ma on natomiast wszystkie zalety, obok wad młodzieńczości, a więc jéj polot, porywczość i gorączkę, ciekawość, niepomiarkowanie w słowach i uczynkach, zarozumiałość, szał, brak powagi w zachowaniu się, psotną żartobliwość, a także pewną szlachetność, dobroć serca, skłonność do łez, potrzebę rozczulania się i wreszcie pewien instyktowny optymizm, który wierzy w bliskie szczęście i zda go się wciąż chwytać, czuje wciąż jego potrzebę, ma jego pewność i niecierpliwość."

Młodzieńczy wiek ten żył téż, mówi daléj Faguet, w nader wytężonéj agitacyi, w ciągłych poszukiwaniach, próbach, teoryach i wizyach, nie w niepewności wreszcie, lecz w pewnikach sprzecznych ze sobą. Po za sobą popalił wszystkie mosty, wszystko miał odnaleść na nowo i przerobić. Wszystkiego téż dotykał się z gorączką nowych odkryć, z naiwnością niedoświadczenia, zarówno wzruszającą jak zabawną, podejmując częstokroć jako rzeczy nowe i zdając się wynajdywać idee stare jak świat... Mało jest epok, kiedyby więcéj improwizowano i kiedyby wynaleziono tyle starych rzeczy z taką przyjemnością odnajdywania rzeczy nowych i z takiém zamiłowaniem w zgorszeniu.

Poszukując, spierając się, bawiąc się w grę słów i wyobraźni, wiek XVIII-ty doszedł nareszcie, jak i wszelki inny, do pewnych konkluzyi. Zgodzono się pod koniec na pewną ilość idei. Idee te, mówi Faguet, nie były wynikiem jakiegoś powiązanego ściśle i konsekwetnie przeprowadzonego systemu; były to protesty, mające wyłącznie prawie charakter zaprzeczny; był to nareszcie wiek XVIII-ty, uświadamiający sobie dokładnie to, w co nie wierzył i czego nie chciał. Objawienie, tradycya, powaga, to był chrystyanizm; rozum indywidualny, możność odnalezienia prawdy własnym dowcipem, swoboda myśli i wierzeń, pogarda przeszłości w imię prawa, postępu i wiary w doskonalenie się nieograniczone — to był wiek XVIII-ty. Z wierzeń tych wypływały:

wielkie poszanowanie dla jednostki, dla osoby ludzkiéj, wziętéj odrębnie od innych; jednostka staje się świętą i odbiéra te hołdy, których odmówiono zbiorowéj tradycyi. Prócz tego, mętny jeszcze i niewyraźny pociąg ku równości, przygotowany zarówno centralizatorską niwelacyą państwową, jak i negacyą wszelkiéj powagi.

Różne te idee, zarówno antychrześciańskie, jak i antyfrancuskie, powiada Faguet, stały się nareszcie nową religią i nową wiarą — sceptycyzm bowiem ostać się długo nie może i społeczeństwo skupiać się musi koniecznie około idei, w którą wierzy, wokoło jakiegoś przekonania. I wiek XVIII-ty znalazł więc jakąś religię tymczasową, a raczéj dwie: religię rozumu i religię uczucia. Były to dwie postaci tego indywidualizmu, który mu był tak drogim... Czemu jednak oddać pierwszeństwo: uczuciu, czy rozumowi? Nie zdecydowano ostatecznie, pozostało to rzeczą temperamentu; racyonalizm i czułość panowały zarówno u schyłku tego stulecia, czując się bratniemi ideami w tym względzie, że płynęły ze wspólnego źródła indywidualnéj zarozumiałości, ideami atoli wrogiemi, spostrzegano bowiem, że prowadzą one do wręcz odmiennych konkluzyi, reguł postępowania i zasad moralnych... łączył je jednak entuzyazm nowéj wiary. Rozum podobnie jak uczucie, na które dawna religia patrzyła z niedowierzaniem, posłużywszy do zburzenia dogmatów staréj wiary, stały się dogmatami nowéj religii.

Z kolei zapytuje Faguet, jaka literatura mogła się narodzić w tych warunkach? Spółcześni sądzili, iż pozostawią po sobie znakomitą literaturę filozoficzną. Co za filozofia jednak dojrzéć mogła w tym wieku zarozumiałym, powierzchownym, pomimo błyszczące pozory, zbyt śpieszącym się i zbyt różnemi sprawami zajętym, ażeby miał czuć na filozoficzne wywody lub systemy; brakło mu cierpliwości i wszechstronności potrzebnéj dla takiego przedsięwzięcia. W literaturze pięknéj nie pojawił się również żaden geniusz. Literacki wiek XVIII-ty zaczął dość samodzielnie, skończył jednak płaskiém i formalném tylko naśladownictwem.

Rozpoczął jednak jako nowator. Fontenelle, Lamotte, Montesquieu, Marivaux reprezentują w literaturze francuskiéj XVIII-go wieku reakcyę prawie gwałtowną przeciwko francuskiemu duchowi klasycznemu wogóle, specyalnie zaś przeciwko XVII-mu wiekowi. Nowatorzy 1715-go roku są całkiem „nowocześni”, pogardzający zarówno klasycyzmem starożytnych, jak szkołą 1660 r. i wszelką wogóle literaturą o szerszym polocie i skali rozleglejszéj. Wznowili jednak nie bez powodzenia dawny kierunek (*précieux et burlesque*) z początku XVII-go stulecia, przeciwko któremu wystąpili jako reakcya klasyczni naturaliści z Boileau na czele; prócz tego dali, można powiedzieć, początek po-

wieści realistycznéj, która w szeregu utworów od Le Sage'a do Laclos ma swe pierwowzory. Realizm ten nigdy nie sięgał wysoko, był jednak interesującym, opowiadając pospolite, często nawet trywialne historye, stworzył przytém całą szkołę powieściopisarzy i nowelistów, inteligentnych, piszących żywo, pieprznie, usiłujących obserwować i dających czasami nawet genialne próbki tego rodzaju utworów. Należy w każdym razie wiedzieć, że z tych właśnie początków wyszedł spółczesny romans francuski... Dwu jednak rzeczy braknie tym pierwszym realistycznym powieściopisarzom: prawdziwego zamiłowania rzeczywistości i zdolności wzruszania. Nie mają daru rozrzewniania i sami nie są bynajmniéj czuli. Pewna oschłość, fałszywa czułostkowość i powierzchowny realizm, zabarwiony dziwaczną romantycznością, przy powierzchownéj bardzo obserwacyi cechuje ich utwory. Trzeba było dopiéro potężnego tchnienia Rousseau, ażeby otworzyć źródła prawdziwéj i głębokiéj rzewności. Nadto szkoła ta nie jest również ani chrześciańską, ani francuską i dlatego stworzyć nie mogła literatury narodowéj, odtwarzającéj miejscowe obyczaje, uczucia, poglądy i nie umiała czynić tego z prawdziwém zamiłowaniem tego odrębnego zakresu.

Takie były początki literatury francuskiéj XVIII-go wieku. Potém jednak nastąpił zwrot nagły w całéj literackiéj większości tego wieku za sprawą Woltera. Wolter, powiada Faguet, nie był z natury nowatorem — konserwatysta ze krwi i kości, zmuszony dla sławy tylko i rozgłosu udawać różne poglądy śmiałe i skandalizujące, w dziedzinie czysto literackiéj pozwolił sobie być sobą, t. j. konserwatystą zdecydowanym i upartym, zawrócił téż najbardziéj stanowczo do dawnych tradycyi literackich, bronił wciąż autorytetu Boileau i zdawało mu się, iż kontynuuje Racine'a. Przykład ten pociągnął bardzo wielu. Literatura, która z tego nawrotu wypłynęła, była bladém i bezdusznèm naśladownictwem literatury XVII-go wieku. Przywiązano się przedewszystkiém do formy i według pewnych recept robiono tragedye na wzór Racine'a lub téż osnuwano komedye na portretach La Bruyère'a, traktując to jako szkolne zadanie. Robi to wrażenie straszliwéj próżni, czczości i zmęczenia, jakie pozostawili po sobie epigonowie, téj literatury, istniejący jeszcze około roku 1810-go. Cała rzekomo wielka literatura XVIII-go stulecia, prócz owych realistycznych wyjątków, robi wrażenie literackiego mandarynatu, bardzo wyuczonego, nader oględnego, bardzo poważnego i całkiem bezsilnego.

Filozofia nie głęboka i nie dość szczera, konkluduje Faguet, „wielka literatura" bez natchnienia z cechami plagiatu; „literatura podrzędna" zręczna i zajmująca, lecz powierzchowna, żadnéj zresztą poc-

zyi — oto literatura pierwszych lat sześćdziesięciu tego wieku. Pod koniec dopiéro powiało tchnienie, które rzuciło nasiona nowego życia i nowéj twórczości. Zjawił się człowiek obdarzony niepospolitém uczuciem i wyobraźnią, Rousseau, i poruszył głęboko, impuls zaś dany przezeń dał się czuć daleko i przetrwał nawet epokę rewolucyjną. Inny znowu, Buffon, obdarzony wspaniałą wyobraźnią i umysłem wyższym roztoczył przed okiem spółczesnych prawdziwe piękności przyrody i nakreślił naturalną historyą światu; inny jeszcze, Andrzej Chénier, jedyny prawdziwy poeta téj epoki, umiał sięgnąć do samych źródeł starożytności i wskazać nowe drogi poezyi. Nakoniec, u samego schyłku tego stulecia pojawił się, mówi Faguet, wielki poeta, przejęty do głębi naukami tych trzech artystów, godzien ich całkowicie, a przytém głęboko samodzielny, pojmujący naturę równie jak sztukę starożytnych, zdolen poruszyć i zaniepokić, przekonany przytém, że literatura stać się winna napowrót chrześciańską i francuską, przynoszący z sobą nową poetykę, a co ważniejsza jeszcze nową wyobraźnię, mogącą odświeżyć wszystkie formy literackie, wielki poeta Chateaubriand zamykający wiek XVIII, z którego niejedno jeszcze zatrzymał i przynoszący z sobą cały prawie wiek XIX-ty.

Tak więc, powtarza Faguet, wiek XVIII-ty w oczach potomności zmaleje niewątpliwie, postawiony między dwoma wielkiemi wiekami. Jednakowoż, dodaje, zapominać nie powinniśmy, że ma on swą żywość, swój wdzięk i piękno w literackich drobiazgach i że ma on również swe nowości i swe wynalazki. Powołał on do życia lub raczéj wskrzesił z bardzo drobnych początków dawniejszych nowe rodzaje literatury, mianowicie powieść realistyczną i stworzył prawie literaturę polityczną; prawie stworzył również literaturę naukową i historyczną. Montesquieu nietylko jest człowiekiem szkoły 1715 r. i autorem „Listów perskich”, lecz stworzył także nową szkołę socyologiczną. Wolter zbyt wiele napisał drugorzędnych tragedyi, stworzył jednak bardzo dobrą próbę w swym „zarysie obyczajów.” Buffon wreszcie wprowadził literaturę do nauki i naukę do literatury. To są prawdziwe literackie i naukowe zdobycze wieku XVIII-go.

Zauważy kto może złośliwie, dodaje Faguet, że zdobycze wieku XVIII-go zwróciły się przeciwko niemu i że nauki, które stworzył, stanęły przeciwko ideom mu drogim... Wiek XVIII-ty, mówi daléj, stworzył lub raczéj odrestaurował naukę polityczną, nauka zaś ta przychodzi obecnie do wniosku, że polityka jest nauką opartą na obserwacyi, że opiérać się nie może na pojęciach oderwanych i sylogizmach i jest ostatecznie tylko filozofią, lub raczéj patologią historyi; jestto pojęcie skromne i realistyczne, powiada Faguet, zgodne zupełnie z poglądem

Monteskiusza, nie zgodne jednak z zapatrywaniami XVIII-go stulecia... Że polityka lub raczéj socyologia stała się za dni naszych, według wzorów, które pozostawił Montesquieu, nauką obserwacyi i historyi, nie dowód to, dodamy, żeby ten był ostateczny kres rozwoju nauki socyologicznéj. Bynajmniéj, ów zaobserwowany i zanotowany materyał musi ona uważać tylko za materyał do swych konstrukcyi; im materyał bogatszy i wszechstronniejszy tém i konstrukcye mogą być lepsze i trwalsze, póki jednak społeczeństwa nie przestaną się rozwijać i dążyć ku czemuś, póty nie zaprzestaną owych abstrakcyjnych rzekomo konstrukcyi...

I daléj znowu. Wiek XVIII-ty stworzył, mówi Faguet, lub raczéj skierował na pewne drogi historyę cywilną, t. j. układ społeczny, i historya ta, lepiéj pojmowana za dni naszych potępia prawie (Faguet, lubujący się w odcieniach, dodaje zawsze prawie *presque*) dzieło i duch XVIII-go stulecia, nauczając wbrew jego twierdzeniom, że tradycya jest równie konieczną dla życia narodu, jak korzenie dla drzewa i że naród, który w widokach postępu wykorzenia się, podejmuje pracę niemożliwą, o ile zaś wytęża swe siły w tym kierunku, męczy się nadmiernie i naraża się wskutek tego wysiłku na zupełną ruinę; stwierdzono wreszcie, dodaje Faguet, że rozwój społeczeństwa dokonywa się jedynie wskutek ruchów i usiłowań nieustannych i nieznacznych, i że duży postęp jest nagromadzeniem małych postępów... Że tak jest to niewątpliwe, czy jednak owe nagromadzone ruchy drobne nie wytwarzają i nie przygotowują niekiedy ruchów wielkich, temu trudno zaprzeczyć i wiek XVIII-ty, który robił właśnie te wielkie ruchy, częściowo również miał racyę.

Wiek XVIII-ty, powiada jeszcze Faguet, spopularyzował i rozgłosił nauki przyrodnicze. Otóż i one przychodzą do wniosków niezgodnych z jego zasadami. Nie wierzą oni ani w „umowę społeczną", ani w równość pomiędzy ludźmi. Przeciwnie, pojęcia o dziedziczności i doborze naturalnym zestawiają stare przesądy o dobréj krwi (rasie) i arystokracyi... Restaurują w innéj atoli nieco formie.

Zresztą, kończy krytyk, jestto losem dzieł ludzkich rozpoczynać i podejmować prace, których końca i wyników ostatecznych przewidzieć nie jesteśmy w stanie, każde jednak dzieło, byle potężne i twórcze ma swoją wartość i usiłowania więc wieku XVIII-go, aczkolwiek słabe i wadliwe w niejednym punkcie, pozostają wielkiemi.

IV.

Przytoczywszy prawie dosłownie ogólny pogląd na wiek XVIII, przejdziemy z kolei do szczegółowéj charakterystyki każdego z wybitnych pisarzy tego okresu. U Fagueta zawartą jest ona w obszernym woluminie o 500 przeszło stronicach i wykonaną została z niezwykłém bogactwem w szczegółach, stopionych umiejętnie i zamkniętych psychologicznie w odrębne całości, będące mistrzowskiemi charakterystykami i nader cennemi rozprawami w zakresie zarówno literackim, jak socyologicznym. Miejsce nie pozwala nam omówić studya te tak wyczerpująco, jakbyśmy pragnęli. Postaramy się jednak poddać najgrubsze choćby zarysy tych portretów.

Więc naprzód Piotr Bayle, który zapowiada wiek XVIII-ty, lubo do niego nie należy, aczkolwiek dykcyonarz jego jest biblią tego stulecia. Dlaczego nie należy? Dlatego — tłómaczy Faguet — że choć zapatrywania Bayle'a są niewątpliwie temi samemi, jakie wyznawał i daléj rozwijał cały wiek XVIII-ty, to jednak pozbawione są tu wszystkich tych cech, które następnie charakteryzować je będą. Bayle to samotny szpéracz, erudyta, zamiłowany w prawdzie jedynie, bezinteresowny całkowicie, nie mający żadnych ambicyi, ani téż „przesądów" wieku XVIII-go. Nie jest on wcale ani prymitywny, ani młody i nietylko nie wierzy w panowanie rozumu, lecz jest przekonany najmocniéj, że rozum najmniéj ma kwalifikacyi do panowania nad światem. Człowiek jest zwierzęciem z natury swéj mistyczném i przesądném, poddaje się więc tylko temu, co jest tajemnicze, nieznane, niejasne, nigdy zaś temu, co jest rozumne, logiczne i jasne. Bayle nadto rozumić, że inaczéj być nie może i że zapanowanie rozsądku i zupełnéj trzeźwości byłoby końcem człowieczeństwa. Nie wierzy on w to również, ażeby historya była mistrzynią ludzkości, każdy bowiem wiek powtarza stare i nowe błędy i żadnéj nauki z dziejowego doświadczenia nie czerpie. „Bayle, mówi Faguet, przedstawia chwilę bardzo krótką i bardzo ciekawą, kiedy wiek XVII-ty już się skończył, nie zaczął zaś jeszcze XVIII-ty, chwilę zupełnego i beznamiętnego sceptycyzmu między dwiema wiarami, i jakby inteligentnego zmęczenia między dwoma wysiłkami." Fontenelle, który również należy do téj doby, w trzydzieści lat późniéj powié: „Zastrasza mnie siła przekonań, która wokoło mnie panuje." Fontenelle próbował naprzód swych sił w różnych rodzajach literackich bez powodzenia, z powodu zupełnego braku wyobraźni, uczucia i potęgi twórczéj i znalazł dopiéro swą drogę, kiedy wziął się do popularyzowania zajmujących podówczas coraz bardziéj wyników nauk

przyrodniczych, w pewném literacko-filozoficznem obrobieniu. Taką właśnie jest głośna jego rozprawa p. t. *Sur la Pluralité des Mondes*, skierowana uboczni, jeszcze nie wprost, podobnie jak wszystko co pisał Bayle, przeciwko wierze religijnéj. Fontenelle należał w młodości do małego kółka uczonych i umysłów ciekawych, które w końcu XVII stulecia zbiérało się stale w pewnym małym domku na przedmieściu Saint-Jacques (dziś ulica tegoż nazwiska), komunikując sobie wzajemnie wyniki nowych poszukiwań i spostrzeżeń. „Ten mały domek na przedmieściu był kolébką XVIII-go wieku", dodaje Faguet. Zaznaczyć jeszcze wypada, że Fontenelle dał się naprzód poznać jako antagonista Boileau i stanowczy przeciwnik klasycyzmu, który zwalczał niezmordowanie, torując tém drogę romantyczno-realistycznéj szkole 1715 roku. Marivaux rozpoczął również od filozowania, zwalczania starożytnych, pisał powieści i nowele, w których okazuje niepospolitą intuicyę psychologiczną, zyskał jednak sławę głównie jako dramaturg, autor obrazków scenicznych, lekkich, nieco realistycznych, opartych nadto na trafnéj nader obserwacyi psychologicznéj. Faguet poświęca obszerne studyum charakterystyce Marivaux. Le Sage, autor *Gil Blas*'a daje krytykowi powód do szczegółowego wyjaśnienia sprawy powieściowego realizmu, który odróżnia od naturalizmu, lubującego się w jaskrawém odworzeniu pewnych brutalnych stron natury ludzkiéj, kiedy realizm wiernie ma odtwarzać przeciętnego człowieka.

Wymienieni tu pisarze reprezentują początek XVIII-go stulecia i jego literaturę drugorzędną, mającą jednak więcéj literackiéj czysto wartości, niż dalsza, wielka, literatura tegoż wieku. Nie mogę dość silnego kłaść na to nacisku, jak wybornie nakreślone są te sylwetki, jak trafnym i umiejętnym okazuje się w nich Faguet psychologiem i jak subtelnie rozbiéra i charakterryzuje utwory tych pisarzy. Nie zupełnie trafia mi do przekonania to, co pisze o realizmie, nie tu jednak miejsce do obszernych wyjaśnień.

Przystąpmy teraz do charakterystyki wybitniejszych postaci XVIII wieku: Montesquieu'go, Woltera, Diderot'a, Rousseau... Trudniéj tu jeszcze zwięzłe i zaokrąglone charakterystyki Fagueta ująć w kilka słów.

Montesquieu, mówi Faguet, jest niesłychanie wielostronny. Jest w nim jakby kilku ludzi, a w jego systemie kilka systemów. Ludzie ci przytém i systemy nie tworzą bynajmniéj harmonijnéj grupy, lecz często wyłączają się nawzajem. Montesquieu jest człowiekiem staréj daty, człowiekiem swego czasu, człowiekiem nam spółczesnym, a nawet człowiekiem przyszłości; jest on konserwatystą, arystokratą, demokratą, filozofem naturalistycznym i racyonalistycznym. We wszystkiém tém

jest jasnym i określonym. Jestto świat, któremu brak środka ciężkości i którym jest jedynie geniusz Monteskiusza. W pierwszéj swéj fazie Montesquieu jest przedewszystkiém człowiekiem początku XVIII wieku, sceptykiem wesołym i pustym, nie znoszącym żadnych powag i żadnych tradycyi, stanowczym nieprzyjacielem zarówno klasycyzmu, wszelkiéj poezyi i retoryki, jak i chrystyanizmu, który w swych *Lettres persanes* atakuje bardziéj stanowczo i brutalnie, niż Fontenelle w swéj walce podjazdowéj. W „Listach perskich" jest już jednak i socyolog. Montesquieu czytał wiele podróży i sam następnie wiele podróżował, ciekawym był bardzo jak ludzie żyją w różnych strefach geograficznych i na tém osnuł swą naturalistyczną socyologię, nacechowaną pozytywistyczno-przyrodniczym fatalizmem, według któréj człowiek, społeczeństwo, jest przedewszystkiém produktem klimatu i warunków geograficznych, do czego gotów był dodać: ekonomicznych i wszelkich innych. W końcowych rozdziałach „Listów perskich" i w *Esprit des Lois* jest w całości cała nasza dzisiejsza „socyologia". Montesquieu jednak nie poprzestał na téj socyologii. Pochodził z południa Francyi, z dawnych prowincyi gallo-rzymskich, był legistą i zachował lub raczéj odczuwał wielką admiracyę dla dawnego państwa rzymskiego, dla wielkich cnót republikańskich, dla potęgi władzy, rozumnego prawodawstwa, jednolitéj i sprężystéj administracyi... Z tego uwielbienia, które rewolucya doprowadziła następnie do fanatyzmu, Montesquieu wyprowadził system, który jest całkowitém zaprzeczeniem owéj przyrodniczéj i fatalistycznéj socyologii, lub raczéj góruje nad nią i według którego człowiek może świadomie przeciwdziałać ślepemu fatalizmowi klimatów i warunków, stwarzając rozumne prawodawstwo, działając energicznie i mądrze... Ostatecznie charakteryzuje Faguet „Ducha praw" jako księgę, należącą do „krytyki politycznéj", w tém znaczeniu, że krytyk powinien zrozumiéć i wżyć się w najsprzeczniejsze systemy. Jeżeliby się zaś dało wyciągnąć z téj krytyki jakiś jednolity system polityczny, to Montesquieu, według Fagueta, okazałby się zwolennikiem organicznego poglądu na społeczeństwo, oraz „monarchii arystokratycznéj, otoczonéj instytucyami demokratycznemi."

Charakterystyka „mędrca z Ferney" wypada dla niego niezbyt korzystnie, jestto jednak udziałem ludzi bardzo głośnych i sławnych w swoim czasie, że sławę tę nie zawsze potwierdza potomność. Wolter wysunął się na pierwszy plan, jako ukryty lub jawny wróg chrześciaństwa, kościoła i wszelkiéj wogóle religii i jako taki przeszedł do potomności, lubo nie był ani jednym z najśmielszych, ani jednym najniebezpieczniejszych przeciwników; był jednak najgłośniejszym, pisał wiele, żył długo i był w swéj działalności niezmordowany. Zobaczmy, jak wygląda

w charakterystyce Faguet'a, która jest jeżeli nie najważniejszém, to najbardziéj może interesującém ze studyów, pomieszczonych w „wieku XVIII-ym.” Jest ona widocznie zaprawna sarkazmem i niechęcią, krytyk stara się jednak, ażeby za niego mówiły fakta, i te są nieraz wymowne.

„Wolter, powiada Faguet, jest przedewszystkiém uszlacheonym mieszczaninem (*bourgeois gentilhomme*) z czasów regencyi, bardzo wzbogaconym, dość śmiałym, nader impertynenckim i zachowującym wszystkie braki pochodzenia i pierwotnego wykształcenia... Co wyróżnia przedewszystkiém mieszczanina, to że nie ma on zmysłu artystycznego. Wolter nie jest artystą ani na jotę. Mieszczanin nie bywa również filozofem i Wolter nie ma ani głębokości, ani podniosłości filozoficznéj; synteza jest mu niedostępną... Jest natomiast wysoce praktyczny, cecha również mieszczańska, a nawet aferzystą genialnym, ambitnym i nader czynnym. Robi téż w ciągu lat kilku majątek i następnie pracuje już tylko dla sławy, wiedząc, że pisać umié. Nie ma właściwie w głowie żadnéj własnéj myśli, ani téż własnéj artystycznéj koncepcyi, przerabia natomiast niezmordowanie w ciągu lat sześćdziesięciu cudze myśli i pomysły, dorabiając się w ten sposób i sławy i pieniędzy. Zachowa téż całe życie wady mieszczanina francuskiego: będzie twardym dla słabszych, pełnym pogardy dla „kanalii”, prześladowcą niezmordowanym, ile tylko nadarzy się sposobność. Za głupstwo, z niesłychaną zawziętością zadenuncyuje Roussa, jako wroga religii i domagać się będzie nawet kary głównéj na tego burzyciela; podobnym będzie dla innych i nie omieszka nigdy grozić galerami i bastylią tym, którzy śmią go napadać. Wyniosły dla niższych i słabszych, będzie natomiast uniżony, a nawet poniżający się i wyrozumiały dla silnych i stojących wyżéj. Pochlebstw skąpić nie będzie i przyjmie w pokorze nawet obelgi. Dla Fryderyka II-go, który traktował go nieraz jak lokaja, nie ma dość słów pochwały za zajęcie Szląska, dodaje mu odwagi i dziwi się skrupułom, jakie mógłby mieć w tym względzie. Podobnie i w innych wypadkach. Dla zwyciężonych i słabych Wolter ma tylko pogardę. Jest człowiekiem bez skrupułów, gdy chodzi o interes lub powodzenie; jest przytém nader roztropnym, a fałsz i kłamstwo uważa za rzeczy najzwyklejsze. Rozprawy i pamflety wydawał zawsze bezimiennie i wypierał się ich zawsze, skoro zachodziła potrzeba, a nawet bez potrzeby. Męczennikiem idei téż być nie lubiał. Spowiadał się nawet i komunikował publicznie w kościele wystawionym przez siebie w Ferney, niecopodal własnego domu. Na świątyni téj i dziś jeszcze oglądać można pretensyonalny napis: *Voltaire Deo erexit*, który mi przypomina ów pomnik wystawiony przez jakiegoś szlachcica Panu Bogu, w dowód wdzięczno-

ści za ratunek w jakiéjś okazyi, z napisem: „Ponieważ Pan Pana z téj biédy wybawił, przeto Pan Panu ten pomnik wystawił"... We względzie przekonań politycznych jest zdecydowanym wielbicielem jedynowładztwa, nie znosi żadnych instytucyi pośredniczących między ludem i władzą; jest także gorliwym i stanowczym zwolennikiem czujnéj i surowéj policyi. Pod koniec swego życia, czując potrzebę zasłużenia na jakiś szacunek publiczny, którego i u spółczesnych nie posiadał, wystąpił przeciwko karze śmierci i ujął się za paru niewinnie skazanymi, co mu téż zjednało dużo rozgłosu. Oto sylwetka.

Faguet rozbiéra następnie umysł Woltera i znajduje go powierzchownym, jestto umysł ambitnego egoisty, niezdolnego oddać się nawet idei. Wolter wszystko starał się poznać, nic jednak nie zgłębił, nie wyrobił sobie téż żadnych trwałych przekonań. Ma on niby przekonania, są one jednak wielorakie, niepochwytne, sprzeczne i równie nietrwałe, jak pewne siebie. „Wolter należy do tych, którzy często zmieniają stałe przekonania" — co daléj krytyk szczegółowo stara się uzasadnić. Walczył nieustannie przeciwko wszelkiéj nadprzyrodzoności religii, przyznawał jednak, że religia, nie potrzebna dla filozofów i ludzi bogatych, jest konieczną dla pospólstwa, jako kaganiec i wędzidło. Jeżeliby nie było Boga, powiedział, to trzebaby go było wynaleść — w celach policyjnych. Ogólne pojęcia Woltera charakteryzuje Faguet jako pewnego rodzaju naiwny antropomorfizm, który nie może wyjść po za siebie. Wolter ma takie zapatrywania, jakie odpowiadają własnéj jego pozycyi społecznéj i temperamentowi. Oschły i ograniczony pozytywista, powiada Faguet, Wolter niedostępny jest dla jakiegokolwiek poczucia tajemniczości; świat przedstawia mu się jako prosta nader maszyna, kierowana przez zręcznego mechanika, który nie budzi w nim żadnych uczuć... Konserwatysta zaciekły i niespokojny, obawia się on wszelkiéj zmiany w pojęciach i stosunkach społecznych; zwolennik silnéj i nieograniczonéj władzy centralnéj, przeciwny jest wszelkiemu samorządowi; anty-demokrata dla tłumu nic nie żąda, przeciwny jest nawet elementarnemu wykształceniu... Ideałem jego jest Fryderyk II-gi, trzymający w ryzie swych poddanych i łaskawy dla faworytów, jak Wolter...

Co się tyczy poglądów literackich to, jak już wspominaliśmy, zawrócił Wolter wiek cały ku literackiemu konserwatyzmowi, ku podkopanemu już klasycyzmowi, w poezyi był chłodnym i sztucznym wierszopisem, tragedye zaś jego są to plagiaty, w których dramaty starożytnych lub tragedye Racine'a przerobione zostały na melodramaty i wodewile... W podrzędnych rodzajach pisarskich umiał on nawet celować. Ogólne wrażenie, jakie pozostaje dziś przy czytaniu Woltera

jest niesmak i czczość. Wolter, kończy Faguet, jest przeciętnym Francuzem. „Człowiek raczéj dowcipny, niż inteligentny, więcéj inteligentny niż wrażliwy artystycznie — oto Francuz. Człowiek, mający wiele praktycznego zmysłu, szybki w odparciu ataku, władający piórem błyskotliwém i żywém i który wikła się w sprzecznościach, skoro dotknie przedmiotów wyższych — to także Francuz. Człowiek wreszcie niecierpliwiący się małém jarzmem i schylający pokornie głowę pod duże, to także Francuz i Wolter... Ostatecznie z pism Woltera wybrać będzie można z dziewięć tomów, jako wzór dobrego francuskiego dowcipu i francuskiéj, zręcznéj satyry...

Skończyliśmy. Szkic, który tu, w ślad za Faguetem rzuciliśmy przez to, że jest zbyt krótki i pobieżny, wyda się zapewne w wielu punktach gołosłowny i nieumotywowany a nadto, za zbyt czarny, brak mu bowiem półcieniów i odcieniów a nawet, rzadkich choćby, miejsc świetlanych, po które to uzupełnienia i półtony odsyłam ciekawego czytelnika do saméj pracy Faguet'a.

Diderot jest również z krwi i kości Francuzem, Francuzem mówi Faguet, z Francyi środkowéj, z Szampanii i Burgundyi, z nad Sekwany i Marny i Francuzem z klasy średniéj. Montesquieu to parlamentaryusz, Rousseau plebejusz, Wolter mieszczanin bogaty, zarozumiały i nadęty, Diderot zaś drobno-mieszczanin. Syn zasobnego dość rzemieślnika, który odebrał swe wykształcenie na prowincyi, ożenił się biédnie, który pracą pióra dobija się stanowiska w świecie, przemieszkuje stale na piątém piętrze, zawsze pół pan pół robotnik, żyje między jakąś wielką, czasami bardzo wielką damą, z powodu którego to zaszczytu nie posiada się z radości, a swoją żoną, robotnicą, która go nudzi, którą jednak pielęgnuje bardzo gorliwie, w razie choroby. Diderot, powiada Faguet, jest doskonałym typem téj klasy przejściowéj. Jest silny, krwisty i nieco trywialny. Je i pije kolosalnie, dostaje gwałtownych niestrawności, i o tém wszystkiém nie omieszka nam opowiedzićć. Pracowitym jest jak chłop i pracuje lat trzydzieści bez przerwy, dostarczając roboty, od któréj można zwaryować; ma jednak jakby gorączkę pracy i żadne zadanie nie wydaje mu się ponad siły; jest-to drwal, którego siekiéra nigdy nie spoczywa; jest przytém gadatliwy, niedyskretny, opowiadający wciąż o sobie, mieszający się w sprawy drugich, doradca wypróbowany i dobry towarzysz. Przyjaźń jego jest jednak męczącą i narzucają się, przytém o sprzeczkę i grube słowa nie trudno; jest-to przyjaźń człowieka z ludu. Delikatności i taktu w niéj nie szukać... Obok tego człowiek wyborny, gotów do pomocy, życzliwy, miłosierny, szlachetny, prawy i nie drobiazgowy w interesach, dobry ojciec rodziny pomimo swe metresy, kochający swego ojca i matkę, swoją siostrę, cór-

kę, nawet żonę, przywiązany silnie i gorąco, mówiący o ojcu swym w taki sposób, że chciałoby się ich obu uściskać. Moralność słaba, popędy grube, trywialne, dobre jednak porywy serca, dobre instynkty raczéj niż cnoty domowe, niezmordowanie w pracy, uczciwość, prawość i szczerość, ręka jednak ciężka, oto powiada Faguet, nasz drobny mieszczanin francuski, kiedy jest silnéj i zdrowéj konstytucyi — takim też był i Dyonizy Diderot. Mamy słabość dla niego, dodaje krytyk. Jest-to jeden z nas. Poznajemy go. Każdy z nas ma krewnego, który jest do niego podobnym jak dwie krople wody. Nie żywimy dlań osobliwego szacunku, kochamy go jednak i jesteśmy z nim na stopie poufałéj... Przytoczyliśmy dosłownie prawie tę charakterystykę, jest bowiem dosadna i obrazowa, maluje przytém dobrze krytyka, który zresztą z równą łatwością kreśli takie szkice węglem, jak i subtelne cieniowania ołówkiem. Kto przytém zna nieco średnie i robotnicze klasy francuskie, łatwo spostrzeże, jak trafną jest ta charakterystyka.

Odpowiednio też do swych uzdolnień i upodobań, ciągnie daléj Faguet, urządził sobie Diderot pracę i życie. W redakcyi „Encyklopedyi" jest pilnym, pracowitym i poważnym — przy robocie żartów nie ma a w biurze trzeba zachować się przyzwoicie. Napisał tu Diderot, artykuł za artykułem wcale wyczerpującą i prawowierną i bynajmniéj nie alarmującą historyę filozofii; jest tu nawet pełnym uszanowania dla religii i władzy. Dobry urzędnik, dodaje krytyk, potrafi wysłuchać z godnością swéj mszy urzędowéj. Po zatém pisze Diderot dla własnéj przyjemności, nie krępując się. Jest-to jego święto i zbytek, upaja się wtedy własnym umysłem i wyobraźnią. Wydaje się, jakoby wszystkie tego rodzaju prace Diderota napisane zostały po dobrym obiedzie i w wesołém towarzystwie przyjaciół.

Poglądy ogólne Diderota, mówi Faguet, nie są dość określone, są jednak między niemi błyski i intuicye człowieka prawdziwie wyższego. Diderot, pomimo całéj swéj porywczéj natury, jest nader dobrze poinformowany. Jest bardziéj uczonym niż Wolter, który jednakowoż jest także erudytem, nieskończenie więcéj niż Rousseau i wielostronniéj niż Buffon. Zna mianowicie dokładnie całą historyę filozofii według Bruckera, lecz i z własnych badań. Jego artykuły w „Encyklopedyi" o Arystotelesie, Platonie, Leibnitzu, Spinozie, Manicheizmie zasługują na uwagę i dziś jeszcze godne są odczytania. Jest on pełen Bayle'a zna jednak i źródła Bayle'a, co jest już wiele. Zna prócz tego: fizykę, chemię, fizyologię, anatomię, historyę naturalną i zna je bardzo dobrze. Pojmuje również, że poglądy ogólne wytwarzają się na podstawie zdobytych wiadomości i że filozofia jest syntezą wiedzy ludzkiéj. Diderot jest *au courant* wszystkiego; nie ma bardziéj otwartego ucha i ciekaw-

szego oka. Na téj szerokiéj podstawie zdobytych wiadomości Diderot buduje swą filozofię, którą wypowiada w *Lettre sur les aveugles* i w *Lettre sur les sourds muets.* Jest-to program filozofii ateistycznéj i materyalistycznéj. Filozofia Epikura, Lukrecyusza, Gassendiego i małéj szkoły materyalistycznéj XVII-go wieku występuje tu wzbogacona nowemi faktami. Obok innych prac spółczesnych jest-to już szkic doktryny ewolucyonistycznéj... Z filozofii téj wypływa ubóstwienie natury saméj w sobie i tego co jest „naturalne" w człowieku, gwałtowny zaś protest przeciwko temu, co w człowieku uważane jest za sztuczne, w co łatwo wliczyć wszystkie nabytki cywilizacyjne, kulturalne i historyczne. Indywidualizm i naturalizm stawi nadewszystkiém i przedewszystkiém, zapominając o tém, że człowiek jako jednostka tylko ludzkiéj zbiorowości żyje życiem wspólném i liczyć się musi z jego wymaganiami i dorobkiem... Jako artysta, Diderot obdarzony był wzrokiem nadzwyczaj bystrym, umiał patrzéć, miał przytém werwę i żywość w opowiadaniu, język improwizowany, barwny jednak i dosadny. Zalety te stanowią największą wartość w opowiadaniu p. t. *Neveu de Rameau.* Powieści tendencyjne *Religieuse*, *Jacques le Fataliste*, *Père de famille*, *Fils naturel*... są słabsze dlatego, że Diderot nie rozumial tego jeszcze dokładnie, że morał winien sam wypływać z opowieści... Prócz utworów pisanych Diderot'a należy brać w rachubę niezmordowaną jego działalność propagatorską, która sprawia, iż był on duszą całego ruchu, który się wokoło niego koncentrował; to dopiéro lepiéj uwydatnia wybitną rolę jaką odegrał.

Studyum o Janie Jakóbie Rousseau, powtarzać tu nie możemy, tak jest bogate i wielostronne. Faguet kreśli charakterystykę Rousseau, rozbiéra szczegółowo *Discours sur l'Inegalite*, *Lettre sur les Spectacles*, „Emila, Nową Heloizę, Wyznania," *Contrat social*. . i zamknąwszy głębokie i wielostronne to studyum w dziesięciu rozdziałach, kończy konkluzyą: „Jest on bardzo wielkim; jest-to natura oryginalna i bogata, jedna z tych indywidualności, które streszczają w sobie, lub przynajmniéj wyobrażają w śladach, które po sobie zostawiły całą historyczną epokę. Dążenia Roussa świadczą o umyśle wyższym, marzenia jego są świadectwem wielkiéj duszy, łagodnéj i zranionéj. Obok niego Wolter wydaje się niekiedy dowcipnym studentem a nawet Buffon profesorem jedynie retoryki. Tylko Montesquieu, niższy od niego wyobraźnią, dorównywa mu potęgą wzroku a przewyższa jasnością widzenia... Rousseau, powiada Faguet, dał potężny bodziec umysłowi i sercu ludzkiemu, stał się poprzednikiem i pionierem rewolucyi, romantyzmu i wielu innych dążeń nowoczesnych...

Buffon, znakomity naturalista, poprzednik Lamarcka, autor

Théorie de la Terre, szczególniéj zaś *Epoques de la nature*, także jedna z wielkich figur XVIII wieku, wyróżniająca się przedewszystkiém siłą kontrastu. O ile wiek ten był niespokojny i burzliwy, o tyle Buffon niewzruszony i pogodny, cały oddany badaniom z niczém niezamąconą swobodą umysłu, temperamentem równym i wytrwałością niezmordowaną. Przeżył przeszło pół wieku w ogrodzie botanicznym, ograniczając się do swéj pracowni i jednego pokoju, który przez cały ten czas zajmował, nie troszcząc się o to, co się dzieje poza ogrodem. Wpatrzony w olbrzymie epoki geologiczne naszéj planety, z wyniosłością mędrca spoglądał na otaczające go miotania się, które uważał zapewne za chwilę małoznaczną i przelotną w życiu Ziemi... Faguet z widoczną przyjemnością, umiejętnie wyzyskując artystyczne wrażenie kontrastu, kreśli zarówno charakter tego uczonego, jak i nader szczegółowo rozbiéra różne strony jego teoryi. Buffon, umysł otwarty i swobodny, nie krępowany żadnemi przesądami, ani staremi, ani nowemi, w którym bierze początek wiele spółczesnych teoryi naukowych. W historyi nauki, powiada, jest-to największa data między Kartezyuszem a Darwinem. Swojém zamiłowaniem w naturze i historyi naturalnéj Buffon wydaje się nieodrodnym synem wieku XVIII-go, lecz tylko z pozoru, ten bowiem naturalista jest, mimowoli poniekąd, przeciwnikiem najpoważniejszym, najbardziéj niepokojącym i kompetentniejszym materyalizmu i naturalizmu XVIII-go wieku. Wiek ten starał się nawrócić człowieka do natury, „ogólny zaś duch księgi Buffon'a o ewolucyach materyi i siły jest spirytualistyczny, w tém znaczeniu, że jest on ludzkim (*humain*), że człowiek zajmuje w niéj miejsce wysokie i wybitne i nie jest bynajmniéj obalony, poniżony, pochłonięty i zatopiony w mętnym i grząskim oceanie materyi, że nie jest bynajmniéj z nią zmieszany, i nie uważa się za jedną z bardzo pospolitych odmian zwierzęcych, jak i wiele innych." „Człowiek, według określenia Buffona, jest zwierzęciem, które nosi głowę wysoko:" i aczkolwiek zasadniczo nie różni się może od otaczającéj go natury, aczkolwiek jest może tylko najwyższą odmianą gatunków żyjących — wszystko to *in potentia* można odnaleść w Buffonie — to jednak swoją duchową wyższością wyróżnia się do takiego stopnia z otaczających go zwierząt i taką rolę odgrywa w naturze, że musi być uważany „za jedną z sił właściwych naszéj planety..."

Buffon należy również i do literatury, w charakterze bowiem członka Akademii francuskiéj, napisał słynny *Discours sur le style*, który przez długie lata uważano za kodeks dobrego pisania. Orzeczenie *le style c'set l'homme* wyjęte jest właśnie z tego kodeksu. Jest-to wzór stylu podniosłego, oratorskiego, jakiem pisane są właśnie dzieła Buffo-

na, którego Faguet uważa za jednego z wybitnych poetów wieku XVIII-go, który pozostawił wielotomowy poemat *De natura rerum* i który to sposób pisania nadaje się do traktowania szerokich tematów i wykładu ogólnych zapatrywań, poza tém jednak jest niewłaściwy i przez naśladownictwo, stał się nawet następnie plagą naukowéj i filozoficznéj literatury francuskiéj...

Mirabeau wreszcie, to wiek XVIII w czynie, wobec nieuniknionych zadań dzisiejszych, jakie ruch ówczesny i sama koléj rzeczy nasunęła i przygotowala. Mirabeau streszcza w sobie cały wiek XVIII-ty. „Niepodległy i śmiały w myśli, niewolnik swych namiętności, żądny wiedzy i użycia, targający wszystkie więzy i kujący sobie z własnych błędów i wad najcięższe łańcuchy, subtelny jak Montesquieu, encyklopedyczny jak Diderot, wymowny jak Rousseau, pamflecista, polemista i improwizator jak Wolter, wyrobnik literacki jak Prévost — cały ten wiek XVIII mamy przed oczami, umieszczony w temperamencie wyjątkowym, o potędze, sprężystości i żywotności straszliwéj. Mirabeau, nim wystąpił na arenę parlamentarną jako pierwszy mówca Konstytuanty, w ciągu lat dwudziestu niezmordowanie studyował w chwilach wolnych różne nauki i umiejętności społeczne, pisał różne rozprawy i memoryały w tym kierunku i był w owém zgromadzeniu nietylko pierwszym mówcą, lecz i największym i najkompletniejszym znawcą w rzeczach publicznych. Znał nietylko Monteskiusza na palcach, ale znał nader gruntownie całą konstytucyę angielską a nawet państwowy ustrój Prus ówczesnych; pisał o salinach w Franche-Comté, o ażyotażu, bankach, etc. Ta jednak wiedza rozległa zaszkodziła jego roli politycznéj w Konstytuancie. Nietylko nie był zrozumiany, lecz był nawet źle rozumiany i rozchodził się zupełnie w poglądach z Konstytuantą, lubo deklaracyę „o prawach człowieka i obywatela,” napisał już w r. 1784, na użytek Batawów... Zgromadzeniu z 1789 roku chodziło tylko o zmianę władzy, o przeniesienie punktu ciężkości władzy rządzącéj z osoby królewskiéj na Zgromadzenie. Mirabeau sięgał daléj i głębiéj. Pragnął on ugruntowania wolności na szerokich podstawach, na podziale władz, na samorządzie gmin i prowincyi etc. i dlatego przeciwnikiem był zarówno nieograniczonéj władzy królewskiéj jak i absolutyzmu jednego zgromadzenia w państwie zcentralizowaném i jednolitém; dlatego również wchodził w tajne porozumienia z zagrożoną królewskością... Jak wiadomo plany Mirabeau nie znalazły urzeczywistnienia i sam on umarł dość wcześnie, ażeby uniknąć gilotyny. W jego osobie socyologiczna wiedza Monteskiusza poniosła zupełne fiasko w owym rewolucyjnym potoku, przygotowanym i wyżłobionym od czasów conajmniéj Lu-

dwika XIII-go, jak to wykazał Taine w swych poszukiwaniach historycznych...

Taka jest w najogólniejszych zarysach charakterystyka wieku XVIII-go, i wybitniejszych postaci tego dziejowego okresu we Francyi, według Faguet'a. Wiek ten tak mocno z wielu względów przypomina drugą połowę naszego stulecia, że wszystko co się o niém pisze, wygląda jakby pod adresem chwili bieżącéj było pisane. Faguet jest zbyt gruntownym i zbyt przedmiotowym krytykiem i historykiem, ażeby pisać zwykły pamflet tendencyjny. Sama już jednak natura przedmiotu jest tego rodzaju, że temat ten zyskuje barwę aktualności i temu też w pewnéj mierze zawdzięcza swe powodzenie praca Fagueta o wieku XVIII-ym, odskakująca znacznie od tego oświetlenia, jakie dawano téj epoce w czasach najnowszych.

V.

„Od roku 1800 do 1840, pisze Faguet, literatura subiektywnego natchnienia, literatura wyobraźni i uczucia, uczucia przytém w znacznéj części imaginacyjnego, zaświeciła niezwykłym blaskiem i pozostawiła głębokie ślady w naszych umysłach.” Literaturę tę w książce Faguet'a o wieku XIX-ym zaprezentują: Chateaubriand, Lamartine, Alfred de Vigny, Wiktor Hugo, Musset. Nad charakterystyką tych pisarzy zatrzymywać się nie będziemy, jest ona bowiem dostatecznie znaną i niejednokrotnie już przez różnych krytyków była robioną. Po studyach Brunetière'a, Hennequin'a, Lemaitre'a, Zoli-i innych, nie licząc opracowań specyalnych, Faguet nie wypowiada nic osobliwie nowego, psychologiczną swą jednak metodą krytyki te pogłębia, uzupełnia i zaokrągla. Chateaubriand, powiada Faguet, to największa data w historyi literatury francuskiéj od czasu Plejady. Kładzie on koniec ewolucyi literackiéj, ciągnącéj się blisko trzy wieki, od niego zaś rozpoczyna się nowa epoka, która trwa jeszcze i trwać zapewne będzie długo. Zawrócił on literaturę francuską z toru klasycznego naśladownictwa na drogę chrześciańską i narodową; od Chateaubrianda przytém biorą początek niektóre nowoczesne „stany duszy,” jak pewnego rodzaju napół religijna, napół estetyczna i marzycielska religijność, jak rozczarowanie, melancholia i inne formy pesymizmu, jak estetycyzm, jak wreszcie pewien sposób pisania. Lamartine, to improwizowany geniusz poetycki, który jako wierszopis nie ma wielkiego talentu, jest poetą melancholii, uczuć czystych i tęsknych i pewnego rodzaju zmęczenia, jakie nastąpiło po wielkich wysiłkach. Alfred de Vigny, jeden z najwybitniejszych przed-

stawicieli bezdennego pesymizmu, który ujął w pewien system i wyraził w utworach pełnych skończonego artyzmu; o wiele wcześniéj, przytém przed popularną dziś „religią ludzkiego cierpienia,” oświadczył, że „kocha majestat cierpień ludzkich.” Nader szczegółowa charakterystyka Wiktora Hugo wypada u Fagueta, jak i u innych krytyków spółczesnych, niezbyt pochlebnie dla tego poety, mimo to Hugo, to jedno z wielkich imion literatury francuskiéj, konkluduje krytyk i oddaje mu zasłużone pochwały. Alfred de Musset, poeta, u którego uczucie przeważało nad wyobraźnią i który przez to stoi odrębnie od szkoły romantycznéj. Głębią i siłą uczucia dosięgł on genialności, umiał poruszać i wzruszać.

Od r. 1840 geniusz francuski, powiada Faguet, szuka dróg nowych, często zupełnie rozbieżnych. Pomiędzy temi kierunkami notuje krytyk, między innemi, tendencyę czysto artystyczną, mającą swój początek w Teofilu Gautier. Nareszcie, powiada daléj, z literatury imaginacyjnéj, idąc z nią czas jakiś jedną drogą, odłączając się jednak coraz bardziéj, wypłynęła francuska powieść spółczesna, którą w szeregu studyów literackich Fagueta o wieku XIX-ym reprezentują: George Sand, Mérimée i Balzac. Ten ostatni, lubo często jeszcze wikłający się w romantyczności, wznawia kierunek realistyczno-naturalistyczny, zapomniany w roku 1840 od wieku już przeszło. Kiedy pojawił się Chateaubriand, powiada krytyk — wytworzyła się literatura wyobraźni, która panowała lat czterdzieści; realizm musiał jednak powrócić i wrócił, dając początek spółczesnemu naturalizmowi. Realizm jednak w naszéj literaturze, pisze Faguet, bywa tylko odpoczynkiem, zawieszeniem broni, rekonwalescencyą wyobraźni po wielkich uniesieniach i gorączkach. Najmłodsza generacya dzisiejsza, dodaje krytyk, szuka znowu dróg nowych dla swéj energii i zdolności twórczych; pociąga ją symbolizm, tajemniczość mytów i legend... Nie chce zniechęcać ich na téj drodze, radzi jednak młodym poetom, ażeby nie zapominali, że każda poezya ma, conajmniéj, swój punkt wyjścia w głębokiéj znajomości człowieka i że realizm dobrze rozumiany jest tą trwałą podstawą, na któréj opiérać się winna wyobraźnia, nawet wtedy, gdy wzbijać się zamierza do wysokiego polotu...

Studya literackie Faguet'a o wieku XIX-ym, obejmujące okres od r. 1800 do 1860, napisane zostały, jak już nadmieniliśmy, przed „Wiekiem XVIII-ym” i są dalszym ciągiem niejako studyów tegoż krytyka o literaturze wieku XVII-go. W przedmowie już do *Dix-neuvième siècle* powiada Faguet, że wielcy artyści tego okresu nie są po większéj części wielkimi myślicielami i że historyą idei tego peryodu należałoby napisać, biorąc raczéj imiona takie, jak: pani de Staël, de Maistre, Be-

niamin Constant, Guizot, Tocqueville, Stendhal, Proudhon... Jakoż, po napisaniu „Wieku XVIII-go" przystąpił krytyk do „Polityków i moralistów wieku XIX-go", które to studya są znowu dalszym ciągiem pracy jego o wieku XVIII-ym.

W pierwszéj seryi mamy: panią de Staël, de Maistre'a, de Bonalda, Beniamina Constant, Royer-Collarda i Guizota, szczegółowo, wszechstronnie scharakteryzowanych. W obszernéj przedmowie charakteryzuje znów Faguet tę grupę umysłów i pisarzy.

Moraliści francuscy początku naszego stulecia zajmowali się zarówno zadaniami moralnemi, jak i polityką. Nie należy się dziwić, że polityka zajmowała tak gorliwie filozofów francuskich od 1800 do 1830 roku. Po rewolucyi najpilniejszą rzeczą wydawało się wytworzyć politykę konstytucyjną, organiczną, opartą na socyologii ogólnéj. Przed rokiem 1789-ym można było jeszcze ulepszać istniejącą konstytucyę; po rewolucyi i cesarstwie trzeba było znaleść nową, odpowiednią dla Francyi. Tém się właśnie zajęli głównie myśliciele owocześni. Usiłowania te jednakowoż, równie jak podobne zabiegi, teoretyczne przeważnie wieku XVII i XVIII-go, nie zostały uwieńczone powodzeniem, co przypisać należy w części i błędom samych teoryi. Życie poszło swoją drogą, nie wiele się troszcząc na razie o te wywody.

W czasie między r. 1789 a 1815 należało niewątpliwie stworzyć nową naukę polityczną, po upływie jednak wieku XVIII-go trzeba było przedewszystkiém stworzyć naukę moralną i zasady moralności na czémś ugruntować. Wiek XVIII-ty był czasem upadku religii dotychczasowéj i powiązanéj z nią moralności. Trwałe i silne zasady etyczne przybierają zazwyczaj formę religijną, dlatego téż historyk początku wieku XIX-go powinienby przedewszystkiém poszukiwać nowéj religii. Zwracają téż uwagę usiłowania w tym kierunku podjęte przez saint-simonizm.

Myśliciele atoli, powiada Faguet, którymi w seryi niniejszéj się zajmiemy, nie stanęli na tém stanowisku, nie szukali nowéj religii, jedni z nich bowiem byli gorliwymi chrześcianami, drudzy zaś byli nimi przez pół, zdawało się im zaś, że są w całości; jedni więc nawoływali do zupełnego powrotu do wiary chrześciańskiéj i kościoła, drudzy zaś życzyli sobie chrystyanizmu złagodzonego, połowicznego, któryby mógł pogodzić się z nową epoką. Usiłowania te tracą z szerszego, oderwanego punktu widzenia w porównaniu z pracami zupełnych nowatorów lub całkowitych burzycieli, próby te jednak rekonstrukcyi lub pogodzenia są mimo to pouczającemi.

Co się tyczy prac politycznych tego okresu są one, powiada Fa-

guet, pierwszorzędne; od czasu Monteskiusza nie pojawiło się nic równie gruntownie i konsekwentnie pomyślanego.

Tak więc w początku wieku XIX-go stworzyć należało nową naukę moralności i nową naue polityczną. W porządku moralnym wieku XVIII-go zatracone zostały dwa poczucia: nadprzyrodzoności i tradycyi, a nadto religia chrześciańska. Od owéj chwili aż do nadejścia nowéj religii, jeżeli ma ona nadejść, uczucia moralne w sercu ludzkiém nie istnieją w formie religijnéj. Konieczném jest jednak zorganizowanie ich, choćby w jakiéjś formie tymczasowéj, jeżeli nie ma ona być stałą... W porządku politycznym zanikło również w wieku XVIII-ym uczucie dynastyczne, a także stara konstytucya francuska. Te rzeczy zaginęły, natomiast w ciągu tegoż wieku XVIII-go rozwinęły się w porządku moralnym trzy główne uczucia: indywidualizm, wiara w postęp i wiara w naukę. Francuz końca XVIII-go i początku XIX-go wieku wierzy w doskonalenie się nieskończone i wierzy w to, że wiedza jest kluczem całego postępu, że jest czynnikiem jedynym całéj cywilizacyi. Ma on poszanowanie dla ludzkiéj jednostki, wiarę w przyszłość, uważaną za lepszą koniecznie od przeszłości i że ten postęp odbędzie się za sprawą wiedzy. Z temi trzema uczuciami należy się liczyć, bądź dla ich zwalczenia, bądź dla podniecenia, bądź dla wydzielenia im odpowiedniego miejsca, kiedy się zajmujemy polityką lub etyką wieku XIX-go.

Prócz powyższych pojęć i uczuć z końcem XVIII-go wieku pojawiły się we Francyi, jako doniosłe fakty nowe i historyczne: swoboda i demokracya. Swoboda przedewszystkiém indywidualna, swoboda myślenia, działania... jako wyraz nader wielkiéj różnicy zdań, upodobań i pragnień, jaka zapanowała podówczas; potrzeba jéj bywa mniéj odczuwana w okresach większéj jednolitości w poglądach i uczuciach między ludźmi; na indywidualnéj téj swobodzie zdaje się tracić społeczeństwo, jako całość organiczna i jednolita, co jednak traci w tym kierunku, odzyskuje w formie swobodnie i wszechstronnie rozwijających się sił indywidualnych. Demokracya jest faktem równorzędnym i polega na przyznaniu wszystkim równości prawnéj, cywilnéj. Ludzie są zbyt różnych uzdolnień i wartości, ażeby ich można było zgóry rozklasyfikować, zaprowadza się więc legalna przynajmniéj równość warunków współzawodnictwa i ubiegania się w walce o byt i znaczenie. Zrównanie warunków ekonomicznych, materyalnych, nie pojawia się narazie w programie demokracyi, występuje jednak z kolei w formie demokracyi socyalnéj. Ponieważ jednak w indywidualistycznéj téj anarchii musi być jakiś rząd, wypada więc zgodzić się na rządy większości w ciałach reprezentacyjnych. Oto dwa wielkie fakty historyczne, powiada Faguet, które zjawiają się z za progu naszego stulecia i które stają

się z konieczności dwoma uczuciami. Dwa te fakty (swoboda i demokracya), powiada Faguet, są współrzędnemi, przeczą jednak sobie. Wspólne pochodzeniem, przybierają w dalszym rozwoju wrogie względem siebie stanowisko. Swoboda domaga się jaknajzupełniejszego wyłamania się z pod kontroli ogólnéj; demokracya tego rodzaju swobodę skłonna jest uważać za przywiléj i stara się ją ograniczyć; pomiędzy temi dwoma dążeniami wywiązuje się antagonizm i walka; swoboda niczém niekrępowana zerwałaby wszelkie węzły społeczne, demokracya znowu gotowa znieść wszelką swobodę... Przyczyn tego antagonizmu nie pojmuje dobrze Faguet, nie sięga bowiem dość głęboko w swéj analizie socyologicznéj i nie dostrzega, że powodem tego antagonizmu i téj sprzeczności są przedewszystkiém interesa majątkowe, ekonomiczne, niewątpliwie jednak myślicielom i działaczom pierwszéj połowy naszego stulecia, swoboda i demokracya przedstawiały się jako dążenia wrogie i sprzeczne, ku zażegnaniu więc tego antagonizmu kierowali wszystkie swe usiłowania.

Problemat moralno-religijny nie przedstawiał się, powiada Faguet, myślicielom między r. 1800 a 1830 w całéj pełni, pojmowali oni jednak dobrze, w znaczeniu powyższém, problemat polityczny.

Co się tyczy religii i moralności, de Maistre i de Bonald domagali się wprost powrotu na łono chrześciaństwa i kościoła, zapominając o tém, że powrót ten niemożliwym stał się dla tych, którzy stracili wiarę w nadprzyrodzoność i w opatrzność, którzy przytém mają inną wiarę, wiarę naukową i odmawiają kapłanowi tego, czém chętnie obdarzają uczonego, ufając mu i przyjmując fakta i teorye naukowe na wiarę. Wiara zmieniła swój punkt ciężkości, przeniosła się do nauki, na téj więc podstawie tylko może się zacząć budowa nowéj lub rekonstrukcya dawnéj religii. Nie pojmowali tego zarówno rekonstruktorzy *sans phrase*, jak de Maistre i de Bonald, którzy przynajmniéj byli konsekwentni i jednolici, równie jak i zwolennicy kompromisu nauki z religią. Pozostawało jednak niezaspokojone pragnienie nowéj religii, opartéj na nauce, czy naukowo uzasadnionéj, w którąby nietylko wierzyć można, lecz i uwielbiać. Pojawią się usiłowania w tym kierunku potém, usiłowania spóźnione, czy przedwczesne między r. 1830 a 1848, w początku jednak tego stulecia są dopiéro w stanie zarodkowym. Każda religia jest z natury swéj mistycznem połączeniem wiary z miłością, myśliciele zaś pierwszéj ćwierci naszego wieku nie mają w sobie ani źdźbła mistycyzmu. Są to krytycy i rezonerzy, przejęci jeszcze oschłym racyonalizmem wieku XVIII-go i którzy domagają się powrotu do religii, na podstawie jedynie logicznych, czy racyonalisty-

cznych przesłanek, a tacy ani nie budują, ani nie zestawiają żadnéj religii...

Zadanie polityczne XIX-go wieku zostało, mówi Faguet, trafnie pojęte przez publicystów pierwszéj ćwierci tego wieku. Zrozumieli oni, że wolność i demokracya są to dwa fakty spółrzędne i sprzeczne ze sobą. Jedni z nich, jak de Maistre i de Bonald, uderzeni nadmiernym rozrostem indywidualizmu, z którego oba te dążenia wypływają i przekonani, że tam, gdzie zatryumfuje indywidualizm, zginąć musi społeczeństwo, jako istota organiczna i jednolita, odepchnęli indywidualizm pod obu postaciami i zwalczali zarówno wolność, jak demokracyę. Przedstawiają oni smutny widok myślicieli samotnych, opierających się wezbranemu potokowi saméj historyi.

Inni, zręczniejsi i bardziéj elastyczni, zrozumieli, że wybierając z dwojga złego, należy wybrać swobodę, jako złe mniejsze i przeciwstawić ją demokracyi, jako złu większemu i groźniejszemu. W ten sposób, w walce przeciwko nowoczesnemu prądowi rewolucyjnemu, znajdowali sojusznika w samym wrogim obozie i starali się wciągnąć go do swego spisku. Uprzedzić i zażegnać rewolucyjne hasła zasady ludowego zwierzchnictwa, proklamując, określając i organizując wolność, liberalizm, który, jak powiada Faguet, z natury swéj jest arystokratyczny, to było zadaniem Constanta, pani de Staël, Royer-Collarda i Guizota; każdy z nich zresztą zadanie to pojmował w sposób sobie właściwy.

Jeden stara się określić pewną ilość praw osobistych, jako nieodłącznych właściwości jednostki i uchronić je od wpływu władzy indywidualnéj czy zbiorowéj. Inny przez swobodę rozumie przywileje, posiadane przez pewne zbiorowości, grupy jednostek, i ograniczające w ten sposób władzę centralną. Inny jeszcze swobodę uważa za prawo uczestnictwa każdego obywatela w administracyi kraju za pośrednictwem samorządu. Wszyscy ci przytém publicyści odrzucają organizacyę ludowego zwierzchnictwa i starają się wyłamać z pod jéj wpływu, oświadczając, że nie ma właściwie żadnego zwierzchnictwa i każdy stara się zorganizować rząd w sposób, któryby wykluczał przewagę większości. Jeden mianowicie opiéra zasadę rządu na równowadze różnych władz, z których żadna nie wychodzi wprost z ludu; inny wyprowadza ją wprost z prawa lub z karty konstytucyjnéj, jako zasady nieosobistéj, stojącéj ponad wszystkiém; inny jeszcze za zwierzchnią zasad obiéra rozum, widząc najpełniejsze jego uosobienie w klasie średniéj...

Wszyscy ci liberaliści są takiemiż wstecznikami, jak de Maistre i de Bonald, w tém znaczeniu, że wstecz cofnąć pragną prąd dziejów i nie są nawet szczerymi liberałami. Nie są jednak również arystokra-

tami i nie marzą o powrocie dawnych stanów, zmysł bowiem historyczny poucza ich, że klasy społeczne raz zburzone nie odbudowują się odrazu, mają też świadomość tego faktu, że korporacye uprzywilejowane dawnego porządku same się rozpadły jeszcze przed rewolucyą. Sądzą atoli w głębi duszy, że przed ostatecznym tryumfem demokracyi mogłyby uformować się nowe jakieś ciała arystokratyczne...

Bez względu na te usiłowania myślicieli i publicystów, mówi Faguet, wszystkie ich nadzieje zostały zawiedzione i wszystkie rachuby rozbite. Historya tych wysiłków jest historyą iluzyi i zawodów. Być może, dodaje przytém, wielkie dusze mają jaki wpływ na bieg rzeczy ludzkich, wielkie jednak umysły nie mają żadnego, wyjąwszy kiedy idą z biegiem prądu, a wtedy trudno zgadnąć, czy nim kierują, czy też tylko z nim płyną. Poniżéj myślicieli 1800—1830 r. masa społeczna, nie czytając ich i nie słuchając, przyklaskując im zresztą, gdy zdawali się jéj potakiwać, płynęła z prądem, który unosił ją już wiek przeszło, odbiegając coraz bardziéj od poczucia nadprzyrodzoności i tradycyi, od uczuć dynastycznych i hierarchicznych, wierząc coraz bardziéj w postęp, naukę i indywidualizm. Prąd przytém demokratyczny począł brać górę nad prądem liberalnym i pochłaniać go...

Mimo tych zawodów publicyści pierwszéj ćwierci tego stulecia pozostawili nam, mówi Faguet, nader interesujące tematy studyów etycznych i historycznych, które pouczającemi być mogą nawet w pełni demokratycznego prądu, który jest bądź cobądź, jak zdaje się mniemać krytyk, prądem przejściowym. Poczucie religijne, równie jak i pragnienie swobody istnieją, nabiérając niekiedy niepospolitéj siły i wyrazu nawet w najbardziéj wartkim prądzie demokratycznym i domagają się swego zadowolenia.

W tym względzie, jak i w innych, wielu faktów interesujących dostarczyć nam może druga ćwierć bieżącego stulecia. Pojawiła się wówczas, powiada Faguet, nowa generacya myślicieli, nader różna od poprzedzającéj, daleko od niéj śmielsza i jakby dotknięta niespodziewanym powrotem mistycyzmu. Są to: Michelet, który dość niespodziewanie zabłąkał się między literackie studya Fagueta o wieku XIX-ym, Edgar Quinet, którego sylwetkę drukowała już *Revue des deux Mondes*, wreszcie nasz Adam Mickiewicz, jako profesor w „Collège de France" i współkolega dwu poprzednich. Obok nich Lamennais, Leroux, Fourier...

Studya te wejdą do drugiéj seryi „Polityków i moralistów XIX-go wieku", która obiecuje być nader interesującą.

Edward Przewóski.



POSĄG.

Posąg nagi i cudny,
Jak snów greckich odbicie,
We mgle błysł mi ułudnéj,
I pogrążył w zachwycie.
Na pagórku wzniesionym,
Na podstawie z granitu,
Stał przed wzrokiem olśnionym
Wolny wszelkich trosk bytu.
Dziś, gdy zmrożą się oczy,
Lśni przed duszy oczyma
Ten mój cherub uroczy;
Mnie tęsknota pierś wzdyma.
O! niech zbliżę się do cię,
Splotem ramion obwiję;
Niech w marmuru martwocie
Wrzące serce zabije;
Niechaj usty spiekłemi
Żary w łono twe rzucę
I na podziw cię ziemi
Niech ku życiu ocucę.
Twoja białość promienna,
Boskich kształtów kontury
Lśnią jak perła bezcenna
W oceanie natury;

A ja klęczę pokorny
I wyciągam ramiona,
Jak do rosy wieczornéj
Drżąca kwiatu korona.
Gdybym raz cię przycisnął
Do téj piersi pragnącéj,
Z piersi śpiew-by wytrysnął
Jak zdrój lawy gorący.
I świat może raz jeden
Pieśń-by szczęścia usłyszał
I — wspomniawszy na Eden —
Chwilę szczęściem sam dyszał.
Ha! czy wzrok mnie nie myli?
Na me korne błagania
Skroń twa boska się chyli,
Jakieś wstrząsły cię drgania;
Przez twe ciało kamienne
Zda się nerwów znać sploty,
Jakieś życie płomienne
Bije z twojéj istoty;
Marmurowém ramieniem
Przywołujesz na łono
Pierś mą zdjętą płomieniem,
Do twych czarów stęsknioną.
Cudzie ty mój! spełnienie
Snów najwyższych artysty!
Lecę na twe skinienie,
Ideale przeczysty!
Tchu! tchu! piersi mi pękną...
O litości! czyż skona
Kto swe szczęście, bo piękno
Ma przytulić do łona?
Otom jest. — Skłoń się ku mnie,
Uściśnieniem zwróć siły!
Cóż to? Na téj kolumnie
Czyż nieczułéj głaz bryły
Wciąż ten samy, niezmienny
W swéj niebiańskiéj urodzie,
Stoi posąg kamienny
W olimpijskiéj pogodzie.

A tą skrą którą ożył?
Przebłysk barwy i ruchu?
Czym ja sam ją wytworzył,
W moim zarzekł ją duchu?
Rozpacz piersi mi pali,
Lecz się sen już nie prześni,
On się będzie snuć daléj
I odbijać w méj pieśni.
Boleść, łzy czy natchnienie,
Swe zachwyty czy burze —
Mnie odkryje cierpienia,
A ja światu powtórzę.
Tak, gdy w świat jeszcze dziki
Pieśń raz pierwszy znijść miała
Płakał wieszcz Eurydyki
I z łez pieśń się wylała.
I tu myt Orfejowy
Wciąż się dotąd powtarza:
Chcesz wywołać hymn nowy?
Zrań wprzód piersi pieśniarza.

A. M—ski.



LISTY CZESKIE.

XXIV.

Nigdy jeszcze położenie narodu czeskiego nie było tak osobliwém, jak to, w którém się znajdujemy obecnie. Przypominam tylko zmienne koleje, jakie przechodzimy już od pół wieku: byłem świadkiem narodowego poniżenia Czechów i ich niemocy politycznéj przed r. 1848, od owego roku brałem czynny udział w ich odrodzeniu narodowém i przedsiębranych ze zmiennem powodzeniem próbach wywalczenia sobie w cesarstwie austryackiém silnego i pewnego stanowiska politycznego; mogę téż powiedzieć, że jakkolwiek w tym długim szeregu lat zmieniały się kolejno czasy dobréj nadziei z czasami zupełnéj prawie beznadziejności, to jednak zawsze mieliśmy przed sobą coś określonego, pewnego, zawsze wiedzieliśmy, że albo zrobiliśmy kilka kroków naprzód, albo też że znowu nadeszła chwila zastoju, że musimy poczekać na przyjaźniejsze okoliczności, że wypada nam skupiać swe siły aż do nadejścia chwili pomyślnéj, w któréj będziemy mogli walczyć o dalsze powodzenia. I pomyślne te chwile przychodziły, były one zawsze wyzyskiwane, a postęp nasz, lubo powolny i często przerywany, był jednak ciągłym. Dziś położenie nasze stało się zupełnie innem, ocknęliśmy się nagle przed niepewnością, żaden człowiek nie może dzisiaj przewidzieć, co nas oczekuje, co nam przyniesie najbliższa przyszłość. Stosunki w naszym obozie narodowym są tak poplątane, zamęt sięga tak głęboko, że stoimy niemal bezradni wobec rozwoju wielce ważnych wypadków czasu, na które już żadnego wpływu nie możemy wywierać. Poli-

tyka młodoczeska, która w r. 1891 chciała w parlamencie wiedeńskim zdobyć szturmem uznanie dla naszych pretensyi narodowych, okazała się bezskuteczną, delegacya młodoczeska jest tam całkiem odosobniona, a to, co tam przedsięwzięła w swéj bezradności, ażeby zyskać dla siebie jakieś uznanie, podobne jest do czynu człowieka zrozpaczonego, poświęcającego wszystko, byle zaznaczyć swe istnienie. Nie ulega żadnéj wątpliwości, że delegacya młodoczeska, występując ze swym wnioskiem prawa powszechnego głosowania, zdążała do pozyskania dla swéj partyi masy robotniczéj; ponieważ jednak mogła ona wiedzieć i właściwie powinna była wiedzieć, że jéj się to udać nie może, gdyż robotnicy gonią za swemi własnemi celami i, ze względu na swe tendencye, nie mogą być sprzymierzeńcami ani partyi narodowéj, ani państwowo-prawnéj, więc jest rzeczą widoczną, że delegacya młodoczeska rzeczonym wnioskiem sprawiła tylko tyle, iż autonomistyczne dążenia narodu czeskiego, których przecież właściwie chciała być najlepszą i najodpowiedniejszą przedstawicielką a rzeczniczką, w sposób zgoła bezcelowy poświęciła specyalnym interesom swego stronnictwa.

Jeszcze centralista Schmerling na tyle pojmował stosunki państwowe federacyjnéj Austryi, że w nadanéj przez siebie ordynacyi wyborczéj sejmom poszczególnych królestw i krajów przyznał prawo obierania z pośród siebie delegacyi do rady państwa. Niemiecka partya centralistyczna poprawiła późniéj ten błąd swego pana i mistrza i zaprowadziła bezpośrednie wybory posłów do parlamentu wiedeńskiego. W tém przychodzą młodoczesi, co to chcą szturmem zdobyć czeskie prawo państwowe, i występują z wnioskiem prawa powszechnego głosowania do wiedeńskiéj rady państwa, przez co prześcigają nawet centralistów niemieckich w ich dążeniach do usunięcia praw autonomicznych poszczególnych królestw i krajów.

Polityka taka staje się zwolna zupełnie niezrozumiałą, jeszcze niezrozumialszemi atoli są sympatye, jakich większość narodu naszego nie skąpi téj niezrozumiałéj polityce młodoczechów. Należało przypuszczać, że tak wyraźnie ujawniające się niepowodzenia delegacyi młodoczeskiéj przynajmniéj inteligentnéj części narodu otworzą wreszcie oczy, i że przynajmniéj inteligencya ta dojdzie do przekonania, iż droga, obrana przez młodoczechów, nie doprowadzi narodu do zamierzonego celu. Tymczasem rzecz ma się inaczéj, i ostatnie wybory gminne w Pradze z d. 25 października dowiodły, że właśnie wśród inteligentnéj części narodu sympatye dla młodoczechów nietylko się nie zmniejszają, ale się raczéj wzmagają.

Reprezentacya gminna Pragi dzieli się na trzy kurye wyborcze. Pierwszą kuryą stanowią ludzie najwyżéj opodatkowani, t. j. ci, którzy

podatku bezpośredniego opłacają więcéj niż 100 złr.; do drugiéj należą ci członkowie gminy, którzy wnoszą podatku bezpośredniego mniéj niż 100, ale przynajmniéj 20 złr., i do tego ciała wyborczego zaliczają się wszyscy profesorowie szkół wyższych i średnich, doktorowie, członkowie duchowieństwa, oraz nauczyciele szkół ludowych, a zatém wszyscy przedstawiciele inteligencyi. Trzecią wreszcie kuryą stanowią wszyscy członkowie gminy, opłacający przynajmniéj 5 złr. podatku.

Otóż w pierwszéj i drugiéj kuryi młodoczesi dotychczas byli zawsze w mniejszości, i muszę tutaj zauważyć, że jeszcze przed trzema laty nie stawiali oni w tych kuryach wcale swoich kandydatów. Tylko w trzeciéj już od dawniejszego czasu posiadali większość i to jednak nie we wszystkich dzielnicach miasta (Stare i Nowe Miasto, Mała Strona, Miasto Józefa, Hradčany wybierają osobno). Dopiéro kiedy w roku 1891 do rady państwa zostali wybrani sami tylko młodoczesi, i kiedy tym sposobem większość narodu oświadczyła się za młodoczechami, ci ostatni wydali ze swéj strony hasło, iż teraz przyszedł czas, kiedy partya młodoczeska musi zdobyć również większość w reprezentacyi gminnéj miasta Pragi, i oto teraz przy wszystkich wyborach gminnych postawiono samodzielnie listę kandydatów młodoczeskich. Podług istniejącéj ordynacyi gminnéj, corocznie trzecia część deputatów miejskich ustępuje, a miejsce ich zajmują nowo obrani; mamy więc w Pradze regularnie co rok wybory gminne, i w bieżącym roku stało się to po raz trzeci, że pomiędzy młodoczechami a staroczechami nie było już mowy o kompromisie, lecz że młodoczesi, dumni ze swych powodzeń przy wyborach do rady państwa, postawili swych własnych kandydatów. W r. 1891 i 1892 staroczesi mieli zawsze stanowczą większość w pierwszéj i drugiéj kuryi wszystkich dzielnic miasta, tylko w trzeciéj zwyciężyli wszędzie kandydaci młodoczescy. Następujące zestawienie cyfr daje obraz ciągłego przyrostu liczby wyborców młodoczeskich przy wyborach gminnych Pragi.

Staroczesi		1891	1893	Młodoczesi		1891	1893
	I kurya	265	165		I kurya	113	132
Stare Miasto	II „	323	305	Stare Miasto	II „	209	246
	III „	214	164		III „	396	486
	I „	311	307		I „	156	173
Nowe Miasto	II „	536	593	Nowe Miasto	II „	383	619
	III „	246	221		III „	646	696

Tym razem w drugiéj kuryi Nowego Miasta z pomiędzy 2,219 zapisanych wyborców stawiło się 1,189. Ponieważ w téj kuryi można

przyjąć około 800 wyborców niemieckich, którzy się od wyborów powstrzymali, więc pozostaje 1,400 wyborców czeskich, z pomiędzy których stawiło się prawie 1,200. Jest-to dowodem, że tak ze strony młodoczeskiéj, jak i staroczeskiéj czyniono znaczne wysiłki, żeby zapewnić zwycięstwo swemu stronnictwu. Siedmiu deputatów miejskich należało wybrać w drugiéj kuryi Nowego Miasta. Wynik wyborów, który przez zgromadzonych przed lokalem wyborczym stronników partyi młodoczeskiéj został powitany okrzykami radości, był następujący: Okazało się, że obrano czterech kandydatów młodoczeskich, otrzymali oni bowiem więcéj niż połowę 1,189 głosów, a mianowicie od 596 do 619. Tak brzmiało 25 października wieczorem sprawozdanie komisyi wyborczéj. Dziwnym sposobem sprawozdanie to w kilka dni późniéj doczekało się osobliwszego sprostowania ze strony komisyi weryfikacyjnéj, która po każdym wyborze winna zbadać dokładność rezultatu. Okazało się mianowicie, że komisya wyborcza w drugiéj kuryi Nowego Miasta wszystkim kandydatom młodoczeskim policzyła o 5—6 głosów więcéj, a wszystkim kandydatom staroczeskim o 3—5 głosów mniéj. Trudno naturalnie rozstrzygnąć, czy się tu zakradła jedynie pomyłka zwyczajna, czy téż pomyłka umyślna. Przytoczone dopiéro sprostowanie wyborów w drugiéj kuryi Nowego Miasta ma w obecnych stosunkach wielkie znaczenie. Pokazało się, że obrano nie czterech kandydatów młodoczeskich, lecz tylko trzech; czwarty obrany jest kandydatem staroczeskim. Wskutek tego staroczesi już teraz mają zapewnioną większość pomiędzy deputatami Nowego Miasta, nawet gdyby w następujących potém wyborach ściślejszych mieli być obrani wszyscy trzéj kandydaci młodoczescy. Ponieważ zaś deputaci Nowego Miasta obiérają jedenastu członków do rady miejskiéj, składającéj się z 24 osób, więc staroczesi mają także zapewnioną większość w radzie miejskiéj; skoro zaś staroczesi w całém kolegium deputatów miejskich posiadają wciąż stanowczą większość, zatém i burmistrz miasta Pragi, którego właśnie teraz mają obiérać na trzy lata, tymczasem nie będzie jeszcze młodoczechem. Burmistrz tedy i rada miejska Pragi pozostają staroczechami, co wśród obecnych warunków posiada wielkie znaczenie.

Młodoczesi, stanowiący w reprezentacyi miejskiéj bardzo burzliwą mniejszość, od roku 1891 z gorączkowym pośpiechem zdążają do tego, ażeby kolegium deputatów miejskich i radę miejską stolicy krajowéj uczynić areną dla swéj agitacyi politycznéj. Ponieważ nie załatwili się jeszcze z wyrznięciem partyi staroczeskiéj, którą w pismach swych ogłaszają ustawicznie jako dobitą, ponieważ przeciwnie ta tyle razy uśmiercana partya ciągle jeszcze ma większość

w praskiéj reprezentacyi miejskiéj, a stąd posiada stanowczy wpływ na regulowanie i zarząd spraw gminnych, więc młodoczeska mniejszość nie garnie się bynajmniéj do cichéj pracy w interesie wspólnego dobra, lecz raczéj w sposób prawie ostentacyjny odznacza się tém, że powstrzymuje się wedle możności od wszelkiéj pracy, natomiast zaś w tém chałaśliwszy, ciągle zrzędzący i złośliwy sposób krytykuje prace innych. Jest-to osobliwe zjawisko, że młodoczesi, jak gdyby działali podług jakiéjś tajnéj komendy, wszędzie, gdzie tylko znajdą sposobność do wystąpienia w życiu publiczném, nie umieją robić nic lepszego, tylko lżyć partyę staroczeską i poniżać ją w opinii publicznéj. Jest-to, że tak powiem, ujemna strona ich działalności; o ich działalności dodatniéj trzeba, niestety, powiedzićć, że nie była ona dotychczas wielce szczęśliwą.

Co do praskich spraw gminnych, przytoczę tylko jeden wypadek, który może posłużyć za dowód słuszności mego twierdzenia. Zgodnie z całą swoją naturą młodoczesi posiadają tę właściwość, że lubią bardzo zwracać czémś na siebie uwagę, następnie zaś, że są zawsze skłonni do tego, żeby jak to mówią, wypłatać Niemcom jakiegoś figla, zwłaszcza jeżeli się z tém da połączyć przyświecający młodoczechom zawsze cel pochlebienia szowinizmowi czeskiemu. Tak powstał wniosek młodoczeski usunięcia w Pradze dwujęzycznych napisów na ulicach i placach i zastąpienia ich czeskiemi tylko. Dziwna rzecz, że wniosek ten przyjęła staroczeska większość kolegium deputatów miejskich, a okoliczność tę można sobie objaśnić tylko tym sposobem, iż większość owa była przekonaną, że wniosku młodoczeskiego nigdy nie będzie można przeprowadzić, ponieważ władza polityczna, t. j. namiestnictwo nie udzieli mu swojéj sankcyi. Młodoczesi wszakże umieli sobie poradzić. Zaraz po przyjęciu ich wniosku przez kolegium deputatów, kazano sporządzić jednojęzyczne tabliczki uliczne, i jak tylko były gotowe, młodoczeski inspektor urzędu gospodarczego gminy kazał je pocichutku, to znaczy, nie rzekłszy o tém nic burmistrzowi, a więc na własną rękę w porze nocnéj tu i owdzie poumieszczać, a dwujęzyczne tabliczki usunąć. Przytém urządzono całą sprawę mądrze w ten sposób, że nowe tabliczki jednojęzyczne poumieszczano na takich miejscach, gdzie wogóle tabliczki nie było, i że dwujęzyczne tabliczki pozostawiono na swych miejscach. Tym sposobem oto, mieszkańcom Pragi sprawiano niemal codziennie niespodziankę nowemi, czerwonemi napisami na ulicach w jednym języku, i niełatwo w rzeczy samej zrozumiéć, jakim sposobem wszystko to dziać się mogło. Stąd oczywiście wielkie oburzenie pomiędzy Niemcami, rekurs do namiestnictwa, ostatecznie zaś namiestnictwo wysyła do gminy pismo, w którém odnośna uchwała kolegium deputatów zostaje skasowaną i wydane rozporządzenie, ażeby jedno-

języczne tabliczki uliczne, umieszczone bez należytego upoważnienia, były do 26 października usunięte. Pismo namiestnictwa mówi zupełnie słusznie, że w Pradze, jako stolicy kraju dwujęzycznego, napisy na ulicach i placach muszą być w obu językach, témbardziéj, że Niemcy stanowią w tém mieście część ludności, któréj nie należy lekceważyć. Namiestnictwo powinno było jeszcze coś powiedziéć, co w danym wypadku ma bardziéj decydujące znaczenie, a mianowicie, że programem działania pierwotnéj czeskiéj partyi narodowéj było narodowe równouprawnienie z Niemcami, że w Pradze, dopóki Niemcy byli tutaj stronnictwem panującém, tabliczki uliczne były również ułożone w jednym języku i to niemieckim, następnie, że czeska partya narodowa uważała to za znaczny nabytek, kiedy na praskich ulicach i placach zostały poprzybijane tabliczki dwujęzyczne, z początku niemiecko-czeskie, a potém czesko-niemieckie; wreszcie, że teraźniejsze postępowanie młodoczeskie zmierza jedynie do pogwałcenia sprawiedliwości w odwrotnym kierunku, i że interes powszechny wymaga, ażeby jednakowe prawo działało na obie strony.

Przeciw decyzyi namiestnictwa, kolegium deputatów założyło rekurs do ministeryum, ale spotkało się z odmową. Przeciwko postanowieniu ministeryum, deputaci miejscy założyli znowu rekurs do trybunału administracyjnego i tam sprawa ta do dnia dzisiejszego (31 grudnia) nie doczekała się jeszcze rozstrzygnięcia. Pozwolono jednak praskiéj gminie miejskiéj pozostawić jednojęzyczne tabliczki uliczne tam, gdzie się znajdują, dopóki w sprawie téj nie będzie wydany wyrok ostateczny. Nie może być żadnéj wątpliwości co do tego, jaką będzie decyzya trybunału administracyjnego. Przyzna ona w zasadzie, że jużciż reprezentacya miejska ma prawo wydawać podobną uchwałę, zarazem jednak doda, że rząd ze swéj strony ma obowiązek powstrzymać tego rodzaju uchwałę. Jednojęzyczne tabliczki będą i tak pousuwane, a jedyny rezultat tego pomysłu młodoczeskiego, będzie polegał na tém, że młodoczesi całkiem bezpotrzebnie doprowadzili praską reprezentacyę miejską do starcia z rządem.

Cała ta sprawa ma właśnie dla naszych stosunków to bądź cobądź godne uwagi znaczenie, że wykazuje charakterystyczną różnicę pomiędzy polityką staroczechów i młodoczechów. Staroczesi starali się utrzymać, o ile można, przyjacielski stosunek z rządem i dążyli do zgody z Niemcami na drodze pokojowéj, ponieważ byli przekonani, że siły narodu czeskiego nie są jeszcze wystarczające do podjęcia przeciwko rządowi austryackiemu bezwzględnéj walki na życie lub śmierć, i ponieważ rozumieli, że bez Niemców i wbrew Niemcom nie zdołają osiągnąć celu swych dążności autonomistycznych. Tymczasem młodoczesi w nie-

co płochém przecenianiu sił swego narodu zastosowali do stosunków czeskich zasadę *„l'Italia farà da se“* i sądzą, że w ochoczéj walce przeciwko rządowi i przeciwko Niemcom przeprowadzą wszystko, co naród czeski może uważać za cel swych pragnień narodowych i politycznych. To dumne samopoczucie własnych sił schlebia naturalnie narodowi czeskiemu, i w tém to właśnie można upatrywać przyczynę wzrastającéj wśród Czechów sympatyi dla występujących tak śmiało młodoczechów. Pomimo to jest rzeczą więcéj niż wątpliwą, czy i tu sprawdzi się stara sentencya *Audaces fortuna juvat.* Najnowsze wypadki zdają się temu jakoś nie zupełnie odpowiadać; jednakże nie sprowadziły one jeszcze pożądanego otrzeźwienia. Zato gwałtowne wystąpienie młodoczechów w ostatnich czasach wytworzyło u nas takie stosunki, że na przyszłość spoglądamy prawie bez żadnéj nadziei.

17 maja 1893 r. sejm czeski został zamknięty w taki sposób, który młodoczesi roztrąbili jako świetne zwycięstwo swéj taktyki, który jednak przy trzeźwém rozważeniu można nazwać tylko godnym pożałowania wypadkiem. Za powód do tego posłużyła sprawa, o któréj muszę pomówić trochę szczegółowiéj. Chodzi tu o nieszczęsny spór narodowościowy pomiędzy Czechami a Niemcami. Ze strony czeskiéj wystąpiono niegdyś poraz pierwszy z projektem podziału królestwa czeskiego na obszar językowy czeski i niemiecki i sam właśnie Palacký chciał połączyć niemiecki obszar językowy z górną Austryą, tak iż Niecmy czescy mieli otrzymać swój sejm krajowy w Linzu. Nie wspominając o innych projektach, zaznaczę tutaj tylko, że poglądy w tym względzie zmieniły się o tyle, iż Czesi postawili jako zasadę polityczną niepodzielność królestwa czeskiego, i że tylko Niemcy dążą obecnie do zamkniętego, albo właściwie odosobnionego niemieckiego obszaru językowego w Czechach. Według ich życzenia, zarówno obwody administracyjne jak i obwody sądowe w Czechach powinny być tak ukształtowane, iżby z jednéj strony gminy niemieckie, z drugiéj zaś czeskie tworzyły osobne obwody. Aliści na pograniczu językowém znajdują się naturalnie tylko gminy z ludnością mieszaną, i dlatego stanowią one jedynie przedmiot sporów narodowościowych. Jest rzeczą bardzo trudną w tych gminach mieszanych oznaczyć w sposób niewątpliwy stosunkową cyfrę ludności i orzec zupełnie stanowczo, że oto tutaj większość ludności jest niemiecką, a tam czeską. Mieszkańcy takich gmin na pograniczu językowém mówią pospolicie obu językami krajowemi, ponieważ zniewala ich do tego codzienne obcowanie między sobą, łatwo zaś pojąć, że Niemcy liczą inaczéj niż Czesi. Otóż decydujące sfery doszły do całkiem rozumnego poglądu, że przy podziale gmin na odnośne obwody administracyjne lub sądowe rozstrzygającego znaczenia nie

może mieć stosunek narodowościowy ludności, lecz położenie miejsca, stosunki komunikacyjne, a wreszcie własne życzenie ludności.

W najnowszych czasach jest-to jawnym faktem, że Niemcy w Czechach dążą do utworzenia zamkniętego obszaru językowego, w którym wyłącznie tylko język niemiecki byłby językiem władz administracyjnych i sądowych, tak, iż władze te nie byłyby obowiązane do przyjmowania i załatwiania podań w języku czeskim. Natomiast w drugiéj części kraju miałoby być ustanowione pod tym względem zupełne równouprawnienie obu języków krajowych. Czesi jednak z zupełną słusznością opierają się temu zawzięcie i obstają przy równouprawnieniu obu języków w całym kraju. To téż podział obwodów sądowych i administracyjnych jest jednym z najgłówniejszych punktów spornych między Niemcami a Czechami. Na nieszczęście, uregulowanie tych obwodów stanowi także jeden z punktów owéj ugody wiedeńskiéj, zawartéj w styczniu 1890 r., którą młodoczesi potępili jako zbrodnię, popełnioną na narodzie, i o któréj nie chcą już nic słyszéć.

Rząd jednak obstawał przy tych rozprawach ugodowych i chciał je daléj przeprowadzić. Wskutek tego przesłał on sejmowi czeskiemu projekt, o którym sejm miał wydać swoją opinię. Projekt ten dotyczył ustanowienia nowego obwodu sądowego w Trutnowie i oczywiście zgodnie z życzeniem Niemców, był on tak ułożony, że ów nowy obwód sądowy miał być utworzony tylko z gmin niemieckich. Odpowiadało to więc myśli Niemców, pragnących wytworzyć zamknięty obszar językowy niemiecki. W odnośnéj komisyi sejmowéj posłowie większéj posiadłości ziemskiéj wystąpili z wnioskiem zmiany, a mianowicie, że do tego obwodu sądowego na zasadzie stosunków miejscowych należy także przyłączyć kilka gmin czeskich, tak iż w nowym sądzie powiatowym wypadłoby załatwiać sprawy w języku niemieckim i czeskim. Wniosek ten stanowczo odpowiadał zamiarom Czechów, albowiem stwarzał on stałą podstawę dla głośno przez nich bronionéj zasady równouprawnienia obu języków w całym kraju. Czesi zatém mogliby byli snadnie przyjąć ten wniosek i nie ma żadnéj wątpliwości, że rząd byłby na niego przystał. Ale młodoczesi uroili sobie, że sejm czeski nie powinien uchwalać nic takiego, coby się odnosiło do ugody z r. 1890, i tymczasem osiągnęli swój zamiar 17 maja 1893, wywołując zajście, które określiłem jako wypadek godny pożałowania.

Kiedy na posiedzeniu sejmu 17 maja postawiono ten przedmiot na porządku dziennym, młodoczesi wyprawili do marszałka krajowego deputacyę, która z pogróżkami żądała, ażeby przedmiot ten z porządku dziennego usunięto. Marszałek nie mógł się oczywiście na to zgodzić. Kiedy zatém sprawozdawca wstąpił na trybunę, ażeby zdać sprawę ko-

misyi sejmowéj z wniosku rządowego, dotyczącego ustanowienia nowego okręgu sądowego w Trutnowie, wszyscy młodoczesi podnieśli dziki wrzask, ażeby zagłuszyć głos sprawozdawcy; kilku z pomiędzy nich rzuciło się na stenografów i wyrwali im ołówki z rąk i papiér ze stołu, inni wyciągali szuflady ze stołów i walili niemi tak mocno o stoły, że kawałki z nich leciały na wszystkie strony, chwytali za kałamarze i robili z nich taki sam użytek, tak, że wkrótce nastało straszne spustoszenie, i całe to szkaradne widowisko ze wzrastającą gwałtownością ciągnęło się tak długo, że członkowie sejmu, którzy nie czuli w sobie ochoty do czynnego odwetu na swych burzliwych kolegach w przerażeniu przyglądali się wszystkiemu z osłupieniem, dopóki wreszcie namiestnik całéj téj scenie nie położył kresu tym sposobem, że ogłosił sejm za zamknięty.

Młodoczesi dopięli swego celu; sejm czeski nie wydał opinii o wniosku rządowym, i wypadek ten młodoczesi w sposób bombastyczny święcili jako odniesione zwycięstwo. Jużciż bądź cobądź dokonali oni tu czegoś, w czém nie tak łatwo zechce ich ktoś naśladować. Czy tym sposobem wywalczyli także coś dla narodu, czy podobne czyny bohaterskie nadają się do ustalenia sławy politycznéj młodoczechów, lub téż czy wskutek takiego prostackiego postępowania nie stała się ujma dla opinii politycznéj czeskiego narodu, — to są wszystko pytania, na które rzeczywiście wykształceni ludzie mogą mieć tylko jedną odpowiedź. Pomimo to wszystko, młodoczesi szczycą się ciągle swym 17-ym maja. Nie mogę im tego winszować.

Atoli „zwycięstwo," odniesione przez młodoczechów, miało się stać dla nich samych fatalném. Już przedtém starali się oni swe bezsilne stanowisko w parlamencie wiedeńskim zamaskować tym sposobem, że oto wystąpili z całkiem osobliwą teoryą, iż nie oni, deputowani narodu czeskiego, są uzdolnieni i powołani do tego, aby zdobyć uznanie dla politycznych pretensyi i praw Czechów, lecz, że sam naród musi tę pracę ująć w swoje ręce. Sądzili oni przeto prawdopodobnie, że teorya zastosowania siły brutalnéj, o któréj dotychczas można było słyszéć z ich ust tylko niejasne napomknienia, przez ich sławetny czyn z 17-go maja została dostatecznie wypróbowaną, poczęli tedy mówić o niéj teraz wyraźniéj. Łatwo podniecalna młodzież dała się już była porwać przez zachwalaną w pismach młodoczeskich samopomoc narodu. Utworzył się tajny związek pod niewinną nazwą „*Omladina*" (młodzież) i gotował się do polityki czynu.

Muszę tutaj wtrącić uwagę, że przez ludzi rozumnych, rozważnych i posiadających jakie-takie doświadczenie w rzeczach polityki, powstanie rewolucyjne narodu czeskiego uważane jest za największe nieszczę-

ście, jakie tylko może spaść na nasze głowy w teraźniejszych warunkach. Ponieważ bowiem powstanie takie musiałoby być wybuchem narodowego szowinizmu i oczywiście musiałoby być skierowane nietylko przeciw rządowi austryackiemu, ale i przeciwko Niemcom w Czechach, więc jest rzeczą widoczną, że rząd wiedeński musiałby się połączyć z berlińskim, ażeby bunt taki stłumić: pierwszy dla podtrzymania swéj powagi w Czechach, drugi dla obrony Niemców; a wtenczas łatwo mogłoby przyjść do tego, że porządek w Czechach zostałby przywrócony z pomocą pułków pruskich. I jeszcze coś więcéj nie należałoby wtenczas do dziedziny niemożebności, a mianowicie układy pomiędzy rządem wiedeńskim a berlińskim co do tego, jak podobnym rzeczom w Czechach możnaby zapobiedz na przyszłość; wtedy zaś, kto wié, czy jakiemu niemieckiemu mężowi stanu nie przyszłaby do głowy myśl, że kuracya radykalna możeby tu najprędzéj doprowadziła do upragnionego celu; gdyby zaś połączone rządy wiedeński i berliński postanowiły poprostu zgnębić naród czeski, to w każdym razie nasz byt narodowy byłby niebezpiecznie zagrożony. Pod tym względem nie należy się oddawać żadnym złudzeniom. Kto wśród nas ma oczy ku widzeniu, ten musi także widzieć wielu Czechów, który *mutatis mutandis* gotowi są każdéj chwili być znowu zgermanizowanymi Czechami, jakimi byli przedtém.

Nie może zatém być zgoła mowy o szczęśliwym dla Czechów wyniku powstania, i w tém to właśnie okazuje się występna lekkomyślność tak zwanéj polityki młodoczeskiéj, która dla zamaskowania własnych niepowodzeń chce popchnąć naród do gry w polityczne *Va banque.* Ale nietylko skutek jest wątpliwy wrazie zbrojnego powstania narodu czeskiego; samo powstanie jest więcéj niż wątpliwe, ponieważ trudno się dopatrzéć, kto je właściwie ma urządzać.

Do powstania rewolucyjnego potrzebni byliby naprzód przywódcy, a potém masy, któremi się ma dowodzić. Otóż u nas nikt a nikt nie wierzy, ażeby teraźniejsi przywódcy ruchu młodoczeskiego stanęli na czele zbrojnego powstania. Na to panowie ci są zbyt mądrzy; tu potrzeba, ażeby inni wyjęli im gorące kasztany z ognia, oni zaś sami chcą je tylko jeść, kiedy już porządnie ostygną. Toć widzieliśmy już, że panowie ci nie posiadają nawet odwagi swych przekonań, przypuściwszy mianowicie, że wszystko, co czynili dotychczas, czynili z przekonania; czytelnicy zaś niniejszego listu wkrótce zobaczą, czego się panowie ci nie wypiérali, byle pokryć swą odpowiedzialność, skoro ogłoszenie stanu oblężenia położyło koniec ich nierozważnym sprawkom, i im samym zagroziło niebezpieczeństwo pociągnięcia do odpowiedzialności. A jak niełatwą jest rzeczą dopatrzéć się u nas przywódców po-

wstania, tak samo trudno jest znaleść potrzebne do tego masy. Do burd ulicznych, które przez młodoczechów są zawsze uważane i spożytkowane jako prawdziwe demonstracye polityczne, można w większém mieście zawsze znaleść podobnych ludzi, ale motłoch ten nie może stanowić materyału do prawdziwego powstania narodowego. Robotnicy nie są bynajmniéj skłonni do szukania guzów gwoli młodoczechom, i ani wieśniacy, ani mieszczanie nie zrobią rewoulcyi dla młodoczechów, gdyż mówiąc poprostu, nie mają ku temu dostatecznéj przyczyny.

Jednĕm słowem cała taktyka młodoczechów była zupełnie chybiona; nie mieli oni właściwie pomiędzy swemi kartami kozery, którą grozili, i nie było w ich mocy przeprowadzić tego, co zuchwale przygotowywali. A że pomimo to nie cofnęli się przed przygotowaniami, to była z ich strony karygodna lekkomyślność i jeżeli dziś również zuchwale wypiérają się, jakoby byli sprawcami tego, co się stało, to jest-to tylko dowodem ich tchórzostwa.

Tymczasem nie mogę jeszcze donieść niczego pewnego o właściwéj tendencyi czyli celu tajnego związku „Omladina;" pod tym względem mogę podać zapewne tylko tyle, że od chwili ogłoszenia stanu oblężenia w Pradze i jéj okolicach już około stu członków tego związku znajduje się w więzieniu, że jednak do dziś dnia nie słychać jeszcze nic o wynikach śledztwa. Natomiast jest rzeczą jawną i powszechnie wiadomą, że młodoczesi przygotowanemu ruchowi starali się nadać tendencyę przeciwdynastyczną. Już w lecie bieżącego roku na młodoczeskich zebraniach ludowych dawały się słyszéć regularne, obraźliwe wynurzenia o cesarzu lub członkach rodziny cesarskiéj, tak iż nikt nie mógł powątpiewać, że odtąd podobne rzeczy są uważane za odpowiadające interesom stronnictwa, w każdym zaś razie przez kierowników partyi muszą być nietylko aprobowane, ale nawet formalnie zalecane. Demonstracye uliczne w Pradze stawały się coraz częstszemi przy każdéj nadającéj się i nie nadającéj sposobności, a o znaczeniu ich również nikt nie mógł powątpiewać. I oto w rocznicę reskryptu cesarskiego z 12 września 1871 miała być wykonana wielka manifestacya.

Rzecz miała być wykonaną w wielkim stylu, ażeby osiągnąć efekt stanowczy. W przeddzień zebranie w sali Zofii, w sam dzień 12 września zebrania ludowe pod gołém niebem i, naturalnie — wszędzie podżegające mowy. Młodoczesi widocznie sądzili, że tym sposobem nastraszą rząd i przytrą mu rogów. Co było przytém ich celem ostatecznym, nie jest rzeczą zupełnie jasną.

W takich okolicznościach miarka cierpliwości rządu wreszcie się przebrała. Zebranie młodoczechów w sali Zofii w przedzień 12-go

września zostało przez policyę rozwiązane, nazajutrz zaś przez ogłoszenie stanu wyjątkowego dla Pragi i jéj okolicy nagle położono kres dalszym demonstracyom. Rozwiązanie zebrania młodoczeskiego w sali Zofii odbyło się wśród osobliwych okoliczności. Mianowicie, obecni tam polityczni przywódcy młodoczechów na wezwanie policyi natychmiast salę opuścili; ale licznie reprezentowana „Omladina" chciała ustąpić tylko przed przemocą, i z jéj ust dały się słyszeć bardzo uszczypliwe wyrazy o tchórzostwie przywódców. Pomimo to, sala została opróżniona, a „Omladina", jak się zdaje, została napowrót przebłaganą zajściami, które się wydarzyły jeszcze tego samego wieczora. Mianowicie, rozwiązane zebranie zeszło się znowu razem w jednym z miejskich lokali restauracyjnych, i tam to przyszło do scen, które obecnie stanowią przedmiot śladztwa karnego, dopóki wreszcie i tam w ciągu nocy nie położono im kresu. Działy się tam rzeczy bardzo burzliwe. Pozrywano ze ścian i poniszczono znajdujące się w lokalu wizerunki monarchy i innych osób z rodziny cesarskiéj, potłuczono poustawiane tam popiersia tych osób i nie powstrzymywano się przytém bynajmniéj od obraźliwych wyrażeń. Do czego to wszystko zmierzało, tego rozważni ludzie pojąć nie mogą. Bądź co bądź, młodoczesi tym sposobem czegoś dopięli, a mianowicie stanu wyjątkowego.

Ten stan wyjątkowy czyli stan małego oblężenia, ogłoszony 12-go września, a więc w rocznicę reskryptu cesarskiego z r. 1871, polega na ograniczeniu prawa stowarzyszeń i zebrań, tudzież prawowitéj działalności sądów przysięgłych. O sądzie wojennym i doraźnym nie ma mowy. Jeżeli chcemy sądzić obiektywnie, to musimy powiedzieć, że ten stan wyjątkowy może krępować młodoczechów, ponieważ położył on kres urządzanym przez nich hałaśliwym demonstracyom, zresztą jednak zwyczajnych stosunków wzajemnych i pokojowéj gospodarki innych ludzi nie zamyka on w granicach, które należałoby uważać za istotną swobodnego ruchu przeszkodę. Od 12-go września panuje znowu w Pradze i najbliższéj okolicy większy spokój, i dotychczas nie wiadomo nic o nadużyciach władz lub samowolnych czynach organów policyjnych.

Rozumie się, jakem to już przedtém zauważył, że wydarzyły się liczne aresztowania — zarówno członków związku „Omladína", jak i obrazoburców z 11 września. Śledztwo sądowe nie jest jeszcze ukończone, a więc nie wiadomo, jak właściwie będzie brzmiało oskarżenie i przeciw jakim osobom będzie skierowane.

Pisma młodoczeskie stały się w swych wycieczkach przeciwko rządowi ostrożniejszemi i powściągliwszemi, a zwłaszcza dr. Juliusz Grégr, właściciel „Narodowych listów", bacznie uważa na to, ażeby

o ile można przeszkodzić zawieszeniu swego dziennika. „Národní listy” poprzestają obecnie na dobijaniu partyi staroczeskiéj, i pod tym względem stan wyjątkowy nie nakłada na nie żadnych ograniczeń. Prócz tego młodoczesi nie mieli już teraz co robić w Pradze, oznajmili przeto swéj wierzącéj publiczności z właściwą im pewnością siebie, że sprawę swoją wywalczą w parlamencie wiedeńskim. Tam powiedzą prawdę rządowi i zmuszą go do zniesienia natychmiast przykrego dla nich stanu wyjątkowego, jako zgoła nie uzasadnionego środka przemocy.

Tak więc delegacya młodoczeska, która wskutek ponownego wyboru została wzmocniona przez najsroższego kłótnika z praskiéj reprezentacyi miejskiéj, pełna dobréj myśli, wyjechała do Wiednia, gdzie 10 października odbyło się ponowne otwarcie parlamentu. Dzień ten stał się pamiętnym w dziejach rozwoju konstytucyjnego Austryi, przyniósł on bowiem całemu parlamentowi niespodziankę. Prezes ministrów hr. Taafe w imieniu ministeryum przedstawił izbie poselskiéj projekt prawa, dotyczący wprowadzenia prawa powszechnego głosowania przy wyborach do parlamentu. Podług tego projektu ma wprawdzie istnieć i nadal dotychczasowy system reprezentacyi interesów, a więc naprzód kurya wielkiéj posiadłości ziemskiéj z prawem obierania określonéj liczby posłów do rady państwa, następnie zaś podobne prawo ma przysługiwać i nadal izbom handlowym. Tylko w okręgach wyborczych miejskich i w gminach wiejskich każdy osobnik płci męskiéj powinien korzystać z czynnego prawa wyborczego, jeżeli skończył 24 lata, odbył służbę wojskową i umie pisać i czytać.

Młodoczesi, o których tutaj przedewszystkiém chodzi, wśród ogólnego zadziwienia nie wiedzieli oczywiście, czy się mają cieszyć, że ministeryum okazało się tak powolném dla ich wniosku prawa powszechnego głosowania, lub téż czy mają się martwić, że tym nierównie ważniejszym przedmiotem uwaga powszechna może być odwrócona od stanu wyjątkowego w Pradze, który właśnie chcieli wytoczyć zaraz na pierwszém posiedzeniu.

Konstytucya wymaga, ażeby taki stan wyjątkowy był poddany ocenie parlamentu, i przeczące zdanie tego ostatniego byłoby zmusiło rząd austryacki albo się do tego zdania zastosować i stan wyjątkowy znieść, albo téż parlament rozwiązać. Młodoczesi już byli na wszystkie strony roztrąbili, że izba poselska po mowach, jakie wygłoszą przy pierwszém czytaniu rozporządzeń wyjątkowych, będzie zniewolona wydać o tych rozporządzeniach sąd nieprzychylny, i że w sprawie téj porażka ministeryum jest zupełnie pewna. Przyszło wreszcie do pierw-

szego czytania, ale i tym razem to, co zdziałali młodoczesi, nie odpowiadało bynajmniéj danym przez nich szumnym obietnicom. Są oni zanadto przyzwyczajeni do łatwowiernéj i łatwo dającéj się omamić publiczności i nawet w Wiedniu zamało liczą się z tém, że znaczna większość izby poselskiéj nie żywi w swém sercu nader wielkich sympatyi dla narodu czeskiego, i że wogóle zasiadają tam mężowie, na których czcze frazesy i napuszoność nie robią żadnego wrażenia. Najgorzéj jednak w tak poważnéj sprawie działają liche dowcipy. Jeżeli pewien deputowany młodoczeski w mowie swojéj mógł się tak zapomniéć, że namiestnika czeskiego, hr. Thuna, nazwał „Fircykiem-Albą” [1]), to może on być przekonany, że tym marnym, pod każdym względem niestosownym dowcipem więcéj swojéj sprawie zaszkodził niż pomógł. Inny wszakże deputowany młodoczeski, i to taki, którego uważają powszechnie za ich najlepszego mówcę, pokpił sprawę jeszcze bardziéj, próbując czcigodną radę państwa przekonać zmyśloną bajką, zupełnie tak, jak gdyby mówił w karczmie wiejskiéj przed ludźmi ciemnymi, a nie w zgromadzeniu mężów, wyćwiczonych w polityce i doświadczonych w sprawach światowych. W swojéj lekkomyślności pan ten sądził mianowicie, że całą odpowiedzialność za wszystko, co się wydarzyło w Pradze i co ostatecznie doprowadziło do ogłoszenia stanu wyjątkowego, zwali z barków partyi młodoczeskiéj, opowiadając izbie poselskiéj w całéj rozciągłości i ze wszelkiemi możliwemi szczegółami nibyto polityczną powieść, któréj bohatér, według zapewnienia opowiadacza, jest jedynym sprawcą tego wszystkiego, cokolwiek ostatniemi czasy „godnego pożałowania” wydarzyło się w Pradze.

Gdyby się to wszystko nie stało rzeczywiście, i gdyby nie było na to dowodów w stenograficznym protokóle izby poselskiéj, to mógłby ktoś mniemać, że to zmyślił jakiś złośliwy staroczech, ażeby młodoczechów wobec świata ośmieszyć. Tymczasem jestto wszystko literalnie prawdziwém.

Obecnie wiadomo tutaj w Pradze, że bohatérem powieści posła młodoczeskiego, którego tenże chciał uczynić kozłem ofiarnym partyi młodoczeskiéj, jest nie kto inny, tylko pewien dwudziestoletni, umysłowo i fizycznie trochę wadliwie rozwinięty młodzieniec; wprawdzie jakiś czas temu stał on na czele całkiem dziecinnie-romantycznego związku tajnego, którego cała niepolityczna tendencya zasadzała się na badaniu Pragi podziemnéj, ale z jakąkolwiek partyą polityczną nie utrzymywał

---

[1]) „Alba-Gigerl“; w żargonie wiedeńskim „Gigerl“ oznacza zarozumiałego fircyka.

żadnych zgoła stosunków. Wiadomo, że dziennik tego młodego, całkiem bez znaczenia człowieka za pośrednictwem pewnéj młodéj dziewczyny, która potrafiła takowy wyłudzić od swego kochanka, dostał się do rąk wiadomego posła młodoczeskiego, i wiadomo również, że poseł ten nie wstydził się w interesie swojéj partyi z dziecinnych uwag i notatek usnuć pełną znaczenia powieść polityczną, czyli innemi słowy z muchy zrobić słonia i wmawiać w członków parlamentu baśń, jakiéj tam jeszcze nigdy nie słyszano. Ponieważ w praskich wybrykach i ekscesach brała jawny udział partya młodoczeska wraz ze swymi przywódcami politycznymi, więc wiadomy poseł, fabrykując swoją powieść, przeoczył zupełnie, jak okropne świadectwo ubóstwa daje on swojéj partyi, przedstawiając ją jako kierowaną albo właściwie zbałamuconą przez dwudziestoletniego młodzieńca, nie posiadającego żadnéj powagi politycznéj.

Młodoczesi przeto przy pierwszém czytaniu rozporządzeń wyjątkowych mieli w parlamencie wiedeńskim dzień nieszczęśliwy. Aliści miały przyjść na nich jeszcze gorsze chwile. Nastąpiło pierwsze czytanie wniosku rządowego, dotyczącego prawa powszechnego głosowania. Wprowadzenie tego wybitnie ważnego wniosku odbyło się w taki sposób, że należało go uważać za niebywały wypadek parlamentarny. Ministeryum nie zasięgało rady u żadnego z przywódców stronnictw parlamentarnych i całą sprawę trzymało w takiéj tajemnicy, że 10 października ów wniosek rządowy wywołał w całéj radzie państwa również niespodziane, jak nieprzyjemne zadziwienie. Można sobie to w każdym razie wytłómaczyć w ten sposób, że po oderwaniu się młodoczechów od dawniejszéj większości, ministeryum nie miało za sobą niewątpliwéj większości w parlamencie, sądziło zatém, że nie ma potrzeby komunikowania swych zamiarów rozmaitym stronnictwom. Czy takie objaśnienie owego wypadku w łonie ministeryum jest słuszne lub nie, faktem jest bądź co bądź, że przy pierwszém czytaniu wniosku przywódcy wielkich stronnictw w izbie poselskiéj, Plener w imieniu liberalnéj lewicy niemieckiéj, Hohenwarth w imieniu niemieckich zachowawców i Jaworski, jako prezes koła galicyjskiego, oświadczyli się przeciwko wnioskowi w sposób najbardziéj stanowczy. Młodoczesi musieli naturalnie przemawiać za wnioskiem i choć raz odegrać rolę partyi ministeryalnéj; przez to jednak nie zmieniło się nic w tém, co miało nastąpić.

Ministeryum Taafego podało się do dymisyi, rada państwa została 30 października odroczona, i nastał czas przesilenia, przy którém deputowani młodoczescy odgrywali zupełnie skromną rolę widzów, nie biorących w niczém udziału i o nic nie pytanych. Na podstawie koalicyi

parlamentarnéj trzech pomienionych stronnictw izby poselskiéj utworzone zostało nowe, tak zwane koalicyjne ministeryum, w którém wszystkie te trzy stronnictwa mają być zarówno reprezentowane, postawiono program, według którego te trzy stronnictwa mogłyby tworzyć stałą większość rządową, delegacya zaś młodoczeska jest przytém piątém kołem u wozu, jak gdyby wcale na świecie nie istniała. Juściż po otwarciu rady państwa posłowie młodoczescy będą zapewne mówić, prawdopodobnie nawet wiele mówić, jeżeli prezes nie odbierze im głosu, ale stan wyjątkowy w Pradze zostanie przez nową większość rządową zaaprobowany. Może wtenczas młodoczesi zrozumieją, że w Wiedniu nic nie znaczą na szali wypadków, i że cała ich polityka i taktyka jest z gruntu chybiona.

Nad losami czeskiego narodu ciąży jakaś osobliwa fatalność. Historya jest doświadczeniem narodów; otóż historya Czechów uczy nas, że niezgoda wewnętrzna już tyle razy przynosiła im niepowetowane szkody, i zdaje się, jakoby i tutaj sprawdzały się znowu słowa Byrona: *Experience makes no man wiser* (doświadczenie nie robi nikogo mądrzejszym). Jestto smutnym i godnym pożałowania faktem, że młodoczeszczyzna zniszczyła istniejącą dawniéj jedność narodową, i że obecnie główna działalność młodoczechów zasadza się na tém, ażeby tę niezgodę podtrzymywać, podsycać i doprowadzać do ostateczności, a wszystko to robi się z taką upartą konsekwencyą i namiętną gwałtownością, jak gdyby właśnie dopiéro tym sposobem można było zapewnić należycie zbawienie i szczęśliwą przyszłość narodowi. Ani rząd, ani Niemcy nie są zwalczani przez młodoczechów z taką zaciekłością i wytrwałością jak staroczesi; jestto bobrowanie i srożenie się przeciwko własnemu ciału — postępowanie, które nawet nasi przeciwnicy narodowi, Niemcy, zniewoleni są głośno potępiać, jakkolwiek sami wyciągają stąd tylko korzyść dla swéj sprawy. Teraz, kiedy stan wyjątkowy zmusza młodoczechów do zachowania większéj ostrożności w napaściach na rząd i dynastyę, wetują oni sobie to ograniczenie tém gwałtowniejszemi napaściami na staroczechów. Rozpoczęli przeciwko nim formalną walkę wytępienia, i jeżeli im się znowu kiedykolwiek uda jakiegoś dotychczasowego odważnego obrońcę praw i pretensyi narodowych oczernić i zdyskrytować wobec bezmyślnych tłumów, to święcą to jako chwalebnie odniesione zwycięstwo narodowe.

Że stosunki towarzyskie wskutek waśni narodowéj nie zyskują na przyjemności, o tém nie potrzebuję mówić. Jeżeli już przedtém Niemcy i Czesi żyli oddzielnie jedni od drugich, to podobny rozdział nastąpił obecnie pomiędzy staroczechami a młodoczechami. Rozpoczyna się on

już u studyującéj młodzieży i idzie tak daléj aż do sfer najwyższych. Prawdziwe życie towarzyskie jeszcze się wogóle pomiędzy Czechami nie rozwinęło i istnieje do dziśdnia tylko u Niemców. Rozumié się, że wskutek waśni narodowéj zostało zburzone nawet to, co się choć na małą skalę w tym kierunku wytworzyło, i jeżeli teraz jakiś cudzoziemiec przyjedzie do Pragi, to jużciż znajdzie on tu stowarzyszenia (naturalnie staroczeskie lub młodoczeskie), gdzie może się zetknąć z rozmaitemi osobami, może się także z pojedyńczemi osobistościami bliżéj zapoznać, ale jakiegoś czeskiego towarzystwa, tego, co Francuzi nazywają *société*, nie znajdzie ani śladu. Jeżeli się dostanie pomiędzy młodoczechów, to z pewnością nie usłyszy nic innego, tylko uwłaczające sądy o staroczechach, którzy jakoby wszystko popsuli; jeżeli zaś wejdzie pomiędzy staroczechów, to z pewnością będzie słyszał skargi na młodoczechów, którzy teraz wszystko psują. I jeżeli cudzoziemiec ten czuje wogóle sympatyę do narodu czeskiego, to musi sobie z żalem powiedzićć, że naród ten zdaje się być skazanym na zagubę wskutek rozterki wewnętrznéj.

Teraz przez utworzenie ministeryum koalicyjnego otwiéra się dla Austryi nowa era. Dla monarchii zbiorowéj nowa ta era jest czasem otuchy na przyszłość, — dla narodu zaś czeskiego jest ona czasem obawy o niepewną przyszłość. Nie wiemy, co nam przyniesie. Pomimo to w domu rzucamy się wesoło jedni na drugich, jakbyśmy nie mieli nic lepszego do czynienia, tylko w téj bratobójczéj walce trwonić nasze siły narodowe bez pożytku dla siebie i jedynie dla uciechy naszych narodowych wrogów. Dziś oto naród czeski stoi bez widoków na przyszłość; ale młodoczesi nie porzucają nadziei, że wszystkich staroczechów wytępią.

Praga, 19 listopada 1893 r.

Dr. Gabler.

P. S. Dokonany 17-go listopada obiór burmistrza miasta Pragi był w swym przebiegu tak charakterystyczny dla naszych stosunków obecnych, że nie mogę powstrzymać się od przedstawienia go w Dopisku, jako uzupełnienia podanego tam obrazu tychże stosunków.

Obiór ten zajął właściwie dwa dni, rozpoczął się bowiem jeszcze 16 listopada, a skończył się dopiéro 17.

Czytelnicy już wiedzą, że w praskiéj reprezentacyi miejskiéj staroczesi ciągle jeszcze posiadają większość, że zatém obiór burmistrza był najzupełniéj w ich mocy.

Na zbliżające się wybory burmistrza, dwóch vice-burmistrzów i 24 członków rady miejskiéj większość staroczeska ofiarowała młodoczeskiéj mniejszości

kompromis, według którego na drugiego vice-burmistrza miał być obrany kandydat, wyznaczony przez partyę młodoczeską, prócz tego zaś ośmiu członków téj partyi miało być obranych do rady miejskiéj. Równocześnie młodoczesi mieli się zobowiązać, że w kolegium deputatów miejskich nie będą się już wyrywać ze swemi wnioskami całkiem niespodzianie, lecz będą zawiadamiać o takich wnioskach przynajmniéj na 48 godzin przed posiedzeniem. Młodoczesi, którzy bynajmniéj nie myślą o tém, ażeby kiedykolwiek ofiarować staroczeskiéj mniejszości kompromis, skoro tylko sami uzyskają w kolegium większość, odrzucili naturalnie wniosek staroczeski, domagając się dla siebie miejsca pierwszego vice-burmistrza i dziesięciu członków w radzie miejskiéj, a zarazem nie przystając na termin 48 godzin.

Wtenczas większość staroczeska uchwaliła jednogłośnie, ażeby całe prezydyum, t. j. burmistrza i jego dwóch zasępców obrać z pośród siebie i tylko przy obiorze rady miejskiéj ofiarować ośm miejsc młodoczechom. Została wyprawiona do byłego burmistrza, d-ra Szolca, deputacya z zapytaniem, czy ma zamiar przyjąć wybór ponowny, a kiedy uzyskano twierdzącą odpowiedź, powzięto jednogłośnie uchwałę, żeby d-ra Szolca po raz trzeci obrać na burmistrza.

Doktór obojga prawa Henryk Szolc, adwokat krajowy, w ciągu w ostatnich trzech lat, kiedy młodoczesi dokładali usiłowań, ażeby swą gdzieindziéj bezowocną agitacyę przenieść do praskiéj izby gminnéj, okazał się stanowczym przeciwnikiem tych usiłowań i kilkakrotnie występował bardzo energicznie przeciwko młodoczechom. To téż niebawem stał się przedmiotem zawziętych i częstokroć bardzo niegodziwych napaści ze strony młodoczechów. Tymczasem oto miał on być po raz trzeci obrany na burmistrza. Nic dziwnego przeto, że młodoczesi dołożyli wszelkich wysiłków, ażeby ten ponowny wybór udaremnić. Agitacyi młodoczeskiéj udało się zachwiać kilku członków partyi staroczeskiéj, zupełnie tak samo, jak w r. 1890 téjże agitacyi powiodło się rozbić gotową już większość dla ugody czesko-niemieckiéj. Jestto, niestety, przeznaczeniem partyi umiarkowanych, że pomiędzy niemi znajdzie się zawsze kilku ludzi z niedość stałym charakterem, którzy się dadzą nastraszyć krzykiem radykalnym.

16 listopada tedy miały być obrane prezydyum praskiéj reprezentacyi gminnéj i rada miejska. Obaj staroczescy vice-burmistrzowie, architekt Gregor i adwokat dr. Kühn, zostali wybrani 45 głosami na 83. Ponieważ młodoczesi liczą w kolegium tylko 35 członków, więc już przy tych wyborach należy zauważyć, że trzech członków partyi staroczeskiéj oddzieliło się od większości przez oddanie kartek pustych. Teraz nastąpił wybór burmistrza, i dr. Szolc otrzymał tylko 41 głosów, a więc czterech było nowych zbiegów z pod chorągwi staroczeskiéj. Wielka radość młodoczechów i szydercze okrzyki, przyczém galerya według sił wtórowała. Hałas był tak wielki, że galeryę trzeba było opróżnić. Wybór był powtórzony jeszcze dwa razy, ale zawsze z tym samym rezultatem; dalszy ciąg odłożono na dzień następny.

17 listopada posiedzenie kolegium deputatów rozpoczęło się od odczytania pisma, w którém dr. Szolc oznajmiał, że zrzeka się miejsca w kolegium miejskiém. Ogromna radość wśród młodoczechów i na galeryi, która tym razem nie została opróżniona. Poczém nastąpiła prawie dwugodzinna przerwa w posiedzeniu. Obie partye odbyły narady w innych lokalach i po długich debatach i wzajemném obesłaniu deputacyi ujednano się w ten sposób, że Gregor miał być jednogłośnie obrany na burmistrza, i w razie potwierdzenia tego wyboru przez cesarza miejsce pierwszego vice-burmistrza miało być oddane młodoczechowi. Tym sposobem na-

reszcie Gregor został obrany i na tém posiedzenie zamknięto. Ponieważ galerya powitała nowego burmistrza okrzykiem *Sláva*, więc tenże nie widział powodu do opróżniania jéj; a kiedy zgromadzony tam tłum zaintonował pieśń *Hej Slovane!* i zabrał się do wyjścia, wtenczas opróżnienie było już niepodobieństwem.

Dr. Szolc zatém został usunięty z reprezentacyi miejskiéj, i młodoczesi święcą to jako odniesione przez nich wielkie zwycięstwo. Obie partye zjednoczyły się przy wyborze nowego burmistrza, ale nikt nie może się oddawać nadziei, że zjednoczenie to potrwa długo. Jeżeli burmistrz staroczeski i staroczeska większość rady miejskiéj poddadzą się komendzie młodoczeskiéj, wtenczas — i owszem; jeżeli nie, to wkrótce doczekamy się takich samych rzeczy, jakicheśmy się już doczekali. Do spokojniejszych czasów chyba się nie zbliżamy; czy z chwilą uzyskania przez młodoczechów większości w praskiéj radzie miejskiéj nastaną lepsze czasy, o tém pouczy nas przyszłość.



PRZEGLĄD TEATRALNY.

Ogólne uwagi. — Sztuki oryginalne: „Prawa serca“ K. Zalewskiego, „Chwast“ J. Blizińskiego, „Stare długi“ M. Gawalewicza. — Utwory p. Przybylskiego i Wołowskiego.—Sztuki tłómaczone: „Gniazdo rodzinne“ Sudermanna, „Te które się szanuje“ P. Wolfa, „Legalni kochankowie“, kom. w 3 akt. pp. Janvier i Ballota, „Flipota“ J. Lemaitre'a, „Andrea“ W. Sardou.

Jeżeli obfitość nowości nazywać się ma prawo twórczością w dobrém rozumieniu tego słowa, to rok ubiegły zaliczyćby trzeba do niezwykle twórczych. Przystęp dla wszelakich prób na tém polu, został w stosunku do dawniejszéj, wybredności, niesłychanie ułatwiony; dyletanci bez różnicy płci, nie zawahali się dobijać do wrót rozgłosu, w przekonaniu, że nie święci garnki lepią. Dobre intencye Dyrekcyi, stworzyły przez to mimowoli teatr tak zwanych *piècesrefusias*, przy których, jak wiadomo, nie chodzi bynajmniéj o mniéj więcéj pewną wartość sztuk, ale o bezpośredniość i doraźność sądu publiczności. W tego rodzaju teatrach zagranicą, wywiesza się hasło: *place aux jeunes*, z powodu utrudnienia w dostawaniu się młodych na sceny, mające repertuar głośnych autorów, u nas wszakże hasło to jest zbytecznóm, gdyż zanadto talentów dramatycznych nie mieliśmy nigdy, autorowie zaś starsi nie przypominają się swemi utworami natarczywie. Z wyjątkiem Bałuckiego, zasilającego corok scenę warszawską sztuką nową, z wyjątkiem ostatniéj sztuki ś. p. Blizińskiego i jednéj sztuki Zalewskiego, czyli trzech sztuk na całe dwa sezony, resztę dopełniali nowi albo młodzi autorowie.

Wszędzie ogólnemi stały się narzekania na brak nowych sił i zdolności aktorskich. Nasz teatr nie stanowi pod tym względem wy-

jątku. W jaki sposób wyszukać i wytworzyć nowe siły? Szkoła, istniejąca przy Towarzystwie muzyczném, jest dopiéro w początkach rozwoju, pozostał więc jedynie przypływ ze scen prowincyonalnych. Sceny te mają w zasadzie tę dobrą stronę, że pozwalają na samodzielność, a z konieczności ciągłego grania, na wyrobienie się, właściwie zaś na przyswojenie sobie niezbędnéj rutyny. Atoli odwrotną stroną medalu są: brak wszelkich wzorów, niemożność studyów z powodu konieczności grania ciągle nowych sztuk, i nareszcie wszelki brak kontroli krytycznéj. Pod działaniem trzech tych ujemnych prądów, rośnie bujnie tak zwany prowincyonalizm, streszczający w sobie setki narowów, trudnych do wykorzeniania po bardzo długim nawet czasie.

A jednak z tych wyłącznie źródeł zasilany bywał w ostatnich czasach nasz teatr. Znaczna liczba debiutantów i debiutantek starała się złożyć egzamin przed publicznością, tak zepsutą dawnemi sławami jak warszawska. Egzamin wypadł dla jednych lepiéj, dla drugich gorzéj, dla żadnego wszakże tak, iżby można nań liczyć, jak na przyszłą podporę teatru, a przynajmniéj jak na zastępczą wypracowanych już talentów.

Uważałem za konieczne, mając przed sobą zadanie jak najtreściwszego przeglądu pracy całoroczném, poprzedzić je kilkoma temi uwagami ogólnéj, ale sądzę, że objaśniającéj cokolwiek natury.

Wspominałem już o niezwykłéj obfitości sztuk nowych. Istotnie, w ciągu dziesięciu miesięcy, odegrano w teatrze Rozmaitości sztuk szesnaście, w ogólnéj liczbie aktów 45, z których na oryginalne wypada aktów 28, na tłómaczone 17. Liczba bardzo pokaźna i jako taka niezmiernie pocieszająca. Oprócz nowéj sztuki p. Przybylskiego „Wejście w świat" (3 akty) i „Bzy kwitną" (1 akt), p. Wołowskiego „Chamska dusza" (także 3 akty) i „Ostatni grosz" (1 akt), wystąpiło kilka nowych pod pseudonymami: Elka z jednoaktówką p. t. „Potęga pieśni" i Chmurka z jednoaktówką p. t. „Wet za wet". Nie wiem, czy te dwie ostatnie uważać trzeba za zapowiedź dalszych prac, w którychby się wybitniéj indywidualność autorów zaznaczyła, bądźcobądź p. Elka niezłym pomysłem i dosyć wybitną obrazowością, ujawnił pewne zalety, których daleko trudniéj dopatrzéć w jednoaktówce „Wet za wet".

Co do p. Przybylskiego, życzyć mu trzeba, ażeby płodność szła u niego w równéj mierze ze świeżością pomysłów, z głębszém wnikaniem w rzecz, którą przedstawić pragnie i w charaktery ludzkie, choćby należały do szeregu najcodzienniejszych ludzi. Sama zręczność sceniczna i zewnętrzne tytuły nie okupią pospiesznéj i jakby na obstalunek sporządzanéj roboty. Z téj przyczyny wstrzymuję się od bliższéj oceny „Wejścia w świat", co się zaś tyczy jednoaktówki „Bzy kwitną", rzecz

w pomyśle udatną, zepsuł niewczesny patos i nieodpowiedniość treści do tytułu.

Nie mając sposobności widzenia „Chamskiéj duszy" p. Wołowskiego, nie mogę téż wiele powiedzićć o jednoaktówce „Ostatni grosz", w któréj niezłe sytuacye kłócą się z niejasnością samego założenia. W „Naszych aniołach" złożył autor dowód pewnych zdolności, które go do postępu w rzetelnéj pracy obowiązywać powinny.

Gawalewicz poświęciwszy się od niejakiego czasu wyłącznie powieści, zaniedbuje teatr, któremu jednak przysporzył kilka bardzo wdzięcznych bluetek. Nie próbując się w utworach szerszego rozmiaru, dał jednak dwuaktowy dramat p. t. „Stare długi". Nazwałem utwór ten dramatem, choć autor zatytułował go „sztuką" według utartego na takie utwory wyrażenia francuskiego: *pièce*. Nazwał tak zapewne dlatego, że zamiast rozprawić się ze szmatem życia ściśle według normy scenicznéj, wolał utrudnić sobie zadanie i wytworzyć kwestyą. Czyż atoli nie miał wybornéj sposobności do wzruszenia widza, tak bardzo ludzką przygodą, jaką zawsze bywa niedobrane małżeństwo, które dopiéro po ślubie widzi, że zawiodło wzajemne oczekiwania i że wykopało dobrowolnie przepaść pod sobą? Czyż potrzebna tu była kwestya, z natury rzeczy trudna do rozwiązania, a raczéj dająca się rozwiązać nie według ogólnych zasad etyki, ale według każdorazowego danego wypadku?

Zygmunt Stański ożenił się z bogatą i piękną panną. Kochał kiedyś inną (Irenę) był gorąco przez nią kochany, ale ją opuścił, ażeby się ożenić dla konwenansu. Małżonkowie, nie czując nic do siebie od pierwszéj chwili, w dalszych latach, przy bliższém poznaniu swych charakterów, zgorzknieli bardziéj jeszcze. Z jednéj już sceny małżeńskiéj, poznajemy żonę uprzedzoną do męża, w stopniu dochodzącym do nienawiści, a jego, stretwiałego i nie usiłującego nawet przywrócić pozoru harmonijnego pożycia. Za chwilę, gdy się zjawi dawna jego kochanka zbiédzona i chora, z prośbą, ażeby gdy sama wyjedzie w dalekie kraje, on zajął się pozostałém dzieckiem, trzeba mu będzie przyznać się przed żoną do wszystkiego, zapukać do jéj serca, o którém wie że jest dla niego zamkniętém. W kornéj spowiedzi, odwołuje się mimo to do jéj litości, do spółczucia kobiéty. Nareszcie zawzięta i nieubłagana żona wybucha szałem wściekłości.

Téj krwawéj sceny wysłuchała Irena za kotarą i teraz już ona nie chce zostawić swego dziecka w takich rękach, a zgnębiony do ostateczności mąż dochodzi do wniosku, że lepiéj mu było nie żenić się wcale.

Otóż sądzę, że samo już pobranie się dwojga ludzi bez miłości,

bez szacunku dla siebie, z charakterami wręcz odmiennemi, byłoby wystarczyło tak zdolnemu pisarzowi, jak Gawalewicz, na stworzenie dramatycznego obrazka, pełnego siły wzruszającéj, bez potrzeby udawania się do kwestyi powierzania dziecka kochankowi, na mocy dawnych praw. Fatalizm, wypływający z niedobrania się usposobień, z lekkomyślności zawiérania małżeństwa przez rozum, jest już sam z siebie dosyć dramatycznym. W każdym razie kilka scen efektownych, popartych pięknym dyalogiem, dają zupełną racyę bytu téj sztuce.

Pani Mellerowa po długiém milczeniu, odezwała się bardzo niefortunnie w „Hrabinie Tea,“ „sztuce” w trzech aktach.

„Bagaż“ literacki pani Mellerowéj uprawniał do przypuszczeń dodatnich, które jednak zawiodły najzupełniéj. Czego autorka chciała dowieść, co przedstawić, czém zająć? O to pytał się każdy po wysłuchaniu sztuki, w któréj widział zmieszane wszystkie rodzaje, oprócz tego, któryby zajął naprawdę. Właściwie zaś jest-to jakiś oderwany epizod czy anegdota z dziwacznego życia hrabiego Mirell. Starzec to zgryźliwy, nienawidzący ludzi, — dlaczego, nie dowiadujemy się o tém wcale — który atoli pomimo mizantropii, upodobał sobie młodą, piękną choć ubogą dziewczynę. Z nią postanowił zamieszkać na zawsze w swojéj willi, zdala od świata. W przekonaniu, że otoczywszy zbytkiem młodą żonę, zapewnił już jéj szczęście, nie lęka się dla niéj pokus młodości, tym czasem młody jego kuzyn Paolo, rozbudził w niéj miłość w sposób zdumiewająco szybki. I on gotów odpowiedziéć wzajemnością, lecz na szczęście dla niego — ale nie dla sztuki — zabiéra go gwałtém ze sobą, przybyły w samą porę przyjaciel. Żegna się więc z hrabiną, niechcącą go puścić, w dyalogu, który nikogo ze słuchaczy wzruszyć nie zdołał.

Autorka pozbywszy się tak niepotrzebnie głównego działacza, ukazuje nam rzecz całkiem inną, bo odtąd stawia przed oczyma widza rzecz zgoła odrębną, zanadto romantyczną, w złém znaczeniu tego słowa, to jest zanadto nieprawdopodobną; cała zaś masa rozmaitych grup, mająca niby spotęgować i urozmaicić akcyę, nie przyczynia się bynajmniéj do zapoznania nas bliżéj z zamiarami autorki, która przecież, siadając do pisania, miéć je musiała. Nawet nie dała nam kolorytu włoskiego nieba i włoskich obyczajów, dekoracyjną tylko stronę, upstrzoną śpiewami, muzyką i kostyumami. Osoby dramatu to maryonetki, nie pociągające nikogo ani inteligencyą, ani sercem, ani niczém, co dałoby im prawo bytu na scenie. Zaiste, wystawienie téj sztuki przyniosło krzywdę: autorce, dyrekcyi i pracy aktorów; większość zaś tych, lekko przez nas dotkniętych prób i zamachów, nasuwa mimowoli na myśl słowa Goethego:

Und hinter ihm, im vesentlichen Scheine,
Lag, was uns alle bändigt: das Gemeine.

K. Zalewski, utalentowany autor tylu komedyi z tendencyą i bez tendencyi, poruszający nieraz kwestye będące na dobie, zapragnął przedstawić się w „Prawach serca“ z nowéj strony, jakby pod naciskiem prądów Ibsenowskich, które na badawczy jego umysł, najoczywiściéj silny wpływ wywarły.

I skutkiem tego nastąpiło to, co następuje zwykle w każdéj przejściowéj chwili, w któréj pragnąc odrazu wcielić się w nową ideę, nie możemy jednak dosyć stanowczo zerwać całkowicie z przeszłością. Długoletni a innego rodzaju kierunek idei nie zdoła odrazu przerzucić się na tory nowe, ażeby się na nich nie zabłąkać, albo przynajmniéj nie widzieć obcym. Idealizm symboliczny Ibsena i innych, stawszy się ostatecznem *credo* dla gorących i bezwzględnych jego adeptów, dla neofitów późniejszéj doby, garnących się w celu eksperymentowania raczéj aniżeli bezwzględnego uwielbienia, nie okazuje się dosyć bezpieczną metodą.

Idealizm ten (Ibsena czy Maeterlincka i wogóle symbolistów) polega na tém, że dla nich namiętności i charaktery, obserwacya a nawet akcya, niczém są wobec efektu tragicznego, wypływającego z jakiéjś fatalności, dominującéj ponad postaciami... Postaci zaś te dają oni o ile możności w abstrakcyach... Ten brak wyraźnego charakteru i wyraźnéj woli, mającéj kierować postaciami dramatu nadaje im pewną złudzić mogącą wielkość mistyczną, przez co wydają się nam jakiemiś zjawiskami w rękach Przeznaczenia.

Czy wobec tego, Zalewski, posługujący się dotąd nawskroś realistycznemi środkami, nie znalazł się odrazu w całkiem obcym dla siebie żywiole? i czy temat przezeń obrany, traktowany na dawny, temperamentowi jego właściwy sposób, nie dałby się był przeprowadzić daleko trafniéj pod względem nietylko scenicznym, ale i psychologicznym?

Dola dwojga młodych ludzi, którzy się pokochali prawdziwie, choć zbyt namiętnie, a których jedno podeptało szczęście przez rachubę lub fałsz rozumowania, toć-to przygoda czysto ludzka, pozwalająca na uwidocznienie stanu duszy obojga i przyczyn zwrotu w ich uczuciach. Pierwszy też akt i drugi, zwłaszcza zaś pierwszy, idąc mimowolnie za dotychczasową rutyną, autor zrobił wielce interesującym i wybornie przygotowującym do takiego postępu wewnętrznéj akcyi, między dwiema głównemi postaciami sztuki.

Zapoznajemy się odrazu z historyą ich miłości, która nam poniekąd tłómaczy dalszą dolę, a raczéj niedolę bohatérki. Jest ona z tych kobiét, które raz tylko w życiu kochają i takiéj téż kobiéty nie zapomina nigdy już mężczyzna, choćby sam potem związek zerwał. Tych bowiem praw serca łamać nie wolno.

Ludwika Wirska, córka zamożnego obywatela, mieszka we wsi rodzinnéj, odkupionéj przez Wernera, który tu założył fabrykę, wraz z bratem Henrykiem, chemikiem. Ów Werner nie żyje, tylko córka jego Anneta. Toż samo nazwisko nosi synowiec fabrykanta, Leopold Werner, dyrektor w tejże fabryce. W ubogiém mieszkanku Ludwiki, zbiéra się gromadka urzędników na wspólne obiady. Brat Henryk zawsze roztargniony, zajęty badaniem nowego wynalazku farb, ponieważ chce wynalazkiem zdobyć majątek rodzinny i uszczęśliwić ukochaną Ludwikę. Ojciec Leopolda Wernera skończył samobójstwem. Fakt ten i ubóstwo wyrodziły w nim chęć bogactw, lecz serce jego sprzeciwiało się rachubom. Pokochał Ludwikę i uwiódł ją łatwo, gdyż ona kochała go szczerze i nieświadomą była niebezpieczeństwa. Stosunek ich trwa już dawno, gdy nagle Ludwika dowiaduje się, że Leopold ma się żenić z bogatą Annetą. Zapytuje go wprost, czy to prawda. On ze szczerym, może i bezwiednym, cynizmem, nie zapiéra się, lecz zapewnia, że teraz dopiéro uściele jéj życie różami. Ona ze wstrętem odwraca się od niego, ale on nie porzuca swych zamiarów, gdyż wierzy, że Ludwika wróci do niego stęskniona. Ludwika wyjeżdża kształcić się na doktorkę i zabiéra z sobą brata. Po kilku latach osiada w Warszawie, gdzie zdobywa sobie praktykę i sławę i gdzie widuje się z Annetą, matką choréj córeczki, którą ona właśnie leczy. W akcie drugim, przyjeżdża najniespodziewaniéj do wsi rodzinnéj, głównie dla spokoju chorego umysłowo brata. W pięknym pałacu mieszka Anneta, nie domyślająca się niczego, Leopold kocha teraz namiętnéj jeszcze Ludwikę, więc gdy ją ujrzał nagle, wybucha potokiem słów namiętnéj czułości, ale ona przestała go już kochać, lub téż znakomicie obojętność udaje. Wymaga od niego zapomnienia i wyjazdu ztąd, dopóki chorą jego córeczkę leczyć będzie. Leopold przystaje na twarde warunki, jakkolwiek wre w jego piersiach.

Efektowna i nader zręcznie nawiązana akcya w tych dwóch aktach, pozwala oczekiwać w dalszych, ciekawego obrazu rozegrania się losu tych dwojga osób, z których jedna powstrzymuje gwałtem wybuch, a druga nie chce do niego nigdy już dopuścić. Czy w Ludwice miłość już zastygła, czy téż żarzy się pod popiołem? Takby sądzić należało z ostatnich, przy katastrofie przez Ludwikę wypowiedzianych słów, że więc pierwszą swą miłość przydusiła tylko żelazną wolą. Tak wytrawny dramaturg, jak Zalewski, miał już w połowie skończone zadanie, ustopniowawszy dotąd przebieg namiętności i ciernistę jéj koleje w sposób naprężający uwagę widza. Żałować przeto trzeba, że w téj chwili popadł on w symbolizm, pozwalający owemu specyalnemu nie greckiemu fatalizmowi, zawładnąć tak wyłącznie postaciami, iż

w oczach naszych, tracą one prawie krew i ciało, zmieniając się w mgliste abstrakcye. Ztąd wyniknąć musiała pewna jaskrawość, granicząca z melodramatycznością (co się zdarza najczęściéj w tego rodzaju utworach), ztąd dziwaczny trochę obłęd brata Ludwiki, biegnącego z nożem w ręce, ażeby zabić uwodziciela siostry, ztąd nareszcie samobójstwo Leopolda, który zdeptawszy szczęście swoje i innych, żyć już nie chce i nie może. Niemoże dla tego, że Ludwika ofiary jego, a raczéj nowéj zdrady, porzucenia żony i dziecka, nie przyjmie, wskazując mu nieubłaganie obowiązek względem tego dziecka. Giętkiemu w zasadach zdawało się, że byleby była fortuna, wszystko inne łatwo się da wyrównać, zdawało mu się, że w imię ślepéj, czysto zmysłowéj miłości, powróci szczęście uwiedzionéj i sobie. Nie zrozumiał charakteru Ludwiki, brzydzącéj się tak niecnemi ugodami i w tym sensie zdeptawszy prawa serca, paść musiał zgnębiony i bez promyka pociechy.

Rzecz cała, napisana pięknym językiem, zajęła widzów, zajęła ich bardziéj jeszcze na późniejszych przedstawieniach, do czego niezawodnie przyczyniło się zaufanie w wypróbowany talent autora. Dla niego samego sądzę jednak, że byłto tylko eksperyment, zwrot literacko-estetyczny, od którego zapewne odwróci się, ażeby na nowo tworzyć po dawnemu.

Literatura nasza dramatyczna straciła jednego z najznakomitszych swych przedstawicieli, w niespodziéwanie zaszłéj śmierci ś. p. Józefa Bilzińskiego. „Pan Damazy," „Rozbitki," „Kawaler marcowy," „Mąż od biédy," są to dzieła, które pozostaną. Przedziwnie pogodny jego humor, oblany szerokiém światłem szczeréj poezyi, przykuł pamięć wszystkich do tych utworów, które w ciągu lat tylu, bawiły i wzruszały. Ostatnią większą sztukę, pisaną już podczas choroby, w chwili rozstroju fizycznego i moralnego, jest „Chwast", nazwany z woli autora przez ironię chyba „komedyą." Nie można przeto wadliwego założenia téj sztuki i wielu innych niedostatków mierzyć skalą bezwzględności, należy pamiętać zawsze o wielkich zasługach zmarłego i o wielkim jego talencie, który w téj ostatniéj pracy, nie miał już czasu powrócić do zwykłéj swéj równowagi.

Osnowa sztuki odbija jaskrawo od dotychczasowéj atmosfery dzieł Bilzińskiego. Zdawałoby się, że temperament już sam jego, ochroni go od przerzucenia się na pole bolesnéj obserwacyi przeznaczeń ludzkich przy któréj niepodobna się odgonić od krwawego szyderstwa i gorzkich zwątpień. Chciał się jednak Bliziński wypróbować i w tym kierunku, i byłby mu prawdopodobnie podołał, gdyby go śmierć nie była zaskoczyła.

Pomimo więc pomysłu, zdającego się kłócić z dotychczasową

jego działalnością, byłby on ukończył zadanie zwycięsko; utwierdza mnie w tém, wybornych kilka scen i jedna zwłaszcza, główny charakter w sztuce, górujący ponad innemi, charakter Drobisza. A tém większa jego moc i zaleta, że jest-to na pozór człek zwykły, ze wszystkiemi narowami artysty miernego, mającego się za geniusz, ze słabostkami, nie odróżniającemi go na pozór od szarzyzny gromady ludzkiéj, a tymczasem te właśnie, na pozór pospolite znamiona czynią go prawdziwym i w całém znaczeniu tego słowa człowiekiem.

Przez tę swoją naturalność i prawdziwość, wydostawszy się na wierzch z poza wszystkich drobiazgowości codziennego życia, staje się Drobisz postacią prawie typową. Mistrzowstwo Blizińskiego w kreśleniu w ten sposób charakterów ludzkich, nie zawiodło go i tym razem. Drobisz téż pokrywa wysoką wartością błędy i niedostatki innych postaci, nieustosunkowanie scen wielu do głównego zadania w sztuce, oraz rażącą przesadę tych scen, w których występuje Amelia, żona Marzewskiego.

Mąż jéj Leon zakochał się w niéj, jako młody chłopiec, na śmierć i życie. Ponieważ była kobiétą lekkiego życia, więc znalazł opór w rodzinie, ale to go nie powstrzymało. Straciwszy wkrótce schedę po matce, popadł w nędzę, a wtedy Amelia bez ceremonii go porzuca. Leon znękany, czasem zapijający się, przychodzi do mieszkania Drobisza. Chciałby odebrać majątek po ojcu, który sprzedał go symulacyjnie wujowi Brzostowickiemu, ale Brzostowicki kładzie za warunek oddania majątku, rozstanie się z żoną. Leon, pomimo oczywistych dowodów jéj samolubstwa, wierzy w jéj szlachetność, walczy w obronie jéj dobréj sławy, dopóki ona sama, zapłacona już za to, ażeby się z nim rozstała, nie wypowiada mu z oburzającym cynizmem, że go nigdy nie kochała i że żyła z łaski starca, dygnitarza. Leon, o którego chorobie serca dowiedział się już widz przedtém, dostaje teraz obłędu i pada zemdlony, a kuzyn jego i lekarz, pochylony nad nim, zapowiada że się z tego wywiąże tyfus. Jeżeli wyzdrowieje, wtedy dopiéro będzie można wnioskować, czy o niegodnéj żonie zapomni.

Scenę Amelii z Leonem, uważam za chybioną z gruntu i zgoła zbyteczną. Najgorsza ladacznica, jeszcze się nie popisuje z taką rozkoszą swemi podłościami i nie pastwi tak obrzydle nad człowiekiem, który jéj poświęcił honor, majątek i rodzinę. Wszak i najgorszy człowiek nie pozbawiony jest do tego stopnia wszelkiéj iskierki ludzkich uczuć, względem tego przedewszystkiém, który był zawsze posłuszną jéj ofiarą. Wszak już jéj zapłacono za to, ażeby porzuciła nieszczęsnego, dlaczegóż jeszcze odsłania się bez potrzeby, jako potwór okrucieństwa i cynizmu, dlaczegóż, ona żona i matka, oskarża się sama, że żyła

z pieniędzy starca? Wypadek taki należy w życiu rzeczywistém do niepodobieństw, na scenie razi jaskrawym fałszem.

Gdyby Bliziński miał czas do poprawek, on który całe życie doskonałe swe dzieła poprawiać lubiał, byłby niezawodnie rzecz tę zmienił, a przez to i charakter Leona w innem okazał świetle. Takim bowiem jakim go przedstawił, pozbawionym uczucia godności, wszelkiego porywu oburzenia w chwili, gdy słucha bezwstydnego wyznania żony, bywają tylko ludzie nawskroś chorzy i do świata żyjącego, czynami i wolą nienależący zgoła. Wreszcie i ta choroba nie dość ściśle zdefiniowana; słyszymy o chorobie serca, potém że się z tego wywiąże zapalenie płuc lub tyfus. Czy jednak choroba wogóle fizyczna powinna wchodzić w grę tam, gdzie chodzi przedewszystkiém o czynniki moralnéj natury?

Niepewną téż ręką kreślona figura Brzostowickiego. Z początku zdawało się jest-to kutwa i samolub, tymczasem najniespodziewaniéj przekonywa się widz, że postępuje on jak najporządniejszy człowiek; potém znowu sądzić można było, że jest człowiekiem surowych zasad, a przynajmniéj wiedzącym co i kiedy czynić należy, tymczasem znowu najniespodziewaniéj, w chwili, w któréj o nim tego przypuściéby nie należało, odsłania się jako umizgus, i do tego nie targujący się z piękną Amelią o pieniądze, które przecież nie są jego własnością.

Zaiste, z przykrością dotykam scen ujemnych i z téj przyczyny nie chcę mówić o kilku jeszcze innych.

Niestety, poza obowiązkiem zdania sprawy z wartości utworu pierwszorzędnego pisarza, trudno się opędzić daremnemu żalowi, że ręka, którąby z taką łatwością błędy te wyrównała, zastygła już na wieki. Wobec wreszcie spuścizny, tak bogatéj i treściwéj, łatwo wyrozumiéć przypadkową niedoskonałość ostatniéj pracy nieodżałowanego pisarza.

Z pomiędzy sztuk, importowanych niezmiernie obficie na scenę Rozmaitości, wyróżnić trzeba przedewszystkiém najnowszy utwór Sudermanna: „Gniazdo rodzinne” (*die Heimath*).

Przez dość liczny szereg sztuk, przedstawionych w krótkim czasie na naszéj scenie, stał się on już niemal popularnym. Sudermann jest istotnie talentem, górującym ponad całą falangą niemieckich autorów dzisiejszych, płodnych ale nie szerokiego pokroju. Zdobywszy sobie sławę w Niemczech „Honorem” sztukę daleko słabszą od „Końca Sodomy”, dramacie o szerokim polocie i wielkiéj sile, wprowadził nas w „Gnieździe rodzinném” w świat specyficznie pruski, nawet nie niemiecki. We wszystkich swych pracach okazał się pesymistą bezwzględnym, jakkolwiek pesymizm ten okraszony jest poetycznym rze-

telnie nastrojem i uczuciem litości, przezierającém z po za obiektywnie nakreślonych charakterów.

Główna postać w „Gnieździe rodzinném", około któréj obraca się cała rzecz tego dramatu, ma być niby owym rzymskim *pater familias*, który przez powagę swą i władzę bezwzględną, nie znosi nietylko indywidualnego oporu żadnego z członków rodziny, ale nawet samodzielniejszego objawu woli. Pułkownik Schwartze jest właśnie przedstawicielem takiego ojca rodziny, z tą wszakże modyfikacyą, że do zmiany pojęć od owych dalekich czasów, przyłączyły się jeszcze pojęcia i tradycye honoru wojskowego, specyficznie chyba pruskiego. Czyżby autor znowu tutaj próbowal rozciągnąć i tak już elastyczną ideę honoru w sztuce tegoż nazwiska?

Chcąc na to odpowiedziéć, zapoznajmy się z treścią sztuki.

Schwartze, jako wysłużony pułkownik, osiadł z rodziną w mieście prowincyonalném, żyjąc tu jak patryarcha, rozkazując despotycznie, słuchany pokornie, bo za nieposłuszeństwem idzie kara. Przekonała się o tém córka Magdalena, nie chcąca poślubić pastora Hafferdinga. Za karę wypędził ją z domu na głód, poniewierkę i może hańbę. Wyrzekł się téj córki, opłaciwszy gniew czy boleść, atakiem apoplektycznym i zapowiedzial, że teraz ma tylko jednę córkę (t. j. tę, która dorasta w domu). Ta druga nie oprze mu się z pewnością nigdy. Przebywając w atmosferze monotonnych nudów, ciasnych pojęć, najpospolitszych codziennych obowiązków, nie wié nawet, czy ma jakiebądź pragnienia, czy ma duszę. Lecz Magdalena, wyrwawszy się z tego jarzma żołnierskiéj karności, nie zdolnéj dojrzéć szerszych widnokręgów, ani zrozumiéć humanitarniéj przygód życiowych, przechodziła najstraszniejszą nędzę i hańbę, jeżeli hańbą zwie się niekrępowana miłość ze wszelkiemi jéj następstwami; pomimo to wszakże, wielką pracą i talentem śpiewaczki, wybiła się na wierzch, zdobyła sławę i majątek.

Od jéj powrotu do rodzinnego gniazda, rozpoczyna się dramat.

Coś, czego zrozumiéć nie może, nęciło ją do powrotu, więc téż kiedy całe miasto szczyci się jéj obecnością, jeden tylko nieubłagany ojciec znać jéj nie chce i dopiéro po długiéj walce z otaczającymi, a zwłaszcza z owym pastorem Hafferdingiem, przyjmuje ją u siebie.

Magdalena z nieszczęsnéj i opuszczonéj dziewczyny, stała się hartowną kobiétą. Zmienić się musiała, lecz nie zmienił się bynajmniéj jéj ojciec, więc i teraz nie przychodzi mu na myśl, że powracająca owieczka do owczarni, może nie być tą samą, co przed laty.

Gdyby już nic innego, to już dwa tak sprzeczne z sobą chara-

ktery, dwoje przedstawicieli dwóch różnych na życie poglądów, nie mogło nigdy spłynąć ze sobą harmonijnie, a tu jeszcze mamy do czynienia z okazem *sui generis*, przechodzącym wprost już w maniactwo.

Jakto? ten ojciec wygnał ją młodziutką, ubożuchną i bez opieki w świat szeroki, a teraz za jéj powrotem po tylu latach, chce wiedzieć, czy powróciła czystą: duszą i ciałem? Obowiązany był jako ojciec strzedz jéj dziewiczego honoru, a on teraz, nie spełniwszy tego obowiązku, chce być tylko surowym sędzią i karcicielem?

Obiecał pastorowi nie badać jéj przeszłości, a teraz dręczy ją jak inkwizytor, aż znękana wyznaje prawdę, nie wydając tylko nazwiska uwodziciela. Lecz pułkownik raz na tropie, odkrywa go w osobie poważnego regierungsrata Kellera. Żąda od niego rachunku, a pan radca lękający się skandalu, prosi o rękę Magdaleny. Ułagodzony i prawie uszczęśliwiony ojciec, przywołuje córkę i zostawia ją sam na sam z uwodzicielem. W scenie następnéj, najlepszéj, odsłania się z karyerowiczowskim swym charakterem pan radca, czém tak oburza Magdalenę, że mu ona drzwi pokazuje. Pułkownik jednak inne ma i teraz pojęcie o honorze. Niechby tylko poślubiła pana radcę, a honorowi stanie się zadosyć. Więc zamknąwszy drzwi błaga ją, a potém grozi, ażeby została żoną radcy. Magdalena nieugięta odmawia, dopiéro podrażniona wyrywa się z tém, że nie wié, czy radca był jedynym jéj kochankiem. Wtedy pułkownik porywa pistolet i chce ją zastrzelić, w téj chwili atoli nowy atak apoplektyczny, powala go trupem na ziemię.

Prawda, że ludzie rozmaicie pojmują honor, atoli ten pułkownik jest także ojcem, a przedewszystkiém winien być człowiekiem. Czy dał tego kiedykolwiek w życiu dowody? Okazywał się zawsze bez litości dla córki, i bez zrozumienia, że zdobywszy sobie sama karyerę po straszliwych przejściach, zdobyła i samodzielność, a w każdym razie zasługuje bezwarunkowo na litość. Lecz pominąwszy to, czy pułkownikowi zdaje się, że przez poślubienie radcy, plama jéj przeszłości została zatartą i że honorowi stało się zadosyć? Wszak cały ten świat małomiasteczkowy, nie zapomniał ani wypędzenia jéj z domu, ani tułaczki na obczyznie, podczas któréj nie pracuje się na nagrodę Monthyona.

A jeżeli Magdalena zagrożona pistoletem ojca, trochę bezwstydnie przyznaje się do tego, że miała więcéj kochanków, to czyż takie wyznanie fatalne, ale szczere i prawdziwe, mogło zadziwić pułkownika wojsk, który z pewnością w młodzieńczém swém i hulaszczém życiu,

dziwiłby się tylko wielce, gdyby z opuszczoną dziewczyną, rzuconą na deski teatralne, mogło się dziać inaczéj.

Tak dziwaczne zrozumienie honoru rodzinnego przez pułkownika, czyli człowieka, który, z natury swego zawodu, nie wiele na punkcie uwodzenia dziewcząt mógł mieć złudzeń, stanowi główny błąd, według mnie, całéj sztuki, bo ją opiéra na fałszywéj podstawie. Rozumiałby każdy nieubłaganą surowość i fanatyzm honoru u człowieka, którego życie upłynęło skromnie, w zaciszu i w pielęgnowaniu tradycyi cnót domowych, ale nigdy w pułkowniku, chociażby wojsk pruskich.

I dlatego moralnie wygrywa tu Magdalena, która pomimo swéj kabotyneryi, wié dlaczego walczyła, za co cierpiała i dlaczego nie chce już cierpiéć w przyszłości.

Nie zgadzam się przeto stanowczo z takiém założeniem głównego działacza w sztuce, będącego tu *spiritus movens*, przez to téż sztuka ta, dając tak odrębną i wyjątkową tezę, nie może zająć tego miejsca, jakie zajmują sztuki zrozumiałe dla wszystkich, przez ogólne swe uczucia czy zapatrywania na życie; niezależnie jednak od tego, prawdziwy talent autora sprawia to, że sztuka zajmuje od drugiego zwłaszcza aktu do końca. Pierwszy téż raz u niemieckich dramaturgów, natrafia się na taką śmiałość rysunku kobiécego charakteru, jak tu Magdaleny, a oprócz tego, pastor oryginalnie obmyślony i wykonany i radca Keller, typ urzędowego karyerowicza—dopełniają całości.

Z innych sztuk tłómaczonych wygrzebano z pyłu zapomnienia „Andreę” Sardou, jeden z najsłabszych jego utworów, w którym tyle tylko jest nowego, że żona kochająca męża, ale przez niego zwodzona, udaje się o pomoc do dyrektora policyi. Dyrektor pakuje męża do domu obłąkanych, z którego tenże wydostaje się na wolność, zakochany jak nigdy. Nie wiem, czy jestto środek wypróbowany i skuteczny; jako utwór sceniczny może być tylko uważany za figiel, nie pozostawiający trwalszego wrażenia.

Poznaliśmy za to dwie sztuki nowe autorów francuskich, Piotra Wolffa, pp. Janvier oraz Ballota: „Te, które się szanuje” i „Legalni kochankowie”. Cóż robić, skoro umilkł na wieki Augier, na bardzo długo Dumas, a Sardou goni tylko za wyzyskaniem największych sum, ze sztuk robionych dla wystawy i gry Sary Bernhard lub panny Réjeane. Trzeba się zadowolnić tém, co robi choćby chwilowy rozgłos w teatrach paryskich.

Piotr Wolff nie jest bynajmniéj bez talentu, a uprawia tak zwany „paryzyanizm”, czyli daje obrazki z figur czysto paryskich i na tle najściśléj paryskiém. Francuzi pysznią się tym swoim paryzyanizmem, my, gdy widzimy go na naszéj scenie, szukamy innych zalet.

Gabryela Maureuil jestto mężatka zła, bezwstydna, kłócąca się ze znienawidzonym mężem, a taka sobie panna Margot, kochanką przygodną i w tém lepszą od tamtéj, że nie będąc mężatką, jest wierną swemu kochankowi. Mamy więc znowu nieśmiertelne w sztukach francuskich wiarołomstwo, tylko bez głębszego dramatu i głębszego motywu, ale za to szczerością cynizmu i bezwstydu, dochodzące do zapomnienia wszelkiéj zgoła przyzwoitości. Sztuki tego rodzaju są o tyle dobre, że nikt im nie wierzy, a raczéj, że każdy wié od razu, iż takie kobiéty są tylko wyjątkami, boć chyba we Francyi, trochę jeszcze musi się znajdować uczciwych kobiét. Nowego więc tu pomysłu ani krzty, ale dowcipu ostrego, dosyć, przytém sceniczności dużo i téj zręczności, która zdaje się leżéć we krwi dramatopisarzy francuskich.

W „Legalnych kochankach” temat również zużyty, przynajmniéj od czasu zaprowadzenia rozwodu we Francyi, a figury znane dobrze z różnych fars i komedyi, zatém: teściowa, herod-baba jak zawsze we francuskich komedyach, lecz sprytna bardzo, ex-notaryusz Lesourteau, lichwiarz i kręt, i zięć, naturalnie hrabia. Darujcie czytelnicy, że was treścią trudzić nie będę, kilka scen wesołych i kilka nienajgorszych dowcipów nie zasługuje na to wcale. Na daleko większą uwagę pod każdym względem zasługuje komedya znakomitego krytyka i wybitnego autora J. Lemaitra, p. t. „Flipota”.

Wybitny ten, głęboko ukształcony krytyk, sceptyk *par excellence*, i odznaczający się tém, że się nie trzyma żadnéj metody, ale wszystkie uznaje, w trzech już sztukach zdobył sobie uznanie, nie tyle za mistrzowstwo sceniczne, ile za oryginalną zawsze ideę sztuki. Więc i „Flipota” i rzecz całéj sztuki dotyczy świata aktorskiego, który jeżeli w naszém społeczeństwie nie odgrywa wielkiéj roli, to w życiu paryżan, niezawodnie jednę z najgłośniejszych. Dlatego naszą publiczność nietylko dziwił ten światek, ale i raził, nie trzeba wszakże przy komedyach zagranicznych, skoro i u nas grane być muszą jako nowości wszechświatowe, zastosowywać miary czysto swojskich poglądów. Można wyrazić powątpiewanie co do użyteczności takich utworów na naszéj scenie, ale zabranianie wstępu, byłoby już purytanizmem całkowicie zbytecznym.

Nie trzeba wszakże przesadzać i na tym punkcie, iżby świat aktorski był ogółowi najzupełniéj obojętnym i od niego dalekim. Tak nie jest, tém więcéj, że figury w Flipocie i Flipota sama, przez pewne cechy wybitne, znamionujące wogóle typowe postacie aktora i aktorki, zrozumiałe są wszędzie. Wszystkie rysy składające się na tak zwany: *cabotinage*, na co w polskim języku nie ma odpowiedniéj nazwy, a na który składa się: fałsz i poza nieustanna, nieszczerość w uczuciach

i postępowaniu, komedyanctwo zawsze i wszędzie, bezmierna chęć reklamy, ciągła i gryząca zazdrość o sławę kolegów i koleżanek — oto treść „Flipoty". Jest ona córką woźnego, bez ukształcenia i szerszego talentu, i dopiéro jakiś przypadek sceniczny zrobił ją głośną i modną Przychodzą zatém do niéj reporterzy badać ją o przyzwyczajenia i poglądy, np. o powody wyludnienia Francyi, przychodzi dyrektor chcący wyeksploatować „gwiazdę" nowo wschodzącą, czemu jednak przeszkadza ciocia, typ inaczéj obmyślony cioci teatralnéj. Flipota błaga przy téj sposobności, ażeby dyrektor podwyższył pensyę aktorowi Leplucheu, nędznemu aktorowi, ale którego ona kocha pierwszą miłością. Kończy się na tém, że dyrektor będzie mu dopłacał, lecz z gaży Flipoty.

Rzecz się dzieje w garderobie Flipoty. Grają nową sztukę; Leplucheu gra tak ohydnie, że odzywają się gwizdania, Flipota w najwyższéj pasyi lży publiczność, zasłona spada. Przychodzi wygwizdany Leplücheu i gra, bo zawsze grać musi, źle czy dobrze, nędzną komedyą rozpaczy, a ona z szczerością zakochanéj, pociesza go. I cóż się dzieje? W dalszym akcie, idyotyczna mina i przestrach Leplucheu wzbudzają szalone oklaski, przez co powodzenie sztuki odzyskane najniespodziewaniéj. Dyrektor i bywalcy przychodzą winszować mu genialności, a o Flipocie nikt już nie mówi.

Zwrot ten nowy, doskonale przeprowadzony, zmienia i charaktery Flipoty i jéj męża. On staje się nadęty pychą i arogancyą, każe jéj czytać gazety chwalące go, czém upokarza głęboko Flipotę, która nagle przestaje go kochać, a zaczyna serdecznie nienawidzićć. Dochodzi do gwałtownéj sceny małżeńskiéj, zaprawionéj obelgami i wzajemnemi wyrzutami, poczém Flipota powierza się opiece dreptającego już oddawna koło niéj barona des Veuillettes. Pomaga jéj w tém ciocia, która teraz szczęśliwa, że powraca do swego ogródka na prowincyi, bo powierzyła ją opiece wspaniałego dobrodzieja.

Kto szuka tu moralnych słodyczy i pokrzepienia ducha, ten chyba nie rozumié ostréj satyry na publiczność i aktorów. Lemaitre puścił folgę swym uczuciom, poznawszy dobrze świat zakulisowy i dał obraz skończony tego światka, zdarłszy z niego osłony apoteoz sztucznych i obłoków gwiaździstych, w których dla oczu profanów, zdaje się wiecznie szybować. Pełno tu znakomicie wytrawnego dowcipu i bystrych, ogólnych nawet spostrzeżeń, a w każdym razie, jestto rzecz, mogąca zająć bezwarunkowo i będąca czémś całkowicie nowém.

Oto mniéj więcéj całkowity plon nowości teatralnych z dziesięciu miesięcy. Nie dawałem przytém oceny gry aktorskiéj, bo byłaby to rzecz spóźniona dla czytelników „Ateneum". Z dawniejszych artystów,

pozostali zawsze jako dzielne siły: pp. Wolski, Ładnowski, Leszczyński, Szymanowski, Prażmowski, Ostrowski i Rapacki; pp. Lüdowa, Marcello, Trapszówna, Rakiewiczowa, Niewiarowska, Borkowska, Noiretówna i Ostrowska; z nowszych, wielkiego talentu i ogromnéj pracowitości p. Frenkel, o nowo przyjętych nie wiele jeszcze powiedzićć mogę.

Wielka szkoda p. Leszczyńskiéj, młodéj artystki, która właśnie teraz dopiéro wyrobiła się na niepospolitą artystkę w rolach charakterystycznych. Wyjechawszy na scenę krakowską, zostawiła po sobie miejsce opróżnione i dotąd nie zajęte. P. Kotarbiński także poszedł służyć scenie krakowskiéj.

E. Lubowski



SPRAWY EKONOMICZNE.

LEN I PRZEMYSŁ LNIANY.

Handel zewnętrzny włóknem i siemieniem lnianém. — *Qui pro quo* wytwórczości bawełnianéj i lnianéj. — Len jako roślina przemysłowa. — Wytwórczość włókna i siemienia lnianego w Królestwie Polskiém, oraz w innych krajach. — Stanowisko Rosyi w produkcyi wszechświatowéj lnu. — Historyczny przegląd wyrobu tkanin lnianych. — Stanowisko kobiéty w téj gałęzi pracy. — Ginecea zakony, cechy i korporacye — Wpływ machin i monopol angielski. — Filip de Girard, Żyrardów. — Obecny stan przemysłu lnianego w Rossyi. — Na czém polega rozwiązanie „kwestyi lnianéj.“ — Usiłowania Towarzystwa popiérania ros. przemysłu i handlu. — Życzenie.

W statystyce handlu zewnętrznego, ogłaszanéj peryodycznie przez departament ceł, zwracają uwagę przedewszystkiém pozycye, dotyczące przywozu bawełny surowéj, materyału zamorskiego — obcego, oraz wywozu lnu i siemienia lnianego — produktów krajowych, wywożonych w stanie surowym, nieprzerobionym. Ogólna cenność obrotu temi materyałami nie wiele różni się pomiędzy sobą. I tak do Rossyi,

przywieziono w 1892 r. przez granicę europejską:

bawełny surowéj	9,452,000 pudów	za	84,600,000 rubli
przędzy bawełnianéj	114.000 „	„	3.851.000 „
razem	9,566,000 pudów	za	88.451,000 rubli

w tymże czasie wywieziono:

lnu surowego	12,048,000 pudów	za	51,958,000 rubli
pakuł lnianych	1,366,000 „	„	4,156,000 „
siemienia lnianego	11,918,000 „	„	16,639,000 „
razem	25,332,000 pudów	za	72,753,000 rubli

nie licząc przeszło pięciu milionów pudów, wartości 4,358,000 rubli, makuch lnianych, tak pożytecznych w gospodarstwie rolném i hodowli inwentarza.

Liczbami powyższemi chcemy wskazać na anomalię, iście trudną do wytłómaczenia, szybkiego rozwoju przemysłu bawełnianego i zaniedbania przemysłu lnianego, mającego o wielekroć więcéj racyi, jako opartego na wielkiéj obfitości materyału wytwarzanego przez rolnictwo krajowe. Przemysł lniany mógłby mieć niezmierną, wszechświatową doniosłość dla kraju, gdyby w całości przerabiał wywożony zagranicę materyał surowy, albowiem wytwórczość lnu w państwie russkiém przenosi 56% ogólnéj w świecie jego produkcyi i stosunek ten z każdym rokiem się wzmaga, wobec ciągłego zmniejszania obszarów pod uprawą lnu w innych krajach.

Rozpatrzenie przyczyn szybkiego wzrostu przemysłu bawełnianego pozostawiamy na późniéj, obecnie zaś zajmiemy się wyłącznie sprawą przemysłu lnianego którą poprostu nazwiemy „kwestyą lnianą,“ godną zwrócenia na się uwagi nietylko sfer rolniczych i przemysłowych, ale także i możnych tego świata.

Len w przemyśle oznacza włókno znajdujące się wewnątrz źdźbła rośliny tegoż nazwiska, pochodzącéj prawdopodobnie z Egiptu, w którym tkaniny lniane znane już były w głębokiéj starożytności. Len lubi ziemię piaszczysto-gliniastą, wilgotną i dobrze umierzwioną. Własności włókna zależą ściśle od czasu zbioru, w Belgii np. dla koronkarstwa potrzebującego włókien cienkich i delikatnych, wyrywają len zaraz po okwitnieniu, w zachodniéj Europie gdy żółkną torebki nasienne, w guberniach zachodnich a także na północy Cesarstwa dopiéro po dojrzeniu nasienia, gdyż w niektórych guberniach celem produkcyi jest siemię lniane a nie źdźbło (włókno), które też często po omłóceniu bywa porzucaném. Właściwie są dwie tylko odmiany lnu znane pod wielu nazwami jak np. przędlec, samosiéj, słowień, młócek i t. p. Najwyżéj ceni się len irlandzki, daléj flandryjski, holenderski, egipski, z russkich inflancki i wołogodzki. Królestwo Polskie, z wyjątkiem powiatu augustowskiego, zajmuje bardzo podrzędne miejsce w uprawie lnu; ne-

znamy przyczyn tego, lecz pamiętatając kiedyś oglądane prześliczne działki dojrzewającego lnu w powiecie lubelskim, przypuszczamy, że nie warunki klimatyczne Królestwa są przyczyną zaniedbania uprawy téj rośliny.

Len w Rosyi jest prawie wyłącznie przez włościan uprawiany, toż samo w znacznéj części Europy zachodniéj, zwłaszcza we Francyi. Pociąga to za sobą wiele niedogodności, gdyż do wytwórcy należy nietylko wychodowanie źdźbła, ale i otrzymanie z niego włókna, które dla braku technicznych wiadomości, a głównie możności zaopatrzenia się w ulepszone narzędzia i machiny, naturalnie dokonywa się sposobem pierwotnym. Przez nieumiejętne wydzielenie włókna ze źdźbła, traci się bardzo znaczny odsetek, dlatego téż i pakuły lniane krajowe, jako mające większą stosunkowo wartość od zagranicznych, są nader chętnie skupowane dla Belgii i Niemiec. Pod mikroskopem włókno lnu przedstawia się zwykle jako walec równy, gładki, wewnątrz wydrążony, o ścianach grubych. Powierzchnię ma gładką, lśniącą, przez co i tkaniny lniane są gładkie, przyjemne w dotknięciu, czego nie można powiedzićć o tkaninach bawełnianych, choćby najlepiéj apretowanych, gdyż bawełna ma włókno skręcone spiralnie, co jest powodem szorstkowatości tkanin.

Włókno lniane, jako wytwór przeważnie pracy kmiecéj, nie jest dobrze oczyszczone, ani należycie rozgatunkowane, co znowu pociąga za sobą znaczne straty dla samych wytwórców. Brak klasyfikacyi włókna jest tak wielką wadą, że przed kilkoma laty strony interesowane, nawet drogą dyplomatyczną zwracały na nią uwagę. Oprócz przymiotów gładkości i miękkości w dotknięciu, tkaniny lniane są bez porównania trwalsze, mocniejsze, a jednak, chociaż wyrabiane z materyału dwa razy tańszego od bawełny, nie mogą współzawodniczyć ceną z wyrobami bawełnianemi. Koszta wytwórcze jednego puda przędzy bawełnianéj N. 18—24 wynoszą $2^1/_5$ — 3 rubli, gdy tymczasem tenże wydatek dla otrzymania puda przędzy lnianéj takiéjże cienkości (N. 50 — 70) podnoszą się od 9 — $12^1/_2$ rubli. Tym sposobem pud przędzy lnianéj wyżéj wskazanych numerów ceni się od 21 — 30 rubli, gdy pud odpowiedniéj przędzy bawełnianéj tylko $13^1/_2$ do $16^1/_2$ rubli.

Urodzaj lnu i nasienia lnianego dał w 1892 r. następujące rezultaty, a mianowicie.

zebrano w całém państwie: włókna lnianego 19,040,463 pudów
siemienia „ 14,530,709 „

Z téj ogólnéj ilości zebrano:

W Królestwie Polskiém:

	włókna lnianego		siemienia lnianego	
	ogółem	na 1 dziesięcinę	ogółem	na 1 dziesięcinę
	pudów		pudów	
w gub. Warszawskiéj	29,090	17,1	34,447	3,6
„ Kaliskiéj	68,609	36,4	47,919	3,9
„ Kieleckiéj	9,105	18,6	9,413	3,2
„ Łomżyńskiéj	29,120	13,4	40,775	3,2
„ Lubelskiéj	45,651	17,1	54,283	3,2
„ Piotrkowskiéj	25,050	14,7	28,728	3,1
„ Płockiéj	30,948	21,1	36,579	4,0
„ Radomskiéj	25,949	23,4	21,966	3,4
„ Siedleckiéj	61,921	19,8	61,168	3,3
„ Suwalskiéj	183,976	25,5	198,768	4,0
razem	510,019		539,044	

Jak powiedzieliśmy wyżéj, produkcya włókna lnianego z każdym rokiem zmniejsza się we wszystkich głównych państwach z wyjątkiem Rosyi i Niemiec, nie zaspakajając w bardzo znacznéj części potrzeb miejscowych. W Irlandyi zbiór włókna w ciągu dziesięciu ostatnich lat zmniejszył się o 40%. We Francyi zasiewano lnem średnio przeszło 100,000 akrów, w r. 1889 zaś tylko 34,255 akrów, czyli wytwórczość zmniejszyła się o 65%. Toż samo we Włoszech, Austro-Węgrzech i Belgii. Rząd francuski, celem powstrzymania upadku uprawy lnu, naznaczył w r. 1891 premię po 50 fr. za akr, przeznaczając na ten cel $2^1/_2$ mil. fr., lecz i ta zachęta nie osiągnęła skutku, bo len ruski zapanował na wszystkich rynkach zagranicznych, obniżył ceny, wobec których wytwórczość włókna w wielu miejscach nie pokrywa nawet kosztów uprawy. Z drugiéj strony bezustannie wzrasta zapotrzebowanie płócien i innych tkanin lnianych, pomimo niezmiernego w ostatnich kilkunastu latach obniżenia się cen towarów bawełnianych, a trudno przypuścić, aby nawet w odległéj przyszłości, bawełna mogła usunąć len z użycia.

Ogólna wytwórczość włókna lnianego w różnych państwach wynosiła, a mianowicie:

w Rossyi	19,040,463	pudów
w Niemczech	4.041,000	„
w Austro-Węgrzech	2,773,000	„
we Francyi (1889 r.)	1,462,282	„
w Wielkiéj Brytanii	1,312,000	„
w Belgii	1,202,000	„
we Włoszech	1,091,000	„
w Niderlandach	374,598	„
w Szwecyi	207,718	„
w Portugalii	610,000	„
w innych państwach europejskich .	300,000	„
w Egipcie	122,000	„
w Stanach Zjednoczonych	2,623,000	„
Ogółem	35,159,061	pudów

zatém wytwórczość włókna lnianego w Rossyi wynosi około 60% ogólnéj europejskiéj produkcyi.

Z ogólnéj wytwórczości włókna lnianego w Rossyi w ilości 19—20 milionów pudów, około 2 milionów pudów przetwarzają fabryki, 10—12 mil. pudów wywozi się zagranicę, a reszta idzie na potrzeby przemysłu włościańskiego domowego. W ciągu 1892 roku przywieziono włókna ruskiego i polskiego:

do Wielkiéj Brytanii . .	3,705,700	pudów
„ Niemiec	3,227,600	„
„ Francyi	3,446,700	„
„ Belgii	2,479,600	„
razem	12,859,600	pudów

Porównanie tych liczb z wytwórczością włókna lnianego powyższych czterech państw przekonywa nas, jak wielką rolę odgrywa na rynkach zagranicznych dowóz lnu ze wschodu, bez którego wytwórczość W. Brytanii, Francyi, Belgii, a nawet Niemiec musiałaby się zmniejszyć przynajmniéj o połowę.

Ojczyzną udoskonalonych maszyn była Anglia, która przez długi czas skrywała najnowsze ulepszenia w technice, a nawet nie dozwalała wywozu maszyn przędzalnianych, przez co zmonopolizowała w swych ręku cały przemysł tkacki, z którego to monopolu dopiéro w drugiéj połowie bieżącego stulecia wyzwoliła się Europa. Co do przemysłu lnianego w Królestwie Polskiém, pierwotne dzieje Żyrardowa jaskrawo stwierdzają wpływ monopolu angielskiego. Zakłady lniane żyrardowskie największe dziś w całém państwie i zaliczane do największych w Europie, mają swój zaczątek w Marymoncie pod War-

szawą. Tu w r. 1830 Karol Scholtze i sp. założyli swą fabrykę, którą wkrótce przeniesiono do dzisiejszéj osady Żyrardów, nazwanéj od Filipa de Girard, wynalazcy machiny przędzalniczéj i wielu innych i kierownika téj fabryki. Początkowe dzieje Żyrardowa były niezbyt obiecujące, bo maszyny krajowego wyrobu nie mogły sprostać angielskim, a tych ostatnich wywóz był zakazany. Dopiéro od czasów wojny Krymskiéj datuje się era pomyślniejszego rozwoju przemysłu lnianego. Cena włókna lnianego spadła do 1 rs. 30 k., powstało wiele w państwie przędzalni lnu, nadmiar produkcyi, co znowu miało ten skutek, że fabrykanci w Cesarstwie zmuszeni byli sprzedawać przędzę lnianą na kredyt włościanom, rozszerzając tym sposobem tkactwo domowe do wielkich rozmiarów. W jednéj np. tylko gubernii twerskiéj liczono 230,000 osób trudniących się w domu wyrobem płócien (przeszło 30 mil. arszynów rocznie).

Liczba wrzecion i warsztatów mechanicznych daje miarę obecnego stanu przemysłu lnianego w różnych państwach, naczelne jednak miejsce i dziś zajmuje Wielka Brytania. I tak przemysł lniany liczy:

	wrzecion	warsztatów tkackich
w Wielkiéj Brytanii . . .	1,168,793	52,187
we Francyi	475,832	18,821
w Austro-Węgrzech . . .	328,053	?
w Belgii	307,940	4,755
w Rossyi	279,939	8,297
w Niemczech	270,000	11,000
we Włoszech	43,000	772
w innych państwach . . .	31,746	2,676
razem	2,905,303	98,508

Z powyższego wykazu widzimy, jak skromną stosunkowo rolę odgrywa Rossya w przemyśle lnianym, zajmując piąte, a prawdopodobnie szóste miejsce, pomimo olbrzymiéj swéj wytwórczości materyału surowego—włókna lnianego.

Podług urzędowych danych, ogólna wytwórczość fabryczna przemysłu lnianego w r. 1890 wynosiła:

w Cesarstwie	(159 fabryk)	26,238,540 rubli
„ Królestwie Polskiém	(6 fabryk)	6,182,700 „
	ogółem	32,421,240 rubli

a mianowicie wyrobiono:

w Cesarstwie:

1,374,855 pudów przędzy lnianéj	}	za 13,827,000 rubli	
61,308 „ nici lnianych			
253,264 sztuk	} płótna	„ 3,888,000	„
18,808,940 arszyn.			
883,324 sztuk			
3,478,594 arszyn.			
500 pudów	różnych wyrobów	„ 6,979,240	„
1,685,855 worków			
1,536,636 chustek			
przygotowano mechanicznie włókna za		1,544,000	„
		razem 26,238,540 rubli	

Z liczby 159 fabryk w Cesarstwie, 56 zajmowało się mechanicznem otrzymaniem włókna, 11 przędzalni, 20 przędzalni i tkalni, 72 wyrabiało płótna i inne tkaniny.

w Królestwie Polskiém:

W 1890 r. istniało sześć fabryk, ale z tych pięć miało razem nader nieznaczne obroty. Wogóle na tych sześciu fabrykach wyrobiono:

279,300 sztuk płótna		za 3,212,000	rubli
13,135 arszynów			
654,700 tuzinów	różnych wyrobów	„ 2,910,500	„
112,100 sztuk			
290,900 „ (jednostek)			
wyrobów półlnianych		„ 60,200	„
		razem za 6,182,700	rubli

W fabrycznym przemyśle lnianym pracowało w Królestwie Polskim 9,423 osób (4,605 mężczyzn i 4,818 kobiét) i w Cesarstwie 36,038 czyli ogółem 45,461 osób.

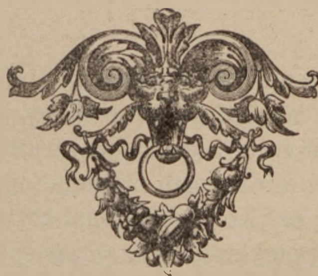
Kwestya lniana, to konieczność przerobienia całkowitéj ilości wytwarzanego włókna w państwie, to konieczność powstania nowych fabryk wyrobów lnianych, zwłaszcza tam gdzie ich nie ma i gdzie istnieją naturalne dlatego warunki. Pożądaném byłoby zbudowanie najprzód przędzalni lnu dla potrzeb włościan i wogóle wytwórczości tkackiéj domowéj.

Jednocześnie z rozszerzeniem produkcyi fabrycznéj, a nawet i wcześniej trzeba się starać o rozwinięcie i udoskonalenie tkactwa domowego, tak po wsiach, jak i miasteczkach i osadach miejskich. Warszawski oddział Towarzystwa popierania russkiego przemysłu i handlu

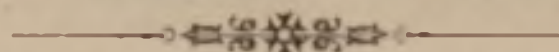
zrobiło dobry początek i nader trafny wybór miejscowości, lecz aby ten zaczątek miał większą doniosłość nie należy się ograniczać na jednéj wiosce lub miasteczku, lecz przyciągać sąsiednie osady i wioski, aby stworzyć okrąg jednorodnego przemysłu, co niewątpliwie wcześniéj lub późniéj wpłynie na utworzenie się w téj miejscowości fabrycznego przemysłu lnianego. Wielkie ogniska przemysłowe właśnie w ten sposób się wytwarzały.

Mamy niepłonną nadzieję, że po uważném przeczytaniu niniejszéj pracy znajdą się chętni, którzy czynem poprą usiłowania sekcyi domowego przemysłu, pamiętając o tém, że *bis dat qui cito dat...*

Leon Iwanicki.



KLEMENS JUNOSZA.



Od lat dwudziestu pracuje Junosza na niwie piśmienniczéj. Nie święcił nigdy wielkich, rozgłośnych, hałaśliwych tryumfów, nigdy téż nie był przedmiotem dotkliwéj i obniżającéj wartość utworów krytyki. Przez pierwszych lat dziesięć swego zawodu (od r. 1874, kiedy debiutował wierszem i prozą w „Kolcach") ginął zazwyczaj ślad jego pisarskiéj działalności w téj otchłani, w jaką czas spycha wydawnictwa codzienne; kiedy niekiedy tylko ten lub ów artykuł zwrócił uwagę braci po piórze na jego pseudonim, gdy np. w „Echu" uczynił wyprawę przeciw Aleksandrowi Świętochowskiemu, lub Albertowi Wilczyńskiemu.

Szerszéj publiczności dał się poznać za pośrednictwem sztuki ludowéj w 5 obrazach ze śpiéwami i tańcami p. n. „Chłopski mecenas," wystawionéj w Warszawie przez trupę prowincyonalną Dorożyńskiego. Treść jéj osnuta była na stosunkach, które autor znał najlepiéj i malować umiał najżywiéj. Chłopi, żydzi, pokątni doradcy, warszawiacy na majówce są tu przedstawieni z werwą i komizmem szczerym; śpiewki udatne, niektóre koncepty, zwłaszcza z życia żydowskiego, zręczne. Wątek niewyszukany rozwijał się swobodnie, lekko. Elegant warszawski Fonsio postrzelił wypadkiem babę wiejską; całe towarzystwo, z którém przybył na wieś, musiało się zatrzymać, a dowiedziawszy się o kłótni Bartłomieja z Michałem, o pożyczeniu pieniędzy od Fajbusia pod nader uciążliwemi warunkami, robi składkę na pokrycie długu, kojarzy małżeństwo Franka i Kasi, dzieci owych chłopów, kłócących się i zadłużających na złość sobie; a „mecenasi wiejscy" pijaki, wichrzyciele i wyzyskiwacze, muszą ze wstydem opuścić wioskę.

„Chłopski mecenas” wydrukowany w Warszawie 1880 był pierwszą książką Klemensa Junoszy. Niebawem potém przeniósł się autor na Podlasie w okolice Węgrowa i gospodarował tam przez lat kilka wśród szlachty zagonowéj, zbiérając obrazki do przyszłych swoich opowiadań i nowel. Istotnie, wtedy zebrany zapas wystarczył mu na napisanie około trzydziestu tomów, w przeciągu lat dziesięciu, to jest od zbiorku zatytułowanego: „Z mazurskiéj ziemi” (Warszawa, 1884) do „Pająków,” które się z datą r. 1894 w książce oddzielnéj ukazały. Od trzech lat prowadzi sam Junosza wydawnictwo 10-tomowe „Wyboru pism” swoich, z którego dotychczas wyszła połowa.

Ocen i recenzyi utworów Junoszy nie brakowało, ale ogólnéj charakterystyki jego talentu nikt jeszcze nie nakreślił. Postaram się to zrobić w tym drobnym szkicu, nie ubiegając się o dokładność, lecz o pochwycenie cech istotnie znamiennych.

I.

Szare jest tło życia naszego: jednostajna, ciągła, pospolita praca na utrzymanie rodziny, na zapewnienie sobie jakiego-takiego bytu, przerywana kiedy niekiedy równie jednostajnemi, równie pospolitemi rozrywkami, troski powszednie, dokuczliwe jak drobne owady, które śmierci ani ran wielkich nie zadadzą odrazu, ale pozbawiają spokoju, swobody ducha, zmuszając do skupienia uwagi dla uchronienia się od ukłuć szpilkowych, od nieprzyjemnych, swędzących podrażnień, wyczerpując powoli siły i zdrowie, nieznacznie sprowadzają zdenerwowanie, rozstrój, zniechęcenie.

Wśród tego ustawicznego mozołu, wśród tych codziennych drobnych kłopotów najszczęśliwsi jeszcze stosunkowo są ci, którzy pracują tylko fizycznie, choćby najcięższéj, którzy, od dzieciństwa do pracy takiéj przywykłszy, wyrobili w sobie wytrwałość i odporność niezmożoną, bo prawie żywiołową, nieświadomą siebie, działającą tak jak siły przyrody. „Dobrze w krzyżu zaboli, jak się człowiek sochy nadźwiga; dobrze nogi zabolą, jak się za broną nabiega; a przy żniwie grzbiet trzeszczy, przy zwózce oczy na wierzch wyłażą, a potém trzeba cepem machać, to téż nie lekka zabawka; trzeba ziarno wywiać, oczyścić, do młyna zawieść — i tu dopiéro jest mąka, z któréj baba chléb piecze. Nie tak się ten chléb w piecu piecze, jak człowiek, co musi koło niego robić, od samego początku.” („Wybór pism” V, 194). Ale jak mus, to mus. Człowiek chleba się naje, przeciągnie, krzyże rozprostuje, w karczmie zaśpiéwa i zatańczy, wyśpi i nazajutrz znów rześki i świé-

ży wstaje do roboty. Wymagania jego i potrzeby są niewielkie, a choć na przednówku bywa ciężko, nieraz bardzo ciężko; chociaż choroby i klęski bynajmniéj go nie oszczędzają; myśl przecież dolegliwa i niespokojna nie zatruwa mu każdéj chwili odpoczynku, nie wyolbrzymia nieszczęść, nie rozrania wciąż blizn niedobrze zagojonych. Te chłopskie plecy, nad któremi Junosza w jednym z najlepszych utworów swoich przez usta Icka robi spostrzeżenia, są rzeczywiście uzdatnione do dźwigania najcięższych bodaj brzemion. „Twarda chłopska skóra — powiada Icek — istna podeszew; wymoczona na deszczach, wysuszona na skwarze słonecznym, wyziębiona nieraz na mrozie... końska odparza się od chomonta, a téj nic nie szkodzą ciężary, kloce drzewa, wory zboża. Pod tą skórą... są muskuły potężne, wyglądają jak bardzo grube i bardzo mocne postronki, rozłożone symetrycznie na grzbiecie, łopatkach, żebrach i ramionach... Jaki grzbiet, jakie łopatki, co za ramiona, jakie żebra! Grube, ale siła w nich jest, końska, wołowa siła!" (tamże, str. 186—7). Takie plecy nie zlękną się pracy.

Inaczéj jest z tymi, w których mięśnie wymiękłe, nerwy wydelikacone, w których mózg pracuje więcéj, niż ręce i plecy. Wychowanie ich nie zahartowało, lecz natomiast rozbudziło pragnienia, które zadowolnić trudno, zasiało myśli, które jak rój pszczół brzęcząc, jak osy kąsając zmuszają wprawdzie do pracy i wysiłków, ale zarazem wykazują małą ich skuteczność lub bezowocność całkowitą. Świadomość położenia i rozmyślanie nad niém rzadko kiedy doprowadza ich do przedsięwzięcia środków zaradczych, daleko częściéj przygnębia i smutkiem napełnia, przedstawiając niemożliwość wyjścia z zaklętego koła. Z początku biorą się do dzieła z zapałem i gdyby najstraszniejsze nawet mieli zwalczyć przeszkody z nadzieją, że zaraz jutro czy pojutrze usunąć je zdołają, to wyszliby zwycięsko z zapasów, bo męstwa i dzielności im nie brak; atoli spostrzegłszy, że przed niemi przeszkody wprawdzie niewielkie, lecz w niekończącym się szeregu ciągną, że je bardzo powoli, systematycznie, z cierpliwością nadzwyczajną obchodzić czy usuwać potrzeba, tracą humor, dręczą się, słabną, upadają.

Oto przykład jeden z wielu. Pan Jan ze Stawisk, rozsądny, energiczny, pracowity, nie mający w sobie nic prawie z tradycyjnie przekazywanych właściwości czysto-szlacheckich, wskutek fatalnych warunków, w jakich większa posiadłość ziemska u nas się znajduje, z wielkim zaledwie trudem wystarczyć może na niezbędne wydatki gospodarcze i wychowanie dzieci w bardzo skromnym zakresie. „Człowiek ten do dnia wstawał, późno w nocy kładł się na spoczynek, najdrobniejszéj słomki nie dał zmarnować, pilnował całości mienia jak źrenicy własne-

go oka, a wszystkie dochody oddawał jak najsumienniéj w formie procentów. Dla siebie tyle miał tylko, że żył. Oszczędność posuwał do ostatecznych granic, w przekonaniu, że tą drogą stanie na własnych nogach, odzyska niezależność, zgromadzi fundusz na edukacyę dzieci, na zabezpieczenie starości... Człowiek ten nie miał ani godziny dla siebie, nie znał, co chwila wytchnienia, lub radości... Czuł, że go jakiś niewidzialny łańcuch, jakaś ściana coraz bardziéj opasuje, otacza, że po za nią już nic nie widać, nic, nic!... Gdy zaś noc przyszła, to nie goniła poranku, ale wlokła się jak zmora powoli, jak zmora dusiła, spędzając sen z powiek, strasząc widmami przyszłości, rzucając potworne znaki zapytania przed oczy: Co? jak? skąd? od kogo? kiedy? Ohydny słownik!... niejednemu on życie złamał, energię odebrał, niejednego przedwcześnie do grobu zaprowadził. Niemasz bardziéj jadowitego i bardziéj mnożnego owadu nad te pytajniki nieubłagane. Brzęczą nad uszyma, rzucają się do oczu, świdrują czaszkę, sprawiając ból nieznośny, aż do obłędu, do szaleństwa. I sen przed temi dyabelskiemi znaczkami ucieka: spokój odbiega i chęć do życia. Wśród ciemności nocnych świecą one fosforycznym blaskiem, jak błędne ognie na cmentarzysku lub bagnie, wdzierają się pod powieki, rażą źrenice, pieką. I ani ich odpędzić, ani się od nich uwolnić nie sposób; natrętne i uprzykrzone jak komary, powracają, mnożą się, uderzają całą chmarą... W takiém położeniu i myślenie skrępowane bywa. Pytanie, co będzie za rok? wydaje się szczytem ironii, wobec nierozwiązanéj kwestyi jutra i dni najbliższych. Za rok? Możnaż myśléć o tém, gdy nad głową na delikatnym włosku wisi miecz, który lada chwila może się urwać i zdruzgotać całe istnienie?... Smutna tragedya życia! tém smutniejsza, że prosta, zwyczajna, pospolita. Nie mniéj przeto jest ona straszna, a może nawet straszniejsza od wielu z tych, jakie w arcydziełach mistrzów podziwiamy. W tamtych siła wyższa, fatum czy ananke druzgotały człowieka jedném uderzeniem, niby ciosem potężnéj maczugi; w tych człowiek pada od ukłucia tysiącznych szpilek, kona powoli, traci krew kroplę po kropli aż do zupełnego wyczerpania, a łudzi się do chwili ostatniéj... i szarpie" („Syzyf", str. 125, 156, 157, 171, 172).

Junosza, opowiadając smutne dzieje pana Jana ze Stawisk, nie o samych tylko myślał ziemianach, borykających się z trudnemi warunkami gospodarowania wśród obecnych warunków, ale podciągał pod kategoryą Syzyfów, dźwigających ciężkie głazy życia, bardzo liczne masy „i w pałacach, przy warsztacie, i z maską na twarzy, i z piórem w dłoni, i w świecie sztuki i w świecie wiedzy."

A nietylko ogólnikowo kategoryę tę wykazywał, lecz także nieraz

przedstawiał artystycznie jednostki do niéj należące. Taką powszednią tragedyę życia odmalował w obrazku owéj zubożałéj kobiéty grającéj po restauracyach, któréj na wspomnienie dawnych, lepszych czasów, na wspomnienie zmarłych dzieci, serce pęka, gdy gra „Wesołego” na żądanie podchmielonych gości (zob. „Wilki”, 313—322); albo w osobie owego biuralisty Karola, co raz dług lichwiarski zaciągnąwszy nie mógł się z niego wypłacić, co to „nie stary, a przecież siwy; nie chory, a jednak skulony, jak gdyby go wielki ciężar bólu przytłaczał; nie próżniak, a przecież zawsze biédny; nie pijak, a zatacza się nieraz, tak go własna niedola odurza” („Pająki”, 245); albo w dziejach téj udręczonéj, oszkalowanéj nauczycielki, która do wszelkich innych cierpień i to jeszcze dołączyć musiała, że ukochany przez nią nie wytrwał w swém uczuciu i w dalekich krajach, dokąd go burze losu zagnały, zapomniał i o niéj i o ziemi rodzinnéj („Po burzy” — w „Obrazkach szarych”).

Znaném więc jest dobrze Junoszy to życie pełne łez, trudów, cierpień codziennych; nie usuwa się téż bynajmniéj od malowania jego szczegółów, ale nie okazał w tym względzie zamiłowań szczególnych, ani téż nie posługiwał się namiętném, jednostronném wpatrywaniem się w bolesne rany społeczne; od pesymizmu i ponurości ratował go humor, ukazujący mu obok smutnych i rzewnych, wesołe i komiczne rysy w charakterach ludzkich i stosunkach pomiędzy niemi.

Nie poczucie bowiem tragiczności, lecz komizmu, leży na dnie talentu Junoszy. Mówi on wprawdzie nieraz o cichéj, pospolitéj tragedyi życia, ale scen prawdziwie tragicznych, któreby grozą swoją wstrząsały potężnie duszą czytelnika, nie nakreślił on nigdy. Zawikłania, w które popadają jego osobistości, mają w sobie pierwiastki, mogące wywołać położenia tragiczne, dusze atoli jego osób, a postaremu mówiąc bohatérów, zamało posiadają głębi, zamało silnéj iześrodkowanéj namiętności, ażeby się na wyżynach sytuacyi owych utrzymać, a autorowi znowuż brak dostatecznéj siły słowa, ażeby je w całéj pełni odmalować. Nad śmiercią rozwodzić się Junosza nie lubi, a jeżeli ona następuje (co się zresztą zdarza dość rzadko), to albo jako zwykły, codzienny wypadek, który utracił własność rozrzewniania, albo przychodzi jako przewidywany oddawna wynik osłabienia organizmu, zdenerwowania, wyczerpania. Opisawszy wypadek, wskutek którego biedny jego Syzyf życie postradał, dodaje: „Ten człowiek dużo cierpiał, nieraz w jeden dzień więcéj przebolał, niż inny w przeciągu roku... Od młodości aż do kresu dni swoich dźwigał brzemię nad siły, dźwigał, dźwigał, aż przerwał się i upadł.” Po takiém przedstawieniu zgonu jednego z tych, co się najbardziéj do tragizmu kwalifikowali, cóż wię-

céj powiedzieć można, nad te dwa słowa, które wypowiada o nim autor: „biedny Syzyf!...”

Namiętności silnych, gwałtownych nie ma téż wiele w pismach Junoszy. Rzadkie-to, bardzo rzadkie u niego takie zjawisko, jak owa pani Rafałowa, szlachcianka z zagonu, wydana za mąż wbrew swéj woli, energiczna w obronie swéj nienaruszalności, chowająca w sercu swą miłość pierwszą, dziewiczą, daleka od myśli zdradzenia męża, któremu nie jest żoną, zadumana i smutna, lecz spełniająca prozaiczne obowiązki życia codziennego. Ale i w przedstawieniu téj namiętności głębokiéj więcéj się domyślamy, niż mamy wyraźnych wskazówek autora; wnioskujemy o niéj, a nie mamy jéj malowidła. Jedna tylko scena jest tu prawdziwie piękna, pełna poezyi. Józia wié o blizkiém miejscu pobytu swego Antosia, lecz nie pozwala sobie z nim się widywać; zaledwie parę razy całkiem przypadkowo z nim się zeszła i co prędzéj uciekła; tęsknota wygania ją z domu, idzie mimowoli w tę stronę, gdzie się z Antosiem spotkała; serce w niéj dygoce; dusza się wyrywa ku ukochanemu; wewnętrzną mowę uczucia przenosi na zewnątrz; Józia słyszy jakiś głos tajemny, a znany i miły, co ją ku sobie przyzywa; zdaje się jéj, że każdy listek, każda gałązka woła na nią: chodź, chodź. I oprzéć się wołaniu temu nie mogła, pobiegła bez tchu, bez pamięci. „Zdawało jéj się, że wszystkie ptaszki śpiewające i wszystkie listki na gałęziach i wszystka woda w strumieniu woła na nią: Józiu! Józiu! Zdawało jéj się, że promienie słoneczne, co się między drzewami migotały, przyczepiły się do niéj jako złote sznury i ciągną ją w las ku temu głosowi wołającemu, że wiaterek, co między listkami chodzi, trąca ją, popycha, a szepce: — Józiu! Józiu! Były-to wołania dziwne, jakby zaczarowane, nie nakazujące, nie straszne, owszem pieszczone właśnie i słodkie, ale taką osobliwą swoją moc miały, że im się oprzéć nie było sposobu, że człowiek poszedłby za niemi choćby na przepaści bezdenne, za wody niezgłębione, za lasy nieprzejrzane... Wsłuchiwała się biedna kobiéta w te wołania, w te głosy i już nie pytając na nic, biedz chciała za niemi, choćby na kraj świata, biedz bez pamięci, do tchu ostatniego” („Panowie bracia”, str. 260).

Ta auto-suggestya namiętności, tak ładnie przedstawiona, to najgłębszy rys psychologiczny, jaki Junosza w utworach swoich na jaw wyprowadził; stoi téż on osamotniony; inne bowiem malowidła miłości w nich spotykane nie przechodzą skali wartości pośredniéj o barwach zblakłych, spowszedniałych.

Wielkich starć, wynikających z różnorodności prądów umysłowych czy społecznych, dotyka Junosza nader rzadko, a wówczas nie doprowadza do druzgotania jednych przez drugich, lecz stara się roz-

wiesić tęczę przymierza między chwilowo zwaśnionymi. Za przykład posłużyć może opowiadanie p. t. „Pod wodę". Staje tu w kolizyi syn względem ojca z powodu całkiem odmiennego poglądu na zadanie życia społecznego. Ma ta kolizya podobieństwo do stosunku ojca i syna w powieści Orzeszkowéj: „Nad Niemnem". Ojciec oszczędny, pracowity, energiczny, zbierający grosz wskutek doskonałego urządzenia gospodarstwa i umiejętnych obrotów, wyrzekł się uczucia, poezyi, wszystkiego, co może umilić i uszlachetnić życie, byleby tylko mógł przekazać dzieciom zwiększony majątek; wszelką miękkość, tkliwość, poczytuje za słabość, któréj jak zarazy unikać należy. Syn wśród życia koleżeńskiego przejął się innemi zasadami; majątek jest dla niego środkiem tylko do rozwinięcia życia duchowego, do wspomagania biedniejszych, do urządzania instytucyi dobro ogólne mających na celu. Sprzeczność wystąpiła w kwestyi małżeństwa; ojciec wymagał, ażeby syn, nie zważając na sentyment, ożenił się z panną bogatą i tym sposobem zdwoił swoje materyalne zasoby; syn zaś wbrew sercu postąpić nie chciał, bo pokochał dziewczynę ubogiego szlachcica, niemal bankruta. Żyli odtąd przez czas jakiś prawie jak obcy sobie; syn wziął od ojca dzierżawę na bardzo surowych warunkach, nie bywał w domu swojéj ukochanéj, bo tak przyrzekł ojcu, ale téż i do domu rodzicielskiego rzadko zaglądał, bo czuł tam chłód i przymus. Ułożyły się przecież te stosunki ku zobopólnemu zadowoleniu; syn gospodarował dobrze, a pomimo swych popędów altruistycznych, nie marnował majątku; w ojcu odezwało się uczucie ojcowskie, zaczął lepiéj obserwować i syna i towarzystwo, jakie się u tegoż zbierało, szlachetniejsze popędy przebiły skorupę groszoróbcy — nastąpiło pojednanie i zgoda serdeczna.

Wszystko to opowiada autor w tonie spokojnym, nie podnoszącym się nigdy do skali wyższéj, unikającym starannie wszelkiéj patetyczności, tonem, który lepiéj oczywiście się nadaje do przedstawienia uczuć łagodnych, swobodnéj pogadanki, aniżeli wzburzenia, gniewu, zawziętości i wszelkich innych silnych wstrząśnień duszy.

Możnaby przytoczyć jeszcze obrazy ruiny majątkowéj po wielkich katastrofach („Na zgliszczach", „Po burzy"), w których sam przedmiot nasuwał sceny głęboko wstrząsające, a jednak przez autora słabo wyzyskane; ale dość i tego, co szczegółowiéj poprzednio rozwinąłem, ażeby nabrać przekonania, że te namiętności i te smutki, które w ogólnéj szarzyźnie życia naszego piorunowemi zaznaczają się burzami, są przez Junoszę traktowane w sposób raczéj anegdotyczny niż dramatyczny, bez pogłębienia duchowego, bez siły tragicznéj. Być może, zbliża się przez to jego przedstawienie więcéj do przeciętnego nastroju ducha

społeczeństwa naszego, które poczucia tragiczności wogóle ma niewiele, zaprzeczyć atoli niepodobna, że wyrazistość artystyczna mocno w téj mierze szwankuje. Co więcéj, dłuższe nawet utrzymanie się w poważnym tonie opowiadania z trudnością przychodzi naszemu autorowi, jak o tém łatwo się przeświadczyć, odczytawszy „Sukcesyą po Gozdawach". Z początku w archaicznym nieco stylu opowiada Junosza jakąś tajemniczą historyą szlachecką, z alegoryczną trumną od trzech pokoleń czekającą na właściciela, z duchami, ukazującemi się w pewnych porach roku, ale bardzo rychło przechodzi „z poematu do prostéj powieści", przedstawiając krótko i dość sucho wieść o urzędniku, który objąwszy sukcesyę po dziadku, przyjął na siebie obowiązki z nią połączone, rozmiłował się w pracy rolnéj, poślubił dobrą, gospodarną panienkę, stracił ją po dwu latach pożycia, oddał się wychowaniu syna i — smutny, lecz zrezygnowany, czeka zgonu. Z szerokiéj alegoryi zrobiła się tym sposobem anegdota, nie celująca wielką świeżością.

Nie w téj zatém dziedzinie szukać należy silnéj strony talentu Junoszy. Na szarém tle życia lubi on głównie malować „szare obrazki", jak słusznie nazwał jeden ze zbiorów swych opowiadań, a rozjaśnia je tylko dowcipem, satyrycznym uśmiechem, łagodném uczuciem i syntezą tych właściwości—humorem.

II.

Że Klemens Junosza jest dowcipnym, to wiadomo powszechnie. W początkach swego zawodu pisywał w „Kolcach"; od lat dwunastu można się uśmiać z powodu jego pomysłów i wyrażeń w „Kuryerze Świątecznym"; większość powieści i nowel mieści w sobie dowcipu tyle, że nie ma najmniejszego kłopotu w wyborze, jeżeliby się ktoś o nim chciał przekonać. Kto przeczytał choćby tylko „Fałszywą kuropatwę", wątpić o tém zgoła nie będzie.

Jakiego rodzaju jest ten dowcip? Ma on przedewszystkiém charakter staropolskiéj jowialności, więc jest dobroduszny, chętnie do gromady ludzi ośmieszanych przyłącza samą osobę żartującą, ażeby tym sposobem odjąć przykry smak pigułki. Powtóre polega on nie na grze słów, coby stanowiło koncept jedynie, ale na takiém złączeniu wyobrażeń i pojęć, że obudza ono uczucie śmieszności.

Naprzykład. Młody Lejbuś jé bardzo dużo na własném weselu a strofowany przez dopiéro co zaślubioną żonę za obżarstwo, odpowiada, że jest bardzo wstrzemięźliwy, jeżeli jé za własne pieniądze, ale że wesele sprawili rodzice, więc lepiéj, żeby on zjadł, niżby goście zjeść

mieli: „niech się więcéj w familii zostanie.” Dlaczego zaś tańczył po jedzeniu? Może dlatego, że się cieszył ładną, posażną i edukowaną żoną? Nie, on mógł się z tego cieszyć siedząc, i skutek byłby ten sam, ale on tańczył „dla utrzęsienia się, żeby mógł więcéj zjeść.”

Nie są-to zapewne dowcipy wykwintne; owszem, należą do kategoryi trywialnych, t. zw. brukowych, ale ze względu na sferę, z któréj są wzięte, całkiem odpowiednie i uśmiech wywołać muszą. Zakres dowcipu Junoszy jest szczupły, obraca się w dziedzinie tych codziennych, powszednich stosunków, które wciąż w kółko się kręcą i dalekich widnokręgów nie znają.

Z dowcipem żartobliwym łączy się bardzo często u Junoszy odcień satyryczny, któremu trafności i siły odmówić niepodobna, zwłaszcza gdy mu odpowiada sytuacya, uplastyczniając i pogłębiając jego znaczenie. Oto stręczyciel małżeństw zachwala na synowę córkę „porządnego żyda”, nabożnego i uczonego, który „w karty nie gra, na żadne zabawy nie chodzi, hulania wcale nie lubi.” Dziadzio Ganzpomader przypomina sobie, że ten porządny żyd siedział w kryminale. Niezmieszany stręczyciel odpowiada swobodnie: „Cokolwieczek, ale bardzo mało, tak jak nic; nieszczęście każdemu może się przytrafić. On handlował koronkami, sprowadzał z zagranicy. Rozumiecie, że to jest ślizki interes. To trudno: my jesteśmy prześladowany naród, my cierpimy...”

Albo inna scena. Z małego miasteczka, wskutek reformy sądownictwa wyjeżdża powszechnie szanowany sędzia. Wyprawiają mu ucztę; przemawia jeden, drugi i trzeci. Panuje nastrój uroczysty. Pani burmistrzowa czuje się upokorzoną, iż mąż jéj, głowa miasta, ani słowa nie przemówił; wymaga od niego, ażeby dla honoru coś przecie powiedział. Improwizować poczciwina nie potrafi; więc biegnie do kancelaryi, by napisać sobie mówkę. Nie sporo mu idzie, wychodzi do sali, by się pokrzepić, wraca i pisze, i znowu wybiega, wreszcie oszołomiony porywa zagryzmoloną kartę, wstaje, chrząka, rozwija szary papiér, wkłada okulary na nos i zaczyna wśród natężonéj uwagi: „Panowie!” Burmistrz zmieszał się trochę... przybliżył papiér do oka, przypatrywał się bacznie, wreszcie zdecydował się czytać: „Idąc za postępem czasu i pragnąc dorównać innym pod względem wszelkich ulepszeń, jakie już gdzieindziéj uczyniono, nie chcąc być prostakami i nieokrzesanymi, postanowiliśmy wybudować nową mikwę...” Odczytawszy ostatni wyraz, który wywołał głośny śmiech aptekarza, burmistrz poczerwieniał jak burak... biedaczysko wziął w roztargnieniu brulion prośby dozoru bóżniczego o zatwierdzenie wydatku na budowę nowéj mikwy...

Może tu jest trochę naciągania co do faktu, ale artystycznie uprawdopodobnionego.

Gdy dowcip żartobliwy i satyryczny złączy się z serdeczném uczuciem, a jest wspomagany przez mniéj lub więcéj lotną fantazyę, która pozwala bez obrazy smaku przechodzić od jednego nastroju do drugiego, powstaje humor w znaczeniu estetycznėm.

Junosza nie ma niewątpliwie téj siły uczucia i wyobraźni co Prus, nie utworzył też tak pięknych obrazków, jak „Antek", „Przygoda Stasia", „Michałko" i t. d.; atoli ma jéj dosyć, by nakreślić mniéj poetyczne, mniéj głębokie, ale zawsze ujmujące postaci i stany duszy. Oddzielnych scen humorystycznych możnaby odnaleźć w różnych nowelach i opowiadaniach dość dużo, ale całkowitych utworów, mających prawo do nazwy humorystycznych w najlepszém znaczeniu tego wyrazu, znam dwa tylko; a są niemi: „Łaciarz" i „Pan metr".

„Łaciarz" należy do najwcześniejszych obrazków Junoszy; w książkowém wydaniu ukazał się po raz pierwszy w r. 1884, a potém wszedł do zbioru tanich książek, przeznaczonych dla ludu. Jestto biedny, wynędzniały od postów i pracy nocnéj krawczyna, któremu przemożna konkurencya odebrała lepsze obstalunki i zmusiła do szukania po wsiach zarobku jak najtańszego, byleby wyżywić rodzinę. Widzimy go przy robocie wśród nocy. „Ostro zakończona krymka, nieco w tył zasunięta, pokrywa mu czubek głowy, a z pod téj krymki wymykają się krótkie wijące się pejsy, jak dwa świderki w skronie wkręcone. Kontrabanda to niby — ale ten żydzina tak mało słodkich owoców zakosztował w życiu, że może ten zakazany, a tak niewinny w gruncie, jest jego jedyną pociechą i przyjemnością osobistą... Na śpiczastym nosie tkwią okulary w oprawie mosiężnéj, a przez szkła widać oczy przenikliwe, czarne, o spojrzeniu ostrém, chociaż zamaskowaném nieco przez mgłę łzawą, która jak tiulowa firanka pada na wzrok znużony pracą i całonocném czuwaniem... Pierś wklęsła, zapadła i szczupła, przez ciężki przerywany oddech świadczy, ile w niéj pracy podejmują ubogie płuca, aby utrzymać życie ich właściciela... Łokcie śpiczaste, palce wyschłe i nogi cienkie jak patyki składają się na całość, która podobną jest do szkieletu zamkniętego w podwójnym futerale: ze skóry ludzkiéj i kilku łokci czarnego, wytartego już dobrze kamlotu." Judka Silberknopf śpieszy się z robotą, którą musi wykończyć w nocy z czwartku na piątek, ażeby na szabas pośpieszyć do miasteczka o dwie mile odległego, gdzie go wygląda żona i dzieci, czekające na zapasy śpiżarniane i pieniądze. Siły jego wątłe, pożywienie nędzne, parę nocy już nie dospał, więc się pokrzepiać musi. Oto „kiedy mgła łzawa bardziéj oczy zasłoni, kiedy powieki nabiorą ołowianéj

ciężkości i opadać zaczną bezsilne, chude palce Judki czerpią z tabakiery porcyę zielonego proszku — i świeżość chwilowo powraca: do oczu napłyną łzy większe, mgłę zmyją, i znowuż wzrok bystrzéj śledzi ściegi igły." Takie pokrzepienie starczyć nadługo nie może. Jest tam jeszcze na stole mała buteleczka wódki, kawalek chleba, dwie cébule i szczypta soli w papierku. „Judka — człowiek praktyczny, on nie wypije teraz wódki i nie zjé cébuli, bo wié o tém dobrze, że za parę godzin, kiedy on będzie rękawy przyszywał, a tam na wschodzie, między niebem a ziemią zarysuje się już widocznie pas blady, budzący do trzeciego piania koguty — jemu się zrobi coś koło serca nie dobrze... On wtenczas uczuje takie ściskanie w dołku, i taką niemoc straszną, że mało ze stołka nie spadnie; przed oczami ujrzy migające się koła, bardzo ładne koła czerwone, zielone, niebieskie, złote, czarne centkowane złotem, a nareszcie całkiem już czarne, które szybko zaczną się łączyć z sobą i tworzyć jedną czarną całość... Wtenczas lekki dreszcz przebiegnie mu po grzbiecie, na czoło wystąpią duże krople potu... zapadła pierś ciężko pracować zacznie i chwilowo wyda mu się, że Jehowa zbiedniał i że ma zaledwie tylko trochę powietrza i to... dla bogatszych żydów naturalnie... Wtenczas Judka wstanie, wyprostuje się, zwilży skronie wodą, umyje ręce, zwróci oczy w tę stronę, gdzie już wyraźnie pas złocisty ziemię od nieba oddzieli — i zmówi krótką modlitwę... Potém, z czystém już sumieniem odleje maleńką cząstkę trunku na ziemię, a resztę wysączy powoli, rozkoszując się każdą kroplą, która odrazu wprowadzi ciepło ożywcze do jego zziębniętego, wstrząsanego przez dreszcze organizmu. Wypiwszy wódkę, spożyje małą ilość chleba z dużą ilością soli i zjé cébulę — ale jednę tylko — gdyż takie cébule nie trafiają się codzień. Są one wielkie, płaskie, blado-czerwonawe, ze szczególnym srebrnym połyskiem — i mogą być prawdziwą ozdobą szabasowéj uczty. Dlatego téż jedna z nich musi być schowaną na zapas, w najgłębszéj kieszeni chałatu."

W życiu Judki nie było nic poetycznego; wspomnienia nie nasuwały mu obrazów jasnych, uczuć podniosłych, „brud, głód, ciemnota i praca nad siły"—oto cztery czynniki, z których się złożyło życie jego od samego dzieciństwa. Modlitwa jedynie do Boga i myśl o dzieciach plątały się i splatały z jednostajną, codzienną gonitwą za zarobkiem. Oto już od dni kilku pracuje bez przerwy u pana Onufrego; uszył „śliczną salopę" dla pani Onufrowéj, przerobił ze starego surduta kaftan dla panny Brygidy, obłatał i odświeżył z dziesięć sztuk rozmaitego ubrania i nakoniec téj nocy miał skończyć „arcydzieło" — palto dla samego pana Onufrego. Za to wszystko, oprócz fury drzewa i prowizyi w naturze, Judka miał otrzymać w gotowiźnie rubli srebrem cztery. Na od-

chodném, choć go pani Onufrowa częstowała, nie mógł nic zjeść, bo mu nie było wolno, wypił tylko kieliszek wódki, i wyprosiwszy sobie jeszcze ćwiartkę kartofli, zarzucił worek ciężki na zgarbione plecy i poszedł, licząc „na swoję lekkość, na drewniany łokieć, którym się podpierał", na to wreszcie, że się na jaką furę przysiądzie. Zawiodło go to wszystko. Osłabienie iść mu szybko nie dozwoliło; uszedł pół drogi, worek cięży mu zaczął okropnie, wdrapał się Judka na wzgórek, aby odpocząć; głowa opadła mu na piersi, cały korpus pochylił się ruchem mimowolnym; łaciarz podłożył ręce pod głowę, wyciągnął nogi i usnął. Słońce chyliło się ku zachodowi; przejeżdżający ekonom, widząc biedaka śpiącego, krzyknął nań donośnie; Judka zerwał się prędko, spojrzał nieprzytomnemi, jakby obłąkanemi oczyma i na razie nie mógł zmiarkować, gdzie się znajduje. Wzięty na wóz, na zapytanie ekonoma, kto Judce kazał „panie dzieju" cztery noce nie spać, odpowiedział:

— „Nikt mi nie kazał, tylko widzi jegimość, każdy człowiek potrzebno żyć. Krawiec téż musi żyć trochę, a jak ón chce żyć, to nie może spać, a jakby chciał spać, toby nie mógł żyć; to jest bardzo prosty interes."

Tyfusu nie dostał—dodaje autor — „bo takie niewywczasowanie, ból głowy i dreszcze przechodzą czasem... zwłaszcza, gdy się już kto do wszystkich rozkoszy życia przyzwyczai."

Junosza nie idealizuje swego biedaka, nie zakrywa jego śmieszności, nie rozwodzi się nad nędznym jego losem, ale prawdą rysów znamiennych, spółczuciem dla niedoli, w jakiéjkolwiek objawia się postaci, osiąga wrażenie silne, niełatwo się zapominające.

Mniéj starannie obrobionym, ale bardzo ładnie nakreślonym jest obrazek „Pana Metra". Francuz, nauczyciel gramatyki i muzyki, gdy wskutek spółzawodnictwa młodszych lekcye potracił, a zapasu żadnego nie uskładał, bo się dzielił z biedniejszymi, nie uniżył się nigdy, a nawet nigdy się nie poskarżył. Harda-to a szlachetna była dusza. „Czoło miał wysokie, nos duży, garbaty cokolwiek, brwi krzaczyste, zawsze groźnie zmarszczone. Patrzył na świat przez okulary ciemne, zimą nosił płaszcz granatowy z peleryną, latem almawiwę odwiecznego kroju, bez rękawów, a głowę o każdéj porze roku przykrywał kapeluszem cylindrowym, zrudziałym od słońca, wymytym przez deszcze, ale zawsze wyczyszczonym nadzwyczaj starannie. Od ludzi stronił, przyjaciół nie miał, nigdy nie widziano go w towarzystwie; po ulicach, po ogrodach publicznych chodził zawsze sam jeden, z głową podniesioną dumnie... Mężczyzn mierzył od stóp do głowy hardém, zawadyackiém spojrzeniem, względem kobiét był uprzedzająco grzeczny. Choćby był najbardziéj zmęczony i osłabiony, zrywał się z ławki, gdy spostrzegł, że

kobiéta chce usiąść, niejedną obronił od nieproszonéj zaczepki, a najszczęśliwszym się czuł, gdy mógł wyświadczyć któréj jaką drobną grzeczność, podnieść upuszczoną chustkę, ułatwić przejście w tłoku... Wtenczas surowa zazwyczaj twarz jego ożywiała się uśmiechem, a oczy nabierały pełnego łagodności wyrazu." Żył chlebem i rzodkwią, obiad jadł gdzieś w lichéj restauracyjce raz na tydzień, potém raz na dwa tygodnie, a zjadał go z wielką skwapliwością, trzęsącemi się rękami. Codzień wszakże popołudniu zachodził na czarną kawę do cukierni i oddawał się czytaniu, wykałając zęby. Gdy kto z gości namówił chłopca, żeby metrowi podał „Pressę" lub „Blatt" jaki, karcił malca surowém spojrzeniem i odwracał się z pogardą. Do domu wracał przed wieczorem i zaraz kładł się spać, wstawał raniutko; wogóle czas swój wedle słońca regulował: w zimie spał więcéj, w lecie mniéj. W mieszkaniu była zawsze nalana lampa, któréj nie zapalał wcale. Umarł w szpitalu, dokąd odwiózł go rządca i stróż, który zauważył, że od trzech dni Francuz nie dawał znaków życia, nie wychodził na miasto, nie żądał nawet wody. Ziomek Francuza letkiewicz, pijaczyna, doznawszy od niego pomocy nieraz, przyrzekał sobie, że go poratuje, ale nałóg nie dozwolił mu przez lat parę wykonać zamiaru; nakoniec, gdy zasiłek zebrał, trafił na pogrzeb.

Proste opowiadanie o tym szlachetnym, a wyniosłym charakterze, nie wolnym od drobnych śmiesznostek, które się tłómaczą dawniejszemi przyzwyczajeniami z lepszych czasów, działa tak wzruszająco, jak mało która łzawa nowela. Piękność duszy ma naturalnie w wywołaniu tego wzruszenia udział największy, lecz i sposób przedstawienia, w którém autor bardzo szczęśliwie uniknął szkopułów niepożądanego komizmu z jednéj, a patetyczności z drugiéj strony, humor jednέm słowem serdeczny, ma tu niemałe znaczenie.

III.

Cechy zewnętrzne odznaczające ludzi wpadają przedewszystkiém pod uwagę zmysłu obserwacyjnego Junoszy, najtrwaléj się w jego pamięci przechowują, najlepiéj i najdobitniéj odradzają w wyobraźni i przemieniają na kształty artystyczne. Stąd téż osobistości, w których te cechy są najwydatniejsze, należą do najprzedniejszych kreacyi naszego autora.

Więc naprzód żydzi, zwłaszcza wiejscy i małomiasteczkowi, chodzący jeszcze w chałatach, lub téż częściowo jedynie „ucywilizowani."

Wiadomo, że w powieściopisarstwie naszém wogóle wyodrębnili się oni najprzód ze swoją mową, gestami i całém zachowaniem się,

wszystkie te bowiem szczegóły znamienne zbyt były jaskrawe, ażeby je można było oddawać temi samemi rysami, jakiemi ogół osób przedstawiano. Junosza miał już przed sobą wiele i to różnorodnych, w mniejszym lub większym stopniu świetnych przykładów malowania typów i jednostek żydowskich, ale nie poprzestał na kopiowaniu poprzedników swoich, wprowadził owszem do beletrystyki naszéj dużo świeżych pierwiastków.

Nie zadawalniając się obserwacyą bezpośrednią, poznał żargon żydowski i literaturę w nim pisaną, streścił lub przetłómaczył na polski parę jéj utworów („Donkiszot żydowski", 1885; „Szkapa", 1886), może nawet przeceniając ich znaczenie i doniosłość, ale bądź co bądź pogłębiając rozumienie świata myśli, uczuć, marzeń i pragnień w duszach mało ukształconych, licznemi zabobonami przejętych, ale ciekawych ze względu na swą odrębność od innych podobnego poziomu umysłowego. Rozmyślał też Junosza dużo nad wychowaniem, etyką, położeniem ekonomiczném ubogich synów Izraela i szereg swoich spostrzeżeń złożył w broszurze: „Nasi żydzi w miasteczkach i na wsiach" (Warszawa, 1889).

W utworach artystycznych wyjątkowo tylko obchodzi się bez skreślenia postaci żyda. Narysował ich takie mnóstwo, jak żaden inny nasz powieściopisarz, a zawsze w każdéj figurze dał jakiś odcień w poprzednich nieznany. Gdy się ten tłum żydowski w książkach Junoszy rozważa, większość wydaje się niby zbita jednostajna masa, lecz pozornie tylko; gdy się każdéj jednostce w tym tłumie przyjrzymy, nie trudno będzie się nam przekonać, że choć drobnym rysikiem, różnią się one przecież, a każda jest istotą naprawdę żywą, każda i treścią i formą przejawów dyszy prawdą.

Nie jest nasz autor antysemitą; bacznie wpatrując się w życie i sposób postępowania żydów, wyróżnia wśród nich dobrych, zacnych, rozumnych, jak Maneles (w „Syzyfie"), jak Froim (w szkicu pod tym napisem); wyróżnia biednych a uczciwych, jak „Łaciarz", jak Szulim angielski, starszy felczer z Londynu (w „Panu Sędzi"), jak Jojna w „Sukcesyi po Gozdawach"; przedstawia grono wesołych, niestrudzonych „Muzykantów", co za pośrednictwem popularnéj sztuki na życie zarabiają, wesołych gawędziarzy jak Berek Guzik (w „Cud na kirkucie"), zabobonnych talmudystów jak Boruch Bajgel, kreśli usłużnych pachciarzy, co bez krzywdy właściciela dobry byt sobie zapewniają (Berek w op. „Na zgliszczach" i kilka innych); maluje zabawnie sylwetki żydów na roli gospodarujących („Nowy dziedzic", „Miód niekasztelański"), żartuje sobie jowialnie z takich tchórzliwych geszefciarzy, jak Boruch w „Straconém szczęściu", lub Mendel w „Młynarzu z Za-

rudzia"; piętnuje jako plagę społeczną wyzyskiwaczy, podjudzających waśnie, rozpajających chłopów, lichwiarzy oplątujących swe ofiary i wysysających z nich siły i zdrowie („Pająki").

O każdéj z tych kategoryi możnaby pomówić szczegółowiéj i wykazać zalety przedstawionych przez autora postaci, ale nie chcąc się rozpisywać zbyt obszernie, powiem tylko wogóle, że Junosza nigdzie nie idealizując żydów, jak to robili niektórzy nasi pisarze, nigdzie zatém nie porzucając gruntu realnego, myśli, poglądy, zakres wyobrażeń, rodzaj uczuć, mowę, miny, gesta, postać zewnętrzną żydów odmalował z takiém bogactwem i z takiém urozmaiceniem, jak żaden z naszych twórców powieści. Gdziekolwiek wchodzą postaci żydowskie, Junosza ożywia się, nabiera werwy, rozumuje, dowcipkuje w sposób charakterystyczny, jest widocznie w swoim żywiole.

Pozostawiając atoli ten tłum postaci w tak ogólnikowém tylko ugrupowaniu, muszę zwrócić bliższą uwagę na „Icka podwójnego", gdyż pomimo lekkiéj formy, mieści się w tym szczupłym utworze zasadnicza charakterystyka tych wszystkich, co, mając za hasło własny jedynie interes, nie przywiązują się do kraju, w którym się porodzili, nie przejmują się jego sprawami, lecz przy zdarzonéj sposobności, gdy zobaczą lepsze przed sobą widoki, gotowi są kraj ten opuścić nietylko bez żalu, ale owszem z niechęcią i przekleństwem. Zarozumiałość takich ludzi każe im uważać siebie za dobrodziejów tego kraju, z którego wszystko mają, każe im wynosić się nad spółmieszkańców i patrzéć na nich z lekceważeniem. Przez czas jakiś nie udawał się Ickowi żaden przedsięwzięty interes, wpadł więc w zły humor, i on, co dawniéj był taki usłużny, grzeczny i delikatny, staje się naraz opryskliwym nietylko względem chłopów i służby dworskiéj, ale nawet względem samego właściciela wioski, gdzie był pachciarzem. Postanawia wybrać się do Ameryki, bo mu pisał jeden żydek, że tam „taki dziki chłop, ten czarny, potrafi dać dwa brylanty za kieliszek araku i jeszcze się cieszy, że zrobił bardzo dobry interes." Panując już w myśli nad temi „czarnemi chłopami", Icek pluje na społeczeństwo, które ma porzucić. „Co wy jesteście bezemnie? — mówi do Marcina, co go wiezie — co wy znaczycie? jaką wy sobie radę możecie dać? Aj, aj, my jesteśmy dla was tém, co głowa dla człowieka, my za was myślimy... Wy wszyscy nic nie warci, wszyscy, co tu jesteście na tym piasku, na tych bagnach. Szlachcic z wielką fanaberyą siedzi na swoim folwarku, jak pies na płocie. Sto razyby z płota zleciał, żeby go jaki porządny żydek w porę nie złapał i nie przytrzymał! A jaka fanaberya! jaka pycha! Chłop taki paskudny, ordynarny chłop, ten ma także swoję fanaberyę, a przecie, żeby nie miał żydka, toby całkiem zmar-

niał, nie wiedziałby nawet, u kogo kupić kwartę gorzałki do przepłókania swojéj grzdyki. A jaka fanaberya! jaka pycha!... Chłop pyszny jak szlachcic, szlachcic jak hrabia, a hrabiemu to zdaje się... albo ja wiem, co się jemu zdaje?... Wszyscy oni razem tyle warci co nic, wszystkich dawnoby dyabli wzięli, gdyby nie nasze żydki, co ich cokolwiek trzymają" („Wybór pism", V, 191). Icek naturalnie do Ameryki nie pojechał, bo mu się trafiła doskonała dzierżawa młyna.

Po żydach, na drugiém miejscu pod względem wartości estetycznéj w obrazkach Junoszy trzeba postawić wszelkiego rodzaju oryginałów, t. j. ludzi jaskrawo odbijających jakiemiś cechami zewnętrznemi od swego szarego otoczenia, czy to będzie wytrwały, oszczędny, pracowity, małomówny Litwin Dyrdejko („Na zgliszczach"), czy wygadany, zarozumiały, przebiegły aptekarz („Pan sędzia"), czy szlachcic zagonowy kłótliwy, skąpy, wyrachowany, a ceniący swój klejnot („Panowie bracia"), czy ksiądz eks-wojskowy, czy wesoły jowialista jak Onufry (w „Straconém szczęściu"), czy szlachcic zajmujący się po amatorsku medycyną (jak Karol w „Syzyfie"), czy dziwak szlachetny („Sukcesorowie skąpca"), zawsze otrzymamy barwne wizerunki, o których podobieństwie ani na chwilę wątpić nie można. W psychologią ich Junosza nie zapuszcza się głęboko: bierze ich już jako istoty skończone, które przemianom wewnętrznym ani zewnętrznym ulegać nie mogą; całém tedy jego staraniem jest utrzymanie ich charakteru w ciągu opowiadania. Ponieważ ich artystyczna istota polega na uwydatnionych cechach zewnętrznych, stale występujących w każdéj scenie, mogą się niekiedy postaci te wydać trochę jednostajnemi, jakkolwiek do ożywienia całości opowiadania przyczyniają się wielce, a nieraz stanowią nawet główną jego ozdobę.

Na trzeciém miejscu skali estetycznéj postawiłbym sylwetki chłopów, ekonomów, pokątnych doradców, służby kościelnéj na wsi, stróżów, straganiarek, mieszczuchów wszelkiego rodzaju, a szczególniéj bawiących się w obywateli wiejskich („Folwark do sprzedania"). Kategorya ta ma podobieństwo z drugą; i w niéj bowiem pewne wydatne cechy zewnętrzne (ubiór, gesta, mowa), pewne typowe sposoby myślenia i wyrażania uczuć na pierwszym stoją planie. Różnica od osób owéj drugiéj kategoryi polega głównie na mniejszym rozmiarze, na pobieżniejszém traktowaniu, na szczuplejszym udziale w akcyi powieściowéj.

Postaci główne w utworach, jeżeli niemi nie są oryginały, lecz ludzie zwykłéj, normalnéj miary, oraz młode kobiéty Junoszy nie zadawalniają nas zazwyczaj, nie dlatego, żeby w ich rysunku były jakieś ważne błędy, ale dlatego, że nie umié ich ukazać autor w ruchu, w dzia-

łaniu, a choćby w wybitnéj rozmowie; są one albo zbyt spowszedniałe w belletrystyce („Na zgliszczach,” „Pułkownik,” sam „Pan sędzia,” „Dzieci pana radcy” i t. p.), albo téż zamało rozwinięte pod względem psychologicznym jak w „Syzyfie,” „Pod wodę,” w „Straconém szczęściu.” W tym ostatnim utworze jest bardzo ładnie pomyślana postać Marty. Ta dzielna, energiczna, zdająca sobie jasną sprawę ze smutnéj sytuacyi kobiéta, byłaby nader miłą i pożądaną kreacyą wśród dodatnich naszych charakterów kobiécych, gdyby delikatniéj, subtelniéj była wycieniowana, gdybyśmy mogli w duszę jéj zajrzéć głębiéj.

Prawdziwie pięknéj pary kochanków nie spotykamy w dotychczasowych utworach Junoszy; są tylko młodzieńcy i panny, jakich dużo znajdujemy w naszéj beletrystyce, przez co postaci te stały się już szablonowemi. Szczególnych uzdolnień w malowaniu miłości szczeréj, serdecznéj nie wykazuje nasz autor; rzadko też bardzo probuje odtwarzać rozmowę miłosną w tonie tkliwo-poważnym. Trudno się temu dziwić. Największym nawet mistrzom udawało się to wyjątkowo tylko w chwili jakiegoś szczęśliwego natchnienia, wobec uczuć przez siebie doznanych. Proza życia powszedniego wypłasza przejawy tych delikatnych, lękliwych, nieśmiałych, kryjących się chętnie w sobie drgnień duszy, czyniąc je skarbem ukrytym, nie na pokaz bynajmniéj.

IV.

W kompozycyi utworów Junoszy trzeba wyróżnić małe nowele i obrazki od większych opowiadań i powieści. Nowele i obrazki, pisane jednym rzutem w krótkim przeciągu czasu odznaczają się jednolitością, skupieniem, zaokrągleniem ostateczném; pomysł drobny wcielał się odrazu w formę sobie odpowiednią, stanowił wraz z nią całość harmonijną. Nie było w takich utworach powtarzań, rwania się wątku i forsownego nawiązywania urwanych nici. Natomiast w opowiadaniach na skalę rozleglejszą, części poszczególne bywają nieraz bardzo ładne, same przez się wymownie świadczą o istotnym talencie autora, lecz ich układ, ich ustosunkowanie względem siebie przedstawia zazwyczaj wiele wadliwości, a mianowicie brak rozwinięcia sytuacyi takich, które dla wykazania pewnych cech czy pewnych stosunków były niezbędne, zbyt zaś długie traktowanie takich, których łatwoby się domyśléć było można, powtóre brak naturalnego następstwa zdarzeń, lecz dowolne ich zestawianie, potrzecie przemiana usposobień nieraz niedostatecznie usprawiedliwiona. Tak np. w opowiadaniu „Po burzy” sporo było pierwiastków, mogących zająć żywo, bo i czas obrany — i stosunki

przez ten czas sprowadzone i położenie osób i ich uczucia dostarczyć mogły wątku do rozwinięcia całości, przedstawiającéj losy bardzo znacznéj liczby rodzin i na rozległéj przestrzeni. Wykonanie atoli osłabiło siłę zajęcia nasuniętego treścią. Najważniejszych momentów autor wyzyskać nie umiał; podrzędne zaś zbyt szeroko i nieco karykaturalnie rozwijał; uczuć malowanych nie pogłębiał, trzymając się głównie zewnętrznéj strony wypadków. Z całéj powieści nie świat wzbogaconych ludzi, u których zubożała Zosia szuka zajęcia jako nauczycielka, nawet nie ta Zosia, bohatérka utworu, najlepiéj zostały wykonane, lecz dwa poboczne jedynie obrazki i prolog podający rozmowę chłopów świéżo ze stanu pańszczyźnianego oswobodzonych o zrujnowanych „dziedzicach," oraz wyborna maglarka ze Starego Miasta, która dała Zosi przytułek.

W powieści p. t. „Nieruchomość Nr. 000" dobra z początku postać kamienicznika Faramuzińskiego, wypowiadającego w rozmowie z autorem swoje oryginalne poglądy na cywilizacyę nowoczesną, na swoje konkury 30-letnie do p. Klein, kamieniczniczki — sąsiadki, przemienia się nagle, bez istotnego powodu, a tylko dla rozzsnucia intrygi powieściowéj, w niby przebiegłego dyplomatę, starającego się wyśledzić dowody interesowności aktora, polującego na kamienicę pani Klein, dla założenia własnego towarzystwa dramatycznego. Wolelibyśmy widzieć go raczéj na posiedzeniach archikonfraternii literackiéj, któréj był członkiem. I znowuż figury poboczne: chuda separatka z dwiema córeczkami również chudemi, które dają lekcye muzyki po 40 groszy, separatka oszczędna, wygadana, zabiegliwa, posługująca się wyrażeniem „sunogrado" na oznaczenie czegoś najgorszego, dobra przytém, gdy widzi nieszczęście, pielęgnująca gorliwie nawet tego łotra-męża, z którym się rozseparowała, — a daléj stróż, sklepikarka i t. p., daleko plastyczniéj, żywiéj, prawdziwiéj wychodzą w słowach, ruchach, gestach, aniżeli osoby, które, jak się zdawało, główną miały odgrywać rolę.

Podobnież „Syzyf," najlepiéj, najszerzéj w zasadzie pomyślna postać rolnika, traci pod względem artystycznym bardzo wiele, gdyż nie widzimy go plastycznie odtworzonego w przeróżnych sytuacyach, w których z powodu interesów swoich znajdować się musiał. Tymczasem o jego kłopotach dowiadujemy się po większéj części z relacyi samego autora, działa ona poza kulisami powieści i nie może, pomimo rysów sympatycznych, obudzić w czytelniku zainteresowania estetycznego, chociaż jako wyraz położenia ekonomicznego wielce jest zajmującym. Na 204 stronicach „Syzyfa" mamy oderwane sceny z dwudziestu kilku lat mozolnego życia p. Jana; harmonijnego rozwinięcia części poszczególnych na tak szczupłém miejscu i wobec tak rozlegle pomyślanego

planu trudno się tu spodziéwać. Figury natomiast poboczne: Karola, doktora Ditto, zacnego i rozumnego Manelesa zasłaniają postać główną, bo są bardzo wyraziście skreślone.

Tak samo „Pająki" są raczéj galeryą przedstawiającą różne odmiany typu lichwiarza, aniżeli jednolitą całością, w którejby losy rodziny oplątanéj siecią pajęczą, były więzią, silnie skupiającą wszystkie szczegóły artystyczne. Dziadzio Ganzpomader, Lejbuś Hapergeld, Lufterman i t. d. są-to istotnie postaci żywe, w których słowa z zachowaniem się w zupełnéj są psychologicznéj i estetycznéj zgodzie, ale ofiara przebiegłości, sprytu i nieuczciwości, Karol jest bladą sylwetką, a sposób, w jaki oplątany został, nie rysuje się dostatecznie jasno i przekonywająco. Każdy prawie rozdział, osobno wzięty, tryska dowcipem lub się znamiennemi rysami odznacza, lecz połączenie ich nie wydaje bynajmniéj jednolitéj całości, wywołując raczéj wrażenie szeregu feljenonów satyrycznych.

Poprzestanę na tych przykładach, choćbym liczbę ich znacznie mógł zwiększyć, mówiąc o kompozycyi „Panów braci," „Pana sędziego," „Pod wodę," „Straconego szczęścia," „Dzieci Pana Radcy," i t. d.

Jako środka artystycznego używa Junosza najchętniéj i najczęściéj rozmów, które jednak zazwyczaj nie posuwają akcyi powieściowéj naprzód, lecz służą do poznania bliższego osobistości rozmówców lub też rozjaśniają położenie osób trzecich, albo wreszcie służą tylko do popisania się dowcipem, żywem i zręczném szermowaniem słowami. Są niektóre nowelle złożone z samych tylko rozmów jak np. „Cud na kirkucie;" są nawet dłuższe opowiadania, gdzie żywioł dyalogowy bierze górę nad wszelkiemi innemi, jak np. „Pan Sędzia;" a w każdym prawie utworze zajmuje on miejsce wybitne. Ta właściwość pisarska doskonale się nadaje do feljetonowego sposobu ogłaszania powieści; każdy bowiem odcinek, przy umiejętnym podziale, może zawiérać zaokrągloną w sobie scenę lub scenkę. Ale na układ całości wpływa ta właściwość często bardzo ujemnie; bo autor, zajęty scenami poszczególnemi, traci poczucie ich ustosunkowania w planie ogólnym.

Opisowość, wobec skłonności do żywego dyalogu, niewielką może odgrywać rolę w metodzie pisarskiéj Junoszy. Nie gardzi nią, nie odrzuca jéj z zasady, ale jéj nie hołduje. Opisy jego są wogóle jasne, trzeźwo pomyślane, zwięzłe; przedmioty w nich zaznaczają się tylko główne, w danéj chwili najwięcéj zwracające uwagi. Nie znaczy to jednak, żeby Junosza pozbawiony był poetycznego odczucia piękna przyrody; tylko ponieważ najczęściéj przedstawia stosunki ze strony komicznéj nie ma sposobności do częstszego zaznaczania téj cechy swe-

go talentu. Ale gdzie mu się ona sama nawija, tam bardzo piękne kreśli obrazki, nawskroś przeniknięte liryzmem.

Na uwagę zasługuje szczególniéj ładny opis nadchodzącéj wiosny w „Panach braciach” językiem trochę staroświeckim, na ukształtowanie którego wpłynęły podobno pierwiastki mowy szlachty zaściankowéj przez Oreszkową w powieści „Nad Niemnem” tak ślicznie odtworzone. Może niezbyt właściwie język ten zastosowany tu został, ponieważ ów opis wiosny nie jest włożony w usta którego brata-szlachcica, ale od samego autora pochodzi, ale pomijając tę okoliczność, przyznać mu wypadnie zalety niepowszednie. Parę ustępów muszę tu przytoczyć dla usprawiedliwienia tego sądu. Pochód wiosny porównywa do uroczystego pochodu procesyi.

„Więc się naprzód skowronek maleńki do góry wzbija i zawiesiwszy się wysoko, dzwoni jakoby w sygnaturkę na jutrznię i narodowi wszystkiemu wielkie święto opowiada, a za nim dopiéro ruszą się inne ptaszki śpiéwające, świergocące, i drobne i większe, a wszystkie z pieśniami, z graniem jako kapela najprzedniejsza. Jedne cieniuchno, drugie grubiéj, jedne żałobliwie, drugie ucieszne, wedle rodzaju swojego, jakie którego są. I mysi królik maleńki, co po drzewinie łazi jak mucha, i pliszka ucieszna i sikora uboga i trznadelek i szczygieł i makolągwa i pośmieciucha i sójka krzykliwa i wilga śpiéwająca i sroka przekorna i kawka i kukułka przedrzeźniająca i kraska we wzorzystych piórach. Dzięcioły bębnią w stare sosny, a drzewa w świeżéj zieleni chwieją się jako chorągwie.

„Z łąk, z borów, z pękających pąków na drzewinie zapachy idą jako z trybularzów, owdzie mgła podnosi się niby dym, a z borów, z rzek, strumieni szum idzie, jako z organu, gdy na podniesienie organista dudy wszystkie zatka i tylko jednéj szumiącéj grać każe.

„Zda się, że dzwony dzwonią, pieśni rozbrzmiewają, kadzidła w górę idą, chorągwie szumią, a nad tém wszystkiém jako monstrancya wspaniała, ukazuje się słońce w blaskach złocistych, w mocy majestatu, że człowiek oczu na nie podnieść nie śmié i głowę schyla w pokorze.

„I idzie ta procesya wielka nie moment, nie godzinę, ale dnie i tygodnie, idzie, nie ustając, w uroczystości wielkiéj, w śpiewaniu, w kadzidłach. Słońce obróci się w inne strony i z oczu naszych zejdzie, a natomiast wystąpią gwiazdy, jako wielkie bractwo ze światłem. Śpiewanie uciszy się trochę, ale nie ustanie ze wszystkiém, bo oto słowik w gąszczu się rozśpiéwa, rozżali, żaby po bagniskach chórem się ozwą, płaczliwie z początku, a potém żwawiéj, prędzéj, z rozradowaniem,

z uciechą... Wody szumią, bory szumią, wiatr pomiędzy gałązkami chodzi i do szmerów je pobudza i cała ziemia nie milknie, ale cieszy, raduje się, w deszczach ukąpana, w rosach umyta, w nową zieleń przyodziana, przystrojona jako na gody...

„Kwiaty się na nią posypią pachnące, osobliwe, białością śniegową padną na drzewinę po sadach, na jabłonki, na grusze, na wiśnie; czerwonością różane krzaczki obsypią, modrość na fijołki pokładą, a po łąkach to się już wszelką barwą zamigocą. Zapach z nich bije dziwny, a oku rozweselenie z nich idzie i uciecha i radość. I wody sobie od słońca albo i od miesiąca blasków pożyczą i ubiorą się w nie i ustroją, jako w kamienie drogie, albo w perły, których moc nieobjęta, niepoliczona migoce...”

I dalej jeszcze w tenże sposób maluje autor ożywienie powszechne, radość, mowę przyrody, i puka do serca kochającego, ażeby w tę mowę się wsłuchał, żeby na tę chwilę „o swoich własnych, mizernych chęciach a gorzkościach i bólach zapomniał,“ to możeby też zrozumiał „ten głos dziwny, przenikający, co choć słów ludzkich nie ma, a taki wymowny, i choć do składu nie jest, jako pieśni ludzkie, a przecież tyle grania słodkiego ma w sobie.”

I dykcya Junoszy podobnie jak jego opisy przyrody bywa zazwyczaj jasna, wyrazista, ale mało ma barwy, mało świeżości. Zbyt pobieżnie kreśli on swe zdania, mało się zastanawia nad doborem wyrażeń, a ponieważ ma łatwość wielką, więc tworzy pośpiesznie, niezbyt wglądając w naturę wyrazów, nie korzystając ze wszystkich ich odcieni, nie dobierając starannie kolorytu. Porównania też i przenośnie bierze częściej z przypadkowych cech nastręczających się rozmówcy pod uwagę, aniżeli ze skarbnicy przyrody i głębin duchowych. Ale i tu zdarzy się niekiedy prawdziwie piękny wyjątek, jak np. owo porównanie obumarłego serca do ciszy: „I nie jest to owa cichość, jaka w nocy bywa, gdy ludzie spać się układą, i nie taka jak w polu, kiedy wiatr ustanie; ale zimna, smutna cichość, z tych cichości, co się na cmentarzach kładą, albo w rumowiskach, w pustych pałacach, w zwalonych zamkach przemieszkują. Taka cichość nie lubi koło ludzkich siedzib przebywać, lecz bardziej grobów, uroczysk, dróg rozstajnych, a bagien nieprzystępnych się trzyma. Powiadają, że z nią śmierć chodzi w parze, że topielice i upiory tylko kompanię z nią trzymają, bo nawet taka zatracona dusza, jak wisielec np., już jej nie cierpi i woli z szalejącą wichurą tańcować.” („Panowie bracia,” II wyd. 160).

Takie i tym podobne wyrażenia, w połączeniu z przytoczonym już opisem przyrody, świadczą, że zaniedbania i braki zarówno w kompozycyi jak w dykcyi Junoszy nie są wynikiem organicznej wady talentu

pisarza, lecz skutkiem pośpiechu, twardemi warunkami pracy literackiéj u nas wywoływanego. Kto równocześnie pisze trzy albo cztery powieści feljetonowo i musi tych kawałków na termin dostarczyć, a przytém dbać, aby każdy odcinek był sam przez się zajmujący; ten o umiarze artystycznym, ten o piękności wysłowienia, prócz dowcipu, jeżeli go ma, nie wiele troszczyć się jest w możności. Więcéj swobodnego tchu, więcéj czasu do zastanawiania się iluż-by pisarzom wyszło na dobre, iluż-by miernotom zapobiegło!...

Piotr Chmielowski.



Teatr w Anglii.

Stało się oklepanką poniewieranie teatrem angielskim i przeciwstawianie jego ubóstwa, niedołęstwa, braku oryginalności i smaku potędze, niewyczerpanéj płodności i wykwintnéj świetności francuskiego. Właśnie ci, co są najpowierzchowniéj obeznani z literaturą dramatyczną angielską i ci, co wcale społecznych stosunków i specyalnych warunków sceny angielskiéj nie znają, są do urągowiska najpochopniejsi. Łatwo odgadnąć, że Francuzi, uderzając w dzwon swéj własnéj sławy, rej wodzili w tych filipikach, a za panią matką posłuszna dziatwa pacierz powtarzać przywykła. Utarła się tedy opinia, że w kraju co wydał Shakespeare'a, owego największego geniusza dramatycznego, jakiego świat spłodził od epoki starogreckich mistrzów, że właśnie w tym kraju wszystko inne licha warte: jaskrawa a łatwa antyteza pomiędzy jego wielkością a późniejszą nicością zdawała się zadawalniać wielu krytyków i całe tłumy felietonistów!

Nie jest bynajmniéj zamiarem naszym kruszyć tu kopie w obronie teatru angielskiego, który, przyznajemy z góry, nie stoi bynajmniéj na wysokości innych instytucyi publicznych i innych działów umysłowéj twórczości wielkiego społeczeństwa anglo-saskiego. Ograniczymy się do przedstawienia kwestyi teatralnéj w jéj organicznéj całości, tak, aby czytelnik mógł zdać sobie sprawę z historycznych, obyczajowych i artystycznych warunków, w pośród których teatr w Anglii istniał i istnieje w chwili obecnéj. Obiektywne ich przedstawienie doprowadzi, jak mniemamy, do mniéj ujemnego sądu.

I.

Nie ma potrzeby w dociekaniach historycznych nad teatrem angielskim sięgać aż do liturgicznych mysteryów, *miracle-plays* i *moralities* kwitnących jeszcze w XIII-ym wieku, ani do *pageants*, t. j. widowisk publicznych, urządzanych przez królów i przez municypalności w wieku następnym, ani do *masks*, które były miejscową formą i przeistoczeniem włoskiéj *Comedia del Arte*. Kroniki historyczne, udramatyzowane, były w przededniu epoki Odrodzenia strawą, którą się zadawalniała ówczesna publiczność, uczęszczająca do teatrów. A nie była ona wykwintną. Wogóle teatr i wszystkie widowiska publiczne nie używały faworu władz kościelnych i państwowych, a chęć do zabaw, lekkomyślność przemagająca u królewskiego dworu powoli jedynie i stopniowo torowały drogę innym pojęciom. W XVI-ym wieku prawdziwie literackie talenty nie wzdragają się już jednak pracować dla sceny i począwszy od Johna Lyby, Tomasza Kyd, Jerzego Peele, Roberta Greene, Tomasza Lodge i Tomasza Nash, a skończywszy na genialnym Krzysztofie Marlow, istnieje cała grupa pisarzy dramatycznych, uznania godnych. Nic ciekawszego, jak samodzielność talentu u każdego z nich przy wspólności i jednolitości duchowego nastroju. Dziedzina i zakres sztuki dramatycznéj się rozszerza i pokazuje, że Ben Jonson i Shakespeare nie wyskoczyli samorodnie z mózgu Minerwy, ale że mieli poprzedników, którzy i osnową swych sztuk i ich formą grunt dla nich przygotowali. Liczne a gruntowne prace krytyczne, których przedmiotem stał się Marlow w ostatnich czasach, poznajomiły co najmniéj z nim każdego wykształconego czytelnika i intelektualna fizyognomia autora „Doktora Faustus'a" i „Żyda z Malty" z jednéj strony, a historycznéj tragedyi „Edward II" z drugiéj jest dostatecznie znana, ażeby tu na nią żadnego nacisku kłaść nie było potrzeby.

Daty historycznéj tylko nie należy spuszczać z uwagi. Ta rozbudzona twórczość dramatyczna przypada właśnie na ostatnią ćwierć XVI-go stulecia, na najkrytyczniejszą, najwspanialszą chwilę panowania królowéj Elżbiety i narodowego Odrodzenia. Nigdy nie stwierdziło się równie wybitnie w dziejach, że wielkie przełomy w narodowém życiu odbijają się bezpośrednio na piśmiennictwie i piętnują je swém znamieniem. Anglia ówczesna była zmuszona walczyć za swą wiarę przeciwko Rzymowi i przeciwko Francyi, a zapieczętowała dopiéro swe zwycięstwo straceniem katolickiéj Maryi Stuart; jednocześnie musiała walczyć za swe stanowisko europejskie, za swą odrębność narodową przeciwko Hiszpanii, a zniszczenie słynnéj Armady dało jéj nare-

szcie ono górujące miejsce, z którego nigdy już odtąd nie zeszła. Po tych dwóch pamiętnych latach—1586 i 1587—Europa musi się raz na zawsze liczyć z Wielką Brytanią. Olbrzymi wysiłek materyalny i moralny, jaki społeczeństwo wtedy uczyniło, rozbudził wszystkie jego instynkta, wszystkie drzemiące przedtém siły. Jeżeli Odrodzenie to ujawnia się na wszystkich gałęziach działalności umysłowéj, to przedewszystkiém daje się stwierdzić na teatralnéj. Istotnie nowy duch tam powiał, a rozbudzona wyobraźnia złamała zuchwale wszystkie dawniejsze szranki i ciasne ograniczenia. Nie było żadnéj za zuchwałéj dla ich sztuk osnowy, tak jak nie było żadnéj zbyt wysokiéj historycznéj indywidualności na bohaterów: Faust, Mahomet, Scypion, Tamerlan, że już o narodowych wielkościach nie wspomnimy, występują jedni po drugich. Cała forma zewnętrzna dramatu przeistacza się także, gdy Marlow poważa się zastąpić wiersz rymowany przez wolny, biały, a z chwilą, gdy na scenie rozlega się język naturalny, proza, nowy węzeł wiąże się między nią a społeczeństwem.

A rubaszne ono jest jeszcze, nieokrzesane, zaledwie się z ciemnic średniowiecznych wynurzające. Z zapałem rzuca się ono do teatralnych widowisk. Jest już za Elżbiety siedm teatrów w Londynie, a pomiędzy nimi dwa uprzywilejowane, o listach nadawczych od lorda kanclerza i lorda admirała. Do pierwszego z tych teatralnych towarzystw, grywającego w *Globe* nad Tamizą, należał jak wiadomo, Shakespeare. Dzięki niestygnącemu nigdy zamiłowaniu królowéj do teatru zaczyna uczęszczać doń wyższe towarzystwo. Pamiętać należy, że ówczesne teatry były budowlami pierwotnemi, bez najmniejszej wygody, że uczęszczająca do nich publiczność nie posiadała poloru ni ogłady, że żadna uczciwa kobiéta nie ośmieliłaby się w nich ukazywać bez maski na twarzy, że swoboda języka panująca na scenie, utrwaliła zwyczaj powierzania kobiécych ról chłopcom, że przedstawienia miały miejsce w godzinach popołudniowych i że maszynerya sceniczna, dekoracye i wystawa naccechowane były nadzwyczajną prostotą. Wyobraźnia rozbudzona widzów dopełniała braków. Ale było koniecznėm uderzać na nią silnie, gwałtownie. Teatr ówczesny nie może posiadać wyrafinowanéj delikatności, nie ma w nim miejsca dla półcieniów, ale wszędzie jaskrawe przeciwstawy. Nie możemy się dziwić, że Shakespeare posiada właśnie taki charakter, że obok idealnego wiewu skrzydeł w błękity, popada natychmiast w rubaszną pospolitość; my dzisiaj rozkoszujemy się w jego filozoficznéj głębi i staje się jedną z niemożliwych do rozwiązania zagadek, że ten proletaryusz i samouczek, ten czeladnik u rzeźnika i podrzędny aktor, mógł posiadać taką wiedzę i taki nastrój duchowy; ale wątpić nie można, że dla jego współcze-

snych, dla publiczności uczęszczającéj do teatru, przyczyną jego popularności były właśnie te zalety, które w naszych oczach są drugorzędnemi, a mianowicie: fabuła, anegdota, melodramatyczność, obfitość incydentów i t. d.

Nie mamy potrzeby w pobieżnym tym przeglądzie historycznego przebiegu teatru angielskiego, zatrzymywać się nad Shakespeare'm, jako pisarzem dramatycznym. Najlżejsza nawet charakterystyka geniuszu jego, który wiekowi swemu po wsze czasy imię swe narzucił, jako narodowego poety i jako poety całéj cywilizacyi ludzkości, zaprowadziłaby nas w sferę, któréj najprostsza przezorność dotykać zabrania. Nie może ulegać wątpliwości, że w oczach współczesnych ani osoba ani utwory Shakespear'a nie posiadały tego wyłącznego orlego charakteru, który późniejsze nadały mu wieki; najwyżéj powiedzieć o nim można, że był *primus inter pares*. Tak samo on pożyczał osnowy do swych sztuk od swych rówieśników i kolegów, jak oni pożyczali u niego. Prawdziwa oryginalność i głębia jego utworów mogła być pojęta przez takiego towarzysza jak Ben Jonson, ale dla ogółu instynktów, w przybliżeniu i przeciętnie tylko zrozumiałą być mogła. Ani królowa Elżbieta, ani król Jakób I nie wyróżnili go i żadnym wyjątkowym nie obdarzyli faworem. Stawiano go bez wątpienia na równi z dramatycznymi jego współzawodnikami jak Heywood, Webster, Ford, Massinger, Beaumont, Fletcher i t. d. Niektórzy z nich byli zazdrosnymi o jego powodzenie, a wszyscy razem nie jego ale Ben Jonsona uważali za swego przywódzcę i umysłowego hegemona. Nie podobna zaprzeczać, że w teoryi, w nauce, w krytycznym nastroju umysłu, tak samo jak w wyrafinowanym smaku Ben Jonson był o wiele wyższym od Shakespeare'a. Ale jeżeli mimo tego sława jego przez sławę Shakespeare'a tak wielce i tak niezasłużenie poniekąd zaćmiona została, to wyrok potomności był niejako sprawiedliwy. Doskonalszy w teoryi, bardziéj wykształcony, nie był Ben Jonson poetą z ognistém na czole znamieniem. Tragedye jego się przeżyły oddawna, a jeżeli komedye są jednozgodnie teraz uznane za arcydzieła, to nad arcydziełami temi może się jedynie rozkoszować erudyt; naszym pojęciom i smakowi nie odpowiada już, jak to mimo jednakowego przedziału czasu na miejsce z Molière'm.

Bądźcobądź, u schyłku epoki Elżbiety, w piérwszéj ćwierci XVII-go stulecia teatr w Anglii wzbił się przez potężną twórczość Shakespeare'a i Ben Jonson'a, przy współdziałaniu całéj falangi płodnych i utalantowanych ich towarzyszy do całkowitéj samoistności i zabłysnął niewidzianym przedtém i nigdy już potém niespotkanym blaskiem. Cała masa narodowa, szerokie warstwy publiczności, zespoliły się z te-

atrem; dla owych młodych i wrażliwych umysłów był on istotną szkołą. Nie można się dziwić, że głębsi myśliciele, jak Ben Jonson, właśnie na tę jego stronę dydaktyczną za ciężki położyli nacisk. I w późniejszych nieraz epokach pisarze teatralni angielscy zapominali, że umoralnianie narodu nie jest zadaniem sceny: omyłka ich trudniejszą była wtedy do do usprawiedliwienia aniżeli w owém zaraniu, gdzie wszystkie, nawet najbardziéj przesadzone ambicye usprawiedliwionemi się zdawały. Z oczami wlepionemi w scenę, zasłuchana w fantastyczne powieści, jakie jéj opowiadali tam poeci, rozglądając się w otaczającém ich życiu, które krytycznie osądzać się uczyła z satyry jowialnéj, co się jednocześnie na niéj rozgościła, publiczność ówczesna odpowiadała całkowicie téj tak dobrze dla siebie dobranéj nazwie *merry England*, wesołéj Anglii.

Kwiat to był pełny, uroczy, ów teatr epoki Odrodzenia, ale jak kwiat każdy, byt miał błyskotliwy tylko i przelotny. Zwarzył go niebawem mróz rewolucyi i śmiertelny podmuch purytanizmu. Wojna domowa wybuchła w Anglii w 1642 r. i natychmiast parlament zakazuje wszelkich zabaw publicznych, jako nieodpowiadających ciężkim przejściom i narodowym upokorzeniom: wszystkie teatry odrazu zamknięto. Przed tragedyą, co się niezadługo rozszaléć miała na scenie rzeczywistości, zbladły istotnie nawet najjaskrawsze fikcye teatralne i stracić musiały wszelką ponętę. Gdy uragan przeszedł i gdy pierwsze teatry po upływie lat ośmnastu otworzone znów zostały, inny duch je ożywia i z inną też publicznością mają do czynienia. Naprzód surowy, żelazny purytanizm, zagrzany religijnym ferworem, uwięziony w formalizmie i bigoteryi, spoglądał na teatr jako na dzieło Antychrysta i czuł do niego wstręt, sztuczny może zrazu, ale następnie u wielu szczerych natur istotnie normalny. Pojęcie moralnego dobra zaćmiło zupełnie w umysłach purytańskich wszelkie poczucie piękna estetycznego: wygnało je z życia, ogołociło je z niego do szczętu. Wpływ to był tak potężny, że po upływie dwóch wieków nie został jeszcze wyrugowany z duchowéj natury znacznéj części społeczeństwa angielskiego; można sobie wyobrazić, czém był w pierwszéj chwili po restauracyi tronu Karola II. A rozwolnienie obyczajów i rozwiązłość rozpasana na jego dworze, jeżeli znalazły w teatrze przyjemną dla siebie igraszkę i narzędzie po myśli, to dla teatru okazały się równie zgubne, jak niedawny purytanizm, przeciwko któremu były naturalną reakcyą. Zdrowa część narodu ze wstrętem odwracać się zaczęła od teatru nie dla tego, że na jego scenach grywały już kobiéty, ale dla tego, że się stal istotnym lupanarem i że pomiędzy jego etyką, a przeciętną moralnością masy otwarła się widoczna przepaść. Scena i publiczność nie mogły się wzajemnie zrozumiéć,

a teatr stał się przybytkiem dla dworskiéj kamarylli, dla metres i faworytów, otwartą areną dla skandalów i rozpusty. Zgniła i wykolejona publiczność nie może sobie podobać w żadnych innych sztukach, jeno w tych, co są obrazem, na jéj podobieństwo kreślonym. Takie też sztuki fabrykują dla niéj niezasługujący na wspomnienie pisarze, a jeżeli zabłąka się wśród nich jaki prawdziwy talent, jak Dryden, to sukces swój okupuje abdykacyą moralną.

Gdy cały ten świat znika po rewolucyi 1688 roku i gdy się ten drugi i ostatni okres mętnéj epoki kończy, nie można się dziwić, że nić tradycyi teatralnéj jest na dobre zerwana, że o narodowym teatrze mowy nie ma. W sąsiedniéj Francyi wiek Ludwika XIV przyniósł wśród bujnego rozkwitu wspaniałéj literatury także i teatr, którego modła bezwarunkowo na całe sto lat i więcéj narzuciła się cywilizowanemu światu. I w Anglii naturalnie poszedł teatr po utorowanym gościńcu. Opuściwszy heroiczne wyżyny, na które niesforny geniusz Shakespeare'a był go wwindował, skarłowaciał on, ugłaskał się i wypolerował nie do poznania. Obrabiany przez szereg niewątpliwych mierności jak R. Howard, N. Lee, T. Otway, nie zostaje nawet odrodzony przez tak utalentowanego pisarza jak Addison, bo się teatru chwycił tylko dorywczo, a jeżeli Congreve, w pierwszéj połowie XVIII stulecia pisze sztuki o świetnym dyalogu i błyszczącej formie, nie posiadają one wszelako najmniejszej oryginalności samorodnéj. Ckliwa sentymentalność i maniera, która drugą połowę literatury tego wieku cechuje, nie miała w sobie także żadnego czynnika, coby mógł nowe życie tchnąć w teatr narodowy.

Udało się je wzbudzić genialnemu aktorowi, którego imię nie zostanie nigdy zapomnianém w dziejach angielskiego teatru, Dawidowi Garrick. Można powiedziéć, że był on istotnie pierwszym z szeregu aktorów, którzy odtąd nie przestali uświetniać sceny angielskiéj, najpierwszym i prawdopodobnie najwyższym. Nie jako aktora jednak zasługi jego cenić musi potomność, ale jako wszechstronnego restauratora teatru. Jemu to zawdzięcza się powrót publicznego smaku do Shakespeare'a. Zapomniano go prawie, albo dawano jego arcydzieła w poobcinanym przekręconym tekscie. On ośmielił się dać go takim, jakim być jedynie powinien — całkowitym. Nie tylko przez swe własne mistrzowskie kreacye bohaterów szekspirowskich, stawił je w pełni życia przed publicznością, ale zachęcił inne teatry, innych aktorów do rywalizacyi, do innéj interpretacyi. Wielka to była epoka dla teatru londyńskiego, gdy w 1749 r. dwie uprzywilejowane sceny Covent Garden i Drury Lane w jednym i tym samym dniu otwiérały sezon zimowy przedstawieniami „Romea i Julietty". Garrick umiał tchnąć życie

w cały organizm teatralny i ożywić wszystko, czego się dotknął. Jako dyrektor teatru Drury Lane, powodzenie materyalne miał bajeczne; nie było rodzaju sztuki, nawet najpośledniejszego, w którymby sił nie próbował i któregoby odrazu nie postawił na świeczniku. Nietylko tworzy nowe role, wznawia stare, ale pisze pamflety, polemizuje, kruszy kopie za teatr, stawia wszystkie dotyczące się go okoliczności na pierwszym planie. Zawód dawniéj lekceważony, ażeby nie powiedziéć poniewiérany, zostaje przez blask, rozchodzący się od jego genialnéj osobistości odrazu uszlachetniony. Otoczony przyjaźnią najwyższych dygnitarzy korony i kwiatu arystokracyi, żyje Garrick na poufałéj stopie z ludźmi jak Samuel Jonson, Burke, Reynolds, Goldsmith, czyli że nauka, satyra, literatura w najświetniejszych swych przedstawicielach zaciągają serdeczne węzły z teatrem.

Nietylko wskrzeszenie Shakespeare'a jest zasługą Garrick'a, ale i postawienie przed publicznością jednego z dwóch wielkich komedyopisarzy angielskich, których wiek XVIII-ty posiadał. Mówimy o Oliverze Goldsmitt, nietylko nieśmiertelnym autorze „Wikarego z Wakefield", ale, co nas jedynie tutaj obchodzi, autorze dwóch słynnych komedyi: *The good-natured Man* i *The stoops to conquer.* Nieraz opisywano niechęć i niesprawiedliwość Garricka do pierwszej z tych komedyi; zmazał jednak tę winę, stając się gorącym poplecznikiem drugiéj. Gdy w r. 1776 sześćdziesięcioletni Dawid Garrick dobrowolnie opuszcza scenę, ażeby po trzechletnim wypoczynku, ciągle jeszcze w posiadaniu niezgasłéj sławy, złożyć swe kości w Opactwie Westminsterskiém, teatr angielski stał znowu na silnéj podstawie.

Przebrzmiała już była epoka tragedyi, ale komedya pomiędzy wielu innymi drugorzędnymi pisarzami, mogła się pochlubić wyż wymienionym Oliverem Goldsmith'em i Ryszardem Sheridan'em. Dwie komedye tego ostatniego: „Rywale" i „Szkoła skandalów" stanowią wraz z dwoma komedyami Goldsmith'a klasyczny repertuar komicznéj muzy angielskiéj. Tyle i tak różnostronnych napisano nad niemi komentarzy, sztuki świetnego, błyszczącego Sheridana przedewszystkiém są aż do do obecnéj chwili grywane bez przerwy na scenach większych i mniejszych, charaktery ich głównych *dramatis personae* używają takiéj przysłowiowéj popularności, że łatwo jest pojąć, iż się chlubią z nich Anglicy i są gotowi teatr swój stawiać obok molierowskiego. Sprawiedliwość nie pozwala podzielać téj opinii. Nietylko, że wszystkie te sztuki są komedyami, w których nie malowidło charakterów, ale anegdotyczne wypadki prym trzymają, ale co więcéj, obaj autorowie nie są w stanie otrząsnąć się ze sceptycyzmu, którym atmosfera ich była przesiąknięta i nie posiadając żadnego wyższego kryteryum moralnego, nie potrafili wznieść się do

wszechludzkich typów. Zgrabne, udatne, pstrokate, filigranowe ich figurynki na duszach naszych żadnego głębszego wrażenia wywrzéć nie mogą. Nie ma wątpienia, że teatr przy końcu zeszłego stulecia wyrzekł się wszelkiéj pretensyi dydaktycznéj; jest jednak wielostronny, pełen życia i umié je około siebie wywołać i dla siebie wzbudzić.

Epoka rewolucyjna, która otworzyła się niebawem i któréj następstwem było zawikłanie Anglii w olbrzymią wojnę z Napoleonem i jego systematem politycznym, nie mogła, jak się samo przez się rozumié, sprzyjać rozwojowi teatru. Gdy uragan przebrzmiał i wody opadły, grunt był wyjałowiony. Wyschło było do szczętu źródło naśladownictwa francuskich tragedyi, a zamiast zwrócić się do niemieckich wzorów, do Schiller'a, Goethe'go, Lessing'a, zaledwie przyswajano sobie w Anglii takiego Kotzebue. Wogóle jednak zaćmiła się w całéj pierwszéj ćwierci naszego stulecia gwiazda teatralna. Jak gdyby nie mogło być na piśmienniczym nieboskłonie naraz kilku słońc, wszystkie inne ustąpiły miejsca świetnemu rozkwitowi poezyi romantycznéj. Walter-Scott, Byron zmonopolizowali uwagę i interes intelektualny. Pierwszy nie nadawał się do teatru; próby czynione przez drugiego, wbrew oczekiwaniu okazały się niefortunnemi. Shelley napisał wprawdzie pięcioaktową tragedyę *The Cenci*, ale najgorliwsi nawet jego miłośnicy muszą przyznać, że piękności jéj są łatwiejsze do ocenienia w czytaniu aniżeli na scenie i dziwić się nie można, że pozostała na współczesny teatr angielski bez najmniejszego wpływu.

I znowu, po raz drugi w dziejach teatru angielskiego, życie, co w nim zamiérać się zdawało, wskrzeszone zostało przez znakomitego aktora. Tym razem jest nim Wiliam Karol Macready. Gdy jego gwiazda błyszczéć zaczynała na scenie, schodziło z niéj właśnie dwóch artystów dramatycznych pierwszorzędnéj sławy, pani Siddons, któréj wspomnienie jest do dziś dnia niezatarte i Kemble; ale sława Edmunda Kean znajdowała się właśnie w całéj pełni i zdawać się mogło, że Londyn nie mógł miéć oczów i oklasków dla żadnego innego aktora. A jednakże, lubo talent jego był raczéj nabytym i wyrobionym cierpliwą a ciągłą pracą, aniżeli owocem natchnienia, jak to miało miejsce u Kean'a, udało mu się wszelako wyrobić sobie stanowisko pierwszorzędne i znajdować się przez lat trzydzieści u szczytu swego zawodu Jako dyrektor teatrów Drury Lane i Covent-Garden i jako aktor o eklektycznym talencie, pozwalającym mu grać w sztukach całkiem różnego zakroju, rozwinął on działalność, którą ocenić było można dokładnie dopiéro, gdy w 1850 roku opuścił scenę, gdzie tyle burzliwych przeżył wypadków. Nietylko przez nową a oryginalną interpretacyę repertuaru Szekspirowskiego utrzymywał on go ciągle przed publicznością, chociaż

materyalnie na ciężkie nieraz narażał się straty, (*Shakespeare spells ruin and Byron bankruptcy* było maksymą Chattertona!) ale o ile to się dawało, podnosił poziom teatralny. Epoka Macready'ego, zaznaczona być może, jako należąca do dramatu romantycznego. Najwybitniejszymi pisarzami téj szkoły był Litton Bulwer i Sheridan Knowles. Nie owijając prawdy w bawełnę, dramat romantyczny nie był niczém innėm jak melodramatem. Forma ta zestarzała się obecnie i wydaje się nam śmieszną, w epoce jednak nawskroś przesiąkłéj romantyzmem, był melodramat naturalném przejściem do dramatu realistycznego i do komedyi współczesnéj, jakie odpowiadały lepiéj wymaganiom następnego pokolenia. Romantyczny dramat w Anglii nie miał orlich skrzydeł, jakie mu Wiktor Hugo przyprawił we Francyi, a sceniczne próby wielkiego poety Roberta Browning'a, jednego z przyjaciół Macready'ego nie znalazły i nie mogły znaleść na scenie żadnego trwałego powodzenia: nie rozumiała ich publiczność. Takie samo niepowodzenie spotkało drugiego poetę romantycznego Leigh Hunt'a. Trzeba było zejść niżéj i dostroić się do poziomu społecznego. Tego zadania podjęli się Lytton Bulwer i Sh. Knowles, jak powiedzieliśmy wyżéj. Byłoby niesprawiedliwością stawiać ich na równi. Bulwer był pisarzem nie głębokim zapewne, ale tryskał życiem. I dzisiaj jeszcze najsłynniejsze jego sztuki *Lady of Lyons*, *Richelieu*, *Money* zatrzymały stale swe miejsce w repertuarze teatralnym i widzieć je można z zajęciem. Akcya nie słabnie w nich ani na chwilę i jest sytuacyi efektownych wiele. Naturalnie, że braku szczerości w kreśleniu charakterów a braku prostoty i naturalności w formie, w języku, nie czuli współcześni, którzy te sztuki uważali za arcydzieła. Chociaż obecnie w obec wewnętrznéj próżni, jaka w nich uderza, nie przychodzi nam na myśl uważać ich za takie, nie ma powodu teatr angielski w epoce 1850 r. za nie się wstydzić. O Sheridanie Knowles nie można się równie przychylnie wyrazić. Miał on w swym zawodzie teatralnego pisarza, zawodzie nadzwyczajnie długim, dwa wielkie sukcesy. W r. 1820 wystawiono jego tragedyę „Wirginius", która uczyniła go Shakespear'em XIX-go wieku, jak twierdzili jego przyjaciele i jak on sam mniemał, a w 1832 roku dramat „Garbaty". Przerabiał on także wiele sztuk dawniejszych, nieustannie pracował dla sceny, ale pojąć trudno, że mu się faktycznie naczelne miejsce zająć na niéj udało. Prawda, że liczny zastęp pisarzy, którzy pisali jednocześnie nowe sztuki, niby to oryginalne, albo nieustannie przerabiali francuskie, nie okazywał żadnego wyższego, energicznego talentu: powabna forma, jaką Sh. Knowles przynajmniéj posiadał, pozwalała mu przodować.

Drugi okres panowania królowéj Wiktoryi rozciągający się mniéj

więcéj do 1865 r. posiada mniéj świetności aniżeli ten, któremu potężny talent tragika, jakim był Macready, bądźcobądź użyczał blasku. Naśladownictwo Francyi stało się w téj epoce chorobą chroniczną angielskiéj produkcyi teatralnéj. We Francyi Scribe panował jeszcze samowładnie, chociaż już nowe prądy stanowisko jego podmywały. Nie podejrzewano tego w sąsiedniéj Anglii i owa komedya, ów dramat konwencyonalny o pewnéj liczbie na obstalunek przykrojonych figur, bez żadnego głębszego wniknięcia w istotę duchową przedstawianych charakterów, nabrał tam prawa obywatelstwa. Ale Scribe posiadał zalety, których nikt zaprzeczać mu nie może: intryga jego sztuk była przeprowadzoną umiejętnie, interes nie słabł ani na chwilę, akcya zaś tak była żwawa, dyalog tak naturalny i tak błyszczący, iż nie miał widz czasu zdać sobie sprawy, że tylko mechanizm był wybornym u tego dramatycznego pisarza. Tych właśnie zalet swego pierwowzoru niezliczeni jego angielscy naśladowcy nigdy w pełni przyswoić sobie nie byli w stanie. Simpson, Palgrave, Watts Phillips byli głównymi dostawcami sztuk, które się przesuwały w téj epoce przez sceny londyńskie. A scen tych mnożyła się liczba. Aż do r. 1843 dwa teatry Covent-Garden i Drury Lane, a następnie i Haymarket posiadały tylko monopol przedstawiania tak zwanych *legitimate drama*; wszystkie inne teatry z natury rzeczy schodziły do roli podrzędnéj. Gdy monopol został zniesiony, powstało, jak snadno zrozumiéć, wiele nowych teatrów i o żadnéj klasyfikacyi w pierwszych latach pomiędzy szesnastu główniejszymi mowy być nie mogło. Ilość zastępowała jakość. Zdarzyło się nawet, że na jednym z podrzędnych teatrów przedmieściowych w Irlingstonie na scenie Sadler's Well, dzięki inicyatywie i niezaprzeczonemu talentowi wybornego aktora-dyrektora Phelps'a, przez kilkanaście lat Shakespeare w téj budzie rozwiesił purpurę swego królewskiego płaszcza. Kiedy odbudowany po pożarze i wyzłocony Covent-Garden stał się przybytkiem Opery włoskiéj, a szanowny wiekiem i tradycyą Drury Lane osiedlił na swéj ogromnéj scenie balety, sztuki czarodziejskie i czarne, skomplikowane melodramaty, Phelps grał na swéj scenie jedne po drugich 31 sztuk Shakespeare'a z 37, które niezaprzeczenie były przezeń napisane.

Jeżeli swoboda teatralna pozwoliła w tak niespodziéwany sposób utrzymać tradycyę mistrza, to w ogólności niewiele dobrych dawała owoców w tym pierwszym okresie swego istpienia. Lade, aktor o większych pretensyach niż talencie, otwiérał teatr dla siebie, improwizował trupę i uciekał się do podrzędnych pisarzy, aby mu przynosili sztuki, zdolne przyciągnąć jaką taką, byle płacącą publiczność. Dwóch albo trzech pisarzy wypłynęło jednak szczęśliwie z pośród téj powodzi miernych fa-

brykantów i nie godzi się ich pominąć milczeniem, są nimi: Tom Taylor, T. W. Robertson i Dion Boucicault.

Tom Taylor, adwokat, prawnik, dziennikarz, publicysta, humorysta, słynny krytyk *Times*'a, jedna z najszczęśliwiéj obdarzonych, najwielostronniejszych i najbardziéj wpływowych osobistości umysłowego ruchu wczorajszego w Anglii, uprawiał gorliwie niwę teatralną. Napisał z jakich sto komedyi i dramatów, bądź sam, bądź przy współpracownictwie innych pisarzy, a między innymi wielkiego romansopisarza Karola Read. Niektóre z jego sztuk miały powodzenie szalone i grano je przez dwa lata z rzędu jak np. słynny dramat *Ticket-of-leave Man*, inne przechodziły bez żadnego głębszego śladu. Mimo szybkiej produkcyi, sztuki jego były dobrze pomyślane i opracowane, nie brakło mu czasami prawdziwéj oryginalności, ale wyobraźnia jego nie miała skrzydeł, zapału, ognia, twórczości istotnéj. Wiele sztuk francuskich, które przerabiał, zyskały na metamorfozie. Ale obejmując całość jego działalności, nie można uważać go za mistrza sceny.

T. W. Robertson jest tym komedyopisarzem angielskim, którego utwory cieszyły się i cieszą poniekąd do téj chwili bezprzykładném powodzeniem, większém, aniżeli któregokolwiek z jego współzawodników. Sztuki jak *Ours*, *School*, *M. P.*, grane były całe lata, wznawiane raz po raz, a dzięki parze aktorów ulubionych, panu i pani Bancroft, zachowywały zawsze swój powab dla publiczności. Zasługą ich jest, iż stawiają domowe życie rodzinne, stosunki zwykłe codziennego bytu przed oczyma widzów realistycznie z wielką plastyką, ale jednocześnie z tym optymizmem, jaki podoba się masie. Bez żadnego umysłowego wysiłku idzie się za prostą intrygą i charakterami do zrozumienia łatwemi. Żaden wybryk nieprzyzwoitości ani ludowéj jowialności nie mroczy tego pogodnego horyzontu. Raz tylko w dobrze znanéj komedyi *Dawid Garrick* autor wzniósł się do patetyczności; zazwyczaj jest Eugeniuszem Scribe w poprawném wydaniu angielskiém.

Dion Boucicault nakoniec, trzeci z wybitnych pisarzy teatralnych dnia wczorajszego, napisał nadzwyczajną ilość sztuk oryginalnych lub przerobionych. Posiadając istotnie irlandzką werwę, humor, temperament wysoce dramatyczny, był on *longo intervallo* rodzajem angielskiego Dumasa-ojca. Rozstrzelił i zmarnował potężny talent. Trudno sobie jednak wyobrazić, coby bez niego zrobiły teatry angielskie: w ciągu trzech lat dziesiątków zasilał on je bezwątpienia awanturniczemi sztukami i czarnemi melodramatami. Z wyższą sztuką tego rodzaju działalności nie stoi w bezpośrednim związku, ale potępiać go ryczałtowo, byłoby pedantyzmem nie do darowania.

II.

W szybkim tym przebiegu teatralnéj działalności angielskiéj dobiegliśmy nietylko do dnia wczorajszego, ale potrącili i o pewne imiona, które do dzisiejszego należą. Zamiast iść mozolnie za rozwojem coraz bardziéj rozgałęziającego się, specyalizującego się teatru, właściwszém się zdaje rzucić spojrzenie na stan jego obecny: różnice, jakie stopniowo zaszły, uwidocznią się same przez się.

Ażeby zrozumiéć dążności i charakter teatru u jakiegokolwiek narodu w danéj chwili, nie wystarcza znać sztuki, które są dlań pisane, gmachy, w których są grane i figurujących w nich aktorów, trzeba naprzód wiedziéć, jakie jest społeczeństwo i zrozumiéć jego dążności, temperament, tak samo jak zwyczaje i sposób życia, których teatr będzie poprostu wizerunkiem artystycznym.

Idee dominujące i smak publiczny zmieniają się z biegiem czasu. Nigdzie zmiany te nie są widoczniejsze, jak we współczesnéj Anglii, która nadzwyczaj szybko cechy swéj dawniejszéj wyłączności zaciéra. Teatr, który z zasady był przez długi czas potępiany, potém lekceważony, wywalczył sobie stanowisko daleko ważniejsze, aniżeli to niedawno jeszcze przewidywać się dawało. Gdy Taine, tak bystry spostrzegacz, pisał swoje wyborne *Notes sur l'Angleterre* przed laty trzydziestu, powiedział tam, że towarzystwo londyńskie uczęszcza jedynie przez dwa miesiące do opery włoskiéj w Covent-Garden, a że wszystkie inne teatry istnieją tylko dla pospólstwa. Chociaż i tak sformułowany sąd, a raczéj otrzymane wrażenie nie było wówczas sprawiedliwém, to obecnie nie może być pod żadnym względem zastosowane. Opera włoska jest tak samo jak dawniéj wykwintnym salonem, do którego oprócz szczupłéj liczby melomanów i istotnych miłośników muzyki i śpiewu uczęszcza świat elegancki, ubrylantowany i wystrojony, aby się sobie samemu przypatrywać i znaleść jedną więcej sposobność do poczucia się w swojém własném środowisku. Gdybyśmy włączyli muzykę w zakres naszych uwag o teatralnéj produkcyi Anglii, byłoby miejsce dla scharakteryzowania wpływu włoskiéj opery na miejscową; przedmiot ten jednak traktowany tu być nie może i wolno bez żadnéj obawy o niedokładność, wykréślić obecne przedstawienia w Covent-Garden z obrazu współczesnego teatralnego świata londyńskiego. Druga część twierdzenia Taine'a, że reszta teatrów nie ma dla wyborowéj publiczności żadnego interesu, jest obecnie bez najmniejszéj podstawy i nie jeden ale tysiące faktów przeczyć mu przychodzą. Widowiska sceniczne mają dla dzisiejszéj publiczności wszystkich klas i stanów ten sam powab,

tę samą ponętę, jaką miały za epoki Odrodzenia, a zaspokojenie tego smaku tém jest łatwiejsze, że repertuar teatralny obecnie posiada elastyczność pozwalającą rozciągnąć się i zastosować do wszelkiego rodzaju smaku, wszelkiego poziomu intelektualno-artystycznego.

Wiele powodów wpłynęło na to przeistoczenie społecznego usposobienia. Jako pierwszy wymienić należy wytrzebienie zupełne purytańskiego wstrętu do teatru, którego słabe oznaki tułają się jeszcze w Szkocyi albo odosobnionych zakątkach prowincyonalnych, ale w Londynie figuruje to jedynie jako jaskrawa ekscentryczność. Potężna i wpływowa sekta Kwakrów zaprzestała nawet oponować teatrowi, kobiéty należące do bogatych rodzin kwakierskich zaniechały ubiérać się z purytańską prostotą, a hołdują modzie, uczęszczają do teatrów. Duch religijny dawniéj tak potężny, tak wszechwładny w angielskiém społeczeństwie ostygł do wysokiego stopnia, a jeżeli formalizm i ceremonie kościelne zachowały jeszcze dla powierzchowego spostrzegacza swoją dawniejszą publiczność, to wyjątkowemi już są tylko osoby, któreby z religijnych pobudek do teatru nie uczęszczały.

Jako pokrewne z tym prądem można wymienić zelżenie moralności tradycyonalnéj. Nie myślimy bynajmniéj sarkać przeciwko obyczajom współczesnym, przedstawiać ich jako wyuzdanych i sromotnych i potępiać ich w przeciwstawieniu do owéj arkadyjskiéj czystości i cnoty, która niby to dawniejsze epoki cechować miała. Jesteśmy, wręcz przeciwnie, zdania, że Anglia dzisiejsza, przeciętnie biorąc, jest i moralniejsza i przyzwoitsza od dawniejszej. Trzebaby zwątpić o zbawczym wpływie cywilizacyi, ażeby się pod sztandar *laudator*'ów *temporis acti* zapisać. W porównaniu z epoką porewolucyjną albo nawet zeszłowieczną, moralność publiczna jest gruntowniejsza, głębsza. Ale co zelżało i straciło rygor, to moralność zewnętrzna, *cant*, przyzwoitość na hypokryzyi się wspiérająca. Trzymała ona w swych żelaznych okowach społeczeństwo angielskie i trzyma je poniekąd jeszcze, choć mniéj silnie. Wyemancypowały się jednak z jéj wpływu naprzód pewne niezależne jednostki uprzywilejowane, a za ich przykładem poszły i idą coraz bardziéj całe warstwy towarzyskie. Były przedmioty, sytuacye których teatr nie był w stanie dotykać dawniéj; raziły one zewnętrzny formalizm, towarzyską przyzwoitość. Wpływało to krępująco, zabójczo na dramat i komedyę. Nie mogło być w niéj mowy o uwiedzeniu dziewczyny, o naturalnych dzieciach i wielu podobnych przedmiotach i autor, który o tego rodzaju zakazane kwestye potrącał, musiał wprowadzać fikcye tajemnego małżeństwa i t. d., lub też robić z uwodziciela albo upadłéj kobiéty potwory społeczne, których wstydzić się powinna była ziemia. Nie mogło być mowy o prawdzie życiowéj, a konwencyonalna sztywność

stawała jéj na drodze. Obecnie choć się teatr angielski nie uczynił sprosnym i wyuzdanym, są jednak w nim widoczne postępy do malowania życia takiém, jakiém jest istotnie. Społeczeństwo wyrzekło się udanéj pruderyi, a teatr stał się jego echem. Publiczność lgnie do niego coraz bardziéj.

Możnaby także kłaść rozpowszechnienie zamiłowania do teatru na karb wpływu zwyczajów cudzoziemskich, z któremi społeczeństwo angielskie coraz bardziéj się zbliża i zapoznaje przez ułatwione podróże. Dawniéj przebywali na obczyźnie tylko bogacze; za nimi poszły klasy średnie, dziś idą już i robotnicze. Wzrastające bogactwo społeczne powiększona ilość teatrów w olbrzymim Londynie, ułatwia także tę rozrywkę dla wielu z tych, którzy dawniéj o niéj nie myśleli.

Ale przedewszystkiém wpływa na zamiłowanie coraz widoczniejsze, Anglików do teatru, wyższy poziom oświaty i smaku artystycznego. Ci co sądzą, że dzisiaj jeszcze ulubioném widowiskiem dla mieszkańców Londynu są walki kogutów, obławy na szczury, boksowanie się w podziemiach i cyrkowe hece, spóźnili się o lat kilkadziesiąt. Zamiłowanie fizycznego sportu znalazło tyle form naturalnych, że tak powiemy prawnych, iż uszczuplił się i ścieśnił zakres owych jego ohydnych wybryków. Bezwątpienia, w pośród proletaryatu stolicy są zawsze lubownicy tego rodzaju igrzysk, ale wyjątkowe te widowiska nie przypadają już do smaku przyzwoitéj publiczności. Charakter narodowy stracił na dawniejszéj szorstkości i rubaszności i tak samo, jak pijaństwo się zmniejsza, tak zmniejsza się ilość tych, którzy się widokiem krwi i walką zwierząt lubowali. Smak publiczny podniósł się, oczyścił, wyrafinował i coraz szerszym jest krąg towarzyski, któremu trzeba pewnéj przynajmniéj dozy artyzmu, ażeby otrzymać zadowolenie estetyczne.

Są nawet tacy, co uważają, iż pod tym względem dzisiejsze społeczeństwo angielskie poszło ze daleko, że przeholowało miarę. Jak dowcipnie Wiliam Archer powiada, sztuka pisze się zawsze w Anglii przez duże S. Nie udają się Anglicy do teatru jak paryżanie bez uprzedniego przygotowania, dla zaspokojenia wewnętrznego instynktowéj nieledwie potrzeby, ale idą tam ceremonialnie. Istotnie sale teatralne londyńskie są wykwintnemi salonami: są wyzłocone, wysłane kobiercami, zawieszone zwierciadłami, obrazami, posągami, zastawione kwiatami, nie dziwota, że kobiéty idą tam w wieczornych balowych strojach, a mężczyźni we frakach i białych krawatach. Na scenie panuje taki sam wykwint. Wytworność mebli i sprzętów, kunsztowny smak akcesoryów najdrobniejszych wywołują podziw we Francuzach, którzy się niedawno jeszcze za mistrzów w tym względzie uważali. Jeżeli to ma miej-

sce w sztukach współczesnych, to cóż powiedzieć o tragedyach i dramatach historycznych. Kto nie widział ich wystawionych w Lyceum przez Irvinga, ten nie może mieć wyobrażenia do jakiéj doskonałości, do jakiéj harmonii artystycznéj dojść może *mise en scène*. Maszynerya, dekoracye w wielkich melodramatach teatrów, jak Adelphi albo Drury Lane, albo w pantominach, baletach i sztukach czarodziejskich stają się istotnie dziełem sztuki, widowiskiem wywołującém szczery poklask nawet u tych, którzy wiedzą, że to drugorzędna strona w organizmie teatralnym.

Nic nakoniec nie pokazuje dosadniéj przewrotu, jaki się w opinii angielskiéj dokonał co do teatru, jak ich dawniejsze a obecne zapatrywanie się na aktorów. Nietylko że dawniejsze klasowe rozgraniczenia i arystokratyczny nastrój społeczeństwa stawiały w Anglii tak samo a nawet więcéj, aniżeli u innych narodów, po za sferą obywateli kraju i ludzi uczciwych, przyzwoitych, wszystkich aktorów, ale aż do ostatnich czasów uprzedzenia te były we krwi i sokach społeczeństwa. Traktowano wprawdzie wielkich, genialnych aktorów z zaszczytném wyróżnieniem, obsypywano faworami, ale właśnie ta wyjątkowość wskazywała, że cały stan aktorski na zrównanie towarzyskie nie zasługiwał. Z histryonami warstwy średnie narodu nic wspólnego mieć nie chciały: nie pozwalała na to *respectability* brytańska. W miarę jednak jak teatr zbliżył się przez swój realistyczny nastrój do codziennego życia, którego wizerunek stawiał przed oczami społeczeństwa, to ostatnie zaczęło coraz jaśniéj pojmować, że aktorzy nie powinni być traktowani jako odrębna kasta, ale odpowiednio do swéj wartości indywidualnéj. Tak jak wytrącenie żydów ze społeczeństwa pociągnęło jako nieodzowny wynik wyrobienie u nich pewnego partykularyzmu, tak samo aktorzy trzymani po za sanitarnym kordonem uczciwego towarzystwa, musieli stać się *bohemą*. Jest obecnie w Anglii daleko mniéj śladów dawniejszych uprzedzeń do aktorów, aniżeli w wielu innych krajach uważających się za postępowe. Zawód aktorski, praktyczny i podatny, został szturmem wzięty przez klasę średnią, która dla swych członków coraz trudniéj korzystne stanowiska znajduje. Skoro zawód teatralny nie piętnuje *ipso facto* kobiéty moralnym upadkiem, garną się do niego tłumnie. Rodzinne związki otworzyły dla aktorów domowe ogniska, w klubach zbliżyli się aktorowie z gentlemanami i przekonano się niebawem, że nie ma do żadnéj wyłączności powodu. Nietylko że są salony najwykwintniejsze Londynu, do których aktorzy i aktorki uczęszczają na stopie towarzyskiéj poufałości, która nikogo nie dziwi, ale rodzina królewska ciągle udowadnia, że takie samo jest jéj zapatrywanie.

Wszystkie wyżéj wymienione czynniki złożyły się tedy na spopu-

laryzowanie teatru, na zbliżenie go do społeczności i bez żadnéj obawy o fałszywe proroctwo można przepowiedziéć, że się ta jednolitość i harmonia ustalać będzie w przyszłości. Jestto historyczną i obyczajową koniecznością. Społeczność angielska, jak każda inna, wymaga od teatru, ażeby ją interesował, wzruszał i zabawiał. Ażeby cel ten mógł być dopięty, musi teatr, jak się samo przez się rozumié, moralną i umysłową tę harmonię bez przerwy utrzymywać. Realistyczny nastrój społeczeństwa współczesnego czyni dla niego dramat i komedyą obyczajową daleko pożądańszemi od tragedyi albo romantycznego dramatu. Wspaniale poetyczną formą utwory Tennysona albo Swinburna nie będą nigdy popularnemi: potrzeba wysiłku umysłowego, aby w nich smakować i przygotowania umysłowo-artystycznego, którego od masy oczekiwać nie można. Nawet Shakespeare dlatego tylko ze scen angielskich nie schodzi, że sztuki jego są znane każdemu ze szkolnych ławek jeszcze. Nadzwyczajny blask, jaki repertuarowi temu nadał Henryk Irving, jest indywidualną jego zasługą i złożyło się na to wiele okoliczności, a przedewszystkiém odrodzenie artystyczne znane pod imieniem Prerafaelizmu. Żadne sztuki lepiéj od Shakspeare'a nie pozwalały ucieleśniać téj modły idealnéj, którą społeczeństwo angielskie ostatnich paru dziesiątków lat sobie utworzyło. Każda ze sztuk, którą Irving wystawił na scenie Lyceum, była nową formą plastycznego piękna: przez ten kanał Shakespeare otrzymał nowy popęd.

Wogóle jednak, publiczność angielska nie ma tak wyniosłych aspiracyi. Henryk Irving stał się niejako instytucyą narodową. Jest on nietylko najznakomitszym dzisiaj tragicznym aktorem angielskim, ale rodzajem kapłana sztuki dramatycznéj. Teatr Lyceum jest świątynią, w któréj ceremonie swe odbywa. Jako aktora nie można go stawiać obok Garricka, Keana, Kembla, lecz jedynie pomiędzy Macready a nim pewne punkta styczności znaleść-by się dały. Przy powierzchowności ascety, posiada on manieryzm i afektacyę, do których trzeba się przyzwyczaić, ażeby były znośne. Ale gdy się raz to pierwsze wrażenie przyswoi, i gdy się wejdzie w istotę jego gry delikatnéj, subtelnéj, wycieniowanéj w każdym najdrobniejszym rysie, to się rozumié, że nie może być w niéj miejsca dla własnowolnych porywów i podziwia się głęboką inteligencyę, szeroką naukę, niestrudzoną pracowitość i sumienność artysty, który te wielkie postaci jeżeli nie wskrzesił, to przynajmniéj zgalwanizował. Irving, jak powiadamy, może nie być stawiany na równi z innymi tragikami, jakich scena angielska liczyła pomiędzy swemi gwiazdami, ale jest wyższym od wszystkich jako dyrektor teatralny, jako inicyator ruchu artystycznego. Stworzył on własną wytrwałością rodzaj domu Molière'a, i Lyceum sta-

je jako rywal Komedyi francuskiéj. Przez dwadzieścia lat z górą uczynił on dla swych kolegów teatralnego zawodu przez godność swego prywatnego życia, przez ducha ofiary i poświęcenia, przez przykład swéj pracowitości, wykształcenia literackiego i artystycznego, przez szereg bezprzykładnych materyalnych sukcesów i swój wpływ osobisty, nadzwyczajnie wiele.

Obok niego istnieje jednak cały szereg znakomitości teatralnych, których publiczność angielska nie przestaje otaczać sympatyą i których popularność jest szeroka. Nie mamy miejsca na wymienienie ich nawet. Niepodobna jednak pominąć tak znakomitego artysty, jak p. Beerboom-Tree, który pod wielu względami idzie w ślady Irvinga i prawdopodobnie z czasem jego miejsce zajmie w świecie teatralnym. Jest on pierwszorzędnym artystą nietylko w klasycznym repertuarze, ale i w dramacie współczesnym. Ten ostatni ma w pp. Alexander, Wyndham, Kendall, Brandon Thomas i wielu innych wysoce utalentowanych przedstawicieli. Z kobiét w repertuarze tragicznym wymienić należy panią Ellen Terry, towarzyszkę Irvinga, którą on na swój wzór i podobieństwo umodelował, a w dramacie salonowym i komedyi obok ustępującéj już ze sceny pani Bancroft, należy wyróżnić panią Kendal, pannę Neilson. Aktorki stanowią jednak niezaprzeczenie słabą stronę współczesnego teatru angielskiego. Wogóle trzeba przyznać, że aktorzy na scenach londyńskich są najzupełniéj zadawalniający. Jest widocznóm, że są to ludzie wykształceni i umiejący, każdy w zakresie swéj roli, współdziałać w wytworzeniu efektu scenicznego. Przybysz z obczyzny musi się jednak naprzód obyć z ich sposobem gry; z początku dziwić go będzie brak ruchliwości, gestykulacyi i wyrazistéj mimiki. Nie trzeba jednak zapominać, że przyzwoitość angielska zabrania w codziennóm życiu wszelkiéj gorączkowości ruchów, wszelkiéj *excitability:* aktorzy przenoszą ten sposób obejścia na scenę i krajowców nie razi bynajmniéj ta drewniana sztywność.

Znając już stosunek społeczności do teatru, znając wygodne i wspaniałe jego urządzenie materyalne, oraz jego przedniejszych aktorów, możemy nakoniec zapytać się: jakie są najwybitniejsze kierunki w dramatycznóm piśmiennictwie angielskióm i jakich posiada najznakomitszych przedstawicieli.

Powiedzieliśmy już wyżéj, że tragedya i dramat romantyczny nie odpowiadają dzisiejszemu nastrojowi społecznemu i że wyjątkowo tylko po za specyalnie mu poświęconym teatrem Lyceum się pojawiają. Magiczne imię Shakespeare'a zwabia zawsze widzów, ale gdy jaki Wills, ten sam wszakże, który dał piękny przekład „Fausta" dla Lyceum, napisze tragedye historyczne, albo gdy taki utalentowany pisarz, jak

p. A. H. Jones usiłuje wznowić dramat romantyczny, nie jest zdolny nigdy utrzymać się długo na scenie, jak to udowodnił świeżo „Kusiciel" tego ostatniego. Instynktowo publiczność czego innego wymaga i pisarze pracujący dla sceny stosują się, każdy odpowiednio swemu talentowi, do tego powszechnego nastroju towarzyskiego.

Po epoce, w któréj francuski Scribe bezwarunkowo służył za model pisarzom angielskim, przyszła epoka Wiktoryna Sardou. Olbrzymia popularność, jaką sztuki jego pozyskały, gdy pan i pani Bancroft zaaklimatyzowali je na scenie teatru Haymarket, wskazała drogę angielskim jego tłómaczom i przerabiaczom, a nakoniec i oryginalnym umysłom. Ani Aleks. Dumas syn, ani Emil Augier nie wycisnęli tak silnego znamienia na teatrze w Anglii, jak Sardou. Forma pierwszego w swym błyszczącym cynizmie nie pozwala sympatyzować Anglikom z jego moralnością, nawet gdyby była mniéj paradoksalną; drugi był za głęboki, za oryginalny, ażeby się odrazu na obcym gruncie zaszczepić. Dopiéro w ostatnich czasach zaczyna on przenikać niektórych z najbardziéj utalentowanych pisarzy dramatycznych, jak Henryka James albo Artura Pinero. Powierzchowna wszechstronność W. Sardou, jego zręczność w układzie sztuki, jego efektowość i utrzymanie nigdy nie stygnącego interesu działają na wielu angielskich dramatyków, jak magnes o nieprzezwyciężonéj sile. W chwili, w któréj piszemy, toczy się pomiędzy p. Sardou a dyrektorami kilku scen londyńskich zagorzała utarczka o prawa autorskie pierwszego, polemika, która nie rzuca pochlebnego nań światła. Ale jeżeli pretensye o pewną ilość pieniędzy, przypadających mu, dałyby się załatwić, to nigdy nie dałoby się ocenić długu wdzięczności zaciągnionego u niego przez angielskich pisarzy scenicznych. Mniéj lub więcéj wyraźne ślady jego wpływu dałyby się stwierdzić nawet w sztukach, których autorowie mniemali, iż są najzupełniéj oryginalnymi.

Przy wielkiéj liczbie teatrów londyńskich — jest ich obecnie z górą czterdzieści — produkcya teatralna musi być naturalnie ogromna i nie można się dziwić, że mnóstwo sztuk nie posiada żadnéj wyższéj wartości literackiéj. Zaspakajają ciekawość publiczności, pozwalają spędzić kilka godzin na widowisku, wśród którego widz jest wyrwany ze zwykłéj sfery swéj działalności, i cel ich jest dopięty. Są teatry, jak Adelphi albo Drury Lane, albo Princesses, które rok rocznie wystawiają kilka olbrzymich melodramatów, o nieporównanéj maszyneryi i wystawie scenicznéj, niektóre z nich przez długie miesiące zwabiają tłumy, ale nikomu na myśl nie przychodzi zapytać się, kto jest autorem tych sztuk: wzbogacają autorów i dyrektorów, i to im wystarcza. Jest znowu kilka, kilkanaście nawet czasami teatrów w Londynie, na któ-

rych panuje bezwarunkowo i samowładnie operetka, bękarcia forma komedyi, wodewilu, farsy i opery. Londyn posiada pisarza w p. Williamie S. Gilbercie pierwszorzędnego na tém polu talentu. Sztuki jego z muzyką Artura Sullivana posiadają taką samą popularność, jaką pozyskały sobie w Paryżu operetki Offenbacha z libretami Meilhac'a i Ludwika Halevy. Ani jego, ani rozmaitych jego naśladowców, nie będących wszelako w stanie z nim się mierzyć, nie ma także potrzeby stawiać pomiędzy filarami współczesnego teatru w Anglii: jestto literatura teatralna *sui generis*. To samo daje się powiedzieć o teatrach, które specyalnie poświęcają się sztukom noszącym nazwę *burlesque*, a które nie są, ściśle rzeczy biorąc, operetkami w rodzaju tych, które wsławiły firmę Gilberta i Sullivana. Są to parodye, sztuki okolicznościowe, przepełnione aluzyami do wypadków chwilowo zajmujących uwagę publiczną. Dzięki oryginalnemu talentowi takiego autora, jakim był wczoraj Fred Leslie, a dzisiaj Artur Roberts, a szczególniéj dzięki piękności aktorek, mają takie teatra zawsze pełne sale. Historya literatury dramatycznéj z ich repertuarem nie ma naturalnie nic do czynienia.

Koniec końcem, nawet w tym olbrzymim pięciomilionowym Londynie, przy takiém mnóstwie teatrów, jest zaledwie pięć, sześć scen dla wyborowéj i umysłowo wyrafinowanéj publiczności. Mniéj więcéj rzeczy tak samo stoją w innych stolicach europejskich i wszędzie, a nawet w Paryżu, udałoby się bez trudu na palcach znakomitych pisarzy dramatycznych wyliczyć. Londyn upokorzonym czuć się nie potrzebuje. Posiada obok szerokiego zastępu sił pisarskich młodych, zapowiadających się jako prawdziwe talenta dramatyczne przyszłości, kilku przynajmniéj pisarzy, których tylko nieobeznani z współczesną literaturą lekceważyć mogą. Arthur Pinero, Sydney Grundy, Henryk A. Jones, Oskar Wilde, Henryk James stoją w pierwszym rzędzie. Każdy z nich zasługiwałby na szczegółową charakterystykę i fizyognomia literacka każdego jest już dostatecznie ustalona, ażeby monograficznie traktowaną być mogła. Brakuje nam do tego miejsca, a czujemy, że wyrządzałoby się tym pisarzom krzywdę, przylepiając do nich etykietę realisty, albo psychologa i t. d. Właściwszém się zdaje przedsięwziąć takie studyum późniéj: obecne będzie mogło jako wstęp do niego posłużyć.

N. T.

Z OKAZYI WYSTAWY.

I Przemysł amerykański.

Rozwój „Ameryki," — ekonomiczny, techniczny, wogóle pod wszelkim względem — stał się poniekąd przysłowiowym w naszéj części świata. Pomiędzy prostaczkami chodzą o nim opowieści, które przypominają raczéj baśni z tysiąca i jednéj nocy, aniżeli istotną rzeczywistość. A nietylko technika zamorska, tamtejsze narzędzia i sprzęty, maszyny i koleje, wreszcie szybkość, z jaką wszystkie te tylko co wymienione dziedziny zabiegliwości ludzkiéj się rozwijają, nietylko one dostarczają wątku do gadki. Na równi z niemi słynie energia i przedsiębiorczość kuma Jonathana: o przytomności ducha yankee'ów i zdolności do prędkiego oryentowania się w nowych warunkach, o samodzielności zaledwie odrosłego od ziemi drobiazgu można słyszéć w Europie szczegóły, posiadające przedewszystkiém ten rys charakterystyczny, że gotowemi są przypisać ludności rzeczypospolitéj zamorskiéj zalety ponad rzeczywistą zasługę. Najlepszy hołd temu usposobieniu umysłów europejskich złożył J. Verne w swoich fantastyczno-naukowych powieściach: kiedy idzie o rodowód śmiałków, marzących o wysadzeniu globu ziemskiego z posad odwiecznéj rutyny, naówczas wybiéra on z upodobaniem bohatérów z pośród ludności amerykańskiéj. Naturalnie, w takiém zdaniu prostaczków i nie-prostaczków o „Ameryce" jest sporo przesadnego wygórowania, lecz owa przesada jest sama w sobie rzeczą nader charakterystyczną, jako świadectwo, w jaki sposób nasza część świata zapatruje się na swą zaatlantycką córę.

Nie myślmy jednak, ażeby jedynie Europa była tak wysokiego mniemania o obywatelstwie Stanów Zjednoczonych. Z powodu świeżéj, międzynarodowéj wystawy w Chicago wypadło nam spędzić jakieś pół roku w różnych okolicach Związku północno-amerykańskiego i zbliska niejednéj przyjrzéć się rzeczy; między innemi udało się nam w niezmiernie dogodnych warunkach oglądać ową tak groźną produkcyę zboża na dalekim Zachodzie i jednocześnie zajrzéć w oczy owéj szybkości, z jaką cywilizacya karczuje dawne preryc i zamienia je na kwitnące dostatkiem obszary, wśród których wszystkie dobytki nowoczesnéj kultury rozwijają się bujnie. Otóż wszędzie usiłowaliśmy téż zapoznać się z sądami amerykanów o samych sobie. Jest-to może jedna z ciekawszych kartek tamtejszego życia. Z góry muszę zaznaczyć, że nigdy jeszcze nie oglądałem takiéj masowéj zarozumiałości: ilekroć amerykaninowi wypadnie witać europejczyków, mowa jego jest hymnem ku większéj własnéj chwale i odą na cześć wielkości Ameryki. Zresztą zarozumiałość ta posiada szczególne rysy, wolna bowiem jest zupełnie od czczego samochwalstwa i nawskroś jest głosem świadomości człowieka o własnéj cenie. Za morzem zgoła inna nuta dźwięczy w tych hymnach, różna od téj, z jaką nadsekwańczyk wymawia swoje *grrande nation*, Niemiec zaś sławi swój *Vaterland*. A świadomość ta, że Ameryka przoduje dzisiaj ludzkości na polu wynalazczości technicznéj i wzorów przemysłowych, przebija się na każdym kroku, kiedy jesteśmy w obrębie Stanów Zjednoczonych. Nawet reklamy, rozwożone po ulicach i napisy na szyldach sławią wielkość amerykańską w téj mierze. Największa gazeta codzienna na globie ziemskim, — młyn, ósmy cud świata, z którym żaden inny na powierzchni ziemi nie zdoła wytrzymać porównania, — magazyn strojów, najobszerniejszy w świecie, oto kilka próbek, wziętych z szyldów miasta Chicaga. Oko, zrazu zdziwione takiemi zarozumiałemi ogłoszeniami, z czasem przywyka do nich, do tego stopnia, że kiedy w jakiéjś reklamie nie znajduje tego rodzaju szczegółów, z niedowierzaniem patrzy na liliputów, nie ośmielających się głosić o swojéj wyższości nad resztą globu ziemskiego. Albo zatrzymajmy się nad przydomkami miast zamorskich. „Największe miasto mięsiw,” „największy gród wiktuałowy!” To ostatnie miano przywłaszczył sobie gród nad Michiganem, w którego obrębie gościła pół roku wystawa. Jego mieszkańcy znowu roszczą pretensyę do innéj, niemniéj dumnéj nazwy: „rasy zdobywców świata.” A jednak ci zwycięzcy świata zwolna zsuwają się z piedestału wielkości, gdyż na dalekim Zachodzie, w Kalifornii, Oregonie, Waszyngtonie, dojrzewa jeszcze energiczniejszy, jeszcze bardziéj zuchwały i przedsiębierczy typ

ludzi, śmiało wnoszący rewolucyę do najrutyniczniejszych zawodów i najkonserwatywniejszych dziedzin życia społecznego.

Ale może ta szczególna chęć być pierwszymi na globie ziemskim nigdy nie ujawniła się tak silnie, jak z okazyi wystawy. Wprost trudno uwierzyć, jak gorliwie, nawet po dziecinnemu, krzątali się obywatele Stanów Zjednoczonych, ażeby Białemu grodowi zapewnić jaknajwiększą obfitość maksymów, t. j. największości. Nie mogło być o tém najmniejszéj mowy, aby wystawa chicagoska ustępowała jakiéjś innéj pod względem rozmiarów — tego nie przeniosłaby duma zamorska! Z góry postanowiono, że winna przewyższać wszystko, co dotychczas glob ziemski widział największego. A zatém naprzód Biały gród rozsiadł się na przestrzeni, jakiéj nie zajmowała żadna z dotychczasowych wystaw, o czém nie zapomina nadmienić wszelki świstek, w ten lub inny sposób związany z wystawą. Następnie honor amerykański wymagał, ażeby glob nasz poraz pierwszy dźwigał na swoim cierpliwym grzbiecie taki gmach, jakim był mamutowy budynek, znany pod nazwą Halli sztuki i przemysłu. I znowu yankee z dumą podkreśla tę okoliczność, iż jest-to jedyny twór sztuki budowniczéj, który zdoła w sobie pomieścić jednorazowo 200 tysięcy osób. Naturalnie, wystawa winna się powieść, było to obowiązkiem moralnym. A kiedy w początku już drugiéj połowy sezonu wystawowego okazało się, że względnie niewiele osób odwiedziło Biały gród i że jeżeli rzeczy tak będą szły daléj, wystawa chicagoska zrobi fiasko finansowe, że naówczas prywatne kapitały, które zostały w niéj uwięzione, mogą nie doczekać się zwrotu, prasa w całym kraju uderzyła na trwogę. A pamiętajmy, że nie szło tam o te pięć lub dziesięć milionów dolarów, jakie mogły przepaść, wielokrotnie większe sumy bowiem zginęły w powodzi bankructw ostatniego lata. Jądro trwogi stanowiła ta okoliczność, że Stany Zjednoczone, owa przedsiębiercza i potężna ojczyzna rasy zdobywców świata może okryć się niesławą. Dzienniki zastanawiały się nad zapobieżeniem sromotnemu wypadkowi, który splami gwiaździsty sztandar Związku północno-amerykańskiego, meetingi obradowały nad grożącą klęską, opinia publiczna zapomniała o innych sprawach. Czasy zaś w kraju były ciężkie, nad wyraz ciężkie. Dzień każdy przynosił wieść smutną o nowych bankructwach, banki upadały jeden po drugim, w samém Chicago znajdowało się do kilkuset tysięcy rąk bez pracy, odgrażających się, że pójdą tłumnie przeciwko Białemu grodowi i z przybytku zabawy kiermaszowéj i mieszczańskiéj wielkości nie pozostawią kamienia na kamieniu. Ufność jednak nie opuściła zarządu: wyszukał nowe sposoby reklamy, poruszył możliwe sprężyny. Już w sierpniu widnokrąg jął się rozjaśniać, we wrześniu zaś nie ulega-

ło już najmniejszéj wątpliwości, że nie będzie fiaska, o ile rzecz dotycze prywatnych zasiłków. Wówczas inna troska zawisła na czole amerykańskiém. Pomimo że wystawa miała się ku schyłkowi, nie było przecież ani jednego dnia, w którym-by progi Białego grodu przestąpiła taka ilość osób, jaka znalazła się w murach paryskiéj podczas dni najbardziéj uczęszczanych. Prasa podjęła krzyki z tego powodu: Ameryka nie może ustąpić staréj części świata zaszczytu nawet pod tym względem. W początkach października miał odbyć się tak zwany *Chicago-day* — uroczystość chicagowiaków w obrębie wystawy. Z góry, milcząco a jednozgodnie, postanowiono, że w tym dniu Biały gród musi odnieść zwycięstwo nad Paryżem i zgromadzić w sobie taką obfitość gości, jakiéj ani razu w murach wystawowych nie oglądała stolica Francyi. Głosy z tego powodu i nawoływania niekiedy zakrawały na igrzysko dzieciaków, tak dziatwa wujaszka Sama krzątała się nad przygotowaniem tego tryumfu. I jakaż dziecinna radość zapanowała, kiedy nazajutrz po uroczystości okazało się, że frekwencya wyniosła aż siedmset tysięcy widzów. Dzienniki tryumfowały, obywatele Stanów Zjednoczonych wzajemnie sobie winszowali tego tryumfu na ulicach... Zrazu pusty śmiéch mógł porwać europejczyka, kiedy przyglądał się tym objawom. Ale w tém dzieciństwie, w téj pogoni za zdawkową nawet wielkością, tkwi coś więcéj aniżeli zwykła pustota i czcza swawola. Niejednokrotnie słyszeliśmy żarty ze strony europejskich przybyszów nad tym rysem zamorskiéj ludności, ale kiedyś, w dalekiéj przyszłości, historyk inaczéj będzie zapatrywał się na to. W téj namiętności przodowania, chociażby w zakresie drobiazgów, dojrzy on pierwszorzędnéj wagi dźwignię rozwoju kulturalnego, bo owa zarozumiałość i chęć odgrywania przodującéj roli stanowią bezwarunkowo ważny czynnik wielkości zamorskiéj. Takiéj ambicyi, która polega nie na chełpieniu się fałszywemi piórkami, ale na tém, ażeby nawet w drobiazgach i małostkach nie być drugim lub trzecim, takiéj ambicyi może pozazdrościć obywatelom zamorskim każdy inny naród globu ziemskiego. Może to wada, ale w życiu narodowém stanowi ona siłę wielką.

Zwróćmy się jednak do wystawy.

Tegoroczna wystawa w Chicago, jakkolwiek nosi miano międzynarodowéj, w gruncie rzeczy była przedewszystkiém wystawą nawskroś amerykańską. Nietylko ją wznieśli amerykanie, ale i utrzymali, gdyż napływ gości europejskich był tak słaby, iż zatonął w potoku tłumów miejscowych, niby kropla wody w morzu, pod względem zaś finansowym niewiele zaważył. Co ważniejsza jeszcze, amerykanie niemal sami zapełnili Biały gród produktami i rzeczami. We wszystkich zakre-

sach ludzkiéj działalności, które wzięły udział w wystawie, obce kraje stanowiły nader drobną cząsteczkę; jedynym wyjątkiem były Niemcy, które wogóle w Białym grodzie prezentowały się lepiéj niż jakiekolwiek inne państwo. Wszędzie, gdziekolwiek się zwróciliśmy, mieliśmy przed sobą wyłącznie amerykańskich wystawców, t. j. pochodzących ze Stanów Zjednoczonych. Europa świeciła nieobecnością lub odgrywała rolę nader skromną. Słowem, wystawa była nawskroś amerykańską, pozwalającą na zbadanie tendencyj, torujących sobie drogę w téj lub innéj sferze zamorskiego życia przemysłowego. Ale zanim przejdziemy do rozbioru tych dążności, winniśmy zaznaczyć kilka charakterystycznych rysów Białego grodu. Na wystawie paryskiéj np. poświęcono ekonomii społecznéj dział odrębny, w którym nagromadzono sporo wiadomości co do rozwoju różnych instytucyi filantropijnych, patronalnych, syndykatów, stowarzyszeń kooperacyjnych. Nadaremnie poszukiwaliśmy czegoś podobnego na wystawie w Chicago. Nawet w zakresie czysto-miejscowych instytucyj podobnego rodzaju panowała pustka tak znaczna, że o takiego pokroju urządzeniach amerykańskich znaleźliśmy wtedy w Paryżu daleko więcéj wiadomości aniżeli na ich ziemi rodzinnéj. Podobnie słabo była reprezentowana hygiena, która w r. 1889 doczekała się takich względów, tak słabo, iż może lepiéj byłoby dla honoru Ameryki, gdyby zgoła ją usunięto. Zamiast bogatego działu naukowego, który winien był przedstawić rozwój kulkury ludzkiéj i stan rozmaitych gałęzi wiedzy, znaleźliśmy jedynie etnografię, obficie ale nader jednostronnie uposażoną, bo tylko z zakresu lądu amerykańskiego, a nadto wystawę fauny miejscowéj. Słowem, gdziekolwiek *busıness* nie dał odpowiedniéj podniety do zabiegliwości i wystawności, gdziekolwiek z okazałéj prezentacyi nie spodziewano się odnieść namacalnych, materyalnych korzyści, tam wszędzie przeglądało widmo straszliwego ubóstwa. Wyjątkiem w téj mierze był jedynie dział pedagogiczny, zaprawdę świetnie urządzony, bo każdy pojedynczy stan pospieszył z przedstawieniem całokształtu swojego szkolnictwa, metod wykładu, sposobów wywiązywania się dziatwy z powinności. Jedna tylko rzecz swoją obecnością wyróżniała wystawę chicagoską z pośród dotychczasowych, mianowicie obraz działalności centralnych departamentów w Waszyngtonie, któremu poświęcono specyalny gmach *Governement Building*. A zatém pojedyncze departamenty, odpowiadające europejskim ministeryom, pospieszyły z przedstawieniem owoców swojéj staranności, znajdujących się pod ich kontrolą instytucyi i czynności, podjętych przez biuro wydawnictw lub poszukiwań, wreszcie sposobów podawanéj przez nie pomocy i rady obywatelom kraju. Ale mó-

wiąc o gmachu rządowym, pamiętajmy, że jesteśmy w kraju takiéj jawności, o jakiéj w Europie nie mamy pojęcia, a nadto wśród ludzi, którzy nie lubią daremnie wyrzucać pieniędzy. W Stanach Zjednoczonych wciąż dają się słyszéć głosy przeciwko centralnym władzom przebywającym w Waszyngtonie, że niby darmozjady pobierają grosz publiczny i przejadają go w bezczynności. Rząd więc centralny uznał za konieczne dać obraz swojéj pożyteczności i krzątań około dobra publicznego. „Patrzcie! — mówi on wystawnością swoich laboratoryów, obfitością publikacyi, bogactwem zbiorów — patrzcie! nie jesteśmy takimi darmozjadami i pasorzytami, za jakich nas bierzecie. Łożycie na nasze utrzymanie, ale wzamian za to dostajecie od nas niewypowiedziane mnóstwo przysług, z których pożyteczności nie zdajecie sobie sprawy!" I tam zatém *business* był pobudką, która sprawiła, że dany dział zjawił się w obrębie Białego grodu. Ta sama dźwignia obrała sobie siedlisko też w gmachu etnograficznym: nietylko instytucye naukowe pośpieszyły z ofiarowaniem swoich zbiorów na widok publiczny, nietylko uczeni popisują się rezultatami swojéj pracy, ale także naukowe przedsiębierstwa i geszefty, zajmujące się sprzedażą odpowiednich przedmiotów przyjęły żywy udział, niekiedy żywszy aniżeli ta lub inna instytucya czysto naukowa, bez charakteru handlarskiego...

Po za tém wystawa w Białymgrodzie była olbrzymim popasem geszeftu w najrozmaitszych dziedzinach ludzkiéj zabiegliwości. Rzekłbyś, olbrzymi bazar reklamy, niby zbiór wszystkich wystawowych okien w tém samém miejscu, uporządkowany według zawodów. Rozumié się, okoliczność ta nie ujęła Białemu grodowi wielkości, ani nie zaćmiła jego rozmiarów, ale swoją drogą nadała mu szczególny charakter. Zasady bowiem *businessu* rozstrzygały o tém, jakie działy będą reprezentowane dostatniéj, które zaś mają doznać macoszego obejścia. Tam, gdzie monopol zapanował w całéj swojéj rozciągłości i gdzie pojedyńcze firmy nie potrzebują nadskakiwać publiczności, ufne, że i bez tego harcu napływać będą kundmani, tam napróżno poszukiwalibyśmy wystawności. Również te sfery przemysłowéj działalności, które lubo spoczywają w mnóstwie rąk, nie zaznały jednak pogoni rynkowéj i nie muszą prowadzić w swojém łonie zażartéj konkurencyi, uznały za najwłaściwsze trzymać się zdala lub pochować się do kątów. Między innemi, w takiém położeniu znajdowała się wystawa nabiału, która w Białym grodzie była istotnym skandalem: budynek odpowiedni odznaczał się nagiemi ścianami... Natomiast obfitość produktów, wystawność gmachów, koszta pozłoty reklamowéj wzrastały w miarę tego, jak przechodziliśmy do fachów, w których walka konkurencyjna jest hasłem. Np. wystawa środków przewozowych pochłonęła olbrzymie su-

my: skreślono historyę środków komunikacyjnych za pomocą obrazów i modeli, przy pośrednictwie tablic statystycznych i innych sposobów uzmysłowiono rozmiary dzisiejszego ogromu komunikacyjnego, z kurzu wyciągnięto różnych staruszków, np. pierwsze lokomotywy. Albo zwróćmy się ku gmachom publicznym, z jakiemi pośpieszyły poszczególne stany związku północno-amerykańskiego. Wystawność zależała tam wprost od tego, czy dany stan łaknie jeszcze napływu osadników lub też znajduje się w takiéj fazie rozwojowéj, że wzrost ludności jest dlań rzeczą obojętną. A zatém New-York, Vermont, Massachusets i in. w swoich gmachach nie urządziły żadnéj wystawy i odpowiednie pawilony służyły wyłącznie na miejsce odpoczynku, zapoznawania się i zabawy dla obywateli danego stanu. Tymczasem stany nowe, np. Kalifornia, Waszyngton, pośpieszyły z popisywaniem się swojemi produktami i reklamą swoich bogactw naturalnych. Odgrywały rolę wabików. Słowem, wolna konkurencya w całości rozpostarła swoje skrzydła nad Białym grodem: zawyrokowała, jakie działy winny być obficie uposażonemi, jakie zająć szare miejsce. Nie wzajemne znaczenie zawodów, ale interesy *businessu* rozstrzygały, co i ile gdzieś znajdziemy. A jeżeli ten i ów dział zajął stanowisko odpowiednie do swojego znaczenia, stało się to nie gwoli jego donioslości, lecz ponieważ *business* szedł w danym razie ręka w rękę ze znaczeniem danéj sfery przemysłu.

Taką była wystawa. Dzięki temu różne dążności amerykańskiego życia przemysłowego doznały zatarcia i gruby błąd popełniłby ten, ktoby na podstawie materyału, jaki znalazł w tym lub innym dziale wystawy, zechciał wydawać ostateczny sąd o poziomie przemysłu i tendencyach jego po tamtéj stronie Atlantyku. Ale ów rys *businessowy*, właściwy Białemu grodowi, nie zdołał jednak zatrzéć wszystkiego. Niektóre tendencye występują z całą jaskrawością i możemy je przewybornie studyować, korzystając z przyczynków, jakie zabiegliwość prywatna lub publiczna nagromadziły w obrębie wystawy. Właśnie nad niektóremi z nich zatrzymamy się uważniéj. Będą to: naprzód właściwości techniki amerykańskiéj i jéj bieg rozwojowy w porównaniu z europejskim, następnie rozwój stosunków rolnych i hodowlanych, nakoniec przenoszenie się tętna zamorskiego, przedsiębierczości i postępu, ze wschodu na zachód. Zresztą winniśmy z góry uprzedzić, że przy kreśleniu naszych obrazów, korzystać będziemy nietylko z materyału, jaki znaleźliśmy na wystawie. Co więcéj, ów materyał będzie w naszém przedstawieniu odgrywał nawet małoważną względnie rolę, większą—objawy życia, które dostrzegliśmy po za obszarem Białego grodu, a do których wystawa dostarczyła jedynie przewybornéj ilustracyi.

Zaczniemy od rozejrzenia się w amerykańskiéj technice.

Najmniejszéj nie ulega wątpliwości, że byłoby rzeczą nader ciekawą rozpatrzéć postępy techniki amerykańskiéj i jéj rozbieżne punkta w zestawieniu ze wzorami naszéj części świata. Ale na to trzeba być specyalistą, dobrze obznajmionym ze wszystkiemi zagadnieniami w danéj dziedzinie. Kiedyśmy się rozglądali w sali maszyn albo błąkali się w pokrewnych działach, naówczas odnosiliśmy wrażenie, że jesteśmy wśród zaczarowanego lasu, w którym nie odnajdujemy ani jednéj znajoméj ścieżyny. Te różnorakie potwory z metalu, tak niepodobne z zewnętrznego wyglądu do siebie, zlewały się wszystkie w taką podobną całość! Po za zewnętrzną szatą istota pozostała nieodcyfrowaną tajemnicą. A jednak nawet największemu profanowi, tam po drugiéj stronie Atlantyku, rzucają się w oczy niektóre właściwości techniki. Niepodobna ich nie dostrzedz, tak odmiennemi są od tego, co oglądamy w naszéj rodziméj Europie. Budowa toru kolejewogo, struktura wagonów i mostów, szkielet statków parowych, zewnętrzny wygląd wozów, struktura domów, w których mur oblepia jedynie żelazną klatkę, umożliwiającą przewóz dwupiętrowych kamienic z miejsca na miejsce, olbrzymie dwudziestopiętrowe „drapacze nieba”, wszystko to nosi odrębne piętno. Naturalnie, nie-profan, zdolny do zajrzenia bardziéj w głąb, znalazłby jeszcze więcéj ciekawego. Ale nawet spostrzegacz, nie posiadający specyalnych wiadomości, odrazu może spostrzedz kilka rysów techniki amerykańskiéj, posiadających ogólniejszy charakter, a odróżniających jaskrawo zamorskie obszary od naszéj części świata. Na ulicy, w sklepie, na wystawie, w bibliotece, słowem—dokądkolwiek zajrzymy, proszą się one pod oko przybysza z Europy, zwłaszcza zaś z takiego mało przemysłowego zakątka, jakim jest nasz kraj. W pierwszéj chwili byłem wprost oszołomiony rozpowszechnieniem różnych automatów, zastępujących świadomą działalność, obfitością przyrządów i „maszynek”. Wiele zalet, które jeszcze cenimy na lądzie europejskim, przestały w oczach tamtejszéj ludności posiadać jakąś wartość. Weźmy chociażby kaligrafię. „Nie uważamy za stosowne kłaść w szkołach zbytniego nacisku na kaligrafię, natomiast uczymy dziatwę rysunków”, rzekł do mnie jeden z pedagogów amerykańskich. Kaligrafia staje się zbyteczną, ponieważ *type-writer*'y—maszyny pisarskie — wyręczają człowieka w umiejętności ładnego stawiania liter na papierze. My, w naszym kraju nie mamy ani pojęcia o tém, do jakiego stopnia maszyny pisarskie upowszechniły się w Stanach Zjednoczonych. Biura, kantory, ba, nieco zamożniejsze osoby prywatne inaczéj nie piszą. O upowszechnieniu tego automatu przewyborne daje świadectwo odpowiedni dział w halli przemysłu na wystawie. Pawilonik ciągnął się

za pawilonikiem, prawdopodobnie w liczbie paru dziesiątków, każdy zaś wystawił innego rodzaju *type-writer*. Taka obfitość odmiennych systemów chyba najwymowniéj świadczy o szerokiém stosowaniu przyrządów pisarskich. Jeszcze lepszego dowodu dostarczają rozmiary fabryk, które trudnią się wyrobem *type-writer*'ów, np. fabryka w Syrakuzach składa się z kilku budynków, frontowy posiada 8 pięter wysokości i patrzy na ulicę dwudziestu z góry oknami. Podobnie jak kaligrafia, która tyle wieków uchodziła za cenną umiejętność, została zdegradowana, tak samo dzieje się z wielu innemi sztukami. Automaty rachunkowe dodają, mnożą i dzielą olbrzymie sumy; zamiast ksiąg buchalteryjnych zjawiają się automatyczne szafki; ponad głowami w sklepie podnoszą się automatyczne wózki, które niosą otrzymane przez subiekta pieniądze do kasyera gdzieś w innym pokoju i powracają z należną resztą. O ile idzie o sprzedaż jednakowych a niewielkich przedmiotów, np. biletów jazdy, karmelków, szklanek wody, automaty spełniają tę czynność: przez otwór wrzucamy do wnętrza odpowiednią monetę i wzamian otrzymujemy kupowaną rzecz. Automat odbiéra chléb nawet żywemu nauczycielowi języków! Fonograf spełnia te obowiązki. Powtarza, wyraz po wyrazie, tą lub inną metodą, którą samouk trzyma przed sobą — cierpliwie i bez znużenia, a chociaż wypadnie przeczytać ten lub ów ustęp wielekroć razy, zawsze czyni to z tą samą wyrazistością akcentu.

Zaczęliśmy od sprzętów, zastępujących umiejętność pisania, rachowania, nauczania, a zatém od tego, z czego maszynie trudniéj jest się wywiązać. Nie dziw, że, tułając się po wystawie, wciąż oglądaliśmy przed sobą maszyny, których zadaniem było zastąpić specyalną wprawę ręki ludzkiéj — w tych zawodach, gdzie Europa posługuje się jeszcze ręczną pracą. W Stanach Zjednoczonych rzemiosło bankrutuje z niesłychaną szybkością; na jego ruinach wyrastają potężne fabryki, posługujące się automatami-maszynami. Wystawa jest jakby olbrzymim kalejdoskopem, w którym możemy się przypatrzéć różnym objawom tego bankructwa. Na każdym kroku sterczał jakiś nieznany automat, przy nim zaś człowiek spełniał jedynie rolę żywego dodatku, którego jedynym obowiązkiem jest podsuwać automatowi materyał do trawienia. Tutaj jakaś grupa wzajemnie uzupełniających się maszyn rznie tekturę, zszywa ją drucianemi nićmi i wypluwa gotowe pudełka; tam znowu tłum gapi się nad poręczą, wewnątrz któréj maszyny trudnią się wyrobem papiérosów i cygar. Kiedy zwiedzamy hallę skór, to w pewnych godzinach mamy przed sobą całą fabrykę butów, rozmaite zaś maszyny zastąpiły naszego szewca; galerya górna wspomnianego gmachu, wcale pokaźnych rozmiarów, zajęta była wyłącznie przez wy-

stawę automatów, które spełniają różne czynności rzemiosła szewckiego. Zamiast téj-że ręki ludzkiéj, która spełniała od początku do końca wszystkie operacye wymagane przez ów fach, rozsiadło się mnóstwo maszyn: ta trudni się wykrawaniem podeszew, owa — wiązaniem szwów, wygładzaniem i t. d. W innym gmachu — w halli przemysłu — elgińska fabryka zégarków pośpieszyła z wystawą modeli maszyn, które wyrabiają różne koła i trybiki, sprężyny i cyferblaty, słowem części składowe zégarka. A wywiązywały się one tak zręcznie z narzuconego im obowiązku, że mimowoli trzeba było podziwiać wynalazczość ludzką. Nawet tak złożone zajęcia, jak praca zecera, doznały tego samego losu i z pracy skomplikowanéj, wymagającéj wielkiéj wprawy fachowéj, zeszły na proste przebieranie palcami, które byle kto może uskuteczniać po jakimś dniu ćwiczenia, naturalnie jeśli posiada umiejętność odróżniania jednéj litery od drugiéj. W gmachu maszyn można było przyjrzéć się kilku takim automatom, które kiedyś w przyszłości odbiorą zarobek zecerom i zastąpią dzisiejszych fachowców przez pierwszą lepszą dziewczynę. Zasady, na których zbudowano takich automatycznych zecerów, są nad wyraz proste. Istnieje klawiatura, zawiérająca w sobie litery alfabetu, proste cyfry i znaki pisarskie. Czyjaś ręka przebiéra palcami, za każdém zaś uderzeniem z walcowatego zbiornika, składającego się z równolegle idących pasów czcionkowych, wysuwa się odpowiednia głoska i staje do szeregu. Ułożony rząd czcionek posuwa się automatycznie daléj do miejsca, gdzie siedzi druga osoba, łamiąca go w kolumny.

Wszędzie maszyna wkracza do życia przemysłowego: w jednym fachu wolniéj, w drugim prędzéj. Dużo wody upłynie, zanim Europa dorówna w téj mierze swojéj zamorskiéj córze. W téj mierze istnieje w Ameryce doniosła pobudka: drożyzna siły roboczéj. Zatrzymajmy się chociażby nad rolnictwem. U nas zarobek parorublowy podczas żniw uchodzi już za dobry, tymczasem w fermie amerykańskiéj robotnik o téj porze pobiéra dwa dolary, a nadto dostaje od gospodarza wikt. Właśnie ta okoliczność wpłynęła berdzo dużo na to, że maszyna z tamtéj strony Atlantyku znalazła w rolnictwie takie wielkie zastosowanie, że cały wygląd gospodarstwa rolnego przybrał poniekąd inną postać. Nasze swojskie narzędzia do wyrobu serów i masła, sposoby hodowli drobiu, sprzęty rolne, wszystko to nosi na sobie znamię głębokiego przewrotu. Zamiast kierzonek działają przyrządy, poruszane przez siłę parową, sam zaś wyrób séra i masła wyodrębnił się od rolnictwa i ulokował w specyalnych fabrykach, tak jak u nas to stało się z warzeniem piwa i pędzeniem gorzałki. Inkubatory zastąpiły ciepło matki w hodowli kurcząt. Maszyna wtargnęła też do zakresu najrozmaitszych

czynności przy roli, a jeżeli nie wszędzie się jeszcze usadowiła, to kwestya jéj zapanowania jest sprawą niedalekiéj przyszłości. Nie mówimy o wiążących żniwiarkach ani o parowych młockarniach, bo są one w użyciu nietylko w Stanach Zjednoczonych, chociaż jedynie tam znalazły tak ogólne zastosowanie, iż zupełnie wyrugowały sierp, kosę i młockarnię, posługującą się innym motorem. Mam raczéj na myśli inne maszyny, u nas albo wcale nie znane lub téż zaledwie znane z kilku okazów. Całe sianożęcie np. jest dokonywane za morzem przy pomocy maszyn: kosiarka kosi trawę, inny automat, ciągniony przez konie, przetrząsa ją, automatyczny elewator zgarnia pokosy i zrzuca na wóz, na którym ktoś je układa. Rozrzucanie gnoju po polu, wykopywanie kartofli i wiele innych czynności wykonywa równie automat. Zwłaszcza warto zwrócić uwagę na rozpowszechnienie w rolnictwie różnego rodzaju mechanicznych elewatorów (podawaczy): one niosą siano na wóz, spadającą z sieczkarni sieczkę do żłobów. Równie silną jest dążność do zastąpienia ludzkiéj siły przez motory mechaniczne. Sieczkarnię poruszają np. motory elektryczne. Nawet studnia przyjęła inną postać, pozwalającą człowiekowi użytkować z siły wiatru przy pomocy odpowiednio zbudowanych skrzydeł. Skrzydła te wiatraka-studni, niby na czatach, wznoszą się nad każdą fermą i już zdala nadają jéj widok niezwykły dla europejskiego oka. Jedynie pług nie przeniewierzył się starodawnym tradycyom, źródło rutyny w téj mierze tkwi w rozmiarach fermy, gdyż zastosowaniu pługa parowego na przeszkodzie stoi tylko ta okoliczność, iż dla drobnéj fermy jest to mało produkcyjne narzędzie. Nawet do wozów wtargnął duch nowatorski i przekształcił je do gruntu. Przedewszystkiém zróżniczkował on wozy na mnóstwo odrębnych postaci, przystosowanych każda do jakiegoś jednego, specyalnego przeznaczenia. U nas, odpowiednio do celu, na ten sam wóz kładą drabiny lub deski; tam, za morzem, budują wóz zgoła odrębnéj struktury. To zróżniczkowanie zwłaszcza silnie uwydatniło się w życiu miejskiém; tam, zoczywszy wóz zdaleka, możemy z góry odgadnąć, do czego służy. To samo spotykamy wśród wagonów, łodzi, tragów, pługów, żniwiarek, wogóle możliwych sprzętów i narzędzi. Źródłem tego objawu nie jakaś fantazya, ale chęć zmniejszenia wysiłku ludzkiego, bo każda forma jest na to obliczona, ażeby oszczędzić pracy.

Słowem, maszyna wdziéra się we wszystkie zakresy ludzkiéj działalności: zastępuje nauczyciela języków i kaligrafa, usuwa buchalterów i odbiéra chléb zecerowi, samodzielnego rzemieślnika przekształca na najemnika usługującego żelaznemu automatowi, ruguje odwieczną ru-

tynę pracy rolnéj, kuchennéj, hodowlanéj. A obok właściwéj maszyny, będącéj udoskonalonemi nożycami, łopatą, sierpem, kroczy inny najezdnik: martwy motor. Motory parowe dymią się i parskają parą przy pożarach, pompując potrzebną wodę; one to służą przy budowaniu domów, jako siła podnosząca ciężary, daje ruch maszynom rzeźni, fabryki szewckiéj, krawieckiéj. W postaci motorów elektrycznych, martwa siła rznie sieczkę, pcha drobne łodzie po powierzchni wód, teraz usiłuje usadowić się we wnętrzu wozów i wyrugować siłę pociągową konia.

Ale takie zapanowanie martwych motorów na miejscu żywéj siły, przedewszystkiém zaś wyrugowanie prostych rzemieślniczych narzędzi przez grupy wzajemnie uzupełniających się maszyn, wskazuje jeszcze na coś innego, a mianowicie, że dla Stanów Zjednoczonych minęła—naturalnie względnie, w porównaniu z Europą — epoka tradycyjnych małych warsztatów, w których pracował pojedynczy rzemieślnik, posługujący się co najwyżéj pracą kilku uczni, nastał zaś okres olbrzymich fabryk, wymagających dla swego prowadzenia odpowiednio wielkiego kapitału. Na każdym kroku spotykamy tam zakłady w fachach, gdzie w naszym kraju i nawet na całym lądzie Europy jeszcze drobny proceder króluje. Nasze warsztaty szewckie wyrosły tam na olbrzymie przedsiębierstwa: znajdujące się w North Brookfield daje zatrudnienie 1100 robotnikom i wyrzuca z siebie codziennie na rynek do dziesięciu tysięcy par butów i trzewików; inne w miasteczku Spencer, czyni to samo, są to zaś jeszcze nie największe zakłady. Zamiast drobnych procederów kołodziejskich wznoszą się fabryki, z roku na rok puszczające w świat około trzydziestu tysięcy wozów téj saméj struktury. Rzeźnie w Chicago, Omaha-City i kilku innych ogniskach przemysłu mięsnego, posługują się nietylko złożoną maszyneryą, wprowadzoną w ruch przez siłę parową, ale niektóre z nich zatrudniają po kilka tysięcy sił roboczych — dodajmy polskiego lub bliskiego nam pochodzenia. Nawet zakłady, które wyrabiają cienkie pudełka, w jakich kundmani nabywają masło w handlu detalicznym, posiadają po paręset robotników. Czy mamy ciągnąć daléj tę litanią, która zaprawdę jest bez końca? Naturalnie nie wszystkie fabryki są podobnie olbrzymich rozmiarów, ani nie wszędzie, na przestrzeni Stanów Zjednoczonych, zniknęły drobne warsztaty, w których pracuje zaledwie jeden i drugi dziesiątek osób. Ale taką jest dążność amerykańskiego życia przemysłowego, zresztą wspólna obszarom zamorskim z Europą, tylko, że więcéj uwydatniająca się po tamtéj stronie Atlantyku i rozwijająca się tam w szybszém tempie. A dążność ta w kierunku wielkich zakładów idzie ręka w rę-

kę z inną — ku nadmiernéj specyalizacyi. Takiego zróżniczkowania równie nie znamy na lądzie europejskim. Np. fabryka zégarków w Elginie, dająca zatrudnienie niemal trzem tysiącom robotników, wyrabia jedynie zégarki pewnéj określonéj wielkości; jeżeli zaś kto życzy nabyć inne, naówczas musi zwracać się do wyrobów innéj fabryki. Fabryki wozów wyrabiają każda tylko wozy określonéj struktury. I to samo oglądamy bezustannie. Uczynimy chyba najlepiéj, jezeli rozbierzemy tę tendencyę na jakimś specyalnym wypadku. W tym celu weźmiemy fabryki, trudniące się produkcyą maszyn rolniczych. Np. w zakresie maszyn, używanych w gospodarstwie łąkowém spostrzegamy mniéj więcéj następujące specyalizacye. Niektóre firmy trudnią się wyłącznie fabrykacyą maszyn, służących do prasowania siana i do tego ograniczają całą swoją działalność. Inne wyrabiają tylko grabiarki lub kosiarki, z tą zaś specyalnością łączą czasami produkcyę niektórych kultywatorów. Elewatory, używane przy sianożęciu, są produktem znowu innych zakładów. Istnieją fabryki trudniące się wyrabianiem tylko wozów, rozrzucających automatycznie gnój po polu. Maszyny, używane przy kopaniu kartofli, wychodzą znowu z innych fabryk. Istnieje kilka olbrzymich firm, które się zajmują jedynie wyrobem pługów. Żniwiarki są wyrabiane znowu w innych zakładach, które się poświęcają jedynie fabrykacyi tych sprzętów, inne są im nieznane. Słowem, specyalizacya przewyższa wszelkie pojęcie, a ponieważ istnieć może tylko przy odpowiednio wielkiém zapotrzebowaniu, zatém jest najlepszém świadectwem, jakie tylko można znaleść, na rzecz rozmiarów stosownego zapotrzebowania ze strony rolników. A niektóre z tych zakładów posiadają bardzo znaczną wielkość. Mamy w tej mierze ściślejsze dane jedynie względem niektórych firm, posiadających swoje warsztaty w obrębie Chicago. Fabryka Bradley'a i S-ki, trudniąca się wyłącznie produkcyą pługów i kultywatorów, rozsiadła się na przestrzeni 10 akrów i daje zajęcie 600 robotnikom. Wszechświatowéj sławy fabryka Mac Cormicka, produkująca jedynie wiążące żniwiarki, zajmuje 37 akrów i daje zatrudnienie dwom tysiącom najemników, katalog głosi, że w ciągu wielu miesięcy w roku każda minuta przynosi na świat nową maszynę. Firma Deeringa, trudniąca się równie fabrykacyą wyłącznie wiążących żniwiarek, ulokowała się na przestrzeni 40 akrów i daje pracę 3½ tysiącom robotników. Są to wszystko, jak rzekłem, firmy, osiadłe w Chicago, o których właśnie dzięki temu, zdołałem zebrać szczegółowsze informacye; o innych, niekiedy większych a których można naliczyć dziesiątkami, nie posiadam bliższych wiadomości.

Wraz z fabryka w zakresie produkcyi wyrób fabryczny zapanował w sferze spożycia. Okoliczność ta kładzie specyalne piętno na całém życiu amerykańskiém. Cudzoziemiec odrazu je dostrzega, choć nie zawsze zdaje sobie jasną sprawę z przyczyn, niekiedy zaś tłómaczy je mylnie. Jest-to mianowicie owa monotonność i szablonowość, z jaką spotykamy się tam na każdym kroku. Latem, kędykolwiek rzucimy wzrokiem, wszędzie oglądamy tego samego fasonu słomiane kapelusze, zimą zaś twarde, czarne filcowe. Surduty wszystkich są skrojone według tego samego fasonu, meble w mieszkaniu wyglądają jednako, zégarki kieszonkowe są podobne do siebie, niby kropla wody do kropli, nawet smak obiadu ten sam: zupy są robione o ile naturalnie figurują na stole amerykańskim, z ekstraktów, konserwy rybne, mięsne i owocowe milionami puszek rozchodzą się z téj saméj fabryki, a ponieważ stanowią główną część składową stołu zamorskiego, przeto jednostajność jest jaskrawą. Znam autorów, którzy za to pociągają do odpowiedzialności demokratyczną ustawę Stanów Zjednoczonych i chcą widziéć w tych objawach skutki demokratycznéj niwelacyi. W gruncie rzeczy wieszają oni kowala za winy, jakie ślusarz popełnił. Fabryka jest winowajczynią: ona to wyrzuca tego samego modelu meble i kapelusze, tego samego smaku konserwy. Rozumié się, te fabryczne produkty są bardzo tanie — na stosunki amerykańskie, bo swoją drogą są liche i drogie. Jest-to już owocem polityki celnéj. Bil Mac Kinley'a i inne, będące jego poprzednikami, zamknęły dostęp na rynek zamorski towarom zagranicznym i w ten sposób dały możność miejscowym producentom ściągać gruby haracz z ludności amerykańskiéj. O tym wyzysku spożywców przez producentów i jeszcze bardziéj przez różnego rodzaju pośredników handlowych, trudno dać nawet wyobrażenie, trzeba samemu pobyć pewien przeciąg czasu w Stanach Zjednoczonych, aby zyskać pojęcie. Jedynie wzajemna konkurencya łagodzi ten stan rzeczy, o ile naturalnie producenci nie są powiązani w tajne spiski przeciwko spożywcom. Do drożyzny produktów przyczynia się jeszcze jedna okoliczność, wypływająca równie z polityki celnéj. Bil Mac Kinley'a sprzyjał w najwyższym stopniu powstaniu *trust*owego monopolu wśród właścicieli kopalni i wogóle producentów surowego materyału. Koszta więc fabrykatów musiały podnieść się już z tego powodu. Wszystko to sprawia, iż jakkolwiek ceny produktów są niskie w porównaniu ze stopą zarobków, w zestawieniu z europejskiemi są bardzo a bardzo wysokie.

Polityka celna czyni jeszcze coś innego, mianowicie pęta w najwyższym stopniu dalszy rozwój amerykańskich sił wytwórczych. Drogi produkt amerykański nie posiada szans zwycięstwa na rynku między-

narodowym. Zniesienie cła ochronnego naprzód wywoła zniżkę cen surowców przez podcięcie monopolów i tém samém uzdolni produkt zamorski do współzawodnictwa. Przedewszystkiém jednak zmusi amerykanina do dalszych ulepszeń technicznych. Jeżeli Europa narzeka na tendencye protekcyjne Stanów Zjednoczonych, to chyba jeszcze gorzéj da się jéj we znaki zwycięstwo za morzem idei wolnego handlu. Siły produkcyjne Ameryki, upostaciowane w wielkich zakładach i w tamtejszéj technice, zapowiadają to w sposób niedwuznaczny.

K. R. Żywicki.



ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Sewer, „Nafta“. Powieść w 3 tomach. Warszawa. „Kurjer Warsz.“, 1894, t. I, str. 315; t. II, 218; t. III, 253.

Zbyt jednostajne i zbyt powszednie tematy nigdy nie nęciły Sewera; nigdy on nie popadł w błąd bardzo często popełniany przez beletrystów naszych, iż natrafiwszy na jakąś żyłę powieściopisarską, mniejsza o to bogatą czy ubogą, byleby podatną ich talentowi, wyzyskują tę żyłę do nieskończoności bez względu na znudzenie czytelników. Sewer przeciwnie, szukał wciąż nowych dziedzin z tą prawdziwie artystyczną ciekawością, która każe zasilać umysł pierwiastkami świeżemi, ażeby nie zejść na drogę tworzenia najsmutniejszą przez powtarzanie samego siebie. Jeżeli nad światem ludowym zatrzymał się najdłużéj, to niewątpliwie w tém przekonaniu, że to sfera najmniéj jeszcze eksploatowana, a więc mogąca dostarczyć najobficiéj motywów niezużytych. Ale i ten świat lubił on przedstawiać nietylko sam w sobie, lecz w najrozmaitszych stosunkach z otoczeniem: a więc ze szlachtą, z żydami, a nawet z żywiołem sztuki. Podobnie postępował ze światem szlacheckim, artystycznym i żydowskim.

W najnowszym utworze, który podczas pojawiania się swego w odcinkach „Kurjera Warszawskiego" żywe budził zajęcie, powiodło się Sewerowi trafić, szczęśliwém przeczuciem talentu, na całkiem prawie nieuwzględnione pole. Olbrzymio rozrastający się w Galicyi przemysł naftowy służył dotychczas zaledwie do krótkich komicznych lub satyrycznych scenek (u A. Wilczyńskiego, u Z. Niedźwiedzkiego), z poważnéj atoli strony nie pochwycił go żaden powieściopisarz. Sewer pierwszy odczuł i zrozumiał jego stronę ciekawą, zajmującą i znamien-

ną pod względem artystycznym. Bo jak wszędzie, tak i tutaj autor nasz nie lubi tracić z oczu znaczenia społecznego wziętych do obrobienia tematów, na pierwszym jednak planie postawił względy psychologiczno-artystyczne. Zna on niewątpliwie doskonale całą doniosłość wytwórczości naftowéj dla ogólnéj ekonomii kraju, zna tę splątaną sieć interesów, jaka się wytworzyła pod wpływem walki konkurencyjnéj i starającéj się ją regulować administracyi; zna te okoliczności, które wytworzyły względną drożyznę nafty w jéj naturalnéj ojczyźnie; ale nie ta strona pociągnęła ku sobie powieściopisarza. On się nie wdaje w rozprawy o znaczeniu przemysłu naftowego i jego stosunku do innych dziedzin pracy ekonomicznéj; nie wchodzi nawet w szerokie malowanie kształtów, jakie on przybrał w różnych okolicach kraju i pod wpływem różnorodnych czynników. Bo Sewera wabi ku sobie przedewszystkiém malownicza strona przedmiotu: jak wygląda krajobraz, wśród którego rozwinęła się kopalnia, jakie są szczegóły znamienne samego wydobywania nafty z ziemi, jak mieszkają, jak się ubierają, jak mówią, jak się zachowują ludzie, którzy się w ostępach zazwyczaj leśnych osiedlili, by w życiu prostém, najniezbędniejsze tylko zadawalniającém potrzeby, skarby z głębin gruntu wyławiać. Następnie dopiéro interesują go pytania: jakie uczucia, jakie myśli zajmują owych ludzi, jak się pod wpływem téj specyalnéj pracy przetwarzają usposobienia, nałogi, charaktery, jak słowem wygląda dusza, na którą oddziaływają te nowe zewnętrzne czynniki.

To téż w opisie tła, na którém rozgrywają się wypadki, znać zamiłowanie autora. Nie są-to opisy szablonowe, w którychby jeden szczegół po drugim protokularnie był zamieszczony, lecz kreśli je powieściopisarz po malarsku z pewnego punktu widzenia, w pewném oświetleniu, w łączności z uczuciami, jakie w danéj chwili widzem miotają. Tak się nam przedstawia Podniebie, miejscowość środkowa, że tak powiem, w utworze, tak mieszkanie Stefana, tak pierwsze zapoznanie się Zygmunta z robotami; tak następnie Taraszówka i Podgrodzie, dokąd rozwijające się wciąż interesa spólników naftowych prowadzą. Nigdzie suchego, nie malowniczego słowa, nigdzie obrazu ni frazesu spowszedniałego w przedstawieniu natury. Autor okiem artysty przypatruje się rzeczom i zjawiskom, wschodom i zachodom słońca, poświacie księżyca, wsłuchując się w szmery i szumy borów, w dudnienie gazów prących naftę w szybach, w światła i ognie zapalonych beczek na przyjęcie gości — a robi to wszystko najprzód dlatego, że lubi naturę, a powtóre dlatego, że te szczegóły wywierają swój wpływ mniéj lub więcéj silny na wielce wrażliwe usposobienie głównéj osoby w powieści,

Zygmunta, którego dzieje stanowią więź psychologiczno-artystyczną całości.

Zygmunt ten — to dziecko salonów, to spadkobierca wiekowych tradycyi rycerskich, zmuszony do szukania środków utrzymania wykwintnego w pracy, to wreszcie wychowaniec czasów najnowszych, kultury wyrafinowanéj, z przedrażnionemi nerwami, z wielkiemi pożądaniami, z umysłem wyostrzonym, zmysłami jeszcze nie stępionemi, a sercem zatrutém widokiem interesowności i upodlenia. Miał on chwilowo zamiar zostania uczonym, by zająć przy pomocy protekcyi katedrę akademicką; ale widząc, że bez uniżenia się i zaprzedania poglądów swoich wpływowemu stronnictwu, osiągnięcie owéj katedry byłoby niemożliwém, rzucił Kraków i deklamując ustępy z pesymisty francuskiego o śmierci, bliskim był samobójstwa, gdyby reszta energii i niezużytych sił młodości nie kazały mu zagrzebać się w kopalni nafty, gdzie miał z namowy przyjaciela, Stefana, umieszczony szczupły fundusik.

Tu właśnie rozpoczynają się dzieje przemiany wewnętrznéj tego pesymisty salonowego. Zrazu wszystko mu jest wstrętném; od ubogiéj izdebki do nader powolnego posuwania się robót w kopalni prowadzonych w sposób jaknajprostszy z powodu braku środków. Marzeniem jego jedyném jest doczekać się znaczniejszéj gotówki i umknąć z nią w świat, do którego przywykł, bez którego żyć mu niepodobna. Przejścia od pesymistycznego nastroju do wesołości i żądzy pracy w miarę rodzących się, lub zamierających nadziei co do szybu naftowego, są wybornie odmalowane, zwłaszcza w ciągłém przeciwstawieniu do zahartowanego w pracy Stefana, który niczém zniechęcić się, niczém odstraszyć nie daje, umiejąc zawsze obudzić w przyjacielu odrobinę energii. I to jest rysem dobrym, że w chwili wyczerpania gotówki, kiedy Stefan zrezygnowany nie widzi przed sobą innéj drogi nad opuszczenie kopalni i poszukanie pracy w innéj, w Zygmuncie powstaje wskutek przeciwieństwa chęć wytrwania na miejscu i poruszenia wszelkich środków, by rozpoczęte dzieło daléj poprowadzić. Rozumie się, jest-to chwilowy tylko wybuch zapału, w którym miłość własna, chęć pokazania, że się przecież na coś przydamy, niemałą odgrywa rolę. Po tym wybuchu, gdyby z niego nie umiał był skorzystać Stefan, przyszłoby zobojętnienie i może — samobójstwo. W skutkach wybuch ten okazał się nader szczęśliwym: pozwolił doczekać się obfitego wytrysku nafty i — co dla Zygmunta najważniejsza — gotówki. Z 50,000 mógł opuścić kąt zapadły, by wchłonąć trochę zaraźliwych powiewów cywilizacyi wielkomiejskiéj. Zakiełkowało już w nim jednakże ziarenko wrzucone przez Stefana i spółudział w jego pracy. Gdy się na kolei spotkał z Amerykanami — żywo i barwnie nakreślonymi, choć trochę

zbyt jednostajnemi — którzy mu zaproponowali spółkę w interesie naftowym, nie zawahał się ani chwili w przystąpieniu do niéj z kapitałem 40,000. Z resztą jedzie do Krakowa, by tam zabłysnąć wśród dawnych znajomych swoich, doznać owacyjnego przyjęcia i dla splatania figla swoim arystokratom... uciec do Wiednia z aktorką Nelą — przepysznie odmalowaną histeryczką, która już po tygodniu lgnie do udanego marnotrawcy vice-konsula, bawiącego ją swemi błazeństwami.

Wydawszy pieniądze wraca Zygmunt do Podniebia, gdzie przebywa drugą fazę swéj przemiany. Nabrał gruntownego przekonania o fałszu téj sfery, z któréj wyszedł, a która pięknemi wojuje frazesami, by jaknajpospolitsze osiągać cele; znużył się miłością histeryczki; zapragnął mieć miliony, może po części, ażeby niemi biedzie ogólnéj dopomódz, ma bowiem skłonności sympatyczne żywo rozwinięte, ale przeważnie na to, ażeby należycie upokorzyć tych, co mu jego nafciarstwo przebaczali... dla dużych pieniędzy. Więc nie zamarł w nim jeszcze zupełnie stary człowiek; jeszcze miłość własna i nadzieja podeptania obłudnych przyjaciół stanowią główny motyw jego postępowania. Bądźcobądź jednak nabrał już zamiłowania do pracy; nie tak łatwo jak poprzednio daje się zniechęcać, nie tak często pesymizm Leconte'a de l'Isle wybiega mu na usta. Owszem, rozwija nader ruchliwą działalność, nabywa nową kopalnią (do spółki z Amerykanami) w Podgrodziu, zapoznaje się tam z panną Maryą, energiczną, śmiałą, przedsiębiorczą panną, która danych za prawo kopania nafty pieniędzy używa na oczyszczenie majątku, oraz na założenie szkoły koszykarstwa i sklepu dla włościan z usunięciem karczmarza. Przy téj sposobności zapoznajemy się z wybornie nakreśloną figurą mniemanego „obrońcy ludu”, Prawdzica, skopiowaną z natury, a tak charakterystyczną w słowach, zachowaniu się, sposobie postępowania, że do najznakomitszych postaci Sewera zaliczyć ją należy.

Dla Maryi żywi Zygmunt uczucie serdeczne, ale nieuświadomione należycie i przytém dawniejsze jego nałogi, obawa spadnięcia w opinii społecznéj przez ożenienie się ze szlachcianką, niechęć krępowania sobie swobody ruchów sprawiają, że puszcza tę sprawę w odwłokę, a sam zabrawszy tym razem tylko 3,000 jedzie powtórnie do Krakowa, gdzie go ciotka swata z księżniczką, a wszystkie utytułowane piękności (w kilku dobrze skreślonych odmianach) narzucają mu się niemal. Zygmunt nie czuł dla żadnéj szczerszego pociągu: jedna zachwycała go swym powabem zmysłowym, druga czarowała posągowością kształtów; miło mu było tryumfować, choć korzystać z tryumfu nie pragnął. A jednakże ta żądza błyśnięcia swoją osobistością na tle milionów pozba-

wiła go prawdziwego szczęścia może nazawsze — zakrwawiła serce Maryi.

W trzeciéj fazie rozwoju Zygmunta spotyka go szereg niepowodzeń. Wszystkie kopalnie zawodzą. Potrzeba wielkiego kapitału, ażeby przetrzymać złe czasy. Kredyt wyczerpany. Stefan opuszcza Podniebie, ażeby gdzieindziéj rozwinąć niestrudzoną działalność, Zygmunt zostaje tylko z Amerykanami. Wytęża wszystkie siły, ażeby przyprowadzić interesa do dobrego stanu. Napróżno. Suma ofiarowana przez Maryę możeby go uratowała, ale on jéj przyjąć nie chce i nie może; czuje się winnym, a zadużo ma dumy, ażeby zawdzięczać los swój kobiécie, któréj uczuciem wzgardził. Trzeba kopalnie sprzedać ze stratą, ażeby choć cośkolwiek ocalić. Ale Zygmunt już teraz jest zupełnie z pesymizmu wyleczony i do pracy zaprawny: odtąd wraz z Stefanem będą nierozłącznymi towarzyszami, dla których wysiłki niezmordowane staną się hasłem.

Nie będą to jednak groszoroby. Stefan przez lat dwadzieścia pracował niestrudzenie, ale majątku nie zebrał, bo nie „interes" tylko osobisty był jego celem; przyświecała mu myśl dźwignięcia kraju z biedy, dlatego zawsze przed oczyma jego roztwierały się szerokie widnokręgi. Nie zrobił wiele — to prawda, bo któż się u nas pochwalić może, iż urzeczywistnić zdołał pomysły o skali rozległéj; ale że bogactwo krajowe wzrosło, to takim jak Stefan zawdzięcza, gdy przeciwnie tacy spekulanci-oszuści, jak ten pan baron z Wiednia, którego sylwetkę Sewer nakreślił w II-ym tomie, przeszkadzają jego rozwojowi.

Wpływ przemysłu naftowego na ludność okoliczną przeważnie z dodatniéj strony przedstawił nasz powieściopisarz. Wzmożenie się bogactwa wśród górali, wytworniejsze wymagania w przystrojeniu domu, zaprzestanie lub umniejszenie użycia wódki, któréj miejsce zastępuje herbata z arakiem, żywość, wesołość, pogodniejsze usposobienie, ochocza zabawa — oto główne objawy, jakie nam Sewer odmalował, mówiąc o roboczéj ludności w kopalniach. Co prawda, stosunek tu jeszcze patryarchalny i nie ma śladu kapitalistycznego ustroju. Stefan i Zygmunt obchodzą się z robotnikami jak z ukochaną czeladką, wierną i ufną. Zapewne nie jest tak wszędzie, ale że tak bywa jeszcze do téj pory, można chyba zmysłowi obserwatorskiemu Sewera zaufać.

Prócz ludności roboczéj, z pomiędzy któréj Rębacz i jego żona najświetniéj zostali nakreśleni, Sewer dał zarysy trzech osobistości, porosłych w bogactwo z powodu nafty. Jeden—to chłop mało ukształcony ze wszystkiemi śmiesznościami dorobkiewicza, z charakterystyczną obłudą (Adolf Kotula), drugi — to chłop także, ale zamiłowany

w książkach, prenumerujący gazety, lubiący prawdziwy porządek i istotną wygodę, rozumny, pracowity (Tomasz Wojnar), trzeci — przebiegły i przewrotny geszefciarz naftowy, zgoła o życiu umysłowém nic myślący, ale ambitny, pragnący ożenić swego syna ze starą szlachcianką (Kwiatkiewicz). Rozwinięcie tych postaci i związanie ich z akcyą byłoby wielce pożądaném dla urozmaicenia wątku powieściowego.

Wykonanie utworu tryska życiem, przypominającém pod względem stylu najświetniejsze dzieła Sewera; szczególniéj wszystkie ustępy odnoszące się do życia w kopalni są naecchowane energią i werwą niepospolitą. Co do kompozycyi możnaby zrobić parę uwag odnoszących się do niezawsze szczęśliwego ustosunkowania części składowych; jedne bowiem są więcéj, drugie mniéj rozwinięte; ale ponieważ całość zajmuje, ponieważ jest pomyślana jędrnie i przeprowadzona konsekwentnie, byłoby rzeczą niestosowną rozwodzić się tu nad drobiazgami.

P. Ch.



NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

= *Artur Gruszecki*, **Tuzy**. Powieść współczesna, Warszawa, 1893, str. 501. — W literaturze powieściowéj znany był dotychczas p. Gruszecki z pobieżnego i niezbyt szczęśliwie wykonanego przed laty bodaj 14 szkicu p. t. „Wykolejony.” Obecnie, mieszkając od pewnego czasu na wsi i gospodarując, napisał utwór będący odbiciem spostrzeżeń i uwag, jakie mu się wśród tego nowego otoczenia nasunęły, utwór, zasługujący już niewątpliwie na poważniejsze zastanowienie. Ponieważ autor zostaje widocznie pod wpływem nowszéj literatury francuskiéj i wywiesza wyraźnie hasło „sztuki dla sztuki,” zwrócić nam przedewszystkiém baczność wypada na artyzm „Tuzów.” Jest p. Gruszecki nietylko realistą, lecz naturalistą także w kierunku utorowanym przez Zolę. Dba wielce o prawdziwe odtworzenie widoków przyrody, gospodarstwa, objawów życia ludzkiego, ale tę prawdę pod wpływem pesymistycznego nastroju widzi przeważnie ze złéj, brudnéj strony. Mianowicie w pierwszych rozdziałach swéj powieści starał się chyba umyślnie nagromadzić jaknajwięcéj obrazków, rażących słuch, wzrok i powonienie. Oto próbka opisu „obejścia“ gospodarczego. „Tu i owdzie stała przed chatą uwiązana krowa, z bokami zapadniętemi, z brzuchem wielkim, zwieszonym, z pośladkami zawalanemi przyschniętym gnojem i błotem. Przykucnięta kobiéta doiła. Mléko płynęło cieniutkim promieniem, dzwoniąc w pustéj dojnicy. Parobcy, krzycząc głośno: ksiou, ksiou, ksiou! wypędzali z zagród małe, drobne koniki, patrzące smutnie, z pokłaczoną grzywą, które z niechęcią, ciężko stąpały po błotnistéj drodze, wiodącéj do wodopoju w stawie. Ich długie, zabrudzone ogony chwiały się melancholijnie, odbijając się o kolana nóg tylnych” (str. 84). Jeżeli ten opis ze swemi pośladkami i zabrudzonemi

ogonami ma jeszcze tę zaletę, iż nie cuchnie wprawdzie ale jest malowniczym, to następny, przedstawiający nawoływania rozmaitych zwierząt domowych mógłby chyba znaleźć miejsce w nauce o rzeczy dla zapoznania dzieci mieszczuchów z wyrażeniami, których słyszeć nie mają sposobności: „Kobiéty zwoływały piskliwie kury: tiu, tiu, tiu, tiu!; kaczki: taś, taś, tasieńka, taaś! Małe dziewczynki biegły nad staw, wołając przeraźliwie: siu, siu, siu, siuuu na gęsi, kołyszące się na wodzie. Wynoszono cebry z pomyjami, otwierano chlewy, wołając na na świnie: kuciu, kuciu, kuciuu, lub na cielęta: myń, myń, myńńń. Tam znów pieściła gospodyni krowę, przemawiając czule: tołoś, tołoś, tołosiii...” (str. 85). Ale dość tych kwiatków onomatopeicznych. Przypatrując się im, robimy mimowoli spostrzeżenie, iż autor trochę zapóźno się wybrał z naturalistycznemi opisami, kiedy nietylko tego rodzaju plastyka, lecz nawet plastyka wogóle zaczyna być niezbyt wysoko cenioną wobec dążności do malowania wzruszeń wewnętrznych i zabiegania duszą w kraj marzeń i wizyj. Słuszność wszakże nakazuje dodać, że w dalszym ciągu powieści nie spotykamy już takich niesmacznych opisów, lubo się znajdują jeszcze nieraz suche i zgoła zbyteczne, obok wielce udatnych, znamiennych i żywych. W duszach ludzkich znajduje p. Gruszecki przeważnie błoto. Na kikanaście figur, wyprowadzonych przezeń na widownię, dwie tylko są uczciwe, rozumne, dzielne t. j. paru kochanków: Garliński i Stasia. W charakterystyce sąsiadów, podanéj przez Garlińskiego, mieści się także sąd autora o postaciach przez siebie stworzonych, a sposób, w jaki charakterystyka ta jest wyrażona, świadczy, że i bohatér wśród otoczenia zmateryalizowanego nabrał również pewnych poglądów w ocenie ludzi, nie bardzo harmonizujących z powagą i doniosłości rzeczy, o któréj mówi. Wyliczywszy cały szereg nazwisk obywateli, z któremi wszedł w stosunki z powodu zamierzonéj walki z fabrykantami cukru, Garliński powiada: „Zapewne są to ludzie dobrze wychowani, poprawnie mówiący po francusku, formy towarzyskie ujdą, jakkolwiek jedzą fatalnie, ale... Ale ich etyka dziwnie giętka i krucha, wymagania i ideały nie przekraczają koła kopiejki i kobiéty, pojętéj brutalnie, haremowo. I oto cały ich świat!” (str. 335). To włożenie między etykę a dobre wychowanie fatalnego sposobu jedzenia jest tak dziwne, że doprawdy trudno je zrozumiéć u człowieka, którego autor z dodatniéj chciał przedstawić strony. Jako dowcip mogłoby to wyrażenie ujść w rozmowie o tym samym przedmiocie, ale nie w samotném rozmyślaniu, kiedy się człowiek sam przed sobą z najpoważniejszych swoich pojęć i poglądów spowiada. Jest jeszcze jedna strona w tym dodatnim bohaterze, która o wiele by przykrzéj nas raziła, gdybyśmy mieli pewność, że jego słowa posiada-

my podane w całości. Stasia w rozmowie nazwała hańbą frymarczenie ziemią, a na to Garliński: „Ziemia jest środkiem do życia, jest warsztatem tak dobrym, jak każdy inny. Nie złorzeczę szewcowi, gdy porzuca dratwę i stołek wrazie niepowodzenia i dlaczegóż miałbym przeklinać właściciela ziemi?" (str. 276). Jeżeli też Garliński umyślnie niezrozumiał Stasi, to jego odpowiedź jest sofistyczną; jeżeli zaś zrozumiał, a jednak w ten sposób odpowiedział, to czémże się on różni od tych groszorobów, którymi pomiata, których „bydlem" nazywa. Wprawdzie mówi w dalszym ciagu o rozparcelowaniu ziemi pomiędzy chłopów, ale i to objaśnienie dostateczném na wszelkie wypadki być nie może. Nie robię jednak nacisku na tę stronę charakterystyki Garlińskiego z powodu wyżéj wymienionego. Poza kochankami mamy barwne, widocznie z życia zdjęte obrazki egoizmu, wyrachowania, interesowności, walki upartéj między plantatorami buraków a cukrownikami, walki, w któréj oszukiwanie się wzajemne, przekupstwo i t. d. nie jest bynajmniéj poczytywane za rzecz nieuczciwą, hańbiącą. W stosunkach rodzinnych przedstawia autor rozstrój, gonienie za uciechą, oszukiwanie żon przez mężów i na odwrót, lekkomyślność, próżniactwo, albo obrzydliwe groszoróbstwo pod piękną pokrywką „pracy organicznéj." Najszczegółowiéj i artystycznie najlepiéj odmalowany został Edward Wirecki, człowiek o silnych popędach zmysłowych, trzymanych na wodzy jedynie przez wyrachowanie w wydatkach, popełniający rozmaite zdrożności, lecz umiejący je zręcznie ukryć nawet przed najbliższém otoczeniem; a także dobrą jest jego siostra Klara, stara panna, widząca w Edwardzie ideał skończony, tyranizująca wszystkich dla niego, świętoszka chciwa, bez skrupułów. Te dwie postacie są prawdziwemi wcieleniami artystycznemi z niepospolitym talentem wykonanemi. Styl autora jest jędrny, czasami naprawdę malowniczy, do przedmiotu dobrze zastosowany. Usterek językowych zauważyłem niewiele; „gołąbkowe" tapety, „przyjąć udział" i t. p.

= **Podręcznik do systematycznego dyktanda,** według uchwał Akademii Umiejętności w Krakowie, ułożony przez J W M. P. C N. (Warszawa, Gebethner i Wolf, 1893, str. 185). **Wykład pisowni** polskiéj w dyktandach, według uchwał Akademii Umiejętności w Krakowie. Ułożył Stanisław Palko (Warszawa, T. Paprocki, 1894, str. 175 + IV). Z dwu tych książek, traktujących ten sam przedmiot, wyższość pod względem układu i zwłaszcza doboru zdań przyznać niewątpliwie należy pierwszéj. Ma ona przedewszystkiém tę zaletę, że po większéj części składa się ze zdań nienaumyślnie do danego celu ukutych, lecz wziętych z dzieł autorów naszych, a więc mających na

względzie nietylko ortograficzne, ale i stylistyczne przymioty. Powtóre układ jest istotnie systematyczny od rzeczy łatwych, do trudniejszych: w części pierwszéj, przeznaczonéj dla dzieci od chwili, gdy pisać zaczynają, uwzględniono główne zasadnicze prawidła, dotyczące zarówno samogłosek jak spółgłosek; w części drugiéj zajęto się systematycznie najprzód pierwszémi a potém drugiemi; zamknąwszy rzecz całą przykładami pisowni wyrazów zakończonych na *ya*, *ia*, na wielkie litery, wyrazy złożone, na użycie znaków przestankowych. Bardzo słusznie zauważono, że błędy ortograficzne należy uprzedzać, t. j. nie czekać, aż je dziecko popełni, by potém dopiéro je prostować; ale niewłaściwie ograniczono tę uwagę do dyktanda początkowego (str. 7), gdyż stosować ją należy w ciągu całéj nauki, stara to bowiem, lecz prawdziwa maksyma pedagogiczna, że w pamięci uczniów dłużéj tkwią błędy przez nich popełnione, aniżeli poprawki dokonane przez nauczyciela. Dążyć więc do tego potrzeba, iżby uczniowie jaknajmniéj błędów popełniali; a skargi pedagoga na znaczną ich liczbę dowodzić tylko mogą, iż przedmiot swój nieszczególnie wykładał. Wydaje mi się prócz tego, że zadużo czasu przeznaczono na ćwiczenia ortograficzne (pierwsza część, str. 55 masłużyć na dwa lata 3 razy tygodniowo; druga, znacznie obszerniejsza, przynajmniéj na tyleż lat służyć musi, ze względu na większą dojrzałość ucznia) i zaduży nacisk położono na potrzebę p r z e p i s y w a n i a celem wdrożenia się w poprawną ortografią. Zawiele w tém mechanizmu; zawiele zmarnowanego czasu na bezużyteczne zazwyczaj, bo bezmyślnie dokonywane odpisywania z książki; porównać to jedynie można z dawnym sposobem zadawania lekcyi za pośrednictwem paznogci. Co do szczegółów, zwróciłbym uwagę na niekonsekwencyę w pisaniu wyrazu bi*ó*rko (str. 17), bi*u*rko, bi*u*ro (str. 59, 143); oczywiście tylko ta druga pisownia jest uprawnioną. Nie wiem, czyby się dało usprawiedliwić pisanie dł*ó*to, gdy się pisze: dr*u*t, ł*u*t, kl*u*ska i t. p. Wszystkie-to wyrazy pochodzenia niemieckiego: we wszystkich jest *a* lub *o*, a więc jednostajnie-by je pisać należało: zdaniem mojém zawsze przez *u*, jako takie wyrazy, w których zatarło się poczucie pochodzenia, a w żadnéj formie dźwięk *o* nie uwidocznia się. — Co do książki p. Pałki, niepodobna jéj przyznać zalet wyższych prócz wielkiéj skrzętności w dobraniu przykładów. Sama jednak skrzętność nie wystarcza. Autor zapomniał, że ucząc czegokolwiek, należy pamiętać, iż uczeń nie na tym jednym dziale nauki ma poprzestać, że zatém nie należy weń wpajać takich przyzwyczajeń, od których później z trudem odwykać mu wypadnie. P. P. tak dbał o wyłożenie trudności ortograficznych, że bez względu na piękność stylu, na najprostszą nawet dźwięczność zdania, gromadził całe szeregi brzmień niemiłych, których

unikać każe stylistyka. Stąd powstały takie okropne zdania, jak to np. „*Że* się p*rz*ybli*ż*a niep*rz*yjaciel, stra*ż* p*rz*ednia p*rz*est*rz*eże... Zad*rz*ewianie p*rz*yb*rz*e*ż*y *rz*ek i p*rz*ydro*ż*y jest bardzo po*ż*yteczne” (str. 49). Wszak chyba nie potrzeba długo dowodzić, że przed czém później wypadnie ucznia ochronić, tego mu do pamięci wtłaczać, dla ćwiczeń ortograficznych nie wypada. A w książce p. P. takich właśnie rzeczy jest mnóstwo, i bodaj czy autor nie ma sobie za chlubę, że „mrówczą” pracą nagromadził... tyle badylów i chwastów stylowych. Oto parę przykładów z forsownie skleconych zdań jedynie po to, ażeby różnice ortograficzne zestawić: „Gdzie str*u*ż*ki* źródło wytryska, tam sr*óż*ka ostr*óż*ki zbiéra. Stola*rz* ułoży k*rz*yżową posa*dz*kę, p*rz*yst*ruż*e i zrówna *próżki*. Złe rozgraniczenie gruntów częstokroć sprowadza *zatarżki* i kłótnie” (str. 54). Ale niestety, obok takich błędów, musimy jeszcze wytknąć p. P. grzechy przeciwko czystości języka. Dla niego dyktando ma „służyć p r ó b i e r z e m” (str. 8); dla niego „oczne w i e k a kończą się rzęsami” (str. 20); dla niego pierwsza klasa idzie do kościoła „po czworo, druga po troje, a trzecia po dwoje” (str. 73 — wszak u nas nie ma jeszcze gimnazyów mieszanych!). Naturalnie, bynajmniéj nie wyczerpuję tu wad i usterek, jakie się w książce znajdują, wskazuję tylko kategorye. Podział też nie może być nazwany logicznym. Część pierwszą zatytułował autor: „Ogólne zasady pisowni”, a drugą: „O używaniu znaków pisarskich”, jak gdyby ten przedmiot nie mieścił się w zasadach ogólnych. Na korzyść książki powiedziéć należy, że autor starał się w niéj podać dużo wyrażeń przysłowiowych, odznaczających się jędrnością wysłowienia i że naukę przestankowania wyłożył szczegółowo, a ogółem biorąc, trafnie. Dłuższe ćwiczenia, wzięte z autorów, nie mają oczywiście tych wad, jakie wytknąć musiałem zdaniom utworzonym przez samego p. Palkę.

— **Pieśni ludowe ukraińskie w poezyach** *Bohdana Zaleskiego*. Napisał Aleksander Kolessa (Lwów, 1892, str. 85 po małorussku). Po nader ogólnikowych uwagach Michała Grabowskiego o żywiole ludowym w poezyach Bohdana Zaleskiego, wszyscy je powtarzali bez zmiany, ale nikt nie zadał sobie trudu zestawienia dokładnego pieśni ludowych ukraińskich z utworami „słowika ukraińskiego. Pierwszy dokonał tego p. Kolessa, świéżo występujący na widownię piśmienniczą, a dokonał nadzwyczaj starannie i sumiennie. Wykazał przedewszystkiém, że Zaleski mógł korzystać nietylko z rzeczy osobiście zapamiętanych, lecz także ze zbiorów pieśni ludowych ukraińskich, gdyż zbiory takie już istniały w początkach jego twórczości poetyckiéj, a mianowicie ogłoszone drukiem przez Pracza (Petersburg, 1815), a zwłaszcza księcia

Certelewa (tamże, 1819). Dość przekonywającym jest wywód autora, że zbiór Certelewa znany był poecie naszemu (str. 42), jak niemniéj późniejszy z r. 1827 i 1834 zbiór Maksymowicza. Dla najwcześniejszéj nawet „Dumy o Wacławie" odszukał p. K. analogiczne utwory w pieśniach ukraińskich, lecz przekonał się zarazem, że oprócz tematu („Pobór rękruta) i dbałości o melodyjność wiersza Zaleski nie skorzystał z innych zalet utworów ludowych, jako to prostoty i szczerości w wyrażeniu uczuć. Śledząc daléj wpływ poezyi ludowéj, odkrywa go p. K. w „Nieszczęśliwéj rodzinie" oraz w przeróbce téj dumki p. t. „Wzgórek pożegnania". Rytm, osnowa i kilka wyrażeń w tych utworach wzięte są z pieśni ukraińskich; p. K. uważa tedy „Nieszczęśliwą rodzinę" za jedną z najpiękniejszych dumek, jakie przyniosła Zaleskiemu tęsknota za krajem wrażeń młodzieńczych. Na taką ocenę trudno jednakże się zgodzić; prawda, że w dumce téj widzimy prostotę i naturalność, ale wdzięku i talentu poetycznego jest w niéj daleko mniéj aniżeli w „Januszu Bieniawskim", który bardzo surowo, a — zdaniem mojém — niesprawiedliwie osądził p. K. Fragment rapsodu o Januszu nasunięty został Zaleskiemu, jak to wykazuje p. K., Dumą o Iwanie Konowczenku, ale poeta nasz zupełnie swobodnie i po swojemu treść téj dumy zużytkował, a formę całkiem odmienił. Można powiedzieć, że jest tyleż pierwiastku ludowego, co i w „Nieszczęśliwéj rodzinie" — z wyjątkiem tylko rytmu. Wiersz atoli i w ogóle forma „Janusza" nie sięga XVII-go wieku czy też czasów pseudoklasycyzmu, lecz owszem zarówno zwrotkowym kształtem i swobodnym, miejscami bardzo dźwięcznym 10-zgłoskowym wierszem stanowczo od wzorów pseudoklasycznych się wyróżniła. Ciekawym jest jeden szczegół zaznaczony przez krytyka w rozbiorze tego utworu, a mianowicie, że Zaleski nie zbyt dobrze zrozumiał jedno ważne wyrażenie w dumie o Konowczenku; powiedziano tam o huku siedmiopiędziowych p i s z c z a l i (t. j. strzelb); Zaleski przełożył to jako „siedmiopiędziowych p i s z c z a ł e k". Co dziwniejsza, że M. Grabowski za nim wyrażenie to powtórzył, nie sprostowawszy go wcale. Zestawiwszy następnie parę jeszcze dum historycznych Zaleskiego („Wyprawa chocimska", „Zozulicz") z odpowiedniemi pieśniami ludowemi, ogólny swój pogląd na tę część twórczości naszego poety formułuje w tych słowach „Z. znał rzeczywiście historyczne dumy ukraińskie i wyuczył się z nich wyrazów technicznych, haseł, nazw uzbrojenia, zaznajomił się nieco z poglądem kozaków na świat, przyswoił sobie te i owe obrazy i porównania, ale wszystkie te materyały, które mogły poezye jego zbliżyć naprawdę do pieśni ukraińskiéj, a przedewszystkiém stać się rzeczywistemi faktycznemi danemi do realnego przedstawienia życia i uczuć osób, które maluje, wszystkie te żywioły umiał poeta tak przemienić,

tak splątać, tak przenicować, że nabiérają one całkiem innego znaczenia, innego ducha i dają nam w wyniku senne mary, które, lubo mają źródło swe w rzeczywistości, nie należą jednak do niéj" (str. 45). Większą wartość pod względem prawdy przyznaje p. K. tym dumkom Zaleskiego, które malują przygody życia potocznego; brał je poeta nasz z pieśni ludowych i trzymał się ich wierniéj, aniżeli w dumach historycznych, chociaż i tutaj w skutek dążności do upiększenia, do szlifowania chropowatych gdzieniegdzie kantów, dostawały się fałszywe dźwięki do szczerych i prawdziwych. P. K. porównywa szczegółowo z pieśniami ludowemi następujące dumki, szumki i fantazye Zaleskiego: „Wyjazd bez powrotu", „Młodo zaswatana", „Dwojaki koniec", „Pochód", „Zakochana", „Oboja wiosna", „Ukaranie", „Ladaco", „Śliczny chłopiec", „Kalinowy most". Prawie wszędzie odstąpienie od tekstu pieśni ludowéj poczytuje p. K. (po większéj części zupełnie słusznie) za uchybienie rzeczywistemu charakterowi ludowemu, za błąd estetyczno-psychologiczny; najgorszą przeróbką tematu ludowego jest „Ukaranie". Co do dumy zaczynającéj się od słów: „Świat omamień mych", do któréj sam Zaleski wskazuje pierwszy wiersz tekstu ludowego, p. K. nie zdołał odszukać nic podobnego. Co do „Rusałek", utrzymuje p. K., że części ich składowych szukaćby należało po za Ukrainą, a mianowicie w poemacie E. Fryderyka Schulze p. t. „*Die bezauberte Rose*", wydanym r. 1818; część ustępu w Rusałkach p. t. „Cudowność", ma odpowiadać strofom 22—24, a zwłaszcza 25—27 tego poematu. Kończy p. K. uwagami gramatycznemi i słownikowemi, wykazując ukrainizmy w poezyach Zaleskiego. W charakterystyce ogólnéj przypomniawszy porównanie poety do skowronka, stosuje je do samego Zaleskiego, mówiąc: „Bujna, lekka jego wyobraźnia unosiła go po nad świat ziemski w krainę myśli i marzeń. Kłosy poezyi ludowéj, która wyrosła z gruntu realnego, z życia i uczuć ludu, uginały się pod nim; on znowu wzlatywał w krainę ułudy, lecz równocześnie oddalał się od rzeczywistości. Stąd téż poezye jego, w większości wypadków, o tyle tylko mają formę wyraźną, o tyle tylko są wiernóm odbiciem rzeczywistości, o ile duch poety, niby ów skowronek, trzepiąc skrzydełkami, utrzymywał się na kłosach ludowéj poezyi ukraińskiéj" (str. 85). Sąd to trochę za sumaryczny; krytyk nie rozpatrzył całéj twórczości Zaleskiego i nie wykazał, żeby w większości wypadków istotnie talent jego ginął w świecie marzeń; roztrząsnął tylko drobną cząstkę jego poezyi i mógł właściwie o téj tylko cząstce wypowiedzieć stanowcze zdanie; z takiém ograniczeniem będzie ono trafném. W każdym razie za szczegółowe zajęcie sprawą, dotąd prawie nietkniętą, za sumienne i bezstronne przeprowadzenie kontroli twórczości poetyckiéj Zaleskie-

go, o ile ona opierała się na pieśniach ludowych należy się od naszéj krytyki szczere uznanie p. Kolessie.

= **The life of M. Cervantes Saavedra with a tentative Bibliografhy from 1585 to 1892** by *Jas. Fitzmaurice-Kelly*. London. Chapman and Hall, 1892. — Godném jest uwagi, że Anglicy ukochali dwóch romańskich geniuszów: Dantego i Cerwantesa. Temu ostatniemu powodziło się daleko lepiéj w Anglii niźli we własnéj ojczyźnie. Może duma hiszpańska czuła się obrażoną, że charakterystyczne rysy właściwości narodowych zostały w komicznéin oświetleniu w „Don Kichocie" wystawione? Tak czy inaczéj, nie ulega wątpliwości, że Cerwantes doczekał się wspaniałego wydania wcześniéj w Londynie, niźli w Madrycie. Rzuciwszy okiem na prace, poświęcone działalności literackiéj tego pisarza, zauważymy, że jeżeli angielskie są mniéj liczne od hiszpańskich, to pod względem treści znacznie je przewyższają. Prawie jednocześnie zjawiły się w r. 1892 dwie biografie Cerwantesa. Pierwsza pióra Henryka Watta, znanego z innych prac, poświęconych autorowi „Don Kichota", przez autora i wydawcę przeznacza się dla szerokiego koła czytelników, jako jedna z szeregu kilkunastu biografii znakomitych pisarzy, skreślonych przez wybitnych specyalistów. Książka Watta przystępnie i jasno napisana, nie porusza kwestyi wątpliwych i wogóle nie wchodzi w głębszą analizę utworów.—Dzieło Fitzmaurice-Kelly może zadowolnić najwybredniejsze wymagania. Przeciętny czytelnik znajdzie w niém bardzo ładnie napisaną historyę życia Cerwantesa i piękny rozbiór jego utworów. Specyalista ma tu znakomity aparat krytyczny, ciekawe i źródłowe przedstawienia ważniejszych szczegółów i bardzo kompletną bibliografię. Jest w niéj wzmianka i o polskich tłómaczeniach „Don Kichota". Fitzmaurice-Kelly nie ma uprzedzeń i z góry powziętych opinii, traktuje swój przedmiot z miłością i bezstronnością historyka. Materyał ułożony bardzo dobrze; nie ma przewagi jednego epizodu nad drugim. Śmiało można polecić to dzieło miłośnikom literatury. Jestto jedna z najlepszych monografii literackich. *L. Sz.*

= *Lichtenberger*. **Le poème et la légende des Niebelungen.** Paris, 1891. Hachette. — Podaję spóźnioną informacyę o dziele ze wszech miar uwagi godném. P. Lichtenberger podjął się wdzięcznego zadania spopularyzowania znakomitéj epopei niemieckiéj i ważnych historyczno-literackich kwestyi, z jéj powstaniem i rozwojem połączonych. Obok bardzo ładnego streszczenia poematu znajdujemy nadzwyczaj jasny i przystępny wykład literatury tegoż, uwzględniający wszystkie prądy

i ważniejsze teorye. Tak mamy tu doskonale sformułowane teorye powstania epopei, wyniki krytycznych prac Lachmanna, Müllenhofa, Henninga, Holzmanna, Pfeiffera i wielu innych. Znajdując w średniowiecznym eposie zarodki Nibelungów (w kilku cyklach), Lichtenberger podaje je nam w nader umiejętném ugrupowaniu. Obok gruntownéj znajomości rzeczy, rozczytania się w poemacie i obszernéj literaturze, widzimy u Lichtenbergera i filozoficzne poglądy na stosunek historyi do mitologii i podania (Saga), oraz na twórczość osobistą i zbiorową mas ludowych. Nie wypowiada autor oryginalnych zdań, ale umié zatrzymać się na teoryach najbardziéj krytycznych. Odsyłając czytelnika do bibliografii Zarnckego i innych, podaje Lichtenberger szczegółowy wykaz francuskich prac o Nibelungach. Byłoby arcy-pożądaném, żeby się u nas dokładniéj z niém zapoznano. Może przyczyniłoby się to do wzbudzenia pewnego zainteresowania się piękną średniowieczną epopeą, oraz pokrewnymi utworami. Polskie tłómaczenia p. Szabrańskiego i p. Germana wyszły bez krytycznego wstępu i komentarzy. Studya nad literaturami zachodnio-europejskiemi, szczególniéj nad średniowiecznym ich okresem, są zupełnie u nas zaniedbane [1]), chociaż nie ulega wątpliwości, że kto zechciałby się im oddać, znalazłby piękno żniwo. Tak blisko i tak daleko od Zachodu jesteśmy! *L. Sz.*

— **Dzieje literatury powszechnej** z ilustracyami. T. IV, cz. 1, okres drugi. Czasy reakcyi i pseudo-klasycyzmu. Warszawa, nakład S. Lewentala, 1893. — Z radością witamy nowy tom wydawnictwa, zapełniającego poważną lukę w naszéj literaturze. Część pierwsza tomu IVgo, poświęcona okresowi reakcyi i pseudo-klasycyzmu, zawiera trzy działy: włoski, opracowany przez p. Porębowicza, francuski—przez p. Święcickiego i angielski—p. Jezierskiego, pracowników poważnych, zajmujących wybitne stanowisko w nielicznéem kółku polskich historyków literatury. Wybierając dowolnie ten lub ów okres, każdy z nich kierował się swemi literackiemi sympatyami i miał możność opracowania swoich tematów *con amore*, nie krępując się jakimś z góry narzuconym schematem. Zarysowała się w nich bardzo wyraźnie literacka indywidualność autorów.—O faktycznych błędach w książce, napisanéj przez ludzi fachowych, nie może być mowy. Spostrzeżenia nasze mogą uwzględniać kwestye ogólnego układu, planu i obrobienia szczegółów. P. Porębowiczowi dostał się dział najniewdzięczniejszy. Okresy jałowe, nie obfitujące w świeże, zdrowe talenty, mogą zainteresować przeciętnego czytelnika, jeśli są przez piszącego z wielką uwagą przestu-

---

[1]) A zwłaszcza dział niemiecki; romanistów mamy.

dyowane na tle historyczno-obyczajowém i w ten sposób przedstawione. Nie wystarczają tu same podręczniki i monografie, a nawet rozczytanie się w autorach; trzeba szerokiego tła, wykazania stosunku do poprzedzającego okresu. Tym jednak wymaganiom praca p. Porębowicza nie odpowiada. Jest w niéj szereg faktów, stylem barwnym, obrazowym skreślonych, szereg charakterystyk bardzo jaskrawych, — ale ani rola tego okresu w historyi literatury włoskiéj, ani związek jego z przeszłością nie jest wybitnie zarysowany. Wymagania nasze mogą się wydać wygórowanemi, bo praca p. Por. jest może lepszą od wielu niemieckich opracowań, ale zważywszy, że winien się był rachować z potrzebami i wymaganiami czytelników, których nie tyle uczyć, ile zainteresować i poinforować trzeba, nie możemy swoich zarzutów cofnąć. — Działy pp. Święcickiego i Jezierskiego mało do życzenia pozostawiają. Autorowie doskonale uporządkowali swój materyał, umieli podnieść ważniejsze kwestye, pominąć drobne, rzucić swe szkice na tło historyczne, wykazać oddziaływanie prądów filozoficznych, politycznych na literaturę — słowem, zadosyćuczynili prawie wszystkim wymaganiom krytyka i czytelnika. Zaznaczyć trzeba bardzo jasne treściwe przedstawienie głównych prądów filozoficznych i ich stosunku do literatury. Prawdziwą ozdobą książki są piękne rymowane przekłady. Możnaby z nich ułożyć wspaniałą antologią. Dażo dają ich pp. Porębowicz i Jezierski; mniéj p. Święcicki. Szczególnemi zaletami odznacza wiersz p. Jez. Czytelnicy powinni być wdzięczni autorom, że dołożyli starań, żeby dać im poznać prawdziwy smak i woń tych przepięknych utworów. — W działach pp. Jezierskiego i Święcickiego znajdujemy obfitą bibliografię; u p. Porębowicza spotykamy wzmianki o kilku zaledwie książkach. Dla czytelnika wskazówki bibliograficzne są niezbędne. Poważne „Dzieje lit. powsz.” nie zawsze zdobią dobre ilustracye. Potrzeba także indeksu imion autorów, który niewątpliwie znajdzie się przy końcu wydawnictwa. *L. Sz.*

= Redakcya „Gazety Świątecznéj” nadesłała następujący komunikat: **Konkurs gospodarski** „Gazety Świątecznéj”. Aby się przekonać, czy w ostatnich latach latach drobne gospodarstwa uczyniły postępy, a bardziéj jeszcze w celu dostarczenia czytelnikom dobrych wskazówek i przykładów, jak gospodarować należy, „Gazeta Świąteczna” ogłasza konkurs podwójny, a mianowicie: 1) na opisy **dobrze urządzonych gospodarstw**, mających niemniéj niż 6 morgów, a nie więcéj nad 3 włóki; 2) na opisy praktyczne, jak się wykonywają **niektóre roboty** wchodzące w zakres drobnego przemysłu w połączeniu z gospodarstwem, naprzykład przyrządzanie wędlin, wyrób serów i masła, wyp-

wa skór, przerób owoców i t. p. W konkursach tych nie idzie o poprawność języka, ale o dokładną znajomość i przedstawienie rzeczy. Opisy gospodarstw powinny odpowiadać na szereg pytań, które redakcya „Gazety Świątecznéj” w swém piśmie ogłasza i obiecuje przesłać każdemu, kto zażąda. Na główne nagrody redakcya „Gazety Świątecznéj przeznacza 150 rubli. Nagroda największa nie może przewyższać rubli stu; zresztą podział całéj sumy będzie zależny od wartości prac i zdania sędziów. Główne nagrody otrzymają: 1) rolnik, którego gospodarstwo opisane okaże się najlepiéj urządzoném; 2) ten, czyje przepisy wykonywania jednéj z robót wyżéj wspomnianych będą najpożyteczniejsze. Oprócz opisów nagrodzonych, wszystkie inne, pożyteczne do ogłoszenia, będą drukowane w „Gazecie Świątecznéj”, a autorowie ich otrzymają wynagrodzenie za swą pracę. — Opisy konkursowe przesyłać należy do redakcyi „Gazety Świątecznéj” w Warszawie (Nowy Świat, 26) nie późniéj jak do dnia 10 marca 1894 r.



KRONIKA MIESIĘCZNA.

Na progu Nowego Roku. — Rozprawy w sekcyi rolnéj. — Konwencya literacka. — Kąpiele ludowe.

Rok 1893 na szerokim europejskim widnokręgu zakończył się krwawemi faktami i przestępstwami. Przy końcu 1892 r. uwagę ogólną zaprzątała sprawa panamska, do wielkiego skandalu parlamentarnego rozrosła; ostatnie tygodnie roku 1893 zostały wzburzone w najwyższym stopniu zamachami anarchistycznemi w Hiszpanii i Francyi.

Pocisk, rzucony przez Vaillant'a w izbie deputowanych w Paryżu, wywołał niepokój i zgrozę wśród całego europejskiego ogółu. Rządy i społeczeństwa posiadają siły aż nadto dostateczne do poskromienia żywiołów anarchicznych i nie potęga téż anarchistów obawę i grozę wywołuje. Wyobraźmy sobie, że dwóch partnerów do gry zasiadło, w trakcie któréj jeden zrywa się nagle, gasi światło, zagarnia złoto i sztyletuje bezbronnego i nieprzygotowanego towarzysza. Zamachy i zbrodnie anarchistów, tak często w ubiegłym roku się powtarzające, przeraziły społeczeństwo, bo pociski ich raziły najczęściéj spokojnych i nieprzygotowanych.

Zamachy miały być, lub były dokonywane w mieszkaniach prywatnych, na ulicach, w teatrach i zebraniach publicznych, wszędzie, gdzie się gromadzą ludzie dla zabawy lub pożytku. Najprostsza logika uczy, że nawet nieprzygotowani i obojętni skupią się teraz dla obrony własnéj a tém samém i organizacyi społecznéj, nad któréj zasadami może i nie przychodziło im do głowy zastanawiać się.

Dalszym téż skutkiem tych zbrodniczych zamachów będzie solidarność ogółu europejskiego, zagrożonego w swych rękojmiach społe-

cznych. Przypuszczać też można, że anarchia przez swe dzikie i okrutne wybryki uzbraja przeciwko sobie nawet obojętnych. Zagrażając funkcyom, które są węgielnemi podstawami bytu społecznego, stawia się sama po za obrębem najsubtelniéj tłómaczonych praw i względów.

Oprócz zamachów anarchistycznych, wewnętrzne zawikłania w niektórych państwach Europy zachodniéj doszły już także do tego krytycznego momentu, który znamionują krwawe starcia uliczne i zabójstwa polityczne. Na Włochy, dawno już trapione i trawione przesileniem ekonomicznem, zwaliły się w ostatnich dniach ubiegłego roku zaburzenia sycylijskie, jako stary i bardzo skomplikowany wytwór wielorakich czynników, sięgający jeszcze czasów dawnych. O ile zdaleka te szczególne i bardzo odrębne stosunki miejscowe tłómaczą nam luźne opinie dziennikarskie wyzyskiwacze miejscowi, opanowawszy instytucye gminne i municypalne, silni przez stare wpływy, potrafili nawet z instytucyi liberalnych, wprowadzonych przez zjednoczone Włochy, uczynić narzędzie ucisku biédnego i pracującego ludu. Zaburzenia tamtejsze zdaje się, że nie posiadają ani antydynastycznego ani antyspołecznego charakteru; wywołały je niesprawiedliwe ciężary podatkowe; może je zażegnać proste i zawsze skuteczne na niedomagania społeczne lekarstwo, zwane sprawiedliwością, która też byłaby najlepszą rękojmią porządku i karności.

Stan rzeczy w Czechach, zaostrzony już dawno , zaognił się także w końcu ubiegłego roku przez morderstwo mniemanego agenta policyjnego. Małe wypadki i przypadkowe okoliczności, nie mówiąc już o świadoméj i zaciętéj agitacyi rej w Czechach wiodącego stronnictwa młodoczeskiego, pogłębiają z każdym niemal dniem przepaść między systemem politycznym monarchii habsburskiéj a dążeniami téj partyi.

Europa zachodnia przekroczyła więc próg nowego roku pod wrażeniem trosk i niejasnego jutra. Zaznaczone wyżéj wstrząśnienia i namiętności socyalne i polityczne, chociaż miejscowy przeważnie posiadają charakter, wytworzyły jednakże nastrój noworoczny niepewny i zamącony. Natomiast pod względem stosunków międzynarodowych pokój zapewne w roku bieżącym naruszony nie będzie. Kłopoty wewnętrzne będą poniekąd hamulcem w ruchach zewnętrznych. Zresztą w stosunkach społecznych i politycznych oprócz skrajnéj partyi przewrotu, która przez dzikie okrucieństwa wykréśla się sama nietylko z pod prawa, ale i z pod wszelkiego obliczenia, panować zdaje się rozwaga i niechęć do ryzyka. Nauczony doświadczeniem, człowiek dźwiga ciężar dnia powszedniego z rezygnacyą. Ludzkość żyje w okresie najprozaiczniejszego, na rachunku opartego rozsądku. W polityce, w literaturze,

w moralności zwiastują wprawdzie od pewnego czasu „nową erę”, ale za hasłami nie widać jakoś faktów. Przez głośne mowy i manifesta zapowiadana przed kilku laty, „nowa era” w Niemczech pozostała po dziś dzień tworem fantazyi i słowa i dotąd nie zdołała się zrealizować. Dlatego kredyt jéj upada. Jesteśmy po większéj części zwolennikami starożytnéj przestrogi: *festina lente*.

Człowiek współczesny nauczył się zanadto szanować przyczynę i fakt, ażeby nie ściągnąć cugli uczuciu i wyobraźni, ilekroć go one unosić zechcą. Czy z tém źle czy dobrze, lecz zdaje się, że to istotna chyba cecha epoki.

W zeszłym miesiącu toczyła się w sekcyi rolnéj żywa dyskusya nad parcelacyą większéj własności ziemskiéj. Wywołały ją odczyty p. J. Kirszrota-Prawnickiego „O włościańskich posiadłościach rentowych i p. Jeziorańskiego „O działalności komisyi kolonizacyjnéj w pruskich prowincyach wschodnich”. Podobieństwo między bankami rentowemi w Poznańskiém i Bankiem włościańskim, operującym u nas sprowadziła rozprawę na grunt naszych stosunków rolnych.

Ustawa pruska wytworzyła typ t. zw. włości rentowéj, dającéj włościaninowi możność nabycia gruntu z bardzo małym stosunkowo kapitałem lub czasem nawet bez kapitału, za zobowiązanie się do płacenia rocznéj renty. Ten jednakże pierwotny typ włości rentowéj nie okazał się w praktyce wystarczający, ci bowiem tylko właściciele ziemscy przystępowali do takiéj sprzedaży, których posiadłości były zadłużone; wierzyciele zaś majątku przy jego sprzedaży żądali zwykle nie renty lecz spłaty kapitału. To téż w r. 1891 nową w Prusach wprowadzono w życie ustawę, upoważniającą istniejące tam od r. 1850 banki rentowe do regulowania hypotek z wierzycielami w ten sposób, iż wydają listy rentowe $3^1/_2$ lub 4% na spłatę wierzycieli, a bank rentowy wstępuje w ich miejsce jako wierzyciel, z tą różnicą, że wierzytelność jego może być spłacona częściowo przez uiszczanie renty umarzającéj. Uregulowanie interesu i dopilnowanie prawidłowego przebiegu parcelacyi posiadłości spoczywa na t. zw. komisyach generalnych. Zdaniem p. Prawnickiego, system włości rentowych w Prusach i działalność Banku włościańskiego u nas posiadają wielkie znaczenie, ułatwiając nabywanie ziemi włościanom. P. Jeziorański, który mówił o komisyi kolonizacyjnéj w Poznańskiém i tamtejszym Banku ziemskim, zaznaczywszy liche rezultaty finansowe pierwszéj instytucyi, posiadającéj, jak wiadomo, charakter polityczny, naszkicował dodatnią działalność Banku ziemskiego. Zadaniem tego ostatniego było z początku, jak wiemy, przeciwważyć wpływy komisyi kolonizacyjnéj, z czasem jednak podjął się funkcyi pośredniczących, które mu nasunęły na myśl wspomniane włości rentowe. Ponieważ bowiem uregulowanie wszelkich stosunków hypo-

tecznych, potrzebnych do przeprowadzenia parcelacyi w komisyach generalnych, zajmuje 2—3 lat, tak samo, jak u nas w Banku włościańskim, więc Bank ziemski występuje jako pośrednik pomiędzy pruskiemi komisyami generalnemi a właścicielem ziemskim. Mówca doszedł do wniosku, że dla ułatwienia Bankowi włościańskiemu jego działalności, należałoby utworzyć u nas instytucyę pośredniczącą pomiędzy Bankiem a właścicielem ziemskim. Wśród większéj własności u nas ma być około 2 milionów morgów kwalifikujących się do parcelacyi, a bardzo jest pożądaném ułatwienienie włościanom nabywania gruntów. Milion włościan znalazłoby tym sposobem podstawy bytu i odwróciło uwagę swoją od Brazylii.

Te właśnie wnioski wznieciły spory. Najmocniéj występował p. Szweycer przeciwko parcelacyi, która podług niego jest dla kraju szkodliwą. Mówca proponuje inny system: oddawania ziemi w dzierżawę chłopom. Kto ma np. tylko 40 włók i to mocno zadłużonych, niech odda chłopom 30, a sam zostanie przy dziesięciu. Wierzyciele wejdą chętnie w układy, będą pobiérać procenty od włościan-dzierżawców, a nawet staną się względniejszymi co do odbioru wierzytelności. Chłop da sobie radę, on ma dużo energii i sił. P. Szweycer widział kmiecia, który nie mając ani wołów ani koni, sam z żoną ciągnął pług, a dziecko popychało. Cała rodzina mieszkała w norze ziemnéj i „dobrze jéj było".

Oponent dał taki obraz parcelacyi: „Zobaczmy, co ona uczyniła; przeszła jak huragan przez dobra ziemskie, a jéj ślady — to pustynia. Gdy się widzi tę straszną ruinę, te dworki zwalone, te lipy wycięte i szlachetne gatunki drzew owocowych na ogień rzucone, serce krwią się zalewa."

Rozprawy, według dzienników, były bardzo ożywione, co dowodzi, jak kwestya parcelacyi jest żywotną wśród sfery ziemiańskiéj, dodajmy i włościańskiéj, chociaż jéj przedstawiciele głosu na posiedzeniu sekcyi rolnéj nie zabiérali. Ciekawy by to był głos, bo od strony najwięcéj zainteresowanéj pochodzący.

Z toku i tonu rozpraw sekcyi rolnéj widzimy, jakie parcelacya po dziś dzień jeszcze spotyka opinie. Obok tak gorących jéj przeciwników jak p. Szweycer, widzimy i takich, którzy ją uważają za „złe konieczne" i nie chcą téj formy sprzedaży pozostawić bez steru.

Parcelacyę czyli powolne rozdrabnianie, a nawet znikanie większéj własności ziemskiéj i wzrost na jéj miejscu własności drobnéj, poprzedziło w naszym kraju tyle znaków na niebie i ziemi, tyle zmian prawodawczych i ekonomicznych, że dzisiaj radzić by chyba raczéj należało nad jéj uregulowaniem, niż spóźnione nad nią odśpiewywać treny.

Przecież w kraju, w którym od lat sześćdziesięciu kilku obowiązuje kodeks cywilny z równemi działami majątkowemi, w którym ustanawianie majoratów osobom prywatnym jest wzbronione, gdzie nie ma przywilejów ku podtrzymaniu większéj własności ziemskiéj zmierzających, musiała ona naturalnym biegiem rzeczy ustępować innym formom własności ziemskiéj. I gdyby tylko ta przemiana własności odbywała się bez wstrząśnienia, nie byłoby jeszcze dostatecznego powodu, jak to czynili mówcy podczas rozpraw w sekcyi rolnéj, uważać jéj za plagę kraju. Bo gdybyśmy nawet mogli podzielać ich zapatrywania, które chyba zmierzają do wniosku, że większa własność lepiéj zabezpiecza ogólne i cywilizacyjne interesa społeczeństwa, niż chłopska, toć zapatrywanie takie nie obroni jeszcze téj własności ani od subhastacyi ani od dewastacyi, która w ostatnich kilku latach była istotną, nie zaś urojoną plagą kraju.

Powszechny podział obszarów dworskich na chłopskie parcele, zalecany bardzo gorąco przez niektórych socyologów i publicystów, mógłby być przedmiotem poważnego sporu, gdyby wogóle był przewidywany. Unikając więc krańcowych zdań, ponieważ stosunki praktyczne nie nastręczają jeszcze do nich dostatecznego powodu, zapytajmy jednak przeciwników parcelacyi: czy przekładają nad nią sporadyczną i systematyczną ruinę większéj własności? W danéj chwili przedewszystkiém chodzi o to, ażebyście ziemię w garści utrzymać potrafili; jeżeli to zaś możność nie jednego z was przechodzi, to oddajcie ją w ręce pewne i pożądane. Wymowne deklamacye o rozebranych dworach, wyciętych parkach i ogrodach wcale przecież biegu rzeczy nie zmienią. Spekulant lub lichwiarz, który wam ojczysty szmat ziemi zabierze, nie ma nawet zmysłu do ich odczucia i pojęcia.

Do opinii pod tym względem ustalonych i następnie do uregulowania faktycznego téj kwestyi dojść by już bardzo należało, bo ludzie i sprawy na wahaniu się tracą. Tego lub owego działy majątkowe, obawa ruiny lub inna konieczność do takiéj lub innéj decyzyi znagla.

Odbyte rozprawy w sekcyi rolnéj nad parcelacyą będą miały tym razem ten dodatni skutek, że wejdą znów na porządek dzienny podczas zebrania styczniowego. Dla wszechstronnéj oceny przedmiotu ma być opracowany referat o warunkach sprzedaży ziemi u nas, tudzież o położeniu rolników większych. Referat będzie umieszczony w „Gazecie Rolniczéj”, ażeby członkowie mieli sposobność dobrze rozważyć materyał, przygotować się do rozpraw i postanowień. Do sprawy téj i my więc we właściwym czasie powrócimy.

I dla naszych stosunków nie jest obojętną wznowiona myśl zawarcia konwencyi literackiéj między Rossyą a Francyą. Prawo wła-

sności literackiéj w absolutném pojęciu w stosunkach między jedném a drugiém państwem nie jest wcale przestrzegane.

Tym razem z gorącą odezwą do prasy i wydawców russkich wystąpił Emil Zola. W swoim liście otwartym stara on się przekonać, że konwencya, zabezpieczająca własność autorską obu stronom przyniesie pożytek i materyalny i moralny.

Naprzód, jak utrzymuje Zola, zasada sprawiedliwości wymaga, ażeby własność literacka była istotną własnością. Zwłaszcza po wymianie uczuć przyjaźni politycznéj, zasada ta i na innych polach zwyciężyć powinna.

Nie chcąc jednakże tylko na sentymentach opiérać sprawy, Zola zwraca się do interesów. Przed dziesięciu, powiada on, piętnastu laty, wyłącznie panowało zdanie, że w Rossyi rozchodzą się w wielkiéj liczbie utwory francuskie, kiedy russkie we Francyi tylko wyjątkowo. Inaczéj, różnica między importem a eksportem była tak wielką, że uważano za nierozsądne nakładać cło na produkt w wielkiéj ilości sprowadzany i spożywany. Ale czasy się zmieniły i nawet drugorzędni romansopisarze ruscy znaleźli się na rynku księgarskim we Francyi. Jest więc już wzajemność interesów, nierówna wprawdzie jeszcze dla obu stron, boć utwory autorów francuskich rochodzą się zawsze w większéj liczbie zagranicą, niż zagranicznych we Francyi, lecz wzgląd taki wcale kwestyi nie rozstrzyga, boć tłómaczenie i drukowanie bez wynagrodzenia autora nie wystarcza do oznaczenia korzyści.

Tutaj Zola używa argumentów, które względnie jeszcze najwięcéj przekonaćby mogły. Wasz rynek literacki, mówi, jest przepełniony masą tłómaczonych romansów francuskich. Ponieważ ani uiszczania honoraryum autorom nie ma potrzeby, ani nawet o ich pozwolenie zapytywać, więc każdy wydaje tłómaczenie według swego widoku.

Zola przytacza przykład, że w Rossyi ukazywało się jednocześnie czternaście tłómaczeń „Débacl'u". Natychmiast po wyjściu dziennika z felietonem powieści tłómaczono ją i wysyłano. Tłómaczeniom takim, robionym w pośpiechu Zola odmawia wartości, nazywając je okropnemi i niegodnemi nazwy literackiéj. Oprócz tego żadne wydawnictwo nie wyciągało prawdziwéj korzyści z tłómaczenia, bo zainteresowanie czytelników rozproszyło się w tylu kierunkach. Byłoby wcale inaczéj, gdyby nad utworami francuskiemi czuwało prawo własności. Wówczas to wydawnictwo, któreby nabyło prawo tłómaczenia, dokonałoby go starannie; przedewszystkiém zaś autorowie krajowi mieliby na swoje utwory zbyt i miejsce, zajęte przez tłómaczenia.

Trudno zaprzeczyć, że niektóre uwagi Zoli mogłyby być słuszne i przekonywające. Być może, że opieka nad własnością autorską ograniczyłaby liczbę i wpłynęła na jakość tłómaczonych romansów. Zapewne, że krajowa produkcya literacka zyskałby nieco na takiéj zmianie rzeczy mogła, znajdując wówczas większy popyt. Gdyby bowiem za prawo tłómaczenia utworów obcych wypadło płacić, zdaje się, że miejscowe miałyby pierwszeństwo. Lecz dla osiągnięcia tych estetycznych i etycznych dla czytającago ogółu, materyalnych zaś dla autorów krajowych owoców, musiałyby wydawnictwa nasze być znacznie bogatsze, niż są. Jeżeli połowa z nich, nie płacąc honoraryów obcym autorom za prawo przekładu, zaledwie istnićć, może to cóżby było wtenczas, gdyby na nie ten ciężar nałożono?

Rzecz jasna, że wydawcy i księgarze są z natury swych interesów przeciwnikami konwencyi, zabezpieczającéj obcą własność autorską. Lecz i interesy czytającego ogółu w tym wypadku schodzą się z ich interesami; zubożenie bowiem materyalne lub upadek wydawnictw odbija się na społecznych i moralnych, a nawet materyalnych potrzebach czytelników. Co zaś do zasady sprawiedliwości, w imię któréj przemawia Zola, to cóż znaczą choćby i zaniedbane formalne względy téj sprawiedliwości wobec przywilejów, jakie głośniejsi autorowie zagraniczni, a zwłaszcza francuscy posiadają u nas? Te przywileje są tradycyjne, od dawnych czasów ugruntowane, polegają zaś na wpływie i poczytności ich dzieł w oryginale. Autor tamtejszy odbiéra już od swego wydawcy zapłatę za cały obszar swego wpływu i poczytności. Kraj nasz wcale go nie krzywdzi — książki francuskie rozchodzą się przecież w wielkiéj ilości oryginalnych egzemplarzy, bo każdy kto nabywać może, woli je od tłómaczonych.

Ze względu na głosy prasy ruskiéj myśléć téż wypada, że odezwa Zoli pozostała bez skutku.

Niedawno w „Kuryerze Codziennym” p. Van der Naag zamieścił artykuł „Sanatorya”, dotyczący sprawy, a raczéj projektu, który, utartego używając określenia, sympatycznym co najmniéj nazwać się godzi. Autor podnosi tam sprawę inteligentnego proletaryatu, skazywanego tak często przez przedwczesne steranie sił, na rozpacz, śmierć i zagładę.

Ma on na widoku tych, co w latach młodych pochłonięci nauką szkolną, w dalszym okresie życia porwani gorączkową walką o stanowisko, zaniedbując w zupełności stronę fizyczną rozwoju, wpadają w choroby przewlekłe, nieuleczalne i w tym wieku, gdy człowiek normalny znajduje się w rozkwicie sił żywotnych, oni są już schorzałymi

niedołęgami. Do kategoryi téj zaliczyć należy gorzéj płatnych urzędników biurowych, pracowników z różnych gałęzi sztuki, literatów i dziennikarzy, studentów i nauczycieli, nie mogących się wybić na wiérzch lekarzy i prawników, wreszcie różnych odcieni zawodowców i rzemieślników o wyższym poziomie potrzeb umysłowych, wogóle cały odłam inteligencyi niezamożnéj. Cierpienia jego bowiem są bezwątpienia niepomiernie większe, niż warstw najwyżéj lub najniżéj stojących na drabinie społecznéj: pierwsze wielu uczuciom są niedostępne, bo nie chcą, te drugie wielu rzeczy nie odczuwają, bo jeszcze czuć nie umieją.

Dla tych ludzi, których ocalenie leży przecież w interesie społecznym, boć oni są motorem inicyatywy duchowéj, autor pragnąłby otworzyć „Kasę dla chorych niezamożnych“, udzielającéj im sposobów i możności poratowania zdrowia.

Nie ma chyba powodu do długiego uzasadnienia tego szlachetnego projektu. Inicyatywa prywatna z lat ostatnich, która może pochlubić się taką instytucyą, jak kolonie letnie dla ubogich dzieci, przekonała już chyba nawet ospałych i obojętnych, że filantropia, na którą w pewnych zwłaszcza warunkach poważne spadają zadania, nie potrzebuje i nie powinna się zamykać w szablonowym zakresie rutyny, za co słuszne często spotyka ją szyderstwo i lekceważenie, — lecz stać się żywym i racyonalnym czynnikiem społecznym. Projektowana instytucya, o któréj tu wspominamy, odpowiadałaby w najwyższym stopniu względom ludzkości i pożytku.

Sanatorya dla chorych wspomnianéj kategoryi zasługują na jaknajtroskliwszą uwagę.

Sprawa tak pożądanych kąpieli ludowych uczyniła stanowczy krok naprzód. Komitet kąpieli z p. L. Natansonem na czele, zajmuje się opracowaniem szczegółowego projektu budynku i jego urządzeń wewnętrznych. Przygotowują plan kanalizacyi posesyi po-dominikańskiéj. Po załatwieniu formalności i zatwierdzeniu planów, budowa ma się rozpocząć w kwietniu i trwać przez trzy miesiące.

W sierpniu r. b. pierwsza kąpiel natryskowa powinna być oddana do użytku publicznego; zawierać ona będzie 18 natrysków dla mężczyzn, 6 dla kobiet, oprócz tego w suterenach pralnię.

Kąpiele będą przystępne dla ubogiéj ludności — opłata wyniesie 5 kop. Uznano, że kąpiele natryskowe najlepiéj odpowiedzą zadaniu, ponieważ w danym przeciągu czasu obsłużyć mogą największą liczbę osób.

Stan finansowy przyszłego zakładu, dzięki ofiarności p. Stanisława Rotwanda i komitetu obywatelskiego, przedstawia się nie źle, bo gotówka wynosi 12,500 rub. Co do kosztów eksploatacyjnych, opłacenia służby, węgla i t. p., przypuszczają, że dochód pokryje w zupełności rozchody, tém więcéj, iż jest nadzieja, że właściciele zakładów przemysłowych, pozbawionych kąpieli dla robotników, poprą pożyteczny zakład kąpielowy.

B. Lut.



OGŁOSZENIA.



Wydawcy: *W. Spasowicz* i *A. Pawiński*. — Redaktor *P. Chmielowski*.

Дозволено Цензурою. Варшава, 5 Января 1894 г. — Druk Jana Cotty.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „ATENEUM"

1. Ze starych szpargałów ś. p. *Karola Żery*. **Fraszki i opowiadania**, wypisał *Zygmunt Gloger*. Warsz., nakł. S. Lewentala, 1893, 8-vo, str. 256.
2. *Wincenty Kosiakiewicz*. **Władek**. Powieść. Warsz., nakł. Gebethnera i Wolffa, 1894 8-vo, str. 283.
3. *Sewer*. **Nafta**. Powieść w trzech tomach. Warsz., S. Lewental, 1894, 8-vo, str. 315+218+263.
4. **Encyklopedya rolnicza**, wydawana staraniem Muzeum przemysłu i rolnictwa: zeszyt XXVIII. Warsz., 1893, wielkie 8-vo, str. 369—448 (Gorzelnictwo).
5. **Słownik geograficzny** Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich. Wyd. *Bronisława Chlebowskiego*. Zesz. 145. Warsz. 1893, str. 80.
6. **Królestwo Zwierząt**, według Brehma, opracował *W. Lakowitz*, przełożył *Stanisław Rewieński*. Zesz. III i IV. Warsz., nakł. Gebethnera i Wolffa, 1894, 8-vo, str. 193—384 (z rycinami).
7. *Szmul Rokoszewski* **Dekadentyzm warszawski**. Warsz. 1894. str. 16.
8. **Pisma** *Henryka Sienkiewicza*. Tom XX. Warsz., nakł. Gebethnera i Wolffa, 1894, 8-vo, str. 212.
9. *Anatol Krzyżanowski*. **Mimoza**. Warsz., nakł. księgarni T. Paprockiego i S-ki, 1894 8-vo, str. 221.
10. *Józef Nusbaum*. **Poglądy ogólne na rozwój osobnika zwierzęcego.** Lwów 1893 8-vo, str. 22.
11. *Dr. Antoni J.* **Sylwetki i szkice historyczne i literackie. Serya IX**, nakład Gebethnera i S-ki, 1893, 8-vo, str. 385.
12. **Tydzień**, czasopismo gubernii Piotrkowskiéj. Numer gwiazdkowy z kalendarzem na rok zwyczajny 1894, 4-to, str. 40 + 50.
13. *Jan Rutkowski*. **Testament Hopkinsa** Warsz., nakł. Spółki wydawniczo-literackiéj, 1894, 8-vo, str. 260.
14. **Strzecha Rodzinna.** Kalendarz na rok 1894. Wydał *Edw. Koliński*, 8-vo, str. 138 + 30 (cena kop. 15).
15. **Catalogus** codicum manu scriptorum Musei Principum Czartoryski Crakoviensis. Edidit Dr. *Josephus Korzeniowski*. Krak. 1893, 8-vo, fasciculus quartus, str. 273—384.
16. **O konwersyi** listów zastawnych ziemskich i jéj znaczeniu, napisał *Adolf Suligowski*. (Odbitka z „Gazety Rolniczej"). Warsz. 1893, str. 42.
17. **Dział antykwarski.** Księgarnia Stanisława Giejsztora. Katalog № 9 i 10, str. 44 i 66.
18. **Lamparcie życie** Opowiadanie ze wspomnień studenckich przez *Gamastona*. Petersb. nakład księg. K. Grendyszyńskiego. 1894. 8-vo, str 494.
19. *Dr. Sever. Ribbing*. **Hygiena płci** i jéj moralne następstwa. Przełożył ze szwedzkiego *Dr. B. K.* Warsz., nakład księg. Guranowskiego (1893), 8-vo, str. 156.
20. *Roman Szreniawa*. **Wspomnienia z podróży** do Australii. Warsz., Gebethner i Wolff, 1893, 8-vo, str. 162.
21. *S. Graybner*. **Mamin synek.** Powieść oryginalna w trzech częściach. Warsz., Gebethner i Wolff, 1894, 8-vo. str. 409.
22. *Dr. Ernest Bandrowski*. **Wykład chemii ogólnéj.** Część II. Chemia organiczna. Krak. 1893, 8-vo, str. 256.
23. *Dr. Piotr Stebelski*. **Nowe kierunki** w nauce prawa karnego. Lwów 1894. 8-vo, str. 181.
24. *Dr. Piotr Stebelski*. **Ze statystyki przestępności** w Galicyi. Lwów 1893, 8-vo, str. 95.
25. *W. M. Kozłowski*. **Dekadentyzm współczesny** i jego filozofowie (Paweł Bourget i Fryderyk Nietzsche). Warsz.. w księg. E Kolińskiego, 1893, 8-vo. str. 50.
26. *Marya Rodziewiczówna*. **Na Fali**. Powieść współczesna. Warsz., nakł. księg. Paprockiego i S-ki, 1894, 8-vo, str. 304.

Uprasza się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdéj z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa wzmianka.